

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK



Nr 9/23/ ROK III • wrzesień 1997

CENA 4 zł

Rozmowy: HOLOUBEK, BERESKA, JASIŃSKI

Czy Katowice są bezpieczne?

POWÓDŹ - dwa reportaże

NETZ - Róg Ligonia i Królowej Jadwigi

KISIEL - o poezji Szewczyka

POREMBA-WOLKOWA - Ocalały w egzekucji

KUZIO-PODRUCKI - Fortuna Wincklerów





W katowickim parku, pod wysoką wieżą

W katowickim parku, pod wysoką wieżą,
śląscy harcerzyki na trowince leżą.

I leżą pobici, leży ich niemato,
życie w młodych latkach dać im pozostało.

Ej, wstowejcie wszyscy, bo nie odtrąbiono,
Inksze się młodzioki biją drugą stroną.

Ej, wstowejcie wszyscy, dziewczeczko, syneczku,
jeszcze się powstańcy biją na ryneczku.

Ej, wstowejcie wszyscy, naszedł czas niedoli,
biedna nasza Polska zakuta w niewoli.

Ej, wstowejcie wszyscy, jeszcze się wyśpicie,
wiele razy trzeba Polsce oddać życie.

Ze zbioru Adolfa Dygacza: ŚLĄSKIE PIEŚNI LUDOWE

Kiedy wrzesień
przywiódł jesień,
chłopi zboże młóć,
jedni ziarno mielią
w żarnach,
drudzy na targ
włóczą.

EWA
BIEŃCZYCKA
Pejzaż śląski
z bodiakami
Wrzesień 1996
technika mieszana
płótno
Katowice
Fundusz
Górnośląski



ŚLĄSK

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO -
KULTURALNY**

Nr 9 (23). Rok III. Wrzesień 1997

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

Redaguje zespół:

TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego

WIEŚLAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny

MARIAN KISIEL
dział krytyki i eseju

JAN F. LEWANDOWSKI
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

HALINA ŻMIJ
kierownictwo biura redakcji

MIROŚLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny

ANNA STRUMIŁOWSKA
ANDRZEJ ROGIER
korekta

ADRES REDAKCJI:

40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7, tel./fax 206-82-71

Czasopismo wspierane finansowo przez:

MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI, WY-
DZIAŁ KULTURY URZĘDU WOJEWÓDZKIE-
GO I URZĄD MIASTA W KATOWICACH.

Skład i montaż elektroniczny: Studio Typografii
Profesjonalnej „KorGraf” s.c., 40-084 Katowice,
ul. Opolska 22, tel. 597-271 w. 107

Druk: MARQUARD PRESS S.A. 40-084 Ka-
towice, ul. Opolska 22, zam. 1418/97

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, popra-
wek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do
druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i Dele-
gatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bezpo-
średnio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach
pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL
- redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO II Oddz. Kato-
wice 27528-746272-136. Prenumerata roczna - 48 zł.,
półroczna - 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostar-
czane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza - 4 zł

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Numer zamknięto 5.08.1997r.

W NUMERZE



ŚLĄSKI MIESIĄC	2
REPLIKI I KOMENTARZE	
<i>Tadeusz Kijonka</i> SZOK TRWA	3
OBSERWATOR SAMORZĄDOWY	4
<i>Krzysztof Karwat</i> KATOWICZANIE O KATOWICACH	5
<i>Wiesława Konopelska</i> WIZJE I PROGRAMY	6
<i>Rozmowa z komendantem KRP w Katowicach mł. insp. Józefem Krasuckim</i>	
CZY MIASTO BEZPIECZNE?	10
<i>Stawomir Matusz</i> WIERSZE	12
<i>Jan F. Lewandowski</i> STOLICA WOJEWÓDZTWA	14
<i>Arkadiusz Kuzio-Podrucki</i> FORTUNA WINCKLERÓW	16
<i>Henryk Bereska</i> WIERSZE	18
<i>Rozmowa z Henrykiem Bereską</i> CHCIAŁEM ZROBIĆ COŚ	
POŻYTECZNEGO DLA POLSKI I NIEMIEC	20
<i>Feliks Netz</i> RÓG LIGONIA I KRÓLOWEJ JADWIGI	24
<i>Barbara Poremba - Wolkowa</i> CUDOWNIE OCALAŁY	28
<i>Józef Krupiński</i> WIERSZE	31
<i>Katarzyna Widera</i> NIE TYLKO NA MIKOŁÓWSKIEJ	32
<i>Rozmowa z Gustawem Holoubkiem</i> AKTOR SPEŁNIONY	34
<i>Jan Pierzchała</i> SZEPT WĘŻA W WYSOKIEJ	
TRAWIE (fragment powieści)	38
<i>Henryka Wolna - Van Das</i> ODNALEŹĆ NADZIEJĘ	42
<i>Beata Tomanek</i> RODZINA RODZINIE	44
<i>Andrzej Linert</i> NARODZINY TEATRU POLSKIEGO	46
<i>Marian Kisiel</i> „MYŚL PROTESTANCKA” - PISMO KULTUROWE	49
GOSPODARKA	
<i>Krzysztof Karwat</i> TYLKO WSPÓŁDZIAŁANIE	50
<i>Marian Kisiel</i> MIĘDZY PRZEPAŚCIAMI	51
<i>Paweł Lekszycki</i> WIERSZE	54
<i>Łukasz Adamczyk</i> WIERSZE	55
ŚCIEŻKI I ROZDROŻA	
<i>Krzysztof Karwat</i> CIEN HUPKI	56
WĘDRÓWKI PO KINIE	
<i>Jan F. Lewandowski</i> KATOWICZANKA	57
<i>Rozmowa z Andrzejem Jasińskim</i> CZYTANIE MUZYCZNYCH EMOCJI	58
STARTY I FALSTARTY	
<i>Marian Kisiel</i> HIPSTER NOWEJ POEZJI	61
PODKOPKI: Bilewicz, Netz, Malicki, Kijonka, Szopa	62
<i>Andrzej Urbanowicz</i> HILARY	64
<i>Wiesława Konopelska</i> BARDZO LETNI SALON MALARSTWA	65
TANIEC	
<i>Marek Skocza</i> TANIEC NASZEGO FIN DE SIECLE' U	66
MUZYKA	
<i>Danuta Lubina-Cipińska</i> „GAUDE MATER POLONIA”	
HUTNIKA	67
<i>Jan F. Lewandowski</i> DOM KORFANTEGO	68
<i>Wiesława Konopelska</i> WKRÓTCE BĘDĄ NA SWOIM	69
RAPORTY KULTURALNE	
<i>Marian Kisiel</i> GÓRNOŚLĄSKI RUCH WYDAWNICZY	70
GRAFIKA	
<i>Seweryn A. Wistocki</i> NOTATNIK OSOBISTY	72
KSIĄŻKI. Recenzje. Noty	73
<i>Marek Baster</i> BLOC -NOTES	79
<i>Marta Fox</i> LISTY SPOD KAPELUSZA	80
<i>Katarzyna Młynarczyk</i> ŚWIATŁO W SPOJRZENIU	80
PEJZAŻ MITOLOGICZNY	
<i>Antoni Halor</i> ŚLĄSKI WERSAL	81
NOTATNIK KULTURALNY. Katowice. Opole. Bielsko. Zaolzie	82
<i>Wojciech Janota</i> GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE	87
Z NOWĄ METRYKĄ	88

W kolorze:

Hilary Krzysztofaki - wystawa malarstwa w Muzeum Śląskim w Katowicach (str.A)
 ● Letni Salon Malarstwa Katowickiego Okręgu ZPAP - wystawa w Galerii Art-Nova 1
 i Art-Nova 2 w Katowicach (str. B) ● Heinz Mack (Niemcy) „Światło w spojrzeniu” -
 wystawa w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach (str. C) ● Znaki i twarze
 miasta (str. D).

Na okładce: Gmach siedziby Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach.

Fotografia: Roman Kucia

Prenumerata zagraniczna: 6,5 DM; 45 ATS; 22 FRF; 25 NOK; 25 SEK; 2,5 GBP, 100 Kč

■ **DLA młodzieży radość:** nareszcie wakacje. Wprawdzie z miast z roku na rok coraz mniej jej wyjeżdża „gdzie woda czysta a trawa zielona”, ale zawsze — wakacje...

■ **KOŚCIÓŁ** w Pszowie, słynący cudownym obrazem Matki Bożej Uśmiechniętej, cel wielu pielgrzymek, otrzymał tytuł bazyliki mniejszej.

■ **PIERWSZA** rozprawa katowickiego „mafioso” ps. „Simon” odbyła się w Sądzie Wojewódzkim. Zapowiada się długi proces.

■ **NAJCIEŹSZY** pacjent — 261 kilogramów wagi — poddał się operacji w zabrzańskim oddziale Kliniki Chirurgii Ogólnej i Naczyń Śl. AM.

■ **FATALNY** 7 lipca: padające deszcze przybrały na sile. Dotychczasowy stan podwyższonej wody stał się nagle wysoki. Woda wystąpiła z małych potoków, zaczynała zalewać miasta. Mieszkańcy alarmują o pojedynczych na razie, zalanych mieszkaniach.

■ **TYM** razem rzeczywistość przekroczyła prognozy meteorologów — deszcze przybrały na sile, wystąpiła Odra. Jak dotychczas najbardziej ucierpiały miejscowości Lubomia, Buków i Rydułtowy.

■ **NA** skutek podmycia mostu koło Nowego Jiczina w Czechach wykołował się pociąg Eurocity „Sobieski”. 4 osoby zostały ranne. Pociągi przejeżdżające przez czeską i słowacką granicę mają wielogodzinne opóźnienia. Jadą okrężnymi trasami.

■ **SYTUACJA** zaczyna być groźna: Odra przerwała wały przeciwpowodziowe. Wojewódzki Komitet Przeciwpowodziowy przyznał, że na akcję nie ma ani grosza. Ludzie ratują się jak mogą.

■ **WYBUCH** kotła w wydziale grafitowni skomplikował i tak trudną sytuację w Raciborskich Zakładach Elektrod Węglowych.

■ **TO** już klęska. Zatopiony niemal cały Racibórz, Chałupki, Kuźnia Raciborska nie licząc pomniejszych miejscowości i samotnych osad. Rozlewiska widziane ze śmigłowca budzą grozę.

■ **WODA** ciągle wzbiera. Do odciętego od świata Raciborza można dotrzeć tylko ciężkimi amfibiami lub śmigłowcami. I tak jest zaopatrywane to miasto. Podobnie jak inne miejscowości. Padają bolesne słowa krytyki na brak koordynacji akcji ratowniczej. Wojewódzki Komitet Przeciwpowodziowy nie jest w stanie określić powierzchni objętej powodzią.

■ **POŁOWA** miesiąca: pierwsza optymistyczna prognoza — woda powoli zaczyna opadać. Spod wody wylania się ogromniszyszeń — padnięte zwierzęta, rozpuszczone różne chemikalia, zniszczony dobytek i wstrętne, lepkie błoto.

■ **TRZEBA** było nieszczęścia, aby okazała się wielkość ludzkiej, zwyczajnej solidarności. Od pierwszych dni kataklizmu ludzie samoorganizowali się. Zawszad zaczyna napływać pomoc dla powodziarzy, chociaż braki są duże. Brakuje wody pitnej, środków czystości, leków i najprostszych sprzętów.

■ **METROPOLITA** katowicki abp. Damian Zimoń odwiedził zniszczone przez powódź okolice

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca poprzedzającego
zamknięcie numeru

Raciborza i Wodzisławia. Kościół przeprowadził w całej archidiecezji specjalną zbiórkę na powodziarzy. Hojność wiernych była wzruszająca.

■ **LERKARZE** przestrzegają, że mieszkańcom zalanych miejscowości zagraża epidemia żółtaczki, czerwonki, duru brzuszego i salmonelli. Ostrzeżeń nigdy za wiele. Ale konieczne będą szczepienia i szeroka akcja odkażania zatopionych terenów.

■ **WSTĘPNY** szacunek strat w województwie katowickim określa się na 1,6 miliarda zł. Zatopione 10 proc. powierzchni województwa (ok. 580 km kw.), 27 odciętych miejscowości, ponad 4300 ewaku-

owanych, zniszczonych 6 mostów, zdewastowane drogi. Zniszczone gospodarstwa rolne, małe zakłady pracy, szkoły, ośrodki zdrowia.

■ **18 LIPCA** — dzień żałoby narodowej. We wszystkich kościołach odprawiane są msze w intencji ofiar powodzi.

■ **SETNE** urodziny obchodziła p. Karolina Beker z Rudy Śląskiej-Wirka.

■ **POWOLI** przywraca się łączność telefoniczną uszkodzoną przez powódź. Rysuje się coraz większy bilans strat.

■ **PREZYDENT** Aleksander Kwaśniewski wizytował Racibórz. Był w najbardziej dotkniętej kataklizmem dzielnicy Płonie i w Zakładach Elektrod Węglowych. Na usuwanie skutków powodzi będą się składać wszyscy Polacy — pocieszył powodziarzy.

■ **KOMUNIKATY** meteorologiczne znowu są groźne: synoptycy ostrzegają przed nową falą opadów. I to nie tylko u nas, ale i w Czechach. Wojewoda katowicki zaapelował do wszystkich służb komunalnych, policji i straży pożarnej o utrzymanie stanu pogotowia przeciwpowodziowego.

■ **KATOWICKI** sąd aresztował Zbigniewa M., podejrzanego o zastrzelenie w listopadzie 1994 r. dyrektora kopalni „Staszic” Mirosława Majora.

■ **PO** kolejnej fali deszczów znowu wystąpiły małe potoki i podniósł się stan wód gruntowych. Wody zalały kilkakset piwnic i niżej położonych mieszkań. Utworzyły się nowe rozlewiska.

■ **15 MILIONÓW** ZŁ otrzymało województwo katowickie na zapomogi dla powodziarzy. Już na wstępie wiadomo, że pieniądze zabraknie dla co najmniej 500 rodzin.

■ **WODA** zmyła w Rybniku część cmentarza komunalnego. Szczątki zmarłych, których groby zostały zniszczone, pochowano we wspólnej mogile. Egzekwie przy niej poprowadził metropolita katowicki abp. Damian Zimoń.

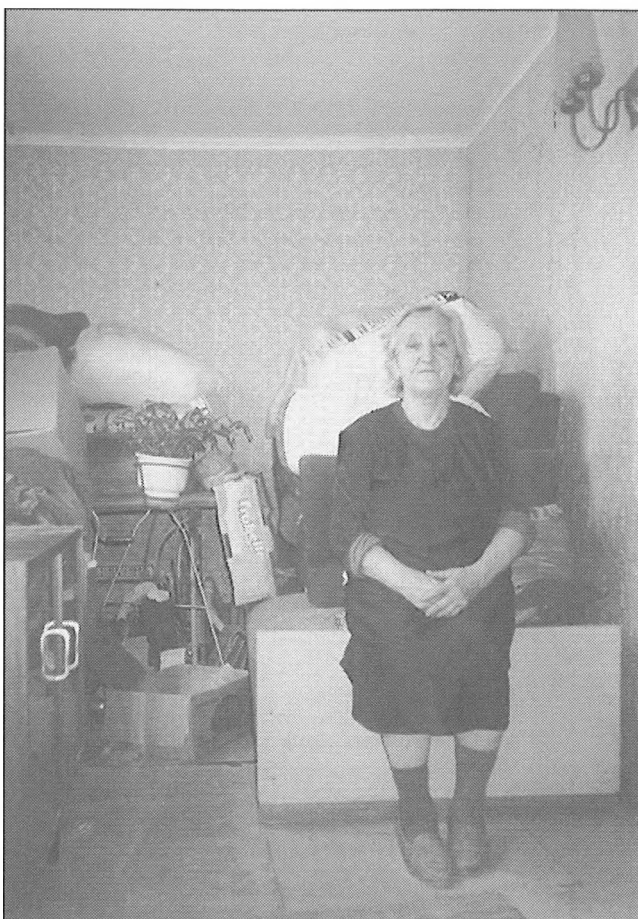
■ **WODY** powoli ustępują. Ale to, co się wylania z topieli budzi grozę. Byłe zdążyć z uporządkowaniem, by nie było epidemii. Najszybciej usunięto padnięte zwierzęta.

■ **TERENY** dotknięte powodzią zwizytował premier Włodzimierz Cimoszewicz. Zapowiedział oddanie przed zimą tysiąca domów dla powodziarzy.

■ **DUŻO** wody — klęska, brak wody — też niemniej dokuczliwy, a już trzeci tydzień 13 tysięcy mieszkańców Czeladzi nie ma wody, gdyż Sanepid zamknął jedyne ujęcie zasilające dzielnicę, gdyż ilość zanieczyszczeń wielokrotnie przekroczyła dopuszczalne normy.

■ **WOJEWODA** katowicki odwołał 30 lipca stan pogotowia przeciwpowodziowego dla województwa. Nadal jednak wypompowuje się wodę w rejonach Tychów, Wodzisławia Śl., Sosnowca, Pszczyny, Jaworzna, Rybnika i Raciborza. Wszędzie trwają generalne porządki, odkażanie terenu, dezynfekcja pomieszczeń. I oblicza się straty. Są duże, bardzo duże. Tak w masie, jak i w indywidualnych przypadkach, gdy z dnia na dzień pojedyncze rodziny utraciły dorobek całego życia.

KRONIKARZ



TOLATO ZOSTANIE ZAPISANE jako czas największej w dziejach Polski powodzi, a pamięć o potopie 1997 roku przetrwa niejedno pokolenie. Długo też ziemie te — przede wszystkim położone w dorzeczu Odry — nie otrząsną się z ogromu zniszczeń, lecz przede wszystkim ludzi. Pewnych miejsc i obiektów już nie ma, przepadły obcjęcia i udomowiony pejzaż. Toteż dziesiątki tysięcy mieszkańców tamtych stron powtarza dziś z przerażeniem: — nie mamy nic, utraciliśmy wszystko... I nie są to stwierdzenia wypowiedziane w pierwszym szoku. Wielu przed nadejściem niewyobrażalnie wielkiej topieli, która staranowała na swej drodze i porwała wszystko, uszło w ostatniej chwili nie zabierając ze sobą dosłownie nic. Toteż dziesiątki tysięcy ludzi, nie tylko spośród 150 tysięcy ewakuowanych, nie ma dokąd, ani do czego wracać. Przepadło przecież także tysiące warsztatów i miejsc pracy, zmarniały zasiewy i specjalistyczne plantacje, wyginęły zwierzęta, wiele ferm już się nie odrodzi. Szczególnie starsi ludzie nie odtworzą dorobku życia, nie podniosą się z upadku i załamania.

Statystyka bezpośrednich ofiar powodzi podaje, iż śmierć poniosło blisko 60 osób. Jednak liczba okaże się na pewno większa jeśli dodać tych, którzy targną się w desperacji na życie, co już raz po raz się zdarza. A ilu nie przeżyło dni grozy, utraciło bezpowrotnie zdrowie by wegetować do końca życia?... Wielu też nie odzyska zaufania do życia w sąsiedztwie raczej bezpiecznych dotąd, przydomowych rzek. I to nie tylko z nadodrzańskich miejscowości, choć tu bywała z wielką wodą różnie. Także górzysty Bóbr występował czasami z brzegów. Tym razem jednak niewielkie raczej rzeki ujawniły wyjątkową niszczącą moc i skupiły powszechną uwagę: Bystrzyca, Kamienna, Kwisia, Kaczawa, Słęża, Oława, Skora, Strzegomka a przede wszystkim oszalała Nysa Kłodzka. Jak w zapisach z odległych czasów, gdy w 1310 roku postąpiła w Kłodzku 2000 osób życie; jak w 1598 roku i 1783, gdy przeszła tędy najwyższa fala, która znacząca się we wnętrzu zabytkowego kościoła franciszkanów na wysokości 370 centymetrów... Teraz wraca się do historycznych zapisków w Raciborzu, Opolu, Nysie, Brzegu, Legnicy i porównuje dawne miary z tegoroczną falą — najwyższą i najpotężniejszą od wieków, jak świadcza najstarsze kroniki.

Ludzie zamieszkali na tych terenach mogli nie dawać im do końca wiary. Przecież na obszarach w dorzeczu Odry zamieszkują przybysze osiadli tu w roku 1945 i w latach następnych — ludzie w większości wypędzeni z ojczystych ziem na dawnych kresach polskich. Nie znali więc dziedzicznych opowieści o powodziach w odległych wiekach; czuli się zresztą długo mieszkańcami tymczasowymi — i dopiero ich potomkowie, tu urodzeni, uznali te ziemie ostatecznie za swoje, zakorzeniając się w każdym znaczeniu. Co jednak mieszkańcy Lwowa, Tarnopola, Krzemieńca, miast, miasteczek i ziem kresowych mogli ze sobą zabrać przed wysiedleniem i tułaczką w nieznane: właściwie tyle, ile zdolni byli unieść, w tym garść najcenniejszych pamiątek: zdjęć, dokumentów, domowych drobiazgów. Wszystko do czego tu doszli do dorobkiem pięćdziesięciu minionych lat gdy zaczęli od początku, od uznania przede wszystkim tych stron za swoje. Teraz tysiące spośród nich oraz ich potomków utraciło znow wszystko i musi rozpocząć życie od nowa, bo wielka woda porwała i zamuli-

ła wszystko co posiadli i ocalili; dobra nie do nabycia i odtworzenia. Toteż poczucie straty jest jeszcze większe i głębsza nastanie depresja po szoku.

Od ponad miesiąca nie ma nic ważniejszego — i długo nie będzie — w życiu całego kraju. Fale powodzi i wielorakich kataklizmów przeszły nie tylko przez szeroki obszar dorzecza Odry oraz liczne tereny nad Solą i w górnym biegu Wisły. Przetoczyły się również — choć nie dosłownie — przez życie nas wszystkich, co dnia wpatrzonych do późnych godzin w ekrany telewizorów, nasłuchujących radiowych komunikatów i tropiących prasowe doniesienia. Nie było ważniejszych tematów i spraw a przede wszystkim potrzeby zbiorowej udzielenia pomocy. Co dnia wstrząsające sceny z zalanych miast i zatopionych bezkresnych obszarów z wystającymi ponad wodą dachami. Niekończące się pasma obrazów klęski, rozpacz i bezsilność — ale i heroicznej walki o ocalenie obłożonych powodzią miast... Worki z piaskiem, najważniejsza i podstawowa broń, podawane

nie mógł oczywiście przewidzieć, skoro jej prawdopodobieństwo wynosiło 0,5 procenta. Zaniedbania natomiast nie tylko w stanie zabezpieczenia rzek, sprawności urządzeń hydrotechnicznych, liczby zbiorników i zapór narastały od dziesięcioleci. W latach ostatnich zmalały na dodatek polskie siły zbrojne z 430 tysięcy — do 210 tysięcy żołnierzy w służbie czynnej. Szczególnie jednak zredukowano wojska inżynieryjne, jednostki w przypadku powodzi najważniejsze. Jeśli więc w walce z powodzią uczestniczyło 45 tysięcy żołnierzy, wprowadzono do działań 300 transporterów pływających, 190 łodzi pływających, 81 samolotów i śmigłowców oraz 2400 samochodów i pojazdów specjalistycznych — to rzucono do akcji niemal wszystkie siły. Dodajmy dziesiątki tysięcy strażaków, policjantów — w sumie niemal cały potencjał, którym dysponuje państwo. Zapewne zawiodła łączność, sprawność dowodzenia, koordynacja działań służb cywilnych i wojskowych; nie okazał się także skuteczny system ostrzegania i mobilizowania jednostek terenowych.

Potwierdziło się niestety to, co oczywiste — Polska nie była, lecz w jeszcze większym stopniu nie jest przygotowana na zbiorowe zagrożenia, klęski żywiołowe i kataklizmy — poczynając od stanu bezpieczeństwa wewnętrznego i bezpieczeństwa granic.

Przez długie lata jako kraj czuliśmy się jednak bezpieczni, że względu na położenie w strefie poza trzęsieniami ziemi, totalnymi huraganami i powodziąmi na wielką skalę; bo choć zdarzały się groźne wylewy, to raczej o ograniczonym zasięgu. Kilkakrotnie w połowie lat 80. dała o sobie znać Odra pod Raciborzem, lecz czy zmieniło się potem cokolwiek i oczywiście wniósłki przetworzono w decyzje budżetowe? Rzecz przecież nie w tym co zostanie znów wyrażone w słowach, ale jaka podjęta będzie praca, by zapobiec kolejnym powodziom... względnie nieuniknionym suszom, co w jednym i drugim przypadku wymaga niezbędnych, kosztownych inwestycji. Najprościej oczywiście rozliczyć ludzi, co też pewnie jest konieczne, lecz nie zmieni to faktu, że państwo jest słabe, mało sprawne i wydolne — bo taką Polska była i długo pozostanie.

Leć po tym co się stało na olbrzymich obszarach kraju ogarniętego i sterroryzowanego powodzią, nie jest to już ta sama Polska, bo i my staliśmy się inni — ponownie pewni wiary w podstawowe wartości społeczeństwa obywatelskiego. Nikt oczywiście do końca nie oszacuje nawet strat materialnych, choć przekrocza zapewne 10 miliardów dolarów, jak sugeruje największa na świecie firma reasekuracyjna Munich Re. Niemożliwe są przede wszystkim do wyceny straty niewymierne, w tym w sferze kultury, a przepadły na zawsze liczne dobra nieodnawialne, w tym archiwalia i starodruki. Po bezpośrednich uderzeniach gigantycznej fali powodziowej nastąpią teraz reakcje pośrednie jako następstwa tamtych spustoszeń i to w każdej dziedzinie.

Przed wszystkim wielu ludzi długo nie otrząsnie się z szoku, zbiorowych lęków i psychoz oraz unicestwiającej bezradności. Lecz nie tylko mieszkańcy tamtych terenów — także państwo, jako całość, potrzebuje pomocy by mogło się okazać sprawne w okresach wielkich zagrożeń i prób. W każdym miejscu i w każdym czasie. A w tym Polaków nikt nie wyręczy. Ostatecznie — państwo to my.

Szok trwa

z rąk do rąk, by umocnić nawodnione wały co uderzenie kolejnej fali. Dlatego powiodła się heroiczna obrona Ostrowia Tumskiego z bezcennymi zabytkami... Zamienionej w fortecę niezłomnej Nowej Soli... Walka o uratowanie Słubic przez wiele dni otoczonej spiętrzonymi wodami Odry... Te relacje przykuwały uwagę jak przekazy z najważniejszych frontów — i mobilizowały do aktów bezgranicznej pomocy.

Właśnie w tych dniach zbiorowych klęsk i tragedii dała o sobie znać na niewyobrażalną dotąd skalę ofiarność polskiego społeczeństwa, które — zdawało się — już utraciło swoją wrażliwość na potrzeby ludzi dotkniętych klęską. To największa z odżytych wartości: powszechna solidarność i gotowość niesienia pomocy, często przez ludzi bardzo biednych, dzielących się przysłowiowym groszem. Odzyskały też swoją wartość rzeczy i pojęcia najprostsze: chleb, woda, światło, dom. Okazały się oto, że w latach narastającego egoizmu i chciwości oraz obojętności na sprawy innych ludzi — w dniach kataklizmu i klęski żywiołowej społeczeństwo potrafi się jednak wzniesić na wyżyny zbiorowej ofiarności i bezinteresowności: sprawdziło się w potrzebie, nie zawiodło — i opinii tej nie mogą zmienić mimo wszystko nieliczne akty grabieży, czy podłości rozmaitych hien pospolitych.

Wodzcuzi powszechnym, szczególnie w pierwszych dniach, zawiodło państwo — w prostackich politycznych porachunkach równoznaczne z rządem, jakby można stan państwa utożsamiać wyłącznie z funkcjonowaniem aktualnego gabinetu. W tych właśnie dniach — obok hien pospolitych — ze szczególną mocą zareagowały wszelakie hieny polityczne polskiego życia, dla których wielka tragedia powodzi okazała się nadzwyczajną okazją do wszczęcia kampanii oszczerstw i oskarżeń. Wyjątkowo ochoczo zareagowali dyżurni moralności i obłudni mentorzy, którzy w większości nie pojawili się ni razu w miejscach spustoszonych powodzią. A przecież nie było podstaw do złudzeń, że stan państwa jest inny — i to na każdym poziomie jego działań — poczynając od gminy.

Słabe państwo — czy tylko w okresach klęski żywiołowej? Powodzi na tę skalę nikt

Powódź w Sejmiku

Latem w działalności Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego następuje zazwyczaj przerwa, lecz tym razem powódź spowodowała starania nadzwyczajne. Niezależnie od działań poszczególnych samorządów i administracji państwowej, przewodniczący Sejmiku Janusz Frąckowiak powołał specjalny zespół Sejmiku zajmujący się koordynacją akcji pomocy, który zbierał na bieżąco informacje i występował z różnymi działaniami.

Prezydium Sejmiku, które zebrało się w końcu lipca, zwróciło się do rad gmin o przeznaczenie co najmniej 10 procent rezerwy budżetowej zaplanowanej na rok bieżący i przyszyły dla gmin dotkniętych powodzią i zaproponowało obsługę finansową tej akcji przez Stowarzyszenie Wspierania Samorządności w Katowicach. W osobnej uchwale prezydium Sejmiku wymieniło 26 gmin województwa, które ucierpiały najbardziej, by zwrócić się jednocześnie do rządu o poszerzenie podobnego wykazu rządowego o pominięte w nim gminy: Krzanowice, Nędza, Sośnicowice, Łazy i Żarnowiec, co ma swoje konsekwencje praktyczne. Prezydium Sejmiku zwróciło się ponadto do rządu, Sejmu i Senatu o nowelizację przepisów prawa budżetowego i ustawy o finansowaniu gmin w taki sposób, by gminy i sejmiki samorządowe oraz ich związki i stowarzyszenia mogły bez naruszania dyscypliny budżetowej przekazywać pomoc finansową (dotacje) na rzecz gmin dotkniętych klęską żywiołową. Wystąpiono także z propozycją nowelizacji przyznającej takim gminom podwójne udziały w podatku dochodowym od osób fizycznych w roku, w którym wystąpiła klęska żywiołowa i w roku następnym.

Do Zespołu Sejmiku napływały oferty pomocy z gmin i organizacji samorządowych z całej Polski. Dobrą wolę wykazał Sejmik Samorządowy Województwa Krakowskiego, który zadeklarował pomoc finansową dla gmin miejskich oraz miejsko-wiejskich, natomiast podobną ofertę pomocy dla gmin wiejskich zadeklarowały sejmiki samorządowe z Lublina i Warszawy. Pomoc w nawiązywaniu kontaktów z gminami niemieckimi zain-



OBSERWATOR SAMORZĄDOWY

interesowanymi niesieniem pomocy zaofiarowała Fundacja Adenauera z Warszawy.

W tej nadzwyczajnej sytuacji klęski żywiołowej pokazało się, że Polska samorządowa sprawdza się i spisuje lepiej niż scentralizowana administracja rządowa.

Segmenty w sieci

W Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach podpisano porozumienie o utworzeniu Sieci Instytucji Segmentów Lokalnych, co jest następstwem Kontraktu Regionalnego. Segmenty lokalne obejmują instytucje na terenie zazwyczaj kilku gmin województwa katowickiego, które mają do rozwiązania pewne wspólne, podobne problemy. Zadaniem tej struktury jest zintegrowanie działań, sił i środków lokalnych oraz regionalnych wokół programu rozwoju gospodarczego i przelamywania recesji. Uczestnikami segmentów lokalnych są gminy, a także banki i inne podmioty gospodarcze, a każdy z segmentów posiada również agencję inicjatyw gospodarczych, centrum szkolenia oraz inkubator przedsiębiorczości mający sprzyjać powstawaniu małych i średnich przedsiębiorstw. Powstało kilkanaście segmentów lokalnych, przykładowo do Jastrzębsko-Zorskiego Segmentu Lokalnego zgłosiły akces gminy: Czerwionka-Leszczyny, Godów, Jastrzębie Zdrój, Marklowice, Mszana, Pawłowice, Suszec, Świerklany, Zebrzydowice i Żory. Takie segmenty, nastawione na specyficzne zagadnienia rozwoju lokalnego powstały także w innych częściach województwa. A teraz

instytucje segmentów stworzyły Sieć, której koordynatorem stała się Górnśląska Agencja Rozwoju i Promocji, zapewniająca również obsługę administracyjną. Utworzenie Sieci ma służyć lepszej współpracy, wymianie informacji i koordynacji we wspólnych przedsięwzięciach instytucji segmentów lokalnych.

Sztandar św. Jacka

Jeszcze przed wakacyjną przerwą, w końcu czerwca, delegaci do Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego uchwalili ustanowienie sztandaru Sejmiku, który wkrótce towarzyszyć będzie jego obradom. Na awersie sztandaru znajduje się wizerunek herbu województwa katowickiego, natomiast na rewersie wizerunek postaci świętego Jacka Odrowąża oraz sentencja z Wojciecha Korfańskiego „Bez sprawiedliwości i prawdy nie ma ładu społecznego”, wreszcie daty 1922, 1990, 1997.

W ten sposób patron Górnego Śląska, czyli właśnie św. Jacek Odrowąż, zaliczony w poczet świętych przez papieża Klemensa VIII w 1594 roku, został także patronem Sejmiku i jego sztandaru. Pochodzący prawdopodobnie z Kamienia Śląskiego św. Jacek (urodzony gdzieś w okolicy 1200 roku, historycy nie znają dokładnej daty) wstąpił jako jeden z pierwszych do nowego zakonu dominikanów, przyjęty osobiście przez świętego Dominika w 1221 roku. Dzięki swojemu stryjowi, biskupowi krakowskiemu Iwo Odrowążowi, zdobył rozległe wykształcenie teologiczne, filozoficzne i prawnicze podczas studiów w Paryżu, Bolonii i Rzymie. Właśnie dzięki działalności św. Jacka zakon dominikanów rozprzestrzenił się tak szybko w Polsce trzynastowiecznej, a potem św. Jacek zakładał klasztory na Pomorzu i w Prusach, także w Przemyślu, Haliczu, Kijowie, a nawet w księstwie suzdalskim pod Moskwą. Niestrudzony w swej misji, podróżował po Europie z północy na południe i ze wschodu na zachód. Zmarł w 1257 roku, a jego relikwie spoczywają w kościele Świętej Trójcy w Krakowie. Jego postać łączy w naturalny sposób Górny Śląsk z Krakowem i całą Europą.

■ Już siedem lat Radzionkowskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne zabiega o odłączenie Radzionkowa od Bytomia, lecz na razie bez sukcesu, chociaż większość mniejszych gmin przyłączonych do większych w latach siedemdziesiątych zdążyła powrócić do samodzielności. Po raz kolejny wyniknęły kwestie sporne dotyczące granicy między Bytomiem i przyszłym Radzionkowem. Nic nie wskazuje, by odłączenie Radzionkowa dokonało się jeszcze w tym roku, jak to planowano.

■ Sprawą ożywienia współpracy transgranicznej między województwem katowickim i Północnymi Morawami zajęła się na lipcowym posiedzeniu

Podkomisja Współpracy z Państwami Europy Środkowo-Wschodniej Sejmiku Samorządowego pracująca pod przewodnictwem Janusza Gacmangi. Dobrze współpracuje Racibórz z Opawą, a także Cieszyn polski z Cieszynem czeskim, lecz wiele umów o współpracy pozostaje na papierze. Planowane jest podpisanie porozumienia o współpracy pomiędzy Sejmikiem Samorządowym Województwa Katowickiego oraz Związkiem Miast i Gmin Powiatu Karwina.

■ Radni mystłowicy zastanawiają się, w jaki sposób wykorzystać sławny Trójkąt Trzech Cesarzy, czyli miejsce gdzie zbiegają się Biała i Czarna Prze-

msza, a niegdyś schodziły się granice Prus, Austrii i Rosji. Na sesji Rady Miejskiej przedstawiono projekty studentów architektury Politechniki Śląskiej, a władze miasta zamyślają o powołaniu fundacji, do której zamierzają zaprosić sąsiednie miasta Sosnowiec i Jaworzno, by stworzyć w tym historycznym miejscu Centrum Jedności i Pokoju.

■ Prezydium Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego poparło inicjatywę założenia Filmoteki Śląskiej, z którą wystąpił zarząd Śląskiego Towarzystwa Filmowego. Inicjatywa Filmoteki Śląskiej uzyskała również poparcie Związku Górnśląskiego.

Taki jednoznaczny podtytuł nosi praca trójki śląskich socjologów — Adama Bartoszkę, Leszka A. Gruszczyńskiego i Marka S. Szczepańskiego — wykonana na zlecenie Urzędu Miejskiego. Książka „Miasto i mieszkanie w społecznej świadomości” jest zapisem badań, które powinny przydać się przy opracowywaniu koncepcji rozwoju stolicy województwa.

Jedna piąta badanych mieszkańców jest bardzo silnie emocjonalnie związana z miastem, nazywając go „małą ojczyzną”, „domem rodzinnym”, „kolebką Śląska”. To dobry wynik, zważywszy na powojenne migracje i niezbyt racjonalne kierunki rozwoju przestrzennego i gospodarczego, jakie forsowano w minionych dekadach. Zaledwie 5 procent katowiczanie przyjmuje życie w tym mieście jak „dopust Boży”. To także zaskakująco dobry wynik, biorąc pod uwagę liczną uciążliwość, choćby tylko komunikacyjne czy ekologiczne, jakich przecież przez długie jeszcze lata nie uda się pokonać. Chętnie jednak docieramy do centrum, które jest najbardziej ulubioną częścią miasta. Codziennie wysiłek ten podejmuje aż 35,1 proc. respondentów, choć 27 proc. tłok na ulicach i tłum ludzi uważa za element najbardziej denerwujący.

Wielce pouczające i w jakimś sensie zaskakujące są wyniki badań, odnoszące się do pożądanego kierunku rozwoju miasta, zwłaszcza gdy porównać je do stanu obecnego. Okazuje się, że mimo iż lubimy to miasto, to chcielibyśmy, aby wyraźnie zmieniło swoje oblicze. Wiadomo — większość katowiczanie zatrudnionych jest w przemyśle, niemniej życzylibyśmy sobie, aby w przyszłości relacje się zmieniły. 18,9 proc. badanych uważa, że Katowice powinny ewoluować tak, by stały się ośrodkiem kultury, zachowując jednocześnie funkcje ważnego centrum administracyjnego (17,9 proc.). Na trzecim miejscu mieszkańcy ulokowali centrum prywatnego biznesu (13,6 proc.). Kolejne miejsca zajęły: rola Katowic jako ośrodka nowoczesnych technologii (11,3 proc.), rola ośrodka nauki i edukacji (10,5 proc.), funkcja ośrodka handlowego (9,1 proc.) i centrum bankowości i finansów (7,8 proc.). Cóż, to są tylko marzenia, zaś największa grupa badanych — 23 proc. — uważa, że podstawowym ograniczeniem rozwoju miasta jest brak pieniędzy i niesprawna administracja (22 proc.).

Bardzo interesujące rezultaty przyniósł pozorowany podział środków inwestycyjnych, jakie należałoby „włożyć” w wybrane obszary miasta. Socjologowie zaproponowali 5 celów inwestycyjnych, prosząc o rozdysonowanie hipotetycznych pieniędzy. Według katowiczanie najpilniejszą potrzebą byłoby oczyszczenie Rawy (30 proc.) oraz przebudowa rynku (20 proc.). Chętnie widzielibyśmy również inwestycje w obrębie Doliny Trzech Stawów (19,5 proc.). Do-

Adam Bartoszek
Leszek A. Gruszczyński
Marek S. Szczepański



Miasto i mieszkanie w społecznej świadomości

Katowiczanie o Katowicach

strzegamy też konieczność budowy piętrowych parkingów (12,5 proc.).

Z punktu widzenia władz municypalnych — na pewno pozytywne okażą się ankiety, definiujące najważniejsze zadania, jakie zdaniem „szarych obywateli” stoją przed ojcami miasta. Najwięcej wskazań (69,3 proc.) uzyskało hasło: „troska o bezpieczeństwo mieszkańców”. Chcielibyśmy również, by Katowice były czystsze (60 proc.). Aż 55,2 proc. respondentów uważa, że władze powinny zadbać o remonty i budowę nowych dróg a także budowę i remonty mieszkań (40 proc.). Miarą zmian mentalnościowych i ustrojowych jest fakt, że tylko 3,1 proc. badanych uważa, że miasto powinno zajmować się także organizowaniem funkcjonowania handlu.

Bardzo krytycznie oceniamy układ komunikacyjny Katowic i to niezależnie od tego, czy jesteśmy czy też nie kierowcami prywatnych samochodów (wykształcenie też o niczym tu nie decyduje). Gdy idzie jednak o sposoby rozwiązania tego problemu, nie jesteśmy zgodni. Zdaniem 43 proc. badanych potrzebne jest przeprowadzenie w Katowicach nowych dróg przelotowych przebiegających przez miasto, lecz

jednocześnie aż 50 proc. zapytanych sprzeciwia się takiej propozycji. Nic więc dziwnego, że aż 51 proc. mieszkańców to przeciwnicy przeprowadzenia autostrady przez tereny Katowic, natomiast akceptujących takie rozwiązanie jest 38,5 proc. Bardziej jednak szczegółowe pytania, uwzględniające chociażby konkretne miejsce zamieszkania, nie pozwalają wysnuć wniosku, że katowiczanie zdecydowanie odrzucają propozycję przebiegu autostrady przez miasto. Mieszkańcom — sugerują śląscy socjologowie — przede wszystkim „brakuje konkretnych danych o kierunku i charakterze szerszych, obejmujących przestrzeń całego miasta, proponowanych zmian, wynikających z tej inwestycji”.

Wiele szczegółowych badań pokazuje, że katowiczanie nie stanowią jednolitej, tak samo myślącej „masy”. Nie tylko w sprawach komunikacyjnych uwagę zwraca ambiwalentność postaw i poglądów, a także silne zróżnicowanie społeczne. Wniosek nasuwa się sam — niełatwo tym miastem rządzić, niełatwo przeprowadzać zmiany strukturalne, gdyż częściej niż gdzie indziej można narazić się na krytykę i niezadowolone mieszkańców.

Cóż, katowiczanie potrafią jednak być samokrytyczni. Polowa twierdzi, że sami są mało aktywni — lub — tak odpowiedziało 20 proc. respondentów — w ogóle nie są aktywni. Podobny wynik przynosi ocena aktywności współobywateli. Żądamy więc głębokich zmian, lecz — chciałoby się zapytać — kto je ma przeprowadzić? Czy tylko sama administracja miejska, tak surowo przez katowiczanie osądzana?

KRZYSZTOF KARWAT



Katowice krajowym centrum finansów, nowoczesnej wytwórczości i usług oraz kultury i nauki

Wizje i programy

WIESŁAWA
KONOPELSKA

Rok 2000 stał się magiczną datą. Od wielu lat snuje się różnorodne wizje dotyczące wyglądu miasta w momencie wejścia w XXI wiek. Czas, by któreś z nich zaczęły przybierać realne kształty. W 1996 r. rozstrzygnięty został ogłoszony przez Radę Miasta konkurs na nowoczesną wizję Rynku, co zarazem związane było z określeniem funkcji, jakie powinien pełnić dla mieszkańców Katowic. Jak się okazało, wszystkim nam najbardziej brakuje spokoju, zieleni, swobody poruszania, przyjaznych kafejek i miejsc ciszy. Od tego czasu minęło kilkanaście miesięcy. Znowu rozgorzały dyskusje kiedy to Jan Sawka zaproponował w Rynku przezroczystą ścianę w kształcie litery L. Pomysł - jako mało realny - upadł. Tymczasem coraz to słychać o firmach - rodzimych i zagranicznych - wkraczających do centrum Katowic z projektami budowy właśnie tu nowoczesnych obiektów o charakterze usługowym, administracyjnym, handlowym. Zatem jak za kilka lat będzie wyglądało miasto, które dotąd było metropolią przemysłowego Śląska? W jakim mieście przyjdzie żyć najmłodszym pokoleniom?

Ambicje a rzeczywistość

Katowiczanie chcą - według wyników analiz socjologicznych - by

było to miasto kultury i nauki. Na dalszy plan schodzą, w świadomości mieszkańców, takie funkcje miasta, które wiążą się z jego udziałem w międzynarodowej wymianie towarów i usług oraz bankowo-finansową i prawną obsługą tej wymiany, mimo, że właśnie takie tradycje leżą u podłoża rozwoju Katowic. Nie w pełni doceniana jest też kreatywna rola centrum administracyjnego regionu, jaką pełnią Katowice będąc jego stolicą. Jednakże, aby zaspokoić ambicje mieszkańców, potrzebne są niemałe pieniądze. Wszak kultura i nauka to dziedziny finansowane z budżetu miasta i państwa. Trzeba więc najpierw przygotować grunt, czyli przyciągnąć inwestorów, a wraz z nimi to co najbardziej niezbędne dla rozwoju miasta - pieniądze. Ponadto w nowej sytuacji gospodarczej i ekonomicznej, kiedy następuje stopniowa likwidacja tradycyjnych kierunków przemysłowych - górnictwa i hutnictwa, zmienia się struktura zatrudnienia, pozostają jednak obciążenia, których nie da się usunąć z dnia na dzień. Fakt eksploatacji terenu miasta przez kilka kopalń nie uatrakcyjnia go wobec potencjalnych inwestorów. Pozostaje problem tworzenia nowych miejsc pracy, a te najtrudniej uzyskać w kulturze i nauce. Jeśli Katowice mają w niedalekiej

przyszłości zyskać na znaczeniu, trzeba wziąć pod uwagę czynniki, które w świecie determinują rozwój miasta, wyznaczając mu funkcje metropolii europejskiej. Musi zatem spełniać funkcje centrum politycznego, centrum ekonomicznego lub finansowego, centrum kulturalnego lub naukowego oraz węzła komunikacyjnego o znaczeniu międzynarodowym. Analizując je można dojść do następujących wniosków: w wymiarze politycznym są i będą stolicą regionu, w wymiarze kulturalnym i naukowym mają niebagatelnych konkurentów w postaci niedalekiego Krakowa ale też Gliwic. Największą szansę uzyskania liczącej się w kraju i Europie rangi można upatrywać przede wszystkim w rozwoju funkcji centrum finansowego oraz węzła komunikacji międzynarodowej.

Pierwszeństwo dla biznesu i finansów

Taki punkt widzenia rozwoju Katowic został zawarty w „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego” sporządzonym przez Zarząd Miasta Katowice. Cel główny rozwoju - przyjęty na podstawie analiz i badań oraz konsultacji i dyskusji przez Radę Miejską w dniu 3 czerwca 1996 r. - został określony następująco: Katowice krajowym centrum finansów, nowoczesnej wytwórczości i usług oraz kultury i nauki. Fakt ten tak skomentował wiceprezydent miasta Marek Tomaszewski: - *Zmienia się myślenie o polityce przestrzennej miasta, która jest wypadkową zarówno sytuacji politycznej, ustrojowej jak i faktu, że miastem rządzi samorząd mieszkańców. Jest również wypadkową sytuacji gospodarczej, skomplikowanej sytuacji rynko-*

wej, która czasem przybiera formy trudne do zaakceptowania. Miasto jest splotem interesów publicznych. „Studium” miało za zadanie określić cele rozwoju miasta, które musi urealniać ambicje mieszkańców a jednocześnie dążyć do bycia krajowym centrum finansów, nowoczesnej wytwórczości, także nauki i kultury. Nie można pod uwagę brać wyłącznie centrum miasta, choć to zdecydowanie najistotniejsza część, bowiem swoją rolę do spełnienia mają dzielnice, które przestają być wyłącznie sypialniami dla osób zatrudnionych w tradycyjnych gałęziach gospodarki. One zaczęły już być własnym życiem. W Katowicach nie mamy wielu własnych mocnych inwestorów, dlatego musimy ich poszukać gdzie indziej. Rada Miejska i Zarząd Miasta mają wpływ na kształtowanie wszystkich obszarów - od rynku począwszy a skończywszy na terenach najbardziej oddalonych od centrum. Należy dążyć do intensyfikacji zabudowy centrum, wykorzystać luki żeby powstał zwarty organizm. Dlatego też opłacalna musi stać się komunikacja miejska, która również ulegać będzie istotnym zmianom. Miasto musi być ekspansywne. Dlatego ogłaszamy przetargi, tworzymy warunki zabudowy i ustalamy gabaryty. Sądzę, że nawet najbardziej odważny projekt architektoniczny, mający swój styl, powinien mieć rację bytu. W końcu to rozmaitość zabudowy tworzy historię architektury miasta, i nie należy się na nią obrażać. Staramy się jednak mieć kontakt z projektantami poszczególnych obiektów. Znakomitym przykładem z pewnością jest gmach nowej Biblioteki Śląskiej czy - nagrodzony w minionym roku - obiekt Banku Handlowego. Te, które dopiero znajdują się w projektach lub na makietach z pewnością nie przyniosą wstydu naszemu miastu. Po uchwaleniu Studium chciałbym, aby jak najszybciej rozpoczęły się prace nad uruchomieniem działalności Agencji Rozwoju Miasta. Nie możemy czekać aż ktoś złoży nam ofertę. Musimy być pierwsi. Urząd Miasta nastawiony jest na obsługę mieszkańców. Agencja winna zachwalać miasto potencjalnym inwestorom.

Wiele emocji budzą wśród mieszkańców Katowic pojawiające się informacje o powstawaniu nowych wielofunkcyjnych gigantów, które za niedługo zaczną wypełniać luki w przestrzeni miasta. Wkrótce na placach, które przeważnie były miejscami parkingowymi pojawiają się wielkie budowle. U zbiegu ulic Sokolskiej i Chorzowskiej wyrośnie centrum administracyjne Banku Śląskiego (pow. 22 158 m kw.), ulicę Młyńską wypełni biurowiec AGIB Euroinvestu, przy ulicy Piastowskiej na tyłach hotelu „Katowice” wznosić się będzie Centrum Biznesu. W kompleksie tym będzie miejsce dla pasażu handlowego, dwupoziomowe parkingi, multikino z dziewięcioma salami projekcyjnymi, lokale gastronomiczne, bary, restaura-

cje, kawiarenki. Najwyższe kondygnacje zajmą biura wynajmowane przez znaczące firmy o międzynarodowej renomie. Biurowiec zajmie powierzchnię 8 189 m kw. Ponadto za „Spodkiem” powstanie również obiekt biznesowo - handlowo-rozrywkowy. Jest jeszcze miejsce przy ulicy Sokolskiej za Superjednostką, na planowaną budowę Katowickiego Centrum Biznesu. Z tego kompleksu na razie został zrealizowany Bank Handlowy. Będzie to niska zabudowa nie kolidująca z otoczeniem. Poza centrum pojawią się nowoczesne stacje benzynowe oferujące usługi handlowe i gastronomiczne (np. w rejonie ul. Mikołowskiej), wielopoziomowe garaże (przy ul. Radockiego i gen. Sowińskiego), duże obiekty handlowo-usługowo-rekreacyjne (przy ul. Szybocowej, w rejonie ulic Pułaskiego, Granicznej i Alei Górnośląskiej). Firma Ben-Met z Katowic wykupiła teren (9 352 m kw.) pod budownictwo mieszkaniowe. W sumie zabudowanych zostanie ponad 290 tys. metrów kwadratowych powierzchni miasta.

Obszary rewitalizacji i modernizacji struktury

1. Śródmieście północ - część wschodnia
2. Bogucice i rejon KWK „Katowice”
3. Koszutka-Dąb
4. Śródmieście zachód
5. Osiedle Paderewskiego
6. Podlesie-Kostuchna

Dla zapewnienia pomyślnej realizacji określonych powyżej celów, należy stworzyć dogodne warunki. Część z nich dotyczy nie tylko miasta, lecz całej Aglomeracji Katowickiej. Jest to m.in. realizacja autostrady A-4, zwiększająca dostępność do Aglomeracji i Katowic, realizacja drogowej trasy średnicowej, wysoka gęstość sieci kolejowej normalnotorowej, trwale zainwestowanie o różnorodnych funkcjach zajmujące ok. 70 proc. całej powierzchni terenów zainwestowanych, trwale urządzenia infrastruktury technicznej oraz rezerwy w istniejących systemach centralnego ogrzewania, zaopatrzenia w wodę, gaz i energię elektryczną. Istnieje możliwość rozbudowy systemu telekomunikacyjnego, wolne tereny w śródmieściu przydatne dla różnorodnych inwestycji, sprzyjająca rozwojowi zabudowy rzeźba terenu, duży udział zbiorowisk leśnych (ok. 40 proc. całego miasta), około 134 ha o funkcji przyrodniczej objętych ochroną prawną, postępująca likwidacja szczególnie uciążliwych źródeł emisji. Niebagatelną rolę odgrywa także znaczny udział przedsiębiorstw działających w branżach średniego ryzyka inwestycyjnego a także liczba ludności oraz wysoki ogólny poziom zamożności mieszkańców i niskie bezrobocie, czyniące z miasta i regionu atrakcyjny rynek dla potencjalnych

producentów, usługodawców oraz instytucji finansowych.

Obszary objęte ochroną konserwatorską

1. Śródmieście południe
2. Dąbrówka Mała
3. Giszowiec
4. Murcki
5. Piotrowice
6. Ligota

Z kolei realizację celów utrudniają m.in.: utrzymujący się w powszechnej opinii mało atrakcyjny wizerunek regionu katowickiego, niższy niż w innych dużych miastach Polski odsetek mieszkańców z wyższym wykształceniem, brak ostatecznych decyzji w sprawie przebiegu autostrady A 1, a także magistrali kolejowej E-30, obowiązujący stan prawny dotyczący finansowania różnych sektorów transportu pasażerskiego, niedostosowany do warunków obszaru aglomeracji złożonej z 19 miast-gmin, niski poziom organizacji i urzędzenia miejskiej przestrzeni publicznej w centrum (nadmiar kolizji ruchu samochodowego z ruchem pieszym), poeksploatacyjne osiadczenie terenów (w 1995 r. ok. 31 proc. miasta), usytuowanie górnictwa węglowego poza regulami gospodarki rynkowej, przewaga przedsiębiorstw własności państwowej, zanieczyszczenie gleb metalami ciężkimi wykluczające uprawy konsumpcyjne w północnej części miasta, trudności z uregulowaniem praw własności gruntów. To tylko nieliczne z uwarunkowań pozytywnych i negatywnych wpływających na realizację kierunków zagospodarowania przestrzennego miasta.

Planowane ośrodki usługowe

Wełnowiec, Osiedle Witosa, Stara Ligota, Ligota, Brynów, Szopienice, Giszowiec, Panewniki, Zawodzie, Osiedle Tysiąclecia.

Nowoczesne Katowice to nie tylko nowe miejsca pracy, nowoczesne obiekty architektoniczne, to także miejsce zamieszkania i wypoczynku mieszkańców. Dlatego tak ważna jest przebudowa rynku ze zmianą organizacji ruchu tramwajów włącznie (estetykę i funkcjonalność poprawi z pewnością modernizacja linii tramwajowej 6 i 41 realizowana przy współpracy z firmą Siemens - niskopodłogowe wagony zapewnią większy komfort jazdy). - *Na razie rozpoczęliśmy modernizację i remont teatru i jego otoczenia* - mówi Marek Tomaszewski. *Chcę, aby jak najszybciej zrealizować - oczywiście z pewnymi poprawkami - konkursowy projekt przebudowy rynku. Najpierw chcemy „oprawić” teatr i plac wokół niego. Ukierunkujemy również przetargi na lokale, w których powinna być prowadzona dzia-*

Priorytetowe inwestycje

■ **Transport:** kontynuacja budowy autostrady A4 oraz Drogowej Trasy Średnicowej (DTŚ), przebudowa ulicy Bocheńskiego pomiędzy Gliwicką a Kochłowską, budowa nowego dworca autobusowego, budowa parkingów wielopoziomowych, budowa al. Bohaterów Monte Cassino, budowa bezkolizyjnego skrzyżowania między Nowowrocławską i Leopolda oraz Armii Krajowej z torami PKP w Piotrowicach, modernizacja linii tramwajowej Brynów-Bytom (linia 6 i 41), budowa ul. Stęślickiego, Nowogranicznej i Nowobrynowskiej.

■ **Infrastruktura techniczna:** budowa nowego składowiska odpadów przy ul. Żwirowej, rewitalizacja Rawy, likwidacja niskiej emisji w Śródmieściu, modernizacja czterech stacji uzdatniania wody, budowa nowych chlorowni, przebudowa sieci 6 kW w Śródmieściu na 20 kW, kontynuacja sieci kanalizacyjnej w zlewni oczyszczalni „Podlesie”.

■ **Infrastruktura społeczna:** Modernizacja szpitali miejskich i placówek zdrowia zarządzanych przez miasto, budowa kampusu wyższych uczelni, budowa brakujących pięciu szkół podstawowych, budowa brakujących obiektów sportowych przy szkołach, budowa wielofunkcyjnego Centrum Kultury, przejęcie Pałacu Młodzieży i przywrócenie sali teatralnej.

■ **Ekologia:** ukształtowanie bulwarów i zazielenienie terenów w ciągu pieszym nad Rawą oraz ścieżek rowerowych wzdłuż nieczynnej kolejki Wełnowiec-Koszutka oraz nad Kłodnicą i Ślepiotką. Ochrona prawna terenów „Stawy na Tysiącleciu”, „Źródło Marty” w Kostuchnie, zespołu przyrodniczo-krajobrazowego „Stawy Szopienickie”, mikołowsko-katowickiego obszaru krajobrazu chronionego, urządzanie osiedlowych parków rekreacyjno-sportowych.

■ **Krajobraz miasta:** Zachowanie i ochrona zespołów zabytkowej zabudowy kopalni „Katowice”, „Wieczorek” oraz zmiana funkcji szybu „Alfred” kopalni „Polska”, wykorzystanie wieży ciśnień w Szopienicach jako punktu widokowego stanowiącego o tożsamości miejsca.

Obszary strategiczne Katowic

„**CENTRUM**”. Wyznaczone ulicami: Sokolską, Chorzowską, Roździeńskiego, Bankową, Francuską, linia kolejową PKP. Jego strategiczne znaczenie wynika z sąsiedztwa Urzędu Miasta, dworca głównego PKP, „Spodka” oraz pełnionej już roli tradycyjnego centrum miasta. Obszar jest jednym z najbardziej atrakcyjnych miejsc spacerów, kontaktów towarzyskich, usług kultury i handlu. Rozszerzenie funkcji komercyjnej, tworzenie wewnętrznych pasażów pieszych o charakterze usługowym, likwidacja niskiej emisji, przebudowa osi Rynku i alei Korfantego, przebudowa placu Dworcowego, utworzenie osi parkowo-rekreacyjnej wokół otoczenia rzeki Rawy, ochrona i rewitalizacja historycznej struktury przestrzennej.

„**ALEJA GÓRNOŚLĄSKA**”. Tereny po obu stronach autostrady A4 od węzła murckowskiego do Ronda Mikołowskiego. Pełnić będzie funkcje charakterystyczne dla wielkomiejskich śródmieść stanowiące „wizytówkę” miasta widzianą z autostrady, w tym: supermarket, inkubator przedsiębiorczości, hotel i centrum kongresowe i inne.

„**ZAŁĘSKA HAŁDA**”. Od północy ograniczony linią PKP, od zachodu osiedlem Witosza, od południa lasami i linią kolejową do Zebrzydowic. Obszar atrakcyjny ze względu na sąsiedztwo przyszłej autostrady A4 oraz dostępność do przystanków kolejowych Katowice-Załęże i Katowice-Brynów. Jest to miejsce przedstawicielstw krajowego i międzynarodowego biznesu, targów międzynarodowych, centrów handlowych, hoteli, obiektów kultury.

„**SZOPIENICE**”. Położony między Brynicą a osiedlem F. Rybki. Atrakcyjny ze względów krajobrazowych, dostępności komunikacyjnej oraz sąsiedztwa terenów sportowych i rekreacyjnych w Sosnowcu i Mysłowicach. Proponowana lokalizacja wyższych uczelni, parków technologicznych, zabudowy mieszkaniowej i usługowej dla kadry dydaktyczno-naukowej i studentów oraz terenów sportu i rekreacji (Park Sąsiedzki). W zakresie ochrony struktury historycznej wykorzystanie zabytkowej wieży wodociągowej jako punktu widokowego oraz wyznacznika tożsamości miejsca.

„**JANÓW-NIKISZOWIEC**”. Atrakcyjna zabudowa mieszkaniowa, sąsiedztwo kompleksów leśnych, dobra dostępność komunikacyjna. Obszar dla zorganizowanej zabudowy mieszkaniowej o wysokim standardzie i komercyjnym charakterze. W sąsiedztwie proponowany Ogród Botaniczny. W ramach ochrony dóbr kultury zachowanie zabytkowych szybów „Wilson” i „Pułaski” kopalni Wieczorek z dopuszczeniem przekształceń w granicach nie zacierających pierwotnego charakteru obiektów.

„**ZAŁĘŻE 2000**”. Obszar kompleksowej rewitalizacji. Pomiedzy rzeką Rawą a torami PKP, ograniczony od zachodu granicą miasta, od wschodu projektowaną ulicą Nowostęślickiego. Ochrona substancji historycznej przed niedopuszczeniem do degradacji wartości historycznych, dopuszczenie modernizacji, rozbudowy i nadbudowy istniejącej zabudowy, rekompozycja wnętrza urbanistycznych. Rewitalizacja doliny Rawy, budowa ulicy Stęślickiego, modernizacja Gliwickiej, przełożenie linii tramwajowej na nowe torowisko wzdłuż DTŚ od skrzyżowania ul. Brackiej-Gliwickiej do Chorzowa, kontynuacja budowy DTŚ od węzła Roździeńskiego.



Foto: Roman Kucia

„**PARK PRZEMYSŁU**”. Potencjalny obszar strategiczny na terenach Katowic i Siemianowic Śląskich, gdzie na mocy porozumienia obu gmin powstać może centrum nowoczesnej wytwórczości. Zagospodarowanie obszaru zdegradowanych terenów poprzemysłowych oraz składowiska odpadów hutniczych i komunalnych. Utworzenie punktu widokowego na hałdzie „Silesia”.

talność gastronomiczna. U nas ciągle brakowało przytulnych kawiarenek, choć sytuacja w ciągu ostatniego czasu już się poprawiła. Trzeba jednak pamiętać, że z lokali a także wszelkich dóbr kultury korzystają ludzie, którzy dysponują środkami przeznaczonymi na takie cele, mają potrzebę być odbiorcami kultury - a więc mówimy o podniesieniu poziomu wykształcenia oraz napływie gotówki do kieszeni naszych mieszkańców, a także o stworzeniu atrakcyjnych miejsc dla przybyszy złatwiających tu swe interesy handlowe, finansowe i inne.

Decyduje komunikacja

Jasno określony cel pozwolił na sprecyzowanie zasadniczych kierunków zagospodarowania przestrzennego miasta. Określono cztery zasadnicze kierunki związane w znacznej mierze z jakościowymi zmianami w strukturze przestrzennej. Pierwszy to ukształtowanie sprawnego układu komunikacyjnego miasta dla ruchu ponadlokalnego i głównego miejskiego oraz dla przemieszczania towarów pomiędzy różnymi rodzajami sieci transportu, drugi - ukształtowanie ekologicznego systemu obszarów chronionych (ESOCh), trzeci - intensyfikacja rozwoju północnej części miasta (od linii rzeki Kłodnicy, stacji PKP na Muchowcu i linii węglowej w Giszowcu na północ), i czwarty - umiarkowany rozwój i przekształcenia w południowej części miasta. Co kryje się za tymi ogólnikowo brzmiącymi sformułowaniami? To wizja Katowic, którą sobie trudno dziś wyobrazić. Co innego nowy biurowiec na wolnym placu w śródmieściu, bank, stacja benzynowa, obiekt handlowo-usługowy, a co innego ośrodki sportów zimowych na hałdach, dojazd do Giszowca czy Podlesia tramwajem czy studenckie miasteczko w Szopienicach. Czy realna jest wizja czystej Rawy, z zielonymi bulwarami? Obrazek jak z filmu science fiction...A może to tylko kwestia kilku czy kilkunastu lat?!...

Jak wynika z analiz autorów "Studium" najważniejsze są przeobrażenia w dziedzinie powiązań drogowych: zewnętrznych związanych m.in. z realizacją powiązań autostradą A4 wzdłuż Alei Górnośląskiej i ul. Kochłowskiej, budową ul. Bocheńskiego wraz z przedłużeniem w kierunku południowym do drogi krajowej Katowice-Wisła, budową połączenia Katowice z lotniskiem w Pyrzowicach, usytuowanego na przedłużeniu ul. Bocheńskiego, międzydzielnicowych z pominięciem centrum, realizację zewnętrznych powiązań kolejowych, modernizację i przystosowanie istniejącej sieci PKP i kolei przemysłowych dla potrzeb transportu aglomeracyjnego i lokalnego miejskiego, rozbudowę i modernizację tras tramwajowych (m.in. budowa nowych tras tramwajowych związanych z ulicami Roździeńskiego od Ronda w kierunku Bogucice, Nowej Damrota i Stęślickiego oraz obsługa

tramwajowa dzielnic Ligota, Piotrowice, Bogucice, Giszowiec i Janów), rozwój infrastruktury transportu pasażerskiego (m.in. budowa dworca autobusowego zintegrowanego funkcjonalnie z dworcem PKP - ul. Sądowa-Nowa Stęślickiego, budowa parkingów w Śródmieściu), utworzenie tras turystyki kołowej po terenach obrazujących historię miasta oraz jego walory.

Kolejna sprawa to ukształtowanie ekologicznego systemu obszarów chronionych. Tworzą go kompleksy lasów murckowskich i panewnickich, dolina rzeki Brynicy wraz z jej łakami i bogactwem pinctwa wodno-błotnego (Pojezierze Szopienickie), dolina rzeki Mlecznej i jej dopływy a także obszary parkowe.

Intensyfikacja obszarów położonych w północnej części miasta obejmuje zarówno ochronę istniejących wartościowych zasobów środowiska kulturowego jak i działania zmierzające do poprawy estetycznych i użytkowych przestrzeni miejskiej oraz rewitalizację i rekompozycję zasobów zdegradowanych. Działania podejmowane w tym zakresie obejmą przede wszystkim ukształtowanie ścisłego centrum w ramach ulic Sokolskiej, Chorzowskiej, Roździeńskiego, Bankowej i Francuskiej oraz linii kolejowej PKP jako publicznej przestrzeni o charakterze metropolitalnym, wyróżniającą się dominacją ruchu pieszego, lokalizacją usług i instytucji o unikatowym znaczeniu oraz sposobem zagospodarowania spełniającym najwyższe kryteria ładunku przestrzennego w sferze kompozycji architektonicznej, nastroju wnętrza ulic i placów, a także jakości zastosowanych materiałów. Z kolei śródmieście wyróżniać będzie preferencja dla ruchu pieszego i rowerowego, ograniczoną dostępnością dla samochodów, duża ilość parkingów wielopoziomowych. Po wschodniej stronie parku Kościuszki powstanie dzielnica międzynarodowych instytucji publicznych, z kolei w Szopienicach pomiędzy rzeką Brynicą a osiedlem

Zespoły przyrodniczo-krajobrazowe

Park Sąsiedzki (Stawy Szopienickie), uniwersytecki Ogród Botaniczny (Janów-Szopienice) na bazie istniejących tu siedlisk, Zarzecze - tereny rolne, hałda KWK „Murcki”.

Morawa i Starymi Szopienicami usytuowany będzie kampus wyższych uczelni. Będzie on obok kampusu Akademii Medycznej w Ligocie największym skupiskiem wyższych uczelni, instytutów i centrów badawczych, domów mieszkalnych, terenów rekreacyjnych, parków technologicznych. Jako szczególnie atrakcyjny dla przedstawicielstw krajowego i międzynarodowego biznesu, targów międzynarodowych, centrów handlowych, hoteli, banków itp. po-

winien jawnie się obszar Centrum Komercyjnego „Załęska Hałda”. Zorganizowana zabudowa mieszkaniowa oraz usługi i nowoczesna wytwórczość powinny być skomasowane na terenie Nikiszowca i Janowa, z kolei Park Przemysłu na terenach przygranicznych Katowic i Siemianowic Śl. Rewitalizowany jest zespół mieszkalny zabudowy zabytkowej ujęty programem „Załęże 2000”.

Rozwój południowej części miasta powinien zostać nakierowany na rozwój mieszkalnictwa i usług, obsługę techniczną miasta, rekreację, powstanie nowych lub rozbudowę centrów usługowych w dzielnicach Ligota, Panewniki, Giszowiec, Zarzecze, Kostuchna, Podlesie, Piotrowice. W tym rejonie miasta powinna zostać rozwinięta rekreacja, tereny sportowe, rolnictwo (w tym ogrody działkowe), nie kolidujące z systemem ESOCh.

Nowe oblicze miasta

Wszelkie przeobrażenia wymagają niebagatelnych nakładów finansowych. Zdaniem autorów "Studium" podstawową grupą inwestycji są przedsięwzięcia komunikacyjne, które na przestrzeni najbliższych 10 lat będą pochłaniały ok. 40 proc. wszystkich środków na inwestycje wydatkowane w obszarze Katowic. Drugą grupą inwestycji o wysokiej kapitałochłonności są usługi publiczne (uczelnie, obiekty zdrowia, oświata i kultura) oraz rewitalizacja zespołów zabytkowych - pochłoną około 10 proc. wszystkich środków inwestycyjnych (rządowych i samorządowych). Trzecią grupą inwestycji jest infrastruktura techniczna.

Pomyślność wszystkich działań uzależniona jest od szeregu przedsięwzięć organizacyjnych, wspomagających realizację zadań zawartych w "Studium". Jako że Katowice są częścią większej całości, dlatego niezbędne jest nawiązanie sąsiedzkich porozumień komunalnych z okolicznymi miastami, powołanie agencji lub spółek, które zajmą się zagospodarowaniem poszczególnych obszarów strategicznych odpowiedzialnych za promocję danego obszaru i koordynację jego zagospodarowania. Nade wszystko ważne jest uzyskanie gwarancji zaniechania wydobycia węgla pod obszarami strategicznymi oraz głównymi ciągami komunikacyjnymi.

Przeobrażenie wizerunku Katowic budowanego przez dziesiątki lat jako stolicy Czarnej Śląska obliczone jest na wiele lat. Niełatwo jest wprowadzić zmiany fizyczne do krajobrazu miasta, ale najtrudniej zmienić zakorzenioną przez pokolenia mentalność mieszkańców i tendencyjne postrzeganie miasta i regionu przez resztę kraju, traktowanie go jako reliktu minionej epoki. Choć tak wiele zostało już zrobione nie zawsze jeszcze widać to z centrum kraju czy niedalekiej przecież zagranicy.

Czy miasto bezpieczne?



Rozmowa z komendantem Komendy Rejonowej Policji, młodszym inspektorem — **JÓZEFEM KRASUCKIM**

— Jedną z najbardziej bezpardonowych zabaw naszego dzieciństwa była gra — w policjantów i złodziei. Zawsze decydowały szybkość, spryt i sprostregawczość. Z karami było różnie — to zależało od fantazji graczy. Jesteśmy już od dawna dorośli, a dwa światy — policjantów i po przeciwnej stronie — świat przestępczy, nie są, niestety, zabawą. — Coraz częściej telewizja i prasa epatują nas mrozącymi krew w żyłach obrazami zbrodni, bezsensownych, przynoszących znaczne szkody — nie tylko materialne, awantur między kibicami... wszystko to budzi w nas poczucie lęku i zagrożenia...

— Musimy sobie powiedzieć jedną, bardzo ważną rzecz — w ciągu 25 lat ilość przestępstw wzrosła w Katowicach o 25 proc. Takie są fakty. Możemy mieć wątpliwości, czy prowadzone statystyki odzwierciedlały precyzyjnie ilość przestępstw i ich narastanie — ale, opierając się na danych, którymi dysponuje, wygląda to tak: z 4.000 przestępstw rocznie ilość ta wzrosła do 10.000. W ostatnim okresie, to znaczy od 1990 roku do roku ubiegłego, wahnienia w ilości stwierdzonych przestępstw są niewielkie — jak już powiedziałem — niewiele ponad, albo poniżej 10.000. Natomiast w porównaniu z latami ubiegłymi, skuteczność wykrycia sprawców znacznie spada; z poziomu 70-80 proc do 45-50 proc. Uważam, biorąc pod uwagę garnizon katowicki, że jest to ilość w granicach możliwości.

— Warszawa legitymuje się cyframi rządu 33 proc. tak zwanej wykrywalności, uważając to za sukces. Zresztą nie w statystykach rzecz...

— Istotnie. Oczekiwanie społeczeństwa pod naszym adresem to szybkość reagowania. Dodałbym — i jakość tej reakcji. To są dwa najważniejsze czynniki, które decydują czy miasto jest, czy też nie jest bezpieczne. Inna rzecz, czy w każdym przypadku naruszenia prawa mamy do czynienia z przestępstwem — czy też z zachowaniami, które są naruszeniem prawa, a niekoniecznie są przestępstwem — lecz wykroczeniem, których w Katowicach jest niemało. Przykład? Nakładamy rocznie około 40.000 mandatów. Jeżeli kierujemy do Kolegiów 6.000 wniosków — to na gruncie prawa jest to kolejna ilość wykroczeń... Faktem jednak jest, że zachowania, które są naruszeniem przepisów karno-administracyjnych, w znacznym stopniu wpływają na poczucie bezpieczeństwa katowiczana.

— Niepokojąca jest, przynajmniej pan, statystyka ostatnich lat. Co jest przyczyną takiej eksplozji? Czy lata 1989-1990 są cezurą?

— Nie. Przyczyny należy szukać w gwałtownym rozwoju urbanizacyjnym miasta. Katowice, od powojna, stawały się bardzo szybko metropolią. Przybyło dzielnic, przybyło dużych osiedli, miasto wchłonęło wioski i osady z obrzeży. W sposób naturalny, choć w skutkach negatywny, ustały oczywiste więzi środowiskowe — Katowice stały się skupiskiem anonimowych mieszkańców. Druga przyczyna — to ogromna ilość podmiotów gospodarczych; aż 40.000 — w tym ponad 1.000 dużych zakładów produkcyjnych, ponad 1.000 hurtowni — tu rzeczywiście nastąpił wzrost po roku 1990 — tak więc Katowice dla Śląska, i nie tylko, stały się centrum gospodarczo-handlowym...

— A więc nie tylko ogromne skupisko ludzi, ale i węzeł gospodarczy...

— ...w którym łatwo jest funkcjonować ludziom, którzy nie szanują prawa. To również węzeł komunikacyjny — drogowy, kolejowy, tramwajowy. Katowice to 360.000 mieszkańców na obszarze 167 kilometrów kwadratowych — jak wynika ze statystyk prowadzonych przez Radę Miasta, przez centrum Katowic, a więc rejon dworca i najbliższą okolicę, w skali dnia przechodzi około 500.000 ludzi! Proszę również pamiętać, że Katowice są ośrodkami władzy wojewódzkiej — a więc jest rzeczą naturalną, że przyciągają ogrom interesantów...

— ...i świat przestępczy.

— Musimy również być świadomi, że Katowice — a wynika to zarówno ze struktur gospodarczych, jak i funkcjonowania władzy wojew-

wódzkiej — państwowej i samorządowej, są miastem zasobnym. Na naszym terenie nie mamy przypadków drastycznych krachów gospodarczych, upadków firm — to miasto funkcjonuje bez wstrząsów — a więc i katowiczanie, w miarę możliwości, żyją dostatnio...

— ...a więc można się w Katowicach „obłować”?

— W Katowicach dominują przestępstwa przeciwko mieniu — kradzieże i włamania, w tym najbardziej dotkliwe — kradzieże samochodów... i włamania do samochodów. Nie bez naszej, przynajmniej, winy — w aucie — jak na witrynie sklepowej — widać wszystko, cośmy lekkomyślnie zostawili...

— Gorzej, kiedy znika samochód z zawartością... Ile to jest, w skali na przykład roku?

— Siedemset, do tysiąca. Czy to jest dużo? W porównaniu do innych polskich metropolii nie jest to ilość wielka, ale jest to przestępstwo, powodujące duże straty materialne. Natomiast, zgodnie z literą prawa karnego a i w naszym odczuciu moralnym, najwyższym, chronionym przez toż prawo dobrem jest życie i zdrowie człowieka...

— Przemysł najcięższy, zbrodnia.

— Rzecz jasna, w skali kilku lat było różnie. Ale, jak dotąd, tego typu zdarzeń nie było — w skali jednego roku, więcej, niż piętnaście. Inna rzecz, to łatwość, bądź trudność wykrycia sprawcy — są zdarzenia, w których motywem najczęstszym są nieporozumienia w rodzinie, w środowisku — wtedy, w zasadzie wszystko, od początku do końca jest czytelne. Katowice mają, niestety, „szczęście” do zabójstw trudnych, gdzie motyw działania zabójcy są wielce zagmatwane. I tych zabójstw jest zwykle, w skali roku 1/3, 1/4. Takie sprawy wymagają wielkiego nakładu sił i środków i — rzekłbym, przyczynę przacy fachowców. Więcej jest natomiast, w tej grupie spraw, pobić ze skutkami śmiertelnymi, ale też nie są to ilości duże.

— Napady rabunkowe...

— Z tym bywa różnie. Statystycznie od 220 do 300 rocznie. Ściślej — stosowanie przemocy w celu zaboru mienia.

— Z użyciem niebezpiecznego narzędzia...

— Groźnych napadów rabunkowych, w tej liczbie 5 proc. — z użyciem broni palnej. To oddzielna kategoria. Z tym, że — uściślijmy — póki się nie uzyska użytej broni, pomy kwalifikacja czynu jest nieciężka. Bo inaczej kwalifikuje się użycie straszaka, inaczej broni gazowej a inaczej broni palnej... dlatego możemy przyjąć, mając do dyspozycji narzędzie napadu, że rabunki, z użyciem broni palnej, w ubiegłym roku były dwa. I — aby problem był do końca jasny — bywają w Katowicach sprawy „rabunkowe” tragicomiczne, jak z ubiegłego roku, kiedy to trzydziestokilkuletni mężczyzna, trzymając w ręku pistolet - zabawkę, kupiony w pobliskim kiosku, wpadł do baru i zażądał... kurczaka!

— Ba, ale dla pani zza lady nie było to chyba śmieszne?!

— Dla statystyki, gdyby sprawca nie został z „bronią” zatrzymany, byłby to napad rabunkowy z użyciem broni palnej...

— Następną kategorią spraw, które najbardziej nas chyba bulwersują, są gwałty i czyny lubieżne, dokonane na nieletnich.

— W Katowicach są to sprawy w zasadzie incydentalne, ale... w roku ubiegłym na terenie Ligoty takie przypadki miały miejsce. Przyszła, by pracowałaś nad tą sprawą ostro. Proszę mi wierzyć, my, policjanci, stykamy się z wieloma różnymi przejawami przemocy, ale krzywdą dziecka jest dla nas najbardziej dojmująca. W ubiegłorocznej, ligockiej sprawie braliśmy pod uwagę jedno — u sprawcy tego typu czynów następuje eskalacja zachowań...

— Zaczęło się od wciągania małych dziewczynek w chaszczę...

— ...a mogło skończyć zabójstwem. Historia kryminalistyki mówi, że wśród dewiacji seksualnych tylko ekshibicjonizm prowadzi do zabójstwa.

— Sprawca został dość szybko ujęty. Na szczęście.

— Tak. I proszę sobie wyobrazić, że był to młody człowiek, uczeń szkoły średniej, o nienaganej reputacji. Był to szok i dla rodziców,

i dla szkoły, i dla środowiska. Jest regułą, że sprawca przestępstw natury seksualnej ma „dwie twarze”. Na co dzień jest uważany za wyjątkowo przyzwoitego człowieka.

— **Nigdy więc zadość uwiagi i ostrożności...**

— Tylko proszę mi powiedzieć, jak zakwalifikować „wyczyn” jednej z katowiczank, która niefrasobliwie, w nocy, wychodzi z suto zakrapianego przyjęcia i wsiada do zatrzymanego naprędce samochodu, w którym siedzi trzech mężczyzn... Wiktymologia się kłania! W tym roku mieliśmy kilka przypadków gwałtu na osobach dorosłych — znów w Ligocie; sądzę że sprawca zostanie szybko ujęty, i czyn niezgodny na siedmioletniej dziewczynce.

— **W moim rodzinnym mieście Lwowie, arystokracją świata przestępczego byli kieszonkowcy...**

— Centrum handlowe miasta — city — jak mawiają londyńczycy, istotnie, przyciąga kieszonkowców, jak magnes. Staramy się minimalizować to zjawisko. Podejmujemy szerokie działania operacyjne, z tym, że — biorąc pod uwagę strukturę prawa, tego typu kradzieże mogą być kwalifikowane jako wykradzenie, a więc karane przez Kolegium; wstępek — rozpatrywany przez Sąd, lub kradzież zuchwała a więc już groźna postać. W zależności od tego Sąd, na wniosek Prokuratury albo wydaje decyzję o tymczasowym aresztowaniu, albo też, jeżeli wysokość kary przewidziana przez prawo nie przekracza ośmiu lat, po zatrzymaniu sprawcy, trzeba go zwolnić. Sprawa się toczy z wolnej stopy.

— **Prawo chroni kieszonkowców?!**

— Nie. Ostatnio policjanci zatrzymali grupę kieszonkowców, którzy ukradli portfel z kwotą 200 złotych. Otóż, żeby sprawa miała kwalifikację występku, rozpatrywanego przez Sąd, musiałaby to być kwota nie niższa, niż 251 złotych — tak stanowi prawo.

— **Poszli więc spokojnie do domu?**

— Trafili przed Kolegium.

— **Dla ilu rencistów jest to jedyna kwota na życie...**

— Proszę zatem policzyć, jaki byłby koszt np. kilkumiesięcznego pobytu takiego złodziejzaka w więzieniu...

— **No cóż, twardy rachunek ekonomiczny. Płacilibyśmy my wszyscy...**

— Jest jeszcze inna sprawa. Świadomość społeczna. Do przeszłości powoli przechodzi nagminne niegdyś okradanie piwnic. A przecież wystarczyły domofony. Zamykane drzwi do kamienic. Proste. Wkracza w nasze życie obrót bezgotówkowy, który wyeliminuje być może wkrótce stary, złodziejski fach. Zresztą, już teraz trudno im się w tramwaju czy autobusie szczególnie obłowić — wystarczy prosty zabieg — nie trzymać wszystkich pieniędzy w jednym miejscu...

— **Zatem złodziejska arystokracja zesza na psy?**

— Tych wielkich artystów złodziejskiego fachu, ze starej, dobrej, lwowskiej szkoły, dawno już nie ma. Proszę mi wierzyć — poziom i kwalifikacje dzisiejszych, katowickich kieszonkowców, są zenująco niskie. Zresztą, któż nosi w kieszeni duże pieniądze? Jeżeli już, to w walizce, a obok i za nim idzie ochroniarz — więc żeby zabrać takie pieniądze, trzeba by zabić. A to już inna kwalifikacja czynu. Nie dla kieszonkowca. Chyba, że ktoś jest wyjątkowo naiwny i niefrasobliwy.

— **City to nie tylko złodziejzaki. To, proszę mi wybaczyć, plaga narkomanii. Zaćpani, ślaniający się młodzi ludzie. I umierający młodzi ludzie...**

— W Katowicach dominuje narkomania, rzekłbym, siermiężna. W „obrocie” jest głównie polska, brudna heroina. W ubiegłym roku było 70 spraw — za produkcję i za handel. Sankcje karne dotyczyły obrotu środkami narkotycznymi, kwalifikowanymi, na dużą skalę — w środowisku studenckim. Niestety, odnotowujemy fakt bardzo niepokojący — na nasz teren zaczyna napływać amfetamina.

— **Stajemy się, jako kraj, międzynarodowym szlakiem przepływu narkotyków?**

— Komendant Główny powołał biuro do spraw narkotyków. Jest specjalny wydział w Komendzie Wojewódzkiej, natomiast na poziomie miasta pracuje od dłuższego czasu specjalna grupa policyjna. Wierzę, że przy spójnej korelacji działań policyjnych wszystkich szczebli, skuteczność, w zakresie rozpoznawania tego zjawiska, będzie przynosiła określone efekty.

— **Narkomani to city — dworzec i okolice?**

— Szczególnie są widoczni od ulicy Chorzowskiej — myślę o okolicy banku handlowego, poprzez Rynek, rejon dworca, ulicę Stawową ale i okolice kościoła mariackiego, ulica Wojewódzka, Plac św. Andrzeja. Mamy stały system patroli Policji i Straży Miejskiej — więc trochę się „rozredziło”.

— **Ilu ich jest, tych zaćpanych nieszczęśników?**

— Ta liczba w zasadzie się nie zmienia — 250-350 osób.

— **Ba, tylko co z nimi zrobić?**

— Jest to złożony problem — trzeba ich przede wszystkim ratować, a to wymaga systemowego podejścia, nakładów — i to niemałych. To są chorzy ludzie... Ściganie przynosi znikomą skutek.

— **Czy na terenie Katowic istnieje zjawisko mafii — np. samochodowych, tak jak to się dzieje w Warszawie, Szczecinie?**

— Zdziwię panią — u nas ostatnio można mówić o pladze kradzieży pocziwych maluchów.

— **?!?**

— Zapewne istnieje zapotrzebowanie „na rynku” na części zamienne... Ginią też samochody „zdrowo przechodzone”, a więc „tanie”, no i oczywiście wozy luksusowe — to już są kradzieże na zamówienie... i te najczęściej wędrują za granicę. Oczywiście, są zorganizowane gangi, ale — „rynek” nie znosi pustki — w ślad za rozbitym grupą powstają szybko i prężnie nowe... a mimo to nasza skuteczność jest, moim zdaniem, przyzwoita — udaje nam się co trzeci, co czwarty skradziony samochód odzyskać. Ostatnio odzyskaliśmy sporo polonezów. Jest to również sprawa szybkiego dotarcia do bazy danych...

— **Komputeryzacja, wreszcie, Policji...**

— I jakość dowodów rejestracyjnych.

— **A gdyby tak ostrzej przetrzepać wschodnią granicę?**

— Podpowiem — do tego potrzebne byłyby ogromne środki, siły i czas. I tak na granicy bywały niezłe korki...

— **Wróćmy do „specjalistów” z okolic stolicy.**

— Zjawili się, za „specjalnym zamówieniem” — ostatnio mają „popyt” na volkswageny transportery; w Katowicach posiadzeli za krótko coś koło miesiąca — w sumie zostali wyrzuceni z miasta. Było z tym trochę roboty... Wpadli, „na czas dłuższy”, w Nowym Sączu.

— **A problem „naszych” Niemców? Ginią im samochody jak na... zamówienie. Niby wszystko gra, a jednak...**

— W paru przypadkach były takie podejrzenia. Sprawa jest prosta, tylko... nie mamy tytułu prawnego, aby żądać okazania kluczyków od „skradzionego” samochodu... W sumie jednak jest to margines spraw.

— **Z telewizorów aż „kapie” od przestępstw popełnionych przez nieletnich, ba, dzieciaki ledwo co odródo od ziemi...**

— W Katowicach odnotowujemy około 700 spraw. Mamy instytucjonalny obowiązek zajmowania się patologią przestępczą nieletnich. Nie tylko na poziomie Komendy Rejonowej, gdzie w pionie kryminalnym jest grupa specjalistów, ale w każdym Komisariacie (a w III Komisariacie dwóch), jest wyznaczony policjant zajmujący się tak zwaną trudną młodzieżą. Od profilaktyki, poprzez ściganie przestępstw, do współpracy z Sądem i instytucjami, które z urzędu zajmują się nieletnimi.

— W Katowicach tego typu przestępczość to przede wszystkim kradzieże, włamania do samochodów. Zdarzają się nieliczne przypadki napadów rabunkowych, ale, rzekłbym, w sensie prawnym „mniejszego kalibru”. Ważna jest profilaktyka — współpraca z Kuratorium Oświaty, TPD, szkołami. Muszę z satysfakcją powiedzieć, że Katowice mają w zasadzie dobrą młodzież. Nie zdarzają się przypadki bestialstwa, zwyrodnienia. Rzecz interesująca — w Katowicach na przykład mniej odnotowujemy przestępstw dokonanych przez nieletnich, niż w niedalekich Gliwicach. Zresztą, nie tylko w ściganiu rzecz; w Komendzie Rejonowej policjantka, która dowodzi wyspecjalizowaną grupą, zbiera również, i rozdaje, odzież — najbardziej potrzebującą — nie tylko dzieciom, ale i rodzinom.

— **Wyciągnięta dłoń więcej znaczy, niż groźba...**

— Przed dwoma laty przywrócona została „instytucja” dzielnicowego. Wedle proporcji w Katowicach „wypada” jeden policjant na 430 mieszkańców.

— **Ale za często ich nie widać...**

— Policymy. Na przykład do 21 kwietnia upłynęło 121 dni; w tym było 16 sobót i 18 dni świąt i niedziel. Dni roboczych było 81 — w tym czasie odnotowaliśmy 54 zabezpieczenia imprez masowych, w których brało udział od 20 do 120 policjantów. Przyzna pani, że to dużo. A wykonanej roboty nie musimy się wstydić.

— **Mówi pan o pseudosporcie i pseudokulturze, czyli „szalikach” i metalmanach?**

— Z naszymi „szalikowcami” przede wszystkim rozmawiamy. Oni mają swoją kibicowską strukturę, przywódcę, są zorganizowani...

— **Katowickie aniolki?**

— No, nie są to potulne, głaskane przez nas baranki, ale — są mimo wszystko lepsi, niż...

— **Mecz warszawskie przerażają...**

— Nie gloryfikuję naszych fanów, ale — można nad nimi panować.

— **Nad nimi, to znaczy iloma?**

— Średnio, na meczu, około 1500.

— **A komu mają „za złe”?**

— Są antagonistycznie nastawieni do chorzowskiego „Ruchu”, „Legii”, krakowskiej „Wisły” i „Widzewa”...

— **Na derby śląskie przyjechało ponad 1600 „szalikowców” spoza Chorzowa...**

— Istotnie, dawno nie było na stadionie takiego tłoku — ponad 5000 kibiców, ale mecz się odbył spokojnie.

— **W sumie ponad 3000 „szalikowców”. Dużo było roboty?**

— Rzecz w wybraniu właściwych dowódców grup policyjnych. I odpowiednio przygotowanych policjantów. I właściwej ilości „zabezpieczających” mecz policjantów.

— **Na koszt społeczny?**

— Który klub sportowy wytrzymałby koszt policyjnego zabezpieczenia meczu...

— **Czyli dofinansowanie z kiesy państwowej, czyli — na to samo wychodzi...**

— Nie zagląskując naszej kibicowskiej młodzieży, z dumą mogę powiedzieć, że na mistrzostwach świata w hokeju na lodzie nie było problemu z publicznością...

— **To jednak, przyzna pani, inna publiczność...**

— No, hokej w pobliskim Sosnowcu przyniósł niezłą rozrębę...

— **Przestępstwa gospodarcze.**

— Są. To są trudne sprawy, ciągnące się miesiącami. Wymagają benedyktyńskiej pracy.

— **Podobnie chyba, jak „tropienie” świata przestępczego wkraczającego w dziedzinę dóbr kultury...**

— W Piotrowicach zwinęliśmy jedną z największych chyba w kraju nielegalnych wytwórni taśm magnetofonowych. Musieliśmy powołać specjalną grupę policyjną, żeby tę sprawę do końca rozwikłać. Do tego trzeba dodać zjawisko najnowsze — kradzieże programów komputerowych, a ściślej, dysków na nośnikach CD ROM. Korzystamy z usług specjalistycznej warszawskiej firmy. Muszę przyznać, że działają sprawnie i błyskawicznie.

- **A jednak zjawisko narasta...**
 — No cóż, nowy, bardzo dochodowy, złodziejski biznes.
 — **Są odbiorcy?**
 — Rzecz w cenie, niemalej, przy zakupie legalnych dysków czy kompaktów... Jest to również grupa przestępców gdzie mamy do czynienia z włamaniem... i podróbkami. Idzie to potem za psie pieniądze na bazarach... Jest popyt.
 — **Udaje się odzyskać dyski? Nielatwe to chyba?**
 — Odzyskałiśmy ich, swego czasu, ponad 1200.
 — **Sporo tego — myślę o problemach, którymi zajmuje się Policja. I przestępstwa kryminalne, i wykroczenia, i obsługa imprez kulturalnych, i sportowych, i przestępstwa gospodarcze, i naruszanie praw autorskich... Pozwoli pan, że zapytam — jakimi siłami? A ściślej, ilu policjantów liczy katowicki garnizon?**
 — Żeby zaspokoić pani ciekawość, odpowiem krótko — dużo.
 — **Rozumiem. Jednak dużo, to znaczy za mało, czy w sam raz?**
 — Ilość zdarzeń wymaga elastycznego przegrupowywania sił. Chociażby w czasie imprez masowych... Mecze były, są i będą, podobnie jak wielkie koncerty muzyki młodzieżowej. Katowice nie mogą być pustynią. Jest określona ilość policyjnych sił. Rzecz w tym, żeby tymi siłami, jakimi dysponujemy, racjonalnie gospodarzyć. Nieprawdą jest, że garnizon policyjny musi się składać z „super-glin”. Natomiast prawdą jest, że musi dysponować policjantami rzetelnymi, sumiennymi, i w przyzwoity sposób wyposażonymi w wiedzę, i w przyzwoity sposób sprawnymi.
 — **Wykształcenie...**
 — Pytanie — czy mamy dysponować li tylko superspecjalistami do zadań specjalnych? W naszym, społecznym interesie jest wychowanie, a ściślej, właściwe przygotowanie zawodowe takiego policjanta, który w konkretnym terenie będzie rzetelnie pracował, będzie stanowczy, taktowny, ale skuteczny — i, co uważam za istotne, żeby w Katowicach pracował policjant z Katowic. Żeby był mocno osadzony w mieście, w swojej dzielnicy, w środowisku.
 — **Obustronna presja moralna?**
 — Oczywiście. I zaufanie. Policjantem nie jest się w określonych godzinach pracy — jest się nim zawsze.
 — **Teoria teorią, a praktyka?**
 — Jedna trzecia policjantów to katowiczanie.
 — **Kiepsko z naborem?**
 — Czekamy na chętnych. Boleję nad tym, że zbyt mało katowiczian zgłasza się do pracy u nas.
 — **Zatem idealny „gliniarz” — to młody, bystry i z naszego miasta?**
 — Po kolei — obywatel polski, z co najmniej średnim wykształceniem, musi mieć doskonałą opinię, dobry stan zdrowia, 175 cm wzrostu i mieć wojsko za sobą.
 — **Przepraszam, a za ile?**
 — Pierwszy okres, to znaczy czas pobytu w szkole policyjnej, przyznaję, nie jest finansowo zbyt atrakcyjny... ale to się zmienia. Wszystko zależy od stopnia wykształcenia, i od... talentu. A mamy teraz wyjątkowo zdolną i inteligentną młodzież. Można się kształcić. Liczy się również znajomość języków. Preferowane jest prawo — po tych studiach szkolenie oficera trwa krótko — sześć miesięcy.
 — **Widzę ostatnio na policyjnych wozach herb miasta...**
 — Uważam, że społeczeństwo powinno to widzieć. Tak, to jest Policja z Katowic.
 — **Władze miasta pomagają?**
 — Nasza współpraca w materii bezpieczeństwa w mieście ma co najmniej przyzwoity poziom. Na wielu płaszczyznach i poziomach — zarówno na posiedzeniach komisji problemowej Rady Miasta, w dyskusjach na sesjach, ale i w konkretnej pomocy — Policja nie jest instytucją majątną — więc pomocna dłoń władz miasta w szczególnych sytuacjach, bardzo się liczy; myślę o pieniądzach na paliwo, remonty — przeciwieństwo większości komisariatów to stare, przedwojenne budynki, na zakup samochodów, radiostacji... Dzięki miastu stan posiadania katowickiej Policji zwiększył się w grudniu ub. roku o 42 wozy. To jest naprawdę wielka sprawa!
 — **Policja, Straż Miejska... Bez sporów kompetencyjnych?**
 — Bezszmerowo się uzupełniamy. Oni wykonują robotę w zakresie spraw sanitarno-porządkowych, patologii, narkomanii itp. A jest tego, jak już mówiłem, niemało. Wykonują kawał pożytecznej roboty... Traktujemy ich po partnersku.
 — **Czy istnieje model, ideał działania, gwarantujący bezpieczeństwo? Czasem mam wrażenie, że Policję, niejako z urzędu, obciążono „wszystkoizmem”.**
 — Współpraca. Zbudowanie systemu bezpieczeństwa, w którym funkcjonować będziemy wszyscy — od poszczególnych osób, po różnego rodzaju instytucje. Podwaliny, symptomy — już są. Można osiągnąć więcej.
 — **Szybkość reagowania, panie komendancie. Obserwowałam bońską Policję. Na zgłoszenie choćby o drobnym złodziejzku reagowali błyskawicznie.**
 — Zgadzam się. Na natychmiastową reakcję społeczeństwa, na drodze w czasie szczytu komunikacyjnego ulice, na odpowiednią ilość policjantów, na pomieszczenia, choćby skromne, dla dzielnicowych, żeby nie trzeba było wędrować do odległego nieraz komisariatu...
 — **Na błyskawiczny obieg informacji... Kiedy komisariaty będą wyposażone w komputery włączone w sieć np. Komendy Rejonowej?**
 — Jest to kwestia dni. Odpadnie wiele papierkowej, absorbującej czas roboty. I jeszcze jedno. Praktyka dnia codziennego bywa różna. Ale to są, proszę mi wierzyć, epizody.
 — **„Epizod” pana Krzysztofa Brożka z 21 czerwca?...**
 — Pan Brożek w kilka dni później był u mnie. Przeprosiłem go serdecznie, chociaż katowicka Policja nie miała z tym przykrym incydentem nic wspólnego!
 — **Dziękuję Panu za rozmowę.**

Nowe obywatelstwo (dla M.M.)

*milka — jeden
z młodszych małych
niepodległych
krajów świata*

*w starych atlasach
nie ma jej wcale
w nowych
pisze się petitem*

*milka — granice i liczba
ludności nieustalone
ustrój — monarchia
solarna ustanowiona
przez boga*

*brak własnej waluty
parlamentu oficjalnych
sądów naturalna gospodarka*

*import — cień wierszy
zapach i smak podróży
opferliebe jazz
delikatne alkohole
w małych ilościach*

*eksport — ruch myśli
i obrazu precyzja
skojarzeń ciepło
języka morskie powietrze
wolność sądu cokolwiek
to znaczy*

*kraj jak kropla deszczu
w skali wyobraźni
odsyłam stary paszport
ją
wybrawszy sobie
za ojczyznę*

Rozmowy z dorastającą

1.
— Bóg stworzył nas „na obraz i podobieństwo swoje”. Czy ty jesteś podobny do Boga?

— Tak.

— A czy ja jestem podobna do Boga?

— Oczywiście.

— A świnki i kozy są podobne?

— Tak samo.

2.

— Słyszałam w parku — pani mówiła do pana: „Ty nie masz Boga w sercu”. Czy ty masz Boga w sercu?

— Mam.

— Skąd wiesz?

— Czuję Go. Ty również masz Boga w sercu.

— Ja nie czuję. A czy Bóg ma nas w sercu?

3.

— Mówiłeś, że gąsieniczki nie umierają — stają się motylami. To tak jak ludzie stają się w niebie aniołami. Nie łap więcej motyli.

4.

— A księżyc?

— Księżyc jest pieniążkiem, który Bóg ludziom zostawił na pokuszenie.

Z rachunku prawdopodobieństwa

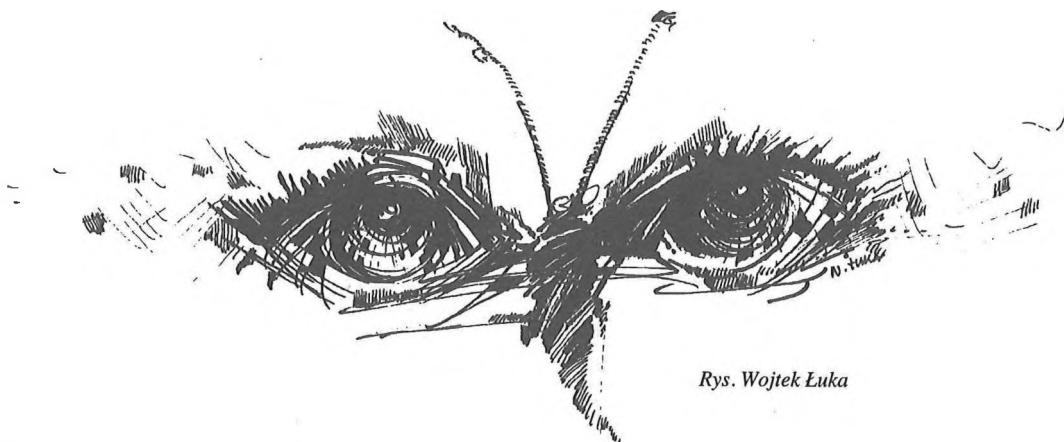
jest słowo śmierć
powtórz je kilka razy
powtarzam: śmierć
śmierć śmierć
śmierć śmiech

skąd się tutaj
śmiech wziął
i kto z kogo
się śmieje — śmierć
z nas czy my
ze śmierci

żart dzianie się
przypadek — śmiech
rachunku
prawdopodobieństwa

1990 — Marcin Świetlicki pyta o pogodę

zimno — mówię — zimno
obco — a pogoda
jak religia — wewnątrz
zimno — taki kraj
jedni odjadą — drudzy
przyjadą — wirtualni
światowi nierzeczywiści
zimno — koks nie ma
boga nie ma — dzielenie
rozbieranie upraszczanie
ja i ty — schizma
powtarzanie mnożenie
łączenie — przy stole krzesło
ciasne dla jednego — nigdy
wedle siebie
trepanowanie



Rys. Wojtek Łuka

O tym, że Katowice zostaną stolicą województwa, a z biegiem czasu i całego regionu górnośląskiego, zdecydowała Rada Ambasadorów Ligi Narodów, gdy 20 października 1921 roku ogłosiła decyzję o podziale Górnego Śląska. Nowa linia graniczna wyeliminowała po prostu konkurencję. Jeśli więc jakieś miasto skorzystało szczególnie na podziale Śląska, to tym miastem były właśnie Katowice.

Wprawdzie i wcześniej, za czasów pruskich, Katowice rozwijały się błyskawicznie, niemalże w stylu amerykańskim, jak to spostrzegali wizytujący je goście, lecz dopiero wypadki okresu plebiscytowego dały miastu jedyną, niepowtarzalną szansę. Bo ktoś mógł spodziewać się wcześniej, że Katowice mogą zostać stolicą regionu? Przeciwnie za czasów pruskich stolicą prowincji górnośląskiej było Opole, gdzie zainstalowała się również Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa. Z kolei kilka innych miast przemysłowych w sercu Górnego Śląska mogło nie tylko równać się z Katowicami, lecz nawet mieć więcej powodów do dumy. Takimi miastami były Bytom i Gliwice, także Królewska Huta, a może nawet i Zabrze.

Dysponujemy dokładnymi danymi ludnościowymi z 1910 roku, które niewiele odbiegały od czasów plebiscytowych. Tak więc w 1910 roku Gliwice miały 79.469, Królewska Huta — 72.641, Bytom — 67.718, Zabrze — 63.373, a Katowice tylko 43.987 mieszkańców. Jeśli dziesięć lat później Katowice liczyły 50 tysięcy mieszkańców, to i tak były z tej czworojki czy też piątki (jeśli wyłączymy z tej konkurencji Zabrze) miastem najmniejszym. W dodatku Bytom i Gliwice posiadały tradycje miejskie i administracyjne, a także kulturalne, sięgające czasów średniowiecznych.

Można założyć, że gdyby Polsce przypadła jakaś większa część Górnego Śląska, z całym obszarem przemysłowym aż do Odry, to z pewnością nie Katowice zostałyby stolicą nowego województwa. Także dlatego, że były miastem najbardziej niemieckim, z najmniejszą liczbą ludności polskiej. W takiej hipotetycznej sytuacji miastami godniejszymi do rangi stolicy województwa byłyby Bytom i Gliwice, potem chyba Królewska Huta. Na samym końcu Katowice.

Nie gdzie indziej, jak właśnie w Bytomiu, miał siedzibę Polski Komisariat Plebiscytowy z Wojciechem Korfantym na czele. Także Królewska Huta miała tradycje polskiej pracy narodowej sięgające Karola Miarki i Juliusza Ligionia. Nie było też sprawą przypadku, że z kolei siedzibą niemieckiego komisariatu plebiscytowego z Kurtem Urbankiem były Katowice, jako miasto posiadające zdecydowanie niemieckie oblicze.

Jeśli więc Katowice zostały stolicą autonomicznego województwa śląskiego, to tylko dlatego, że Bytom i

Stolica województwa

JAN F. LEWANDOWSKI

Gliwice pozostały po stronie niemieckiej, a Królewska Huta znalazła się zbyt blisko niemieckiej granicy. Stolicą Katowice stać się musiały, nie miały po prostu konkurencji. Miasto wygrało w ten sposób los na loterii, chociaż niemieccy jego mieszkańcy mieli pewnie odczucia ambiwalentne. Niemniej tak już zostało i w Polsce międzywojennej Katowice skorzystały ze swej wyjątkowej szansy. I odtąd pozostały już stolicą Górnego Śląska niezależnie od zmian państwowych (okres II wojny światowej) i politycznych.

Nie jest rzeczą wykluczoną, że w sensie prawnym Katowice zostały stolicą województwa w 1922 roku nielegalnie. Jeśli ktoś chciałby sprawdzić podstawę prawną, na mocy której Katowice stały się siedzibą władz wojewódzkich, znajdzie się w prawdziwym kłopotcie. Nie znajdzie żadnego postanowienia ani rządu polskiego, ani naczelnej Rady Ludowej (będącej reprezentacją ludności polskiej na Górnym Śląsku w okresie 1921—1922) ustalającego siedzibę.

Wprawdzie Statut Organiczny Województwa Śląskiego, uchwalony 15 lipca 1920 roku przez Sejm Ustawodawczy w Warszawie, określił kompe-

tencje Sejmu Śląskiego i strukturę administracyjną województwa, lecz w sprawie jego kształtu terytorialnego mógł powiedzieć tylko tyle, iż będzie ono obejmowało „wszystkie ziemie śląskie przyznane Polsce”. Wtedy nie było jeszcze wiadomo, co Polska ze Śląska dostanie. Z tego samego powodu Statut Organiczny nie mógł określić siedziby władz wojewódzkich. Trudno wyznaczyć siedzibę województwa, nie wiedząc jakie miasta znajdą się na jego obszarze.

Naczelna Rada Ludowa, która rozpoczęła działalność w lipcu 1921 roku, po likwidacji trzeciego powstania, obrała za swoją siedzibę nie Katowice, a Bytom. Przez kilka miesięcy zbierała się w „Lomnitzu”, czyli byłej siedzibie Polskiego Komisariatu Plebiscytowego. W wydanych drukiem „Protokołach posiedzeń Naczelnej Rady Ludowej na Górnym Śląsku” znaleźć można uchwałę o ustanowieniu siedziby w Bytomiu. Nie sposób znaleźć uchwały o zamianie Bytomia na Katowice, chociaż ta zamiana faktycznie nastąpiła w październiku 1921 roku.

Wygląda to tak, że trzynaste posiedzenie NRL w dniu 18 października miało miejsce jeszcze w Bytomiu, a już czternaste w dniu 25 października doszło do skutku w Katowicach, co dokumentują tylko inne nazwy miast



Foto. ARC

przy dacie spisania protokołu. Natomiast w samych protokołach nie ma śladu, by Rada dyskutowała zmianę swej siedziby. I nie ma w protokołach uchwały o siedzibie przyszłego województwa, chociaż znaleźć w nich można dziesiątki uchwał w sprawach znacznie bardziej drobiazgowych. Po prostu z dnia na dzień Naczelna Rada Ludowa przeniosła się z bytomskiego „Lomnitz” do prywatnego mieszkania swego przewodniczącego, Józefa Rymera, w Katowicach, co związane było oczywiście z decyzją Rady Ambasadorów o podziale Górnego Śląska z 20 października 1921 roku. Zdaje się, że te przenosiny były tak oczywiste, że nie zostały zapisane w protokole.

Po raz pierwszy protokoły wymieniają Katowice jako stolicę województwa w uchwale dotyczącej sądownictwa z dnia 19 grudnia 1921 roku. Ta uchwała brzmi następująco: „Jest jednomyślnym życzeniem NRL, aby siedzibą przyszłego Sądu Apelacyjnego dla województwa śląskiego była siedziba województwa, a więc miasto Katowice”.

Tyle, że formalnej uchwały o siedzibie województwa Naczelna Rada Ludowa wcześniej nie podjęła, a przynajmniej nie ma jej w protokołach, chociaż wygląda na to, że protokoły wydane drukiem są kompletne.

Niemniej Katowice stawały się w sposób oczywisty stolicą województwa, co było szczególnie widoczne w pamiętnym czerwcu 1922 roku, kiedy to oddziały Wojska Polskiego z generałem Stanisławem Szeptyckim wkroczyły najpierw do miasta nad Rawą. Właśnie w Katowicach miały miejsce najważniejsze uroczystości przyłączenia części Górnego Śląska do Polski. A na 24 września tegoż roku wyznaczono pierwsze wybory do Sejmu Śląskiego, który zebrał się następnie na pierwszym posiedzeniu w dniu 10 października. Dodajmy, że poza władzą wojewódzką Katowice były

nadal siedzibą powiatu, a pierwszym starostą polskim mianowano adwokata Jana Mildnera. Nieco wcześniej, jeszcze w końcu 1921 roku, zdecydowanie niemiecka rada miejska wybrała nowym burmistrzem Polaka Alfonsa Górnika, dając tym samym dowód chęci przystosowania się do nowej sytuacji.

Jako miasto wojewódzkie stały się Katowice siedzibą nie tylko Sejmu Śląskiego, Śląskiej Rady Wojewódzkiej i Urzędu Wojewódzkiego, ale także wielu innych urzędów i instytucji państwowych i samorządowych. Należy tu wspomnieć choćby Sąd Apelacyjny, Dyрекcję Kolei Państwowych, Wyższy Urząd Górniczy, Urząd Skarbowy. Do tego dodajmy siedzibę komisji Mieszanej dla Górnego Śląska (polsko-niemieckiej) zajmującej się przestrzeganiem Konwencji Genewskiej, której przewodniczył były prezydent Szwajcarii Felix Calonder. Jeszcze dowództwo 23 dywizji piechoty, a także koszary 73 pułku piechoty.

Dla tych wszystkich instytucji trzeba było znaleźć odpowiednie siedziby, co nie zawsze było rzeczą prostą. Pierwsza siedziba Sejmu Śląskiego i Urzędu Wojewódzkiego znajdowała się w dawnej szkole rzemiosł budowlanych przy ulicy Wojewódzkiej (dzisiaj w tym gmachu mieści się Akademia Muzyczna), a wkrótce rozpoczęto budowę potężnego gmachu przy ulicy Jagiellońskiej, którą zakończono w końcu lat dwudziestych.

W znacznie większej mierze niż za czasów pruskich Katowice stawały się ośrodkiem dyspozycyjnym górnośląskiego przemysłu, co związane było z faktem, że większa część tego przemysłu przypadła Polsce. W Katowicach lokowały się dyrekcje kolejnych koncernów górniczych i hutniczych. Do tego dochodziły banki (aż 53 banki różnej wielkości w 1924 roku). Rosło znaczenie miasta jako ośrodka międzynarodowego, o czym świadczyły liczne konsulaty.

Było też sprawą oczywistą, że w Katowicach jako mieście wojewódzkim

ulożowały się zarządy partii politycznych i organizacji społecznych, włącznie z niezwykle aktywnym Volksbun-dem reprezentującym interesy ludności niemieckiej, a także central związkowych. Do tego dodajmy prasę polską (z „Polonią” Korfantego) i niemiecką (zwłaszcza „Kattowitzer Zeitung”).

Wreszcie w 1925 roku nastąpiło utworzenie diecezji katowickiej, a jej pierwszym biskupem ordynariuszem został dotychczasowy administrator apostolski August Hlond, późniejszy prymas Polski. Nieco wcześniej ogłoszono konkurs na projekt katedry, którą postawiono na gruncie ofiarowanym kurii przez arystokratyczną rodzinę Tiele-Wincklerów.

Wszystkie te zmiany zachodzące na początku lat dwudziestych sprawiały, że Katowice — mimo swej nie tak dużej liczby mieszkańców (56.739 w 1923 roku) — stawały się miastem niezmiernie znaczącym w skali nie tylko Rzeczypospolitej.

Wracając do samych Katowic okresu inflacji — wspominał po latach miasto znany dziennikarz Bolesław Surówka — *trzeba zauważyć, że niezależnie od inflacyjnych wstrząsów nie tyle może międzynarodowy, ile przede wszystkim wielkomiejski charakter Katowic dawał się zauważyć na każdym kroku. Ruch uliczny trwał tu do późnych godzin nocnych, współdziałała z nim wielka liczba kawiarni i restauracji, przede wszystkim nocnych lokali, mających przeważnie kabaretowy charakter; było ich kilkanaście. I chociaż w czasie kryzysu kilka z nich odpadło, to jednak większość — bodaj dwaście, o ile się nie myli — przetrwało aż do wybuchu wojny.*

Wiele restauracji zresztą, i to nawet często niezbyt dużych, też nie zamykało swoich podwoi przed trzecią albo czwartą rano. Katowice by night nabrały jeszcze większych walorów w okresie, kiedy zaczęły się pojawiać reklamy świetlne i różnorakie neony. W każdym razie pod względem owych świateł wielkiego miasta przedwojenne Katowice dorównywały centrum ówczesnej Warszawy, a nawet je przewyższały.

Zamknięciem tego pierwszego wojewódzkiego okresu miasta stało się jego powiększenie o kilka sąsiednich gmin, co nastąpiło na mocy ustawy Sejmu Śląskiego z dnia 15 lipca 1924 roku. Przyłączono wtedy 5 gmin, a mianowicie: Bogucice-Zawodzie, Załęże, Dąb, Ligotę i Brynów. Powierzchnia Katowic powiększyła się ponad czterokrotnie, a ludność wzrosła dwukrotnie (do 115 tysięcy mieszkańców). I tak powstały tzw. Wielkie Katowice, jak pisano i mówiono w okresie międzywojennym, ale to już inna historia...



Nowa siedziba Sejmu Śląskiego i władz wojewódzkich.

Foto. Roman Kucia



Herb Tiele-Wincklerów
(wg Kalendarzy Gotajskich).

Fortuna Wincklerów

ARKADIUSZ
KUZIO-
PODRUCKI

W wieku XIX nastąpił gwałtowny rozwój przemysłu. Wielkie huty, fabryki oraz kopalnie tworzyły zagłębia przemysłowe. Powstało także również na Górnym Śląsku. Magnaci przemysłowi należeli do najbogatszych ludzi w państwie. Nazwiska niektórych rodów można było spotkać wcześniej w historii Śląska. Nazwiska innych pojawiły się po raz pierwszy. Do tych ostatnich należała rodzina von Tiele-Winckler. Na początku XX w. należeli do najbogatszych na Śląsku. Sto lat wcześniej nikt tego nazwiska nie znał.

Początki wielkiej fortuny wiążą się z nazwiskiem Ignacego Domesa, który w 1812 r. kupił majątek Miechowice (dziś dzielnica Bytomia). W następnych latach wybudował tam pałac. Jego żoną Franciszek Aresin, mąż Marii Domes, uruchomił na terenie dóbr kopalnię „Maria” (nazwana na cześć małżonki).

Dalsze dzieje wiążą się z nazwiskiem Franciszka Wincklera. Urodził się 4 sierpnia 1803 r. w Tarnowie koło Żąbkowic Śląskich. Wiedzę zdobywał w gimnazjum w Kłodzku, seminarium jezuitów i gimnazjum w Nysie. W 1819 r. zatrudnił się w górnictwie. Najpierw pracował jako górnik w kopalni rud srebrno-olowianych „Fryderyk” koło Tarnowskich Gór. Po podniesieniu swych kwalifikacji w 1826 r. przeszedł na służbę bogatego kupca Franciszka Aresina. Pracował dla niego jako zarządca majątku. W tym samym roku ożenił się z Alwiną Kalide. Miał z nią córkę Waleskę, urodzoną w 1829 r. Żona zmarła krótko potem. Dwa lata później zmarł jego pryncypał Aresin. W 1832 r. Franciszek ożenił się z wdową po Aresinie, Marią Domes, stając się współwłaścicielem jej majątku. Pomnożył wielkość fortuny.

Z nazwiskiem Wincklerów wiążą się początki miejskiej historii Katowic. Tereny te były częścią ordynacji myśłowickiej, która od XVII w. należała do rodziny Mieroszewskich (sama ordynacja została utworzona w 1678 r.). W XIX w. ówczesny właściciel Aleksander Mieroszewski, jak na wielkiego arystokratę przystało, żył w zbytku nie troszcząc się o przyszłość. Niestety dochody były niewspółmierne do wydatków. Jego sytuacja finansowa stopniowo, ale nieuchronnie coraz bardziej się pogarszała. Pojawiła się wówczas z pewną propozycją Maria Winckler. Obiecała spłacić długi w zamian za dobra myśłowickie oraz dorzucić jeszcze kilkadziesiąt tysięcy talarów. Aleksander był tym pomysłem uszczęśliwiony. Pojawił się jednak problem — ordynacja z mocy prawa była niezbywalna. W 1839 r. osiągnięto jednak kompromis. Posiadłości ziemskie wraz z należącymi do nich kopalniami i hutami zamieniono na „ordynację pieniężną” w sumie 109.768 talarów. Procenty

ty od tej sumy — ok. 6 tys. talarów rocznie — miał otrzymywać każdorazowo ordynat.

Franciszek Winckler rok wcześniej kupił położone na terenie ordynacji dobra rycerskie Katowice. Można powiedzieć, iż zaczął się „Wincklerowski” rozdział historii przyszłej stolicy zagłębia górnośląskiego.

W 1840 r. król pruski Fryderyk Wilhelm IV nie mogąc nie dostrzec znaczenia przemysłowca nadał Wincklerowi tytuł szlachecki. Odtąd mógł on przed nazwiskiem wpisać sobie „von”. Aby nadać odpowiednią oprawę nowej godności rozbudował pałac w Miechowicach. Należał wówczas do niego i jego żony niemały majątek: dobra rycerskie Miechowice i Katowice; miasteczko Myśłowice wraz z wioskami dawnej ordynacji myśłowickiej; część dóbr Palowice, Woszczyce i Orzesze; 13 kopalń węgla, udziały w 49 następnych i 15 kopalniach galmanu; kopalnie rud żelaza, 7 hut żelaza, 6 hut cynku i wapiennik. Zarząd tej fortuny od 1839 r. znajdował się w Katowicach. Kierował nim Fryderyk Wilhelm Grundmann (ur. 1804, zm. 1847), kolega i przyjaciel Wincklera.

Przyznanie szlachectwa nie było jedynym zaszczytem jakiego dostąpił Franciszek Winckler. W 1846 r. został odznaczony przez księcia von Anhalt krzyżem komandorskim Orderu Albrechta Niedźwiedzia (najwyższy order anhalcki).

Cztery lata później król pruski przyznał mu Order Orła Czerwonego (jedno z najwyższych odznaczeń pruskich) IV klasy. Od władz państwowych uzyskiwał też ułatwienia i przywileje. W latach czterdziestych otrzymał prawo wyłączności wydobywania węgla w dobrach myśłowicko-katowickich. Następnie uzyskał na tym terenie prawo regale górnictwa. Zwalniało go to z obowiązku pytania władz o zgodę na eksploatację tamtejszych pokładów węgla i ponoszenia z tego tytułu opłat na rzecz skarbu.

Franciszek von Winckler zmarł 6 sierpnia 1851 r. w Lublanie (stolica dzisiejszej Słowenii). Maria Domes — 1-voto Aresin, 2-voto von Winckler — po raz drugi została wdową. Teraz jeszcze bogatszą. Zmarła dwa lata później w 1853 r. Nie miała dzieci. Cała fortuna przypadła jej pasierbicy, Walesce, córce Franciszka i jego pierwszej



Ruiny pałacu w Miechowicach.

Fot. A.K.-P.

żony, Alwiny Kalide. Z taką sumą na koncie była całkiem dobrą partią. W 1854 r. Waleska wyszła za mąż za pruskiego oficera Huberta Gustawa von Tiele.



Hans Werner hr. von Tiele-Winckler (wg Kalendarzy Gotajskich) ostatni właściciel śląskiej fortuny Wincklerów.

Rodzina von Tiele była tylko nieco starszego szlactwa od von Wincklerów. Założycielem szlacheckiego rodu był niejaki Chrystian Gottlob urodzony w połowie XVIII w. w Podzunen na Litwie. Zmarł w czasie wojen napoleońskich w 1811 r. Był radcą dworu księcia Kurlandii, a potem dworu cesarskiego w Petersburgu. Jego potomkiem był Hubert Gustaw. Urodził się on w 1823 r. W 1854 r. od księcia von Mecklemburg-Schwerin (Tiele mieli swe dobra również w Meklemburgii) otrzymał przywilej, na mocy którego mógł połączyć nazwiska i herby, swój oraz żony. Odtąd nazywał się von Tiele-Winckler. Małżeństwo to było dobrym interesem. Majątek Walewski, Hubert Gustaw pomnożył pięciokrotnie. W 1860 r. rozbudował pałac w Miechowicach. Jednocześnie trzy lata później kupił dobra w Mosznej. Przy jego udziale w 1865 r. otrzymały Katowice prawa miejskie. On też spowodował, że linię kolejową z Wrocławia do Krakowa przeprowadzono właśnie przez Katowice, choć nie była to najprostsza droga.

Podstawą fortuny Tiele-Wincklerów był jednak przemysł. W 1861 r. Tiele-Winckler kupił za 120 tys. talarów kopalnię „Nowa Przemsza” w rejonie Brzezinki. Dwa lata później uruchomił kopalnię „Orzesze”. W 1872 r. odstąpił ją spółce akcyjnej Oberschlesische A. G. für Kohlenbergbau. Spółka zakupiła dalsze pola górnicze, które w 1876 r. połączono w „Zjednoczoną Kopalnię Fryderyk i Orzesze”. W 1889 r. założył Hubert Gustaw Katowicką Spółkę Akcyjną dla Górnictwa i Hutnictwa (niem. Kattowitzer Aktiengesellschaft für Bergbau und Hüttenbetrieb). Przejęła ona wszystkie zakłady przemysłowe należące do Tiele-Wincklerów. Było tego sporo: kopalnie węgla z zakładami pomocniczymi, koksownia przy kopalni „Florentyna”, kopalnie rud żelaza koło Tarnowskich Gór, huta żelaza „Hubertus” (obecnie „Zygmunt”) w Łagiewnikach i „Marta” w Katowicach. Majątek spółki ustalono na 16 mln marek, podzielony na 16 tys. akcji po 1 tys. marek. Do Tiele-Wincklera należało prawie 15 tys. akcji (tj. prawie 94 proc. wartości spółki), dał on jednak prawie 19 mln marek wkładu. Różnica ok. 4 mln marek została potraktowana jako pożyczka od niego dla spółki.

Majątek i wpływy jakie się wiązały z bogactwem musiały zostać nagrodzone przez monarchę. Franciszek Hubert — ur. w 1857 r. syn Huberta Gustawa i Waleski — na podstawie przywileju wystawionego 25 czerwca 1895 r. w Kilonii przez cesarza niemieckiego Wilhelma II został wywyższony do godności pruskiego hrabiego. Tytuł ten miał być dziedziczony tylko przez najstarszego syna. Pozostali członkowie rodziny byli baronami i baronównami.

Rozwijający się przemysł nie był dobrym sąsiadem dla siedziby rodziny w Miechowicach. Jej członkowie coraz częściej przebywali w Mosznej. W 1896 r. po pożarze tamtejszej siedziby zdecydowano się całkowicie przebudować pałac i nadać mu nowy wygląd. Miał — i nadal ma — 365 pomieszczeń (tyle co dni w roku), 99 wież i wieżyczek (podobno osobiście zdecydował o tym hrabia) i otacza go prawie 100-hektarowy park. W 1900 r. rodzina przeniosła się tam na stałe.

Na początku nowego stulecia majątek miechowicki został przekazany spółce „Preussengrube”. Jej akcje należały do Katowickiej Spółki Akcyjnej dla Górnictwa i Hutnictwa, której założycielem i głównym akcjonariuszem był Tiele-Winckler. Tak więc w sumie niewiele się zmieniło. W 1921 r. wobec niepewnej sytuacji politycznej pakiet kontrolny tej spółki sprzedano za 24 miliony marek Franciszkowi Flickowi.

Znaną postacią na przełomie stuleci wśród górnośląskich robotników i górników była Ewa, młodsza siostra Franciszka Huberta. Urodziła się w 1866 r. Gdy miała trzynaście lat zmarła jej matka Waleska von Winckler. Ojciec wycho-

wywał ją podobno po spartańsku. W wieku 16 lat postanowiła poświęcić się ubogim. Hubert Gustaw choć nie uszczęśliwiony uszanował decyzję swojej córki. Pomógł jej wyjechać do Bielefeld. Mogła się tam przyjrzeć działalności zakładów opiekuńczych prowadzonych przez kościół ewangelicko-augsburski. U ks. Fryderyka von Bodelschwingh zdobywała wiedzę pielęgnarską. Aby móc swobodnie rozmawiać z mieszkańcami Górnego Śląska nauczyła się języka polskiego. Ustupując uporowi Ewy — w zamku miechowickim wydzielono część pomieszczeń na wydawanie ubogim posiłków. 29 września 1890 r. otwarto i poświęcono, wybudowany nie opodal dom opieki dla sierot „Ostoja Pokoju”.

Niedługo później Ewa przyjęła święcenia zakonne i założyła swój diakonat pod tą samą nazwą. Każdy kolejny budowany dom otrzymywał swoje imię: „Cisza Syjonu”, „Elim”, „Kraina Słońca”, „Świętość Pana”, „Brama Łaski”, itd. Na początku lat międzywojennych mieszkało tam ponad dwa tysiące dzieci. Przebywali także dorośli znajdujący schronienie, a także pracę w zakładach diakonackich. Opiekowało się wszystkimi 600 diakonis. Pomoc w zakładach znajdowali wszyscy bez względu na narodowość czy wyznanie; Niemcy, Polacy, Żydzi. Sprawa działalności Matki Ewy stała się głośna w Europie i poza nią. W 1908 r. rozpoczął Diakonac pracę misyjną w Norwegii, Egipcie, Syrii, Chinach, Indiach, Gwatemali i dalszych 12 krajach. Diakonac wznosił 40 domów dla potrzebujących: bezdomnych, chorych, byłych więźniów, itd. Choć pochodziła z rodziny arystokratycznej, Matka Ewa mieszkała skromnie w małym domku obok kościoła ewangelicko-augsburskiego w Miechowicach i 28 domów „Ostoj Pokoju”. Zmarła 21 czerwca 1930 r. w wieku 64 lat. Pochowano ją na małym cmentarzu między kościołem a jej domkiem. Grób zachował się do dziś.

Dziedzicem hr. Franciszka Huberta, zmarłego w 1922 r., został jego jedyny syn Claus Hubert. W województwie śląskim był jednym z pięciu największych posiadaczy ziemskich, należało do niego ponad 10 tys. ha ziemi. Katowice stały się po 1922 r. stolicą polskiego województwa śląskiego. Była też tutaj siedziba nowego biskupstwa. W 1925 r. hrabia przekazał na jego rzecz tereny pod budowę katedry i pałacu biskupiego.

Hrabia Claus Hubert pomimo trzech małżeństw nie doczekał się dziedzica. Zmarł 14 listopada 1938 r. w pałacu w Mosznej. Sześć lat wcześniej adoptował niewiele młodsze od siebie kuzyna Hansa Wenera von Tiele. Przejął on tytuł hrabiego oraz spore, choć rozproszone dobra ziemskie, m.in. rezydencję w Mosznej, dobra Woszczyce koło Pszczyny, Volkrathruhe w Meklemburgii i Utças na Węgrzech. Nie był jednak zbyt długo ich posiadaczem. W 1945 r. musiał opuścić Śląsk. Od wschodu zbliżał się front. Zmarł 10 września 1957 r. w Kilonii-Schullensee. Miał 62 lata.

Pałac w Miechowicach został zniszczony w styczniu 1945 r. przez Rosjan. Dziś można zobaczyć resztki ruin, które bardziej wzbudzają żal niż dają wyobrażenie dawnej świetności. Większość diakonis i ich podopiecznych z „Ostoj Pokoju” wywieziono do Freudenbergu i Heiligengrabe. Przed paroma laty do Miechowic wróciła „Ostoja Pokoju”. Obecnie znowu służy pomocą potrzebującym.

Rezydencja w Mosznej — w przeciwieństwie do miechowickiej — nadal świeci swym blaskiem, choć po jej pokojach nie chodzą dziś hrabiowie, czy cesarze (gościł tam kiedyś cesarz Wilhelm II). Odnowiony pałac po zniszczeniach wojennych (i powojennych) stał się siedzibą Wojewódzkiego Ośrodka Sanatoryjno-Profilaktycznego specjalizującego się w leczeniu nerwic. Miłośnicy zamku i muzyki od trzynastu lat, wiosną organizują Muzyczne Święto Kwitnących Azalii. Przy pięknej pogodzie można podziwiać kwiaty i posłuchać dobrej muzyki. Podobno lubi odwiedzać to miejsce potomek dawnych właścicieli, obecny hrabia von Tiele-Winckler. ■

Mój dziadek

nosił biały sumiasty wąs
i miał kanciastą łysą głowę.
Mały był i krępy
a silny jak pszczyńskie
żubry. Na szycie
zabierał butelczynę,
i jako rębacz pociągał sobie tyk po tyku,
a później, u Danzigera
na Wilhelminie pomiędzy
Janowem a Helgolandem,
pomiędzy wieżami wyciągowymi a hałdami
wypijał zasłużone pół litra.
Po czym człapał, podśpiewując, do domu,
gdzie dwanaścioro dzieciaków czekało na jadlo
i czternasty rok życia,
w sam raz, żeby zjechać na dół.
Mój dziadek spadł z konia przed cesarzem Wilhelmem
w czasie parady wojskowej —
przyzwyczajony był jedynie do kopalnianych szkap.

Gdy się zestarzał, chodził chwiejnym krokiem
na Nikisz, na gliniankę koło cmentarza,
otoczonego przez włoskie topole,
z kozą, która nie dawała mleka,
z wędką na którą nie brały ryby,
z butelką, która nigdy nie zawiodła.
Przeklinał po polsku i po niemiecku: skrzeczał:
zum Donner, pieronie i psiakrew.
Dla mnie był czuły. Ze śmiechem miażdżył mi rękę,
targał za ucho, pozwalał
tulić się do pieca, kiedy w nim buzowało,
i malował ludziki z haczykowatymi czerwonymi nosami.
Jego synowie byli jak niedźwiadki:
śmiejąc się pokazywali bliźny po bykowcu.

Zmarł śmiercią naturalną przed osiemdziesiątką.
Orkiestra górnicza odprowadziła go na nikiszowski
cmentarz, topole szumiały powściągliwie,
glinianka przywdziała żalobę, dwunastu
synów silnie dało sobie w gaz.
Danziger nie postawił darmowego piwa:
unosił się nad Treblinką przemieniony w popiół.

**Las porzucony
przez armię**

Las bez armii —
jest to las niestrzeżony.
Wdzierają się weń zbieracze grzybów,
klusownicy zastawiają wnyki,
gromady włóczęgów i zabląkanych psów
włóczą się i wałęsają.
parki się parzą,
dzieciaki wrzeszczą.

Ach, ta tęsknota lasu
za kolczastym drutem
i mundurem.

(Wipersdorf, październik 1994/1.
Pierwszy szkic: Kolberg 1992)

**Tucho zmarł
w nocy we śnie**

Tucho zmarł w nocy we śnie.
Jeszcze wczoraj piliśmy.
Mówił:
„Już nie jestem spięty,
wiem, jak długo to jeszcze potrwa:
niedługo.

Słońce jest w sam raz do umierania,
ciepły, miękki piasek,
liście, pot
żałobników,
lepsze to niż ziąb,
pragnienie, a potem piwo
bursztynowo-żółte na rogu u Metzera.
Pijcie i jedzcie
na mój rachunek.
I nie chcę widzieć
jednej łzy,
macie się weselić,
ja robiłbym to samo —
gdybym był gościem
ma mojej stypie.”

**Kiedy w nocy
ujada pies**

we wsi —
to przeze mnie.
Wzdłuż płotu
ciągną za mną kundle,
ale już dalej
idę sam.
Czego tam kto szuka tak późno?
pytają śpiochy.
Niczego nie szukam,
idę,
w lesie jestem u siebie.
Nocą.

Mój drugi dziadek

Kiedy mój drugi dziadek przekroczył dziewięćdziesiątkę,
nie było w okolicy nikogo w tym wieku.
To ciągłe biadolenie, że już chciałby umrzeć,
dopóki go omal nie zatławiła ciężarówka. Wtedy przestał
biadolić i z daleka omijał słowo śmierć,
a także cmentarze.

Od czasu do czasu jedna z dziewczynek śpiewała mu wdzięcznie do ucha.
Lecz raptem jej dźwięczny śpiew zakłócił i zagłuszył
pewien okropny głos. I dziadek długo musiał czekać,
nim znowu usłyszał ten wdzięczny głosik.
Tak upływały mu lata między dziewięćdziesiątym a setnym rokiem życia.

Jego zięć Paulus,
młokos pod siedemdziesiątkę, co dzień przychodził go ogolić.
Jedna z grubych córek troszczyła się o wikt i opierunek,
w zamian za ojcowską rentę, co budziło zazdrość u pozostałych.
Kiedy zbliżał się do setki, zbliżyło się do niego
dzieciństwo. Ogrzewało go słońce dawnych wiosen.
Niósły się piosnki i pieśni. Polskie i niemieckie.
Wdzięcznie śpiewane, okrutnie przerwane.

Na setne urodziny zagrzmiąta mu pod oknem górnicza orkiestra,
ach, te jej trąby jerychońskie, to jej „Sto lat,
sto lat!” Wtedy umarł, nachylając się ku muzykantom,
którzy z miejsca zagrali Marsz Żałobny Chopina —
mojemu dziadkowi w dniu setnych urodzin.

Kuglarstwo

Wędrujące po niebie oceany
ciągną nad musztardówką
i ośmi po śledziu,
ponad piątką chleba
i nożem, który jest jak
wyrostek ryby miecza,
ciągną w stronę żelźniaka, ściślej:
ku szczelnie w rurze, ku jej górze magnesowej,
obok bursztynowo-żółtej ściany z świerkowego
drzewa,

okrywając mgłą pana Goethego i pana
Eckermanna,

pana Konfucjusza i pana Heinego —
panowie nie chcą fajkowego tytoniu?
Pomiędzy wodorostami, ostrygami i koralami
pływają żółte ryby;
ponad szczeliną w rurze wznosi się bóg Posejdon
z trójzębem, wydobyty z morza
dźwigiem gorącego powietrza,
przez kilka sekund trzepie, po czym
bezgłośnie rozbija koc o rafy
z świerkowego drzewa.
Na zewnątrz jest noc i mróz.
Dym z niedopałków robi jedynie kałużę.

Z końcem lutego

ćwiczy mój szpak swoją pieśń poranną,
jego trel jest trwożliwy,
urywa się, brak w nim melodii,
nic dziwnego — osiem stopni mrozu.

Wycieńczona tarcza słoneczna zakreśla
wątlą elipsę
na mglistym niebie
i niemal osiada na sosnach.

O zmierzchu milknie mój szpak,
spłoszony wciska się w krzewy,
przestraszyło go jezioro wybijające tamtamy.

Rankiem, z dnia na dzień coraz wcześniej,
frunie przez mroźne powietrze
i mężnie ćwiczy swoją pieśń.

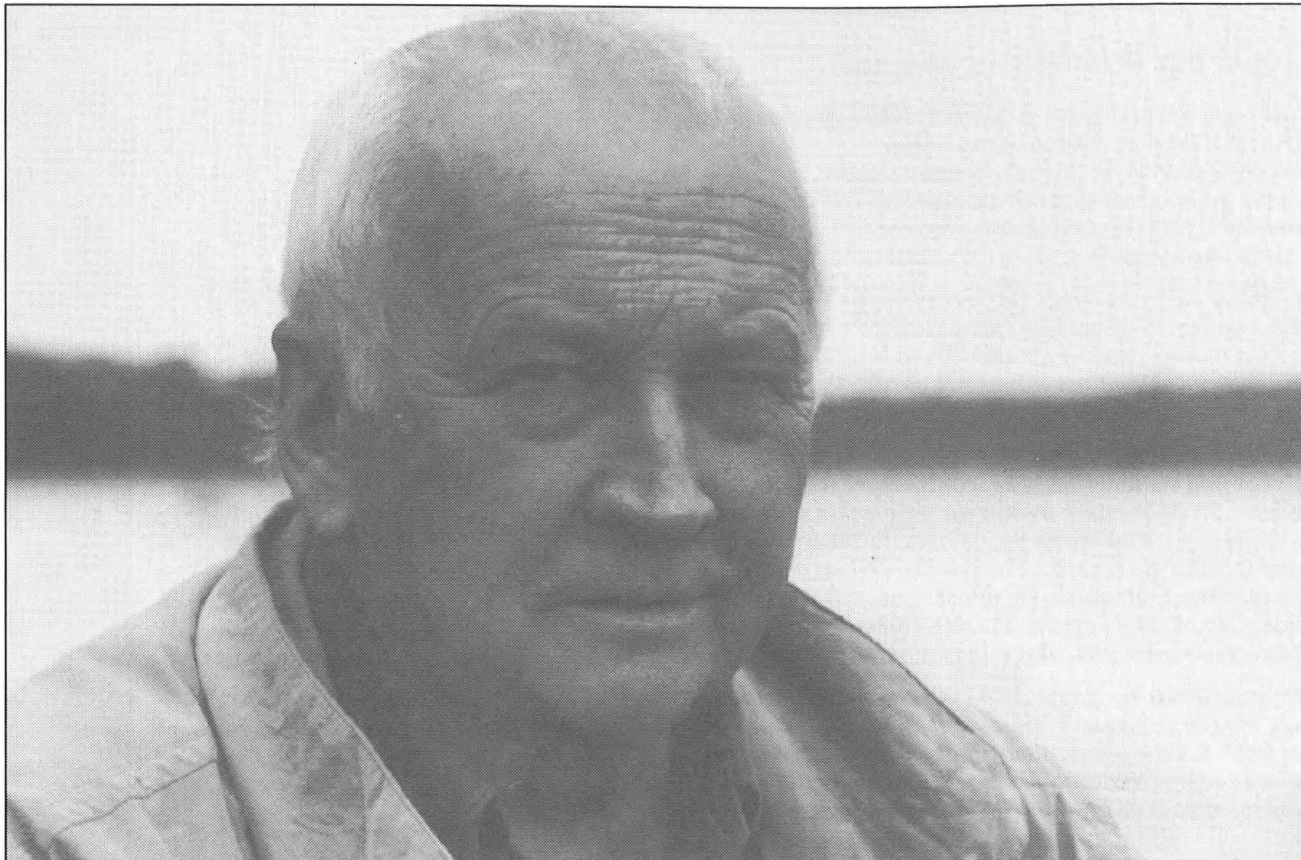
Bezgłośny dzień

Nie krzyczy wrona,
nie skrzeczy sroka,
cichy jest wiatr.

Z mojego okna widzę szpaka:
nieruchomy i milczący
wpatruje się w głowę karpia,
której już dość dawno
najadł się do syta,
ale nie zamierza ustąpić —
głód może jeszcze wrócić.

Skostniały stoi na kupie kompostu,
trzyma straż przed głową karpia,
złakniony głodu.

Ten wiersz wart był milczącego szpaka,
który ten dzień wyjął mi z niemoły.



Rozmowa
z HENRYKIEM
BERESKĄ

Chciałem zrobić coś pożytecznego dla Polski i Niemiec

„Mój Dziadek” — to poetycka autobiografia, w której Szopienice, rodzinne Pana miasto, jawią się jako utracony raj...

— Dla człowieka starszego, dzieciństwo jest tym źródłem, do którego nieustająco wraca. Dla mnie, który patrzy wstecz, zasze zmiany, zarówno w pejzażu jak w ludziach, są czymś czego nie sposób do końca zrozumieć i się z tym pogodzić.

Urodziłem się osiem lat po zakończeniu I Wojny Światowej i trzynaście lat przed rozpoczęciem następnej zawieruchy. Okres ten to była idylla w porównaniu z tym co potem nastąpiło. Moje „Szopienice” były otoczone polami i zagonami, które uprawiali pracujący pod ziemią mężczyźni. Przed domkami, które tonęły w kwiatkach i sadach siedzieli starzycy w dużych kapeluszach. Miałem wspaniałych rodziców, dziadków, wujków, ciotki. W niedzielę rolada i kluski, na co dzień wodzianka i żur, po którym

mówiono: „będzie człowiek jak z muru”. Egzystencja była trudna, życie biedne, ale dla nas dzieci wszystko wydawało się rajem. Hasaliśmy po łąkach, a w niedzielę białym jeździłszy do okolicznych lasów na festyny, lub popływać na Szałwajer. Było wesoło, mężczyźni pili piwo, kobiety gwarzyły a dzieci tańczyły, bawiły się piłką...

Po ukończeniu I klasy licealnej marzyłem o przygodzie. Chciałem Wisłą popłynąć do Gdańska, a potem dalej statkiem w świat. Wszystkie te plany przerwała wojna. W Szopienicach nie była ona tak widoczna. Kiedy wkroczyła niemiecka armia na ulicach pojawiły się lawety ciągnięte przez ogromne konie. Nie czuć było okrucieństwa, gwałtów. W pierwszych latach wojna biegła jakby obok, nie zaprzętała mojej uwagi. Czytałem książki, pasjonowałem się lataniem na szybowcach. Poza tym rodzicom zdawało się, że dzieci trzeba

chronić przed straszną prawdą o tym, co działo się w Sosnowcu, Będzinie, miastach z żydowską ludnością. Nie mówiło się też o Oświęcimiu. Silnie działała nazistowska propaganda, która bałamuciła mózgi...

— Pod koniec wojny trafił Pan do niemieckiej Luftwaffe, miał zostać lotnikiem.

— Poddany indoktrynacji, działania na rozkaz, byłem przerażony tym, że trzeba będzie zabijać lub samemu zginąć. Wkrótce jednak okazało się, że niemiecka Luftwaffe, w kończącej się wojnie, nie odegra już żadnej roli. Ostatnie miesiące wojny spędziłem wędrując z moją jednostką po Alpach. Był to bardzo dziwny czas. Piękne góry, widoki, kontakt z przyrodą, a gdzieś dalej dogorywała wojna. Dla nas, młodych chłopców, którzy nie oddali ani jednego strzału, nie widzieli trupów, była to katastrofa jakby z innego świata. Potem kapitulacja Niemiec, krótka niewola w obozie u Ameryka-

nów i wielki głód, który przyjmowaliśmy jako karę za głupotę. Nastąpił dziwny świat wolności, radość ale i niepokój o rodziców, czy żyją, czy zdolali uciec przed frontem wojsk radzieckich, gdzie ich szukać... Rozpocząłem podróż po Niemczech od gór do morza, przejeżdżałem przez zrujnowane miasta i wszędzie w Bawarii, Frankonii, po tej nieludzkiej wojnie, byłem traktowany życzliwie, serdecznie i gościnnie. Był to jedyny okres, kiedy ludzie byli przyjaźni, otwarci i życzliwi w stosunku do obcych, bezdomnych, nawzajem się szukających. Zimą spędziłem w pobliżu Bremy, pracując w stoczni. W rozmowach unikano tematów wojennych. Jeżeli ktoś się zdecydował mówić co przeżył na froncie, we Francji, Polsce, Rosji, to jego opowieści miały posmak przygody a nie dramatu. Wszystko to dla mnie było dość przerażające i niesamowite.

Na Śląsk powróciłem z zamiarem zamieszkania w Szopienicach. Zostałem tu moich rodziców, którzy nie zmieniając adresu, po raz czwarty zmienili narodowość. W Katowicach zgłosiliśmy się do Studium Przygotowawczego dla tych, którzy nie mogli ukończyć matury. Cała moja generacja była werbowana do Wehrmachtu, ale moja sytuacja przedstawiała się inaczej. Od byłego słuchacza szkoły lotniczej, osoby szczególnie podejrzanej, wymagano udowodnienia lojalności. Propozycje Urzędu Bezpieczeństwa były dla mnie nie do przyjęcia.

— **Zwykł Pan mówić — zwiąłem. Gdyby nie UB nie zostałbym tłumaczem ...**

— Dziś tak żartuję, ale decyzja opuszczenia Szopienic, rodziny, była ciężka, powiedziałbym nawet dramatyczna. Kiedy znalazłem się w Berlinie, odczuwając do tkliwie braki w wykształceniu, zapisałem się do szkoły przygotowującej na studia. Potem już niemal z marszu trafiłem na Uniwersytet Humboldta w Berlinie, gdzie ukończyłem germanistykę.

W czasie studiów spotkałem Tadeusza Borowskiego, byłem zachwycony a równocześnie dogłębnie przejęty jego przerażającą prawdą o Dachau i Oświęcimiu. Borowski bardzo przeżył Zjazd Literatów w Szczecinie, na którym potępiono jego opowiadania jako kosmopolityczne, niepartijne, naturalistyczne. Sowieckie pisma literackie pełne były druzgocących krytyk jego opowiadań. Ten wybitny pisarz i poeta próbował przekonać się do idei komunizmu, chciał wierzyć w propagandę straszącą nową wojną, boleśnie odczuwał też brak rozrachunku z przeszłością. W końcu nie mogąc się pogodzić z tym wszystkim sam zdecydował o odejściu z tego dziwnego świata wartości, w którym nie znalazł dla siebie miejsca.

— **Pracował Pan w wydawnictwie. Dlaczego zaledwie po trzech latach zostawił Pan tę ciepłą posadę?**

— Komunizm typu NRD-owskiego zaczął się okazywać coraz bardziej tożsamy z tym, co dobrze już znałem. Znowu okrzyki, mundury, fanfary i marsze. Rozpanoszyła się szalona propaganda, z uniwersytetów rugowano starą, dobrą generację profesorów. Nastawał czas ludzi niedouczonego... Wymyślono wygodną tezę: faszyści to byli oni, ci z Zachodnich Niemiec. My jesteśmy inni. Tej iluzji poddano się bardzo szybko. Mając za sobą hitlerowski totalitaryzm, przyzwyczajenia do braku samodzielnego myślenia, łatwo poddano się schematowi sowieckiemu. Z dnia na dzień, towarzysze nazistowscy, przeobrażali się w towarzyszy partii komunistycznej. Po szkołach, urzę-

dach, uniwersytetach krążyły druki z odpowiednią deklaracją, którą należało tylko podpisać... Tak myśleć i postępować nie potrafiliśmy. To co przeszedłem i czego sam doświadczyłem było nauką, wystarczającą do końca życia. Dobrze wiedziałem czym jest każdy totalitaryzm, do czego zmierza i czym się kończy. Stałem się sceptykiem, odpornym na wszelkie fałszywe dogmaty. Odszedłem zatem z wydawnictwa, bo wiedziałem, że cena za państwową posadę i szansę stabilizacji prędzej czy później okaże się wysoka...

— **Czym się Pan kierował decydując się na status niezależnego tłumacza?**

— Odczuwałem powinność zrobienia czegoś pożytecznego dla Polski i Niemiec. Za rzecz nadrzędną uważałem przełamanie schematu „polsche wirtschaft”. Na uniwersytecie nie poznałem nikogo, kto miałby najmniejsze pojęcie o polskiej literaturze. Będąc człowiekiem dwujęzycznym zacząłem się tłumaczeniem najlepszych pozycji z klasyki polskiej oraz współczesnych autorów. Trzeba przyznać, że we Wschodnich Niemczech Kochanowski i Mickiewicz zastąpili na rynku wydawniczym wcześniej niż w Niemczech Zachodnich. Nauczylimy się obchodzić zakazy i nakazy. I tak np. kiedy wydanie *Faraona* Prusa napotkało trudności, natychmiast napisaliśmy recenzję, że jest to lektura Stalina do poduszki. Fortel udał się i książka trafiła do druku.

— **Domyślam się, że z pisarzami współczesnymi sytuacja była o wiele bardziej skomplikowana...**

— Patrząc wstecz, oceniam dziś, że był to dziwny, trochę śmieszny okres. W 1960 r. zatrzymano *Popiół i diament* Andrzejewskiego sądząc, że niemiecki czytelnik nie zrozumie tego, jak syn partyjnego sekretarza może zostać „wrogiem” nowego systemu. W 1962 r. zakazano drukowania opowiadań Borowskiego. *U nas w Auschwitz* i *Proszę państwa do gazu*. Jedno z nich trafiło do pierwszej *Antologii Literatury Polskiej*, ale w wydaniu drugim, Borowski nie mógł się już ukazać. Uważano, go za pisarza subiektywnego, znaleźli się znawcy, którzy twierdzili, że nie tak wyglądało Dachau czy Oświęcim. Panował pogląd, że jedynie byli dobrzy i źli Niemcy, stąd przekonanie, że obóz koncentracyjny to wyłącznie problem kata i ofiary i w przestrzeni tych dwóch skrajności nie chciano dostrzec postaw pośrednich, równie odpowiedzialnych za popełnione zbrodnie.

Stale trzeba było walczyć z idiotyzmami. Także Różewicz z początku był nie do przyjęcia. Nie chciano zrozumieć i przyjąć do wiadomości jego moralnych rozrachunków w *Świadkach*, czy *Małej stabilizacji*. Kiedy w 1965 r. teatr uniwersytetu w Lipsku wystawił Różewicza, po pierwszym spektaklu wyrzucono zaangażowanych w przedstawienie studentów. Podobnie miała się sytuacja z Mrożkiem, którego świat groteski i absurdu, nie pasował do napuszonej NRD-owskiej rzeczywistości. Cezura, kiedy można było już wystawiać Mrożka i Różewicza, był rok 1975. Mnóstwo reżyserów i aktorów było zachwyconych tymi, atrakcyjnymi dla niemieckiego odbiorcy, autorami. Wystawianie ich sztuk rozpoczęło od prowincji. Najpierw była Turynia, Poczdam, a na końcu, dużo później dopiero Berlin. O ironio, zainteresowaniu literaturą polską, teatrem sprzyjała cenzura. Zakazany owoc okazał się czymś bardzo atrakcyjnym dla niemieckiego odbiorcy.

— **Kiedy zaczął Pan przyjeżdżać do kraju**

— Polska dla nas i dla mnie była pewnego rodzaju „zachodem”. Wszystko co działo się po roku 1956 w kulturze — filmie, plakacie, malarstwie, literaturze stanowiło znaczące wydarzenie artystyczne. Natomiast w NRD odczytywano niektórych autorów, jak np. Kafkę czy polskich pisarzy emigracyjnych, jako zjawiska rewizjonistyczne i składowano, jak to określano w gift szrank (szafie trucizn).

Od roku 1955, kiedy władze zezwoliły na wyjazdy twórcom, którzy po obu stronach Odry i Łaby zajmowali się pisarstwem i przekładem, zacząłem systematycznie przyjeżdżać do Polski. Już pierwszy, miesięczny pobyt w Państwowym Instytucie Wydawniczym był niezwykle owocny. Od tego czasu datuje się moja znajomość ze Stanisławem Jerzym Lecem, Józefem Lipskim, Andrzejem Kijowskim. Bywałem na spotkaniach teatralnych we Wrocławiu, czytałem niedostępne w NRD książki, w tym paryską Kulturę, prowadziłem rozmowy bez obawy o donos. Do Berlina wracałem nafiadowany nowościami rynku wydawniczego, zorientowany kogo należy tłumaczyć. Polskę zawsze uważałem za, powiedziałbym, bardzo mi potrzebne „powietrze”, antidotum na nrdowskie ponure i bez humoru towarzystwo.

Wtedy też rozpoczęły się moje przyjazdy na Śląsk. Czas tu spędzany dzieliłem pomiędzy Szopienice, gdzie czekali na mnie, żyjący wówczas jeszcze, rodzice oraz Dom Prasy w Katowicach, w którym swoją siedzibę miały *Poglądy*. Pamiętam dobrze rytm spędzanych tu dni. Wpierw poranny spacer ulicą Wieczorka, jakaś kawa z koniakiem, potem wielogodzinne dyskusje w redakcji z Wilhelmem Szewczykiem, Albinem Siekierskim, Stanisławem Wilczkiem, Bolesławem Luboszem, Tadeuszem Kijonką. Późnym popołudniem obiad w Polonii, Metropolu czy Marcholcie, gdzie w tych latach spotykała się cała artystyczna bohema nie tylko Śląska. Piliśmy wódeczkę i otwarcie mówiliśmy o wszystkim, także o polityce, co w Berlinie, zwłaszcza w miejscach publicznych było absolutnie tematem niedozwolonym.

Wilhelm Szewczyk witał mnie w *Pogładach* serdecznie i otwarcie. Po kilku grzesznościowych zdaniach: co słychać, jak minęła podróż, natychmiast zanurzaliśmy się w naszych warsztatowych problemach, literaturze polskiej, niemieckiej, śląskiej. Byliśmy tak pochłonięci rozmową że, bywało, nie zauważaliśmy upływu czasu, zmroku, który dawno już spowił redakcyjny gabinet szefa. *Poglądy* i tamci ludzie znaczyli dla mnie bardzo wiele, toteż do Katowic przyjeżdżałem z uczuciem prawdziwej tęsknoty, złakniony wymianą myśli na najwyższym poziomie.

Podziwiałem niezwykłą umiejętność Szewczyka kierowania zespołem. Będąc przez wszystkich uznanym autorytetem, nie musiał odwoływać się do zakazów i nakazów. Tworzył pismo bez narad, pouczeń, polejańek. Twórczyni tworzywem, źródłem pomysłów i koncepcji, były dyskusje, rozmowy, do których podjęcia Szewczyk był zawsze gotów. Obserwując go w pracy, bywając w jego domu podziwiałem jak tytanicznie, z ogromną dyscypliną, potrafił sobie narzucić rytm dnia. Wstawał wczesnym świtem, przed pójściem do redakcji cztery godziny pisał teksty. Moim zdaniem, ogrom spraw publicznych, którym się poświęcał, nieustające gruntowne studia literatury niemieckiej i polskiej, odciągały

Szewczyka od pisania, były niewątpliwą przeszkodą w tworzeniu własnych rzeczy.

— Czy „Poglądy” pomagały Panu w translatorskich poczynaniach?

— Zawsze przywoziłem ze sobą, spisane na karteczkach, znaki zapytania, problemy, których nie mieszkając długo w Polsce, nie potrafiłem sam rozwiązać, subtelności podtekstów nie do rozszyfrowania nawet przy pomocy najlepszego słownika. Krąg ludzi związanych z *Poglądami* pomagał mi w kontaktach z pisarzami, których twórczość mnie interesowała. I tak Irena Sławińska pojechała ze mną do Skoczowa do Gustawa Morcinka, kiedy przekładałem jego *Wybór nowel*. Poznała mnie też z malarzem prymitywistą Wróblem, o którego istnieniu, mimo, że mieszkiał w „moich” Szopienicach nie wiedziałem. Był wtedy jeszcze artystą nieznanym i w pełni niedocenionym. Kolorowy śląski świat jego obrazów wiernie oddawał ten, który zapamiętałem ze swojego dzieciństwa. Nieakademicka twórczość Wróbla tak mnie zachwyciła, że napisałem o nim wiersz.

Dzięki *Poglądom* dotarłem do Tadeusza Różewicza, co nie było łatwe, bo należy on do tych pisarzy, którzy unikają głośnego życia towarzyskiego, tworzą w ciszy i samotności. Osobisty kontakt z Różewiczem był mi bardzo pomocny w przekładach jego scenicznych sztuk.

— Nie pozostawał Pan dłużny swoim przyjaciołom i kiedy przyjeżdżali do Berlina, kontaktował ich Pan z indywidualnościami tamtejszej bohemy...

— Obok Pierzchały, pełniącego w latach 60-tych funkcję attache kulturalnego w polskiej ambasadzie, stosunkowo najczęściej w Berlinie bywał Szewczyk, który moim zdaniem, o literaturze niemieckiej wiedział więcej niż jej rodzimi znawcy. Interesowało go zachowanie rosyjskich pisarzy w Berlinie. Zorganizowałem mu spotkanie z Borysem Dżaczenko — Łotyszem z Rygi, wielkiej fantazji twórcą i dramatycznym talentem, autorem *Serca i popiołu*. Wilhelma Szewczyka, wytrawnego konesera, fascynował nade wszystko, najwybitniejszy poeta tamtego okresu Piter Huchel, który za niezależność kierowania „Sinn und Form” najlepszego pisma literackiego, został odsunięty od publicznego życia. Należałem do tych nielicznych osób, które miały odwagę odwiedzać tego dysydenta w jego samotni pod Poczdamem. Szewczyk nie mógł jednak podobnie jak ja ryzykować. Jako poseł śląski, postać polityczna miał sytuację trudniejszą, musiał dokonywać wyboru, jak daleko może się posunąć. Tu nie tylko potrzebna była odwaga, ale nade wszystko rozsądek, mógł przecież utracić o wiele więcej niż ja, pracujący na uboczu, niezależny tłumacz. Nie mogąc doprowadzić do spotkania, tych wzajemnie siebie ciekawych postaci, w obydwie strony transmitowałem ich poglądy i twórcze dokonania.

— Co się zmieniło od czasu upadku muru berlińskiego w recepcji literatury polskiej w Niemczech? Czy można dziś mówić o zawężających się nią zainteresowaniach, a nawet kryzysie?

— Po roku 1989 otworzył się rynek wydawniczy dla literatury światowej, przez pół wieku prawie nieobecnej w Niemczech Wschodnich. Na targach książki we Frankfurcie można było dostać zawrotu głowy od tysięcy różnych doskonałych pozycji. Mieszkaniec byłego NRD, który miał do tychczas łatwy dostęp do literatury polskiej, dziś ją odłożył, a kupił przekład tej, która była trudna do zdobycia. Nie znaczy to wcale, że mamy do czynienia z kryzysem. Zmiana zachowań Polaków rodzi wiele nowych, ciekawych zjawisk, które pozostają w kręgu zainteresowań niemieckiego odbiorcy. Przekładem problem emigracji. Trwał 200 lat i definitywnie zakończył się w polskiej literaturze. Nie ma już postaw: „nie chcę żyć w tym kraju, systemie, brać w tym wszystkim udział”. Nagle w kraju jest obecny Miłosz, Herling-Grudziński, z emigracji wraca Mrozek. Ciągłe arcyciekawe, dla generacji trzydziestolatków do końca nie rozpoznane są filozoficzno-historyczne refleksje nad polskim komunizmem, czyli problemy, które motywowały do pisania moje pokolenie, że wymienię *Dziennik pisany nocą* Herlinga Grudzińskiego, czy pozycję Miłosza. Nie ustało zainteresowanie Solidarnościowym zrywem. Spojrzenie z Berlina na Polaków nie jest pozbawione dezorientacji, dlatego ta formacja się rozpada, nie może znaleźć swego bloku. Są też sprawy i problemy tożsame dla nas, którzy wyszliśmy z komunistycznego systemu. Okazało się bowiem, że wielopartyjność, otwartość mediów czyli to, co przed transformacją uważaliśmy za nasz ratunek, niewiele potrafi zmienić, jest pożytkiem ale też dokuczliwością, powiedziałbym nawet plagą. Trzeba o tym pisać, tłumaczyć, publikować ale... pamiętać że zmieniły się kryteria. 10 lat temu, wystarczyło krytycznie odnieść się do rzeczywistości, a już czytelnik doznawał zawrotu głowy i chwalił lekturę, teraz, kiedy już można wszystko powiedzieć, sporo rzeczy nie wytrzymało próby czasu, okazało się bez wartości. Warto może

przypomnieć słowa Parandowskiego: „Pisarze, którzy prawdy swego pokolenia chcą przekazać wieczności, giną razem z nim. Szansę przetrwania mają tylko twórcy, którzy prawdy wieczne przybliżają swojej generacji”.

Podoba mi się to, że po Odrze pływa statek, którego pasażerami po połowie są poeci polscy i niemieccy. Chcą być ze sobą, wzajemnie czytać swoje wiersze. Zanikają bariery językowe, aby się porozumieć, niekoniecznie Polak musi znać język niemiecki a Niemiec — polski. Coraz częściej porozumiewamy się pomiędzy sobą po angielsku. Podobnie jest w szkołach i placówkach kulturalnych, do których, bez żadnych specjalnych rocznic czy świąt, przyjeżdżają młodzi poeci z Kielc, Lublina. Być może, że obecnie wydaje się mniej polskich tytułów, ale za to jest więcej kontaktów pomiędzy ludźmi i to jest duży krok naprzód w poznawaniu siebie i układaniu naszych wzajemnych stosunków.

Nie bez znaczenia są kontakty handlowe, te przygraniczne, gdzie na polskich targach, mieszkaniec Niemiec robi zakupy płacąc o połowę mniej i oficjalne międzypaństwowe. Proszę zauważyć, że częstym miejscem spotkań na najwyższych szczeblach jest Gdańsk — symbol zarzewia konfliktu polsko-niemieckiego. Fakt, że obecnie to miasto moderuje nową jakość naszych stosunków ma wiele podtekstów, to wręcz manifestacja dobrej woli obu stron. Nareszcie slogany o wzajemnej przyjaźni, których nikt nie brał poważnie, zastąpiły konkrety, to cieszy i napawa optymizmem.

Wracając do pytania o sytuację polskiej książki na rynku wydawniczym... Nie sądzę abym kiedykolwiek mógł pozostać bezrobotny i nie mieć co i dla kogo tłumaczyć. Obecnie przekładam wiersze Urszuli Kozioł. Jej tomik składający się z sześćdziesięciu wierszy ukazuje się w małym wydawnictwie Nataszy Goerke, młodej pisarki mieszkającej w Hamburgu. Pracuję też nad antologią poetów generacji po roku 1945. Tłumaczę w ciemno, sam wybieram to co uważam, że może być dostrzeżone przez niemieckiego czytelnika. Nieustająco organizuję spotkania z polskimi twórcami, jeden z ostatnich miał miejsce w Lipsku.

Literatura i sztuka, kultura zawsze będą miały swoje miejsce, nie da się ich zabić. To jest moja odpowiedź na pytanie o kryzys w tym względzie. Nie jest łatwo, zewsząd słychać narzekania, że myślenie o pieniądzach dekoncentruje twórczość, ale trzeba nauczyć się z tym żyć i dalej pracować.

— Co Pana cieszy a co niepokoi w życiu literackim, kulturalnym Śląska?

— Trudno odpowiedzieć na to pytanie nie zacząć od ogólniejszej oceny sytuacji tej Ziemi, która nie jest wesoła. Nie wiadomo skąd weźmie się pieniądze na ratowanie architektury i środowiska. Ale jest miesięcznik *Śląsk*, dobra trybuna do pokazania wszystkiego, co tu się dzieje i co jest do zrobienia. Znane nazwiska z Kijonką i Netzem na czele, mogą autorytatywnie zabierać głos w wielu sprawach, poruszać opinię publiczną, bić, jeśli



Foto: Michael Biedowicz

Tadeusz Różewicz, Henryk Bereska, 1990 r.

trzeba, na alarm, poruszać sumieniami finansistów i decydentów. Wbrew pozorom twórca może sobie pozwolić na dużo więcej niż urzędnik czy nawet minister.

Wszędzie i wokoło słychać narzekania na finansowe kłopoty. Ale jakoś, pomimo wszystko tyle ciekawych rzeczy się dzieje. Teatr Wyspiańskiego, który też ma trudną sytuację, potrafił dokonać przedsięwzięć nadzwyczajnej rangi. Mam na myśli imprezy wokół Miłosza, Brodzkiego czy ubiegłoroczne Dni Grassa. W ciągu krótkiego czasu zrobiono sceniczną adaptację jego prozy, zorganizowano wieczór poetycki z znakomitymi nazwiskami autorów i tłumaczy. A co równie ważne... wszystkimu towarzyszyło ogromne zainteresowanie publiczności Śląska, bo ukoronowaniem, przypięczeniem sukcesu jest dopiero brak wolnych miejsc na widowni, dostawianie krzeseł. Wracając do miesięcznika „Śląsk”... dobrze, że powstało to pismo i kontynuuje społeczno-kulturalny profil *Poglądów*. Jest jednak we mnie przemożny smutek za atmosferą tamtych czasów. Zakończył się czas biesiad, spotkań, które zbliżały ludzi do siebie. Wbrew pozorom to właśnie one dostarczały tematów felietonistom, podglądaczom życia bohemy. Zmieniły się czasy, ale... trzeba robić swoje...

Kiedy przyjeżdżam do Katowic i już na dworcu słyszę, miłą memu uchu, śląską gwara, przypominam sobie Szewczyka, który bolał, że się nie utrzyma i źródłosłowie wielu archaicznych polskich i niemieckich słów pójdą w zapomnienie. Stało się inaczej, po okresie tępienia i wyśmiewania śląskiej mowy, gwara w tym regionie jest żywym językiem i odezwanie się po śląsku nawet w tzw. dobrym towarzystwie jest dobrze przyjmowane.

— **Jakie cechy śląskie, przekazane w rodowodzie, ceni Pan w sobie najbardziej?**

— Przede wszystkim solidność i upór. Jeśli się coś robi, to porządnie i do końca. Nie jestem jednak tak pracowity jak np. Szewczyk, chociaż muszę wyznać, że zawsze do pracy zabieram się z zamiarem najwyższym. Przewrotność miesza się u mnie z niezłomnością, lubię życie wesole, dobry rubaszny dowcip. Poza tym zawsze brałem się z życiem za bary, nie dałem się nigdy złamać, wykiwać, wycwanic. W Berlinie nie było Ślązaków, którzy emigrowali na Zachód, dlatego swoją śląskość kontynuuję wprost od korzeni. Gdyby nie moje przyjazdy, powroty tutaj, trudno byłoby mi wytrzymać półwiecze ponurego nrdowskiego życia.

— **Mówi się, że tłumacz to twórca niespełniony, dlatego prędzej czy później sam chwytą za pióro...**

— Tłumaczenie tekstów zawsze traktowałem poważnie, z pasją. Ważniejszym od pieniędzy było zmaganie się z językiem. Natomiast moja poezja to sprawa stylu życia. Kiedy się mieszką na wsi i obcuje z przyrodą, jest wiele pokus aby opisać np. wzlot dzikich gęsi i porównać ten obraz do pola, które jakby unosiło się ku niebu. Interesującą są także wtopieni w pejzaż ludzie. Chęć opisu tego wszystkiego jest tak przemożna, że nastroje, konkretnie życia same cisną się pod pióro...

— **Gdyby aforyzmy to przemysł, bóle i gorycze, a liryka to opis świata w którym żyłem i żyję. Koncentruję się przeważnie na detalu, przyrodzie. W mojej poezji starałem się też opisać życie w otoczonej murem Berlinie, w którym życie wieczora-**

mi zamierało. Ponieważ gładzenie oficjeli, reprezentujących ówczesną władzę, było niemożliwe do słuchania, ogromnie lubiłem nastawiać ucha na to, co mówi prosty lud. Szedłem do knajpy, zamawiałem piwo i słuchałem robotniczych żartobliwych rozmów, bogatych zwyczajem ale niezwykle celnym dowcipem. Luter przeciwie mówił: „... patrz na gęby ludu, co one mówią...”.

Niestety władza tej mądrości nie zna, albo lubi o niej zapominać, nie słuchając narodu traci z nim kontakt...

— **W maju ubiegłego roku obchodził Pan 40-lecie pracy twórczej. Z tej okazji koledzy wydali bardzo piękną laudację, w której są wpisy luminarzy literatury polskiej, czeskiej i niemieckiej. Oswald Kot z okazji jubileuszu napisał: „Henryk Bereska jest czczony za to, że od ponad 40 lat jest przekaznikiem polskiej kultury. Zasłużył się niezwykłą służbą słowu, a przekładając polską poezję wtopił w świadomość niemiecką jej urok, uczynił z poezji część polskiej kultury”. Jak Pan podolał takiemu ogromowi pracy, mając w swym dorobku pozycję od Kochanowskiego, do współcześnie w Polsce tworzone?**

— Odpowiedź na to pytanie znajdzie Pani w moim kodzie genetycznym, o czym już mówiłem. Trudne rzeczy traktowałem zawsze jak swoistego rodzaju wyzwanie, jest w tym coś z mojej przekory, nawet szaleństwa, o co nie trudno być posądzonym, zabierając się np. za Witkacego czy Wyspiańskiego. Gdybym miał przekładać tylko łatwe rzeczy szybko bym się znużył. Przedzieranie się przez gąszcz trudności, daje niebывале emocje, ale jakąż jest radość kiedy spod pióra wychodzi celny jędrny tekst. Pół wieku temu próbowano przekładać Kochanowskiego stosując niemiecki XVI-wieczny język. Nie wyszło to dobrze. Ja wybrałem inną drogę, zastosowałem język epoki, lecz bez niepotrzebnych modernizmów.

— **Naszą rozmowę prowadzimy w Teatrze Wyspiańskiego, nie może zatem zabraknąć pytania o „Wesele”, którego tłumaczenie zyskało opinię kongenialnego, mimo, że dzieło to uchodzi za nieprzekładalne...**

— Jest faktem, że wielu tłumaczy przy mierzało się do tej niełatwej dla tłumacza scenicznej sztuki i nie potrafiło doprowadzić zamiaru do końca. Przyznam się, że i ja kilka razy zaczynałem i zarzucałem robotę. Odwagi i desperacji dodawało mi głębokie przekonanie, że to polskie dzieło wiele może wyjaśnić niemieckiemu odbiorcy, że *Wesele* po niemiecku będzie oglądane i czytane. Oddanie specyficznego polskiego klimatu nie było najpoważniejszą trudnością. Aby pozostać jak najbliższe oryginału należało znaleźć odpowiednie metrum, rym którym tętni *Wesele* i polska sprawa. Poważnym problemem było znalezienie odpowiednika gwary podhalańskiej. W przypadku kaszubszczyzny wystarczy sięgnąć do języka, którym się mówi na północy Niemiec, tam są podobne skróty językowe i podobne, podania ducha języka „przeonaczenia”. Do oddania ducha języka krakowskich chłopów nieprzydatna okazała się gwara bawarska i frankońska. Zastosowałem zatem język plebejski, który najbardziej oddał klimat chłopskiej gadki Jaśka.

— **Dziękuję Panu za rozmowę.**

Rozmawiała:
EWELINA PUCZEK

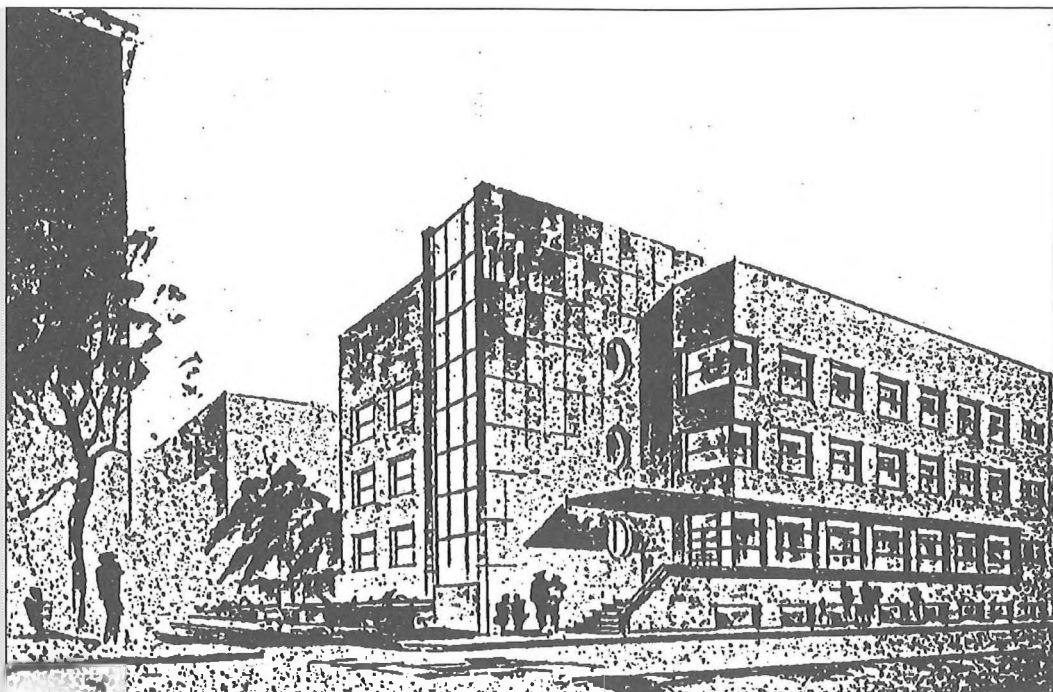
HENRYK BERESKA

Urodził się w Katowicach-Szopienicach w roku 1926. Do szkoły powszechnej uczęszczał w Szopienicach, naukę w liceum rozpoczął w Mysłowicach. Jest człowiekiem, o którego losie zdecydowała wojna: zmobilizowany, służył w Luftwaffe, po krótkim pobycie w niewoli amerykańskiej — powrót do rodzinnych Szopienic... Wtedy ze strony Urzędu Bezpieczeństwa wychodzi propozycja współpracy, którą Henryk Bereska odrzuca, w konsekwencji ucieka przez zieloną granicę na Łużyce, stamtąd udaje się do Hamburga, wreszcie osiada w Berlinie, gdzie zrobił maturę oraz studiował germanistykę i slawistykę — studia ukończył w roku 1952. Po roku pracy w wydawnictwie Aufbau Verlag, wybiera status „wolnego strzelca” — przez czterdzieści lat dokonuje gigantycznej pracy przekładowej — tłumacząc na język niemiecki poezję polską od Jana Kochanowskiego po Adama Zagajewskiego. Dorobek translatorski Henryka Bereski jest przebogaty: obok dramatów St. J. Witkiewicza i T. Różewicza, powieści J. Andrzejewskiego, A. Rudnickiego, W. Myślińskiego, E. Redlińskiego. Wielkim osiągnięciem jest przekład „Wesela” St. Wyspiańskiego.

Henryk Bereska jest wybitnym tłumaczem (laureatem m.in. nagrody polskiego PEN-Clubu i Śląskiej Nagrody Kulturalnej Dolnej Saksonii), ale także świetnym poetą i aforystą. W dorobku poetyckim tego znakomitego katowiczana zwraca szczególną uwagę cykl wierszy o rodzinnych Szopienicach i pobliskim Janowie i Nikišovcu. Poeta kreśli z miłością i nostalgią portrety dziadków, wujów, sąsiadów, z czułością pisze o swoich śląskich przodkach i głębokim zakorzenieniu w polskiej mowie a także śląskiej gwarze.

Mógł być Polakiem, jest Niemcem — i przez całe dojrzałe życie buduje mosty między Polską i Niemcami.

Pierwszy
własny
gmach
Rozgłośni
Śląskiej
u zbiegu
ulic
Ligonia
i Królowej
Jadwigi
(projekt
inż. Tadeusz
Łobos)



RÓG LIGONIA I KRÓLOWEJ JADWIGI

FELIKS NETZ

W tym miejscu, u zbiegu tych dwóch ulic postawiono przed wojną budynek Polskiego Radia. W dziesięciolecie istnienia - w grudniu 1937 roku - katowicka rozgłośnia przeniosła się z gmachu Banku Spółek Zarobkowych (dzisiaj gmach banku u zbiegu Warszawskiej i Mieleckiego) na róg Ligonia i Królowej Jadwigi. W tym budynku zespół Polskiego Radia w Katowicach pod dyktando Stanisława Ligonia (wnuka patrona tej ulicy - Juliusza Ligonia!) pracował zaledwie dwadzieścia miesięcy. Do wybuchu wojny.

W czasie okupacji niemieckiej mieścił się w nim Urząd Propagandy (Propagandaamt), a w roku 1944 w Dużym Studio zainstalowano szwalnię, w której szyto kufajki, wysyłane na front wschodni. W dniu, w którym radzieccy żołnierze weszli do rozgłośni Duże Studio było niemal po brzegi wypełnione kufajkami. Natychmiast wydano rozkaz, by każdy przyniósł do rozgłośni posiadany w domu radioodbiornik. Identyczne polecenie wydały władze niemieckie w pierwszych dniach września 1939 roku. O tych właśnie - pierwszych dniach września 1939 roku w Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach opowiada prezentowany fragment książki pt. „Róg Ligonia i Królowej Jadwigi”.

Zastanawiając się nad wyborem formuły narracyjnej dla opowieści o katowickim Radiu, doszedłem do wniosku, że powinna ona być w jakiś sposób spokrewniona z językiem radia, a nade wszystko bliska mu poprzez sposób zorganizowania zgromadzonego materiału. Czyli: montaż. Przesłuchałem kilometry archiwalnych taśm, wybierając z półgodzinnych, godzinnych nagrań - niekiedy trzy minuty, niekiedy jedno zdanie. Ale trafiały się i partie większe - pięć, dziesięć minut. Spisałem z taśm interesujące mnie fragmenty. Jednocześnie prowadziłem nagrania rozmów z kolegami - radiowcami, pobudzając nieustępliwie ich pamięć. I te materiały spisałem także. Dysponując tym materiałem przystąpiłem do montażu, tnąc zapisane kartki, jak w czasie pracy w radiu ciąłem taśmę na stole monta-

żowym. W tym epizodzie - żywi spotykają się z umarłymi. To przez ich usta przemawia katowickie Radio, to ich pamięć tworzy tę mówioną biografię - w tym wypadku jej wrześniey epizod. Książka powstała na zamówienie Radia Katowice, które jest jej wydawcą.

KRYSTYNA BROLL-JARECKA: Pamiętam ostatnie letnisko w Skawcach, które spędziliśmy naprawdę w dużej bez trosce, z wieloma zaprzyjaźnionymi rodzinami. Były dzieci w moim wieku, i towarzystwo starsze, studenci. Chodziliśmy i cały czas śpiewaliśmy „Marszałek Śmigły-Rydz to nasz kochany wódz”... Czuło się, że narasta zagrożenie, a jednak człowiek patrzył przed siebie z optymizmem. Niewątpliwie, było to nastawienie wyniesione ze szkoły hurrapatriotycznej. Ale moi rodzice byli pełni obaw. To były czasy, gdy rodzice nie ujawniali swoich wszystkich poglądów i niepokojów przed dziećmi jak dzisiaj. Pewne rzeczy do nas docierały, pewne nie docierały. Hitler i Czechosłowacja - zagrożenie odczuwalne z bliskiej odległości, ale jednak z odczuciem, że to nie Polska.

Pod koniec sierpnia wróciliśmy z letniska. Była pierwsza mobilizacja, jeszcze nie powszechna, w której mój ojciec został powołany do wojska. Na tydzień przed wybuchem wojny, tak jak ja pamiętam. W tym dniu, w którym ojciec został zmobilizowany, poszliśmy na Bugłę - to na ulicy Raciborskiej, w głębi, tam były baseny. I właśnie tam zaczęliśmy odczuwać tę dziwną atmosferę, bo megafony co chwila przerywały muzykę i prosiły kogoś o natychmiastowy powrót do domu. Wtedy zorientowaliśmy się, że dzieje się coś dziwnego, i przyspieszyliśmy nasz powrót do domu z naszymi kolegami, jeden miał osiemnaście lat, drugi dziewiętnaście, to były zaprzyjaźnione rodziny. Wracamy na Klonową, mieszkaliśmy w tym samym domu co dzisiaj, wprowadziliśmy się do tego nowego domu w 1936, przedtem mieszkaliśmy w Załężu, gdzie się urodziłam, i już na początku Klonowej słyszę jakiś straszny

plac, który się nasila, gdy zbliżamy się do domu i ja rozpoznaję głos mojej siostry Urszuli. Siedzi w ogrodzie i wyje. Miała wtedy dziewięć lat. Zrozumiałam, że w domu stało się coś strasznego. Kojarzyłam to gdzieś z wojną, z tym zagrożeniem. Wchodzimy do domu, mama zapłakana, kosze, pakowanie. Ojciec nas uspokaja, dowiaduje się, że został powołany. Ojciec był naczelnikiem gminy Welnowiec. Widziałam się z nim wtedy ostatni raz. Na siedem lat. Ojciec był zagrożony szczególnie, raz jako urzędnik państwowy, a przede wszystkim jako powstaniec śląski, brał udział we wszystkich trzech powstaniach i w plebiscycie. Była taka księga Fahndungsbuch i on był w niej umieszczony, z tym że adres był załębny.

Wyjeżdżamy z Katowic, gdzieś na tydzień przed 1 września.

ZBIGNIEW LIPCZYŃSKI: 31 sierpnia 1939 roku Rozgłośnia Polskiego Radia nadała o godz. 19.00 słuchowisko Jana Zaremby pt. „Larum w obozie” - montaż słuchowiskowy z życia wojennego dawnej Polski. Autor słuchowiska wplótł w tekst własny, pisany piękną polszczyzną, wersetami z pism Sępa-Szarzyńskiego, Waława Potockiego, Samuela Twardowskiego i dawne pieśni rycerskie. Już samo to wyjaśnia, jak piękne było to słuchowisko i nikogo nie dziwi, że uzurkowało i porwało wykonawców. Tę przepojoną duchem patriotyzmu audycję nadała katowicka Rozgłośnia Polskiego Radia w dniu 31 sierpnia 1939 roku o godzinie dziewiętnastej, a więc dosłownie na kilka godzin przed wybuchem najstraszniejszej w historii ludzkości wojny. Nastrój w studio był podniosły. My, wykonawcy, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że rzucamy w eter słowa mocne, potężne wołania walki z przemocą i pełne wiary w swoje święte racje, że z polskich Katowic płyną słowa otuchy i pada wezwanie do czynu.

GŁOS AKTORA (Bernard Krawczyk): „Hetman buławą skinął i zjeżdża ze wzgórza. Ruszają szyki jezdne i piesze.” (głos trąbki cichnie)

GŁOS AKTORA II (Tadeusz Szaniecki): Na Zachód płyną, bliższy las kopii w słońcu. Trębacz na sygnał czekają. (Chór: „Bogurodzica”).

NARRATOR (Władysław Kozłowski): I szły pułki polskie cztery wieki temu, aby na Śląsku Opolskim, pod Byczyną odeprzeć zamach niemiecki na państwo, i pod wodzą Wielkiego Hetmana zwycięstwo wywalczyć. I dzisiaj nie osłabła szablą polską, nie osłabła w narodzie wola wielkości. Potrafi też, gdy zajdzie potrzeba sprawiedliwe granice rycerskiemu narodowi naszemu wywalczyć”.

ZBIGNIEW LIPCZYŃSKI: Ja sobie przypominam uniesienie, jakie, dosłownie, porwało nas w studio, wtedy nadających do słuchowisko w formie tzw. na żywo. Myśmy bardzo ulegli temu wrażeniu. Byliśmy wzruszeni. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że przecież z anteny, właśnie śląskiej, idzie w świat jakaś deklaracja, bardzo polska, bardzo patriotyczna, i dająca świadectwo naszej tężynie narodowej. Byliśmy rozdrgani. My technicy. Amplifikatornia to bijące serce rozgłośni. Bez niej po prostu program nie istniałby na antenie. A my, realizatorzy, spotkaliśmy się właśnie tutaj zawsze z życzyliwością i dobrymi chęciami. Koledzy: Bucholc, Korbik, Lipowczan, Palka, Ziemiak, zawsze przyczyniali się do pełni sukcesu.

EUGENIUSZ ŁABUS: W Kochłowicach były koszary. Odrodzona Polska zbudowała - to jest fenomenalny budynek, to jest świadectwo tego porządnego budownictwa na Górnym Śląsku. Jeszcze tego noc. Dlaczego zapamiętałem to, co się stało 1-go września, choć miałem zaledwie sześć lat? Bo te koszary były położone w linii prostej z Katowic na Kochłowice, na zachód, ta droga była budowana jako droga wojskowa i stąd wyburzono dom moich dziadków, bo siedział w osi tej drogi, na pępku Kochłowic. Rodzina wdała się w uciekinierkę i załadowała nas na jakieś tam furmanki, uciekamy na wschód. Jestem na furmance, drzemię, nagle budzi mnie potworny huk, widzę kulę ognia: to wyleciał most kolejowy, ten przy nowym kościele w Kochłowicach. Na osi kolejowej Katowice-Ligota-Gliwice. Ten most został wysadzony. Potem był szybko odbudowany przez Niemców, bo był im potrzebny dla celów militarnych. Nie jechaliśmy sami, to była kolumna, która ciągnęła, i efekt tej eksplozji był piorunujący: kolumna zawróciła. Wróciliśmy do domu. Tak skończyła się ta ucieczka od ogromnej kuli ognia, która rozświetliła sylwetkę tego ogromnego kochłowickiego kościoła.

PIOTR KUBACKI: Żonę odwoziłem do Kielc i wróciłem ostatniego sierpnia już nie do domu, ale do rozgłośni, bo tam była kanapa i pościel. W tym czasie dzwoni Warszawa - zgłaszam się. Mówią, żeby uruchomić radiostację natychmiast, ja mówię, że wszyscy śpią, bo była trzecia czy czwarta nad ranem. Nic nie szkodzi, mówią. Pytam, kto mówi. Podał mi nazwisko, już nie pamiętam. Żeby inżyniera i jakiegoś mechanika wysłać na radiostację, żeby natychmiast została uruchomiona i czekała w pogotowiu. I żeby otworzył mikser, mówi ten inżynier z Warszawy, ten mikser, który był awaryjny. Zrobiłem to i obudziłem - już nie pamiętam ale chyba Ciałhotnego. Pojechał na radiostację na Brynowie, uruchomił ją. A już za parę minut słyszę komunikat, że jakiś tam przeszedł. I znów się wyłączyło. I to się powtarzało. Po niedługim czasie przyjechał inżynier Klimsza, przyjechał akurat z Warszawy i wstąpił do rozgłośni, pyta mnie, co pan tu robi, a ja odpowiadam, że musiałem uruchomić, bo dostałem takie polecenie. Tak? - zdziwił się - a co takiego? I raptem usłyszał ten komunikat! Już nie poszedł do domu. To był początek wojny. Była 3.00 godzina, kiedy zawołał mnie inżynier Klimsza i mówi: panie Kubacki, dostałem taką informację, to panu mówię, że będziemy rozmontowywać radiostację na Brynowie. Więc trzeba ją rozmontować. Już zamówiony jest wagon, będziemy ją zwozić do wagonu, bo ta stara stacja pojedzie do Łucka. Trzeba się z tym pośpieszyć, bo front został przerwany. Trzeba tę stację wywieźć przed Niemcami. Zorganizowaliśmy ludzi, wszystkich, którzy mieli wolne, ściągnęliśmy ich do rozgłośni.

HANNA ZIEMBOWA (z d. Łuksikówna): Dyżur w Radiu rozpoczęłam, jak zwykle, o godz. 5-tej. Nasza rozgłośnia była najpóźniejsza, bo od piątej rano nadawaliśmy wiadomości lokalne i muzykę dla górników idących na ranną zmianę w kopalni. O 4.15 z małutką walizeczką, po krótkim pożegnaniu z rodziną, wyszłam z domu. W kieszeni płaszczka miałam rewolwer, który jak każdy z obsługi naszej Rozgłośni, otrzymałam w radio. Szłam więc do Rozgłośni, rozglądałam się bardzo uważnie po ulicach i bramach. Przy drzwiach Rozgłośni uzbrojony żołnierz sprawdził moje przepustki, uśmiechnął się, zasalutował. Ten moment i słowa matki brzmiące mi jeszcze w uszach: „Jesteś teraz żołnierzem”, dokonały we mnie nagłej przemiany. Zaciśnięłam rękę na moim małym i głupim rewolwerze - przeciwko całej wojnie, i do Rozgłośni weszłam już jako inna dziewczyna, żołnierz Polskiego Radia.

W hallu, jak zwykle, przywitał mnie uśmiech naszego wieletniego woźnego, również woźnego po wojnie w Rozgłośni Śląskiej - Waława Siemińskiego. W rękę trzymał, jak zwykle, przygotowaną szklanekę herbaty, i jak zawsze powiedział: „Dzień dobry paniencie”. Wziął ode mnie małą walizeczkę, mój cały już wówczas majątek i smutno pokiwał głową. Cała ta scena była tak swojska, serdeczna, jak zwykle nasze ranne powitania, że znów przemknęło mi przez głowę: „Wojna? To jest niemożliwe!”

W parę minut po wejściu do spikerki, zadzwonił do mnie z amplifikatorni technik, inżynier Zbigniew Ziemiak: „Dzień dobry, tekst niemiecki umiesz? Rzeczy przyniosłaś? Wszystko w porządku?” „Tak - odpowiedziałam. A chciałam krzyknąć, że nie mam już domu, nie wiem gdzie, za kilka godzin, będzie moja rodzina. Mój narzeczony, Stanisław Ziemia, został korespondentem wojennym i nie wiem, dokąd go lichy poniosło, i kiedy go zobaczę. Dlaczego i po co mają się stać tak okropne rzeczy, i to wtedy, kiedy człowiek ma 19 lat. Telefon z amplifikatorni: „Przygotuj się, za chwilę jedziemy. Zapowiedź i informację na Wrocław wyrąb im porządnie” (Spikerka miała odczytać w języku niemieckim komentarz prostujący kłamstwa Radia Breslau oraz przekazać słuchaczom III Rzeszy prawdziwe informacje o prowokacjach hitlerowskich - FN). Czerwone światło. „Tu Polskie Radio Katowice. Dzień dobry. Jest dzisiaj 1 września. Życzę wszystkim spokojnego dnia, moi drodzy Radiosłuchacze”.

ALEKSANDER WIDERA: Słyszałem bomby, które spadały na lotnisko, tak o piątej rano. A potem już pamiętam tylko nadawane przez katowickie radio komunikaty wojskowe, kryptonim był... jeszcze do niedawna pamiętałem...

HANNA ZIEMBOWA: Kiedy w parę minut później czytałam komunikat w języku niemieckim, pierwsze bomby hitlerowskiej Luftwaffe padały już na pobliskie lotnisko w Katowicach. Komunikat przeczytałam mimo huku i lecącego z okna szkła, do końca spokojnie i po przeczytaniu siedziałam jak skamieniała przed mikrofonem.

WILHELM SZEWCZYK: Kiedy rankiem 1 września 1939 roku zjawiłem się ostatnim pociągiem, jaki przyszedł z Rybnika, w katowickiej Rozgłośni, nikt zrazu nie chciał mi wierzyć, że w mojej pogranicznej miejscowości już pojawiły się pierwsze oddziały niemieckie.

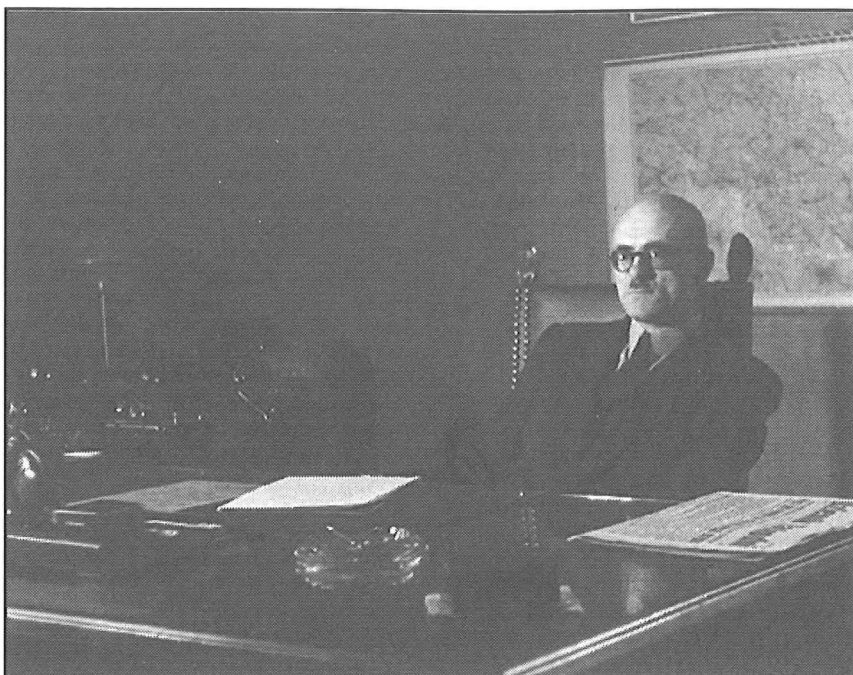
HANNA ZIEMBOWA: W głośniku kontrolnym słychać było tylko sygnał kontrolny symbolizujący uderzenia młotem. Po chwili otworzyły się drzwi spikerni i wszedł oficer załogi wojskowej zakwaterowanej w gmachu Radia. „Wojna rozpoczęła się przed chwilą - zakomunikował. — Tu są szyfry, który przeszę co jakiś czas nadawać na zmianę. W razie dalszego bombardowania muzykę i komunikaty - w języku niemieckim do Wrocławia, i komunikaty polskie. W czasie nalotu wszyscy udają się do schronów, oprócz spikera, technika i nas wojskowych”. „Wiem, jestem już teraz takim samym żołnierzem jak pan”.

AGATA WOJTERZANKA: 1 września - to był piątek, pierwszy piątek miesiąca i ja zgodnie z tradycją rodzinną, chrześcijańską, pędzę na mszę świętą, która rozpoczyna się o szóstej. O godzinie szóstej w Siemianowicach słychać strzały. Nie wiadomo co, gdzie, jak, i dopiero gdzieś około 9.00 to się wyjaśnia, bo przylatuje tata z huty - już wtedy pracował w straży przemysłowej, był w pogotowiu, ale przylatuje i mówi tak: „Trzeba się pakować, bo jest wojna i my tutaj zostać nie możemy. Mama pyta, dlaczego, przecież byliśmy ludźmi spokojnymi, nikomu nic nie zrobiliśmy, a ojciec mówi: „W hucie już jest wywieszona lista skazanych na powieszenie. Jest tam też moje nazwisko”. Oni wiedzieli, że to jest powstanie wielkopolski. Niemcy wiedzieli wszystko. Wiedzieli i to - choć to wtedy nie odgrywało roli, że był żołnierzem na froncie bolszewickim. Wtedy, gdy tata wpadł, pamiętam to do dzisiaj, przygotowywałam na śniadanie kanapki z czerwonymi pomidorami i cebulką. Nie zdążyliśmy ich zjeść. Może dlatego tak to pamiętam? Zaczęliśmy się pakować, z zamiarem, że opuścimy Siemianowice, które były takim gniazdem niemieckości. W domu, w którym mieszkaliśmy, my byliśmy jedynymi Polakami.

HANNA ZIEMBOWA: O godzinie 9.00 paru wojskowych, redaktor Edmund Odorkiewicz - po wojnie pierwszy dyrektor programowy Rozgłośni Śląskiej - i ja, wyszliśmy przed rozgłośnie. Środkiem ulicy ciągnął tłum ludzi z wózkami, dziećmi, tabońkami, z tym, co komu wpadło pod rękę. Czasami z nieprawdopodobnymi sprzętami: jakiś staruszek dźwigał duży ścienny zegar i bardzo się z nim mozolił. To byli ludzie z terenów bezpośrednio przygranicznych, gdzieś od Kochłowic, Nowego Bytomia, zaskoczeni przez napad niemiecki już w nocy. Nie widziałam, aby ktoś z nich płakał. Szli z kamiennymi twarzami, a my pocieszaliśmy ich, że wrócą do swoich domów za parę tygodni. W górze, bardzo wysoko, na jasnym niebie, uwijały się jakieś samoloty. Koło nich, co chwila wybuchały białe obłoczki. Oficer objaśnił, że to są samoloty niemieckie i że strzela do nich nasza artyleria przeciwlotnicza. „Samoloty niemieckie?! - nie mogłam w to uwierzyć. - Tu, na tym jasnym, polskim niebie? Nad nami? to niemożliwe!”.

WILHELM SZEWCZYK: Tego dnia nie było już normalnego programu.

HANNA ZIEMBOWA: W parę chwil potem jakiś dziwny kawałek żelaza upadł mi przed nogi. Nim zdążyli mnie uprzedzić, podniosłam go i sparzyłam sobie palce. To był zapalnik pocisku przeciwlotniczego. Wtedy uwierzyłam: wojna już jest, nie gdzieś daleko, nie kilka kilometrów stąd, na granicy. Jest już nad nami, w moim mieście, nad moją Rozgłośnią. Ludzie czekają przy odbiornikach na komunikaty, na mój znany im głos, który może uspokoi ich i obudzi w nich wiarę w lepsze, spokojne jutro. Czekają szyfry dla wojska. Popędziłam do spikerni i do mikrofonu. Tu był teraz mój dom, moja wielka niewidzialna rodzina zgromadzona przy



Edmund Odorkiewicz - komisarz wojskowy Katowickiej Rozgłośni Polskiego Radia, pierwszy po wojnie dyrektor Rozgłośni Śląskiej.

odbiornikach. „Tu Polskie Radio Katowice. Nadajemy komunikat dla ludności miasta Katowic i całego województwa śląskiego. Moi drodzy radiosluchacze, wojna się rozpoczęła. Niemieccy hitlerowcy napadli na nasz kraj. Bombardują nasze miasto. Bądźcie dzielni, jak zawsze był dzielny lud śląski”.

ALEKSANDER WIDERA: Ale o dziwo, ja pierwszego września miałem być w teatrze, bo miała być premiera „Obrony Ksantypy” Morstina, strasznie chciałem zobaczyć to przedstawienie. I było tak, że rano bomby spadały na lotnisko, a ja przed południem poszedłem do teatru sprawdzić, czy to przedstawienie się odbędzie. Sokratesa miał grać Marian Jastrzębski, mój ulubiony wówczas aktor. Bomby już spadły, ale Niemców jeszcze tutaj nie było. To znaczy 1 września. Ten kryptonim... Już mam na końcu języka. Jednak nie, uciekło z pamięci. Chociaż... chyba „czekolada”.

AGATA WOJTERZANKA: O godzinie trzeciej przyszedł po nas ojciec, zabraliśmy te swoje tobołki. Ojciec śmiał się z matki, bo mama zapakowała pierzynę. I wyjechaliśmy z Siemianowic. Z huty, bo miała swoją kolej prowadzącą do dworca. Wyjeżdżamy, jest noc, na niebie reflektory i słyszę tętent koni, to jechało wojsko, niesamowite wrażenie, jesteśmy przed Małą Dąbrówką, czyli ujechaliśmy tyle co kot napłakał i tam staliśmy dwa dni.

PIOTR KUBACKI: Rozebraliśmy całą stację, przewieźliśmy do wagonu, całą z wyjątkiem transformatora napięcia. Już nie zdążyliśmy, bo 2-go w sobotę o 7.00, najpóźniej o 7.30 przyjechał szofer, niejaki Buszek i mówi, że jest rozkaz, aby wszyscy jechali do Rozgłośni. A w Rozgłośni był jeszcze tylko dyrektor Tępa, mówi: panowie, weźcie, co możecie, za pół godziny idziemy pod województwo na autobus, bo się ewakuujemy. A jeszcze tylko pion techniczny został.

EDMUND ODORKIEWICZ: Tymczasem pracownicy gromadzą się na placu przed gmachem Urzędu Wojewódzkiego, gdzie po wielkich targach udaje się ulokować ich w autobusach i w naszym samochodzie transmisyjnym; są sfłoczeni jak śledzie w beczce; autobusy ruszają w głąb kraju.

PIOTR KUBACKI: Skoczyłem do brata - mieszkał na przeciw rozgłośni - wzięłem płaszcz żony, z myślą, że ten płaszcz dam żonie w Kielcach, że jakoś przejadę do Kielc, ale okazało się, że autobusów już nie było, tylko jechaliśmy wozem transmisyjnym - na 7 osób, a nas było 23. Szofer nie chciał jechać, ale ja mówię: jak się po pierwszym kilometrze rozwali, to wszyscy idziemy do domu.

EDMUND ODORKIEWICZ: Dyr. Ligoń także wreszcie wyjeżdża, choć początkowo zamierzał pozostać w Katowicach z rodziną. Tłumaczyłem mu, że za jego cięte audycje

przeciwko Hitlerowi i nazistom spotka go straszliwa zemsta ze strony hitlerowców, że czeka go śmierć w męczarniach. Gdy jeszcze ociągał się z decyzją wyjazdu, dałem mu do zrozumienia, że ja teraz odpowiadam za wszystkich pracowników rozgłośni jako komendant wojskowy i że czy chce czy nie chce - musi wyjechać! I Karlik wyjechał. Jak się później dowiedziałem, niezwłocznie po zajęciu Katowic gestapowcy wpadli do domu, aby aresztować dyrektora Ligonia i wściekali się w bezsilnej złości, że im ofiara umknęła.

HANNA ZIEMBOWA: Prawie przez dwa dni i dwie noce bez przerwy nadawaliśmy szyfry, muzykę i komunikaty.

WILHELM SZEWCZYK: W nocy wraz z młodzieńką wówczas spikerką, Hanką Łuksikówną (później została żoną Stanisława Ziemby), pełniłem służbę przeciwlotniczą na dachu budynku rozgłośni.

HANNA ZIEMBOWA: 2-go września, popołudnie, major i komendant rozgłośni wszedł do spikerni i powiedział: „Proszę pożegnać swoich radiosłuchaczy. Opuszczamy rozgłośnię, opuszczamy miasto. Macie rozkaz dostać się do Warszawy. O godz. 13.00 odjedzie ostatni pociąg z Katowic, który zabierze całą załogę rozgłośni i ludzi z ewakuowanego miasta. Będzie jeszcze pół godziny czasu na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy”.

O godz. 13.00 żegnałam się z moimi radiosłuchaczami: „Tu Polskie Radio Katowice - zapowiedziałam już po raz ostatni na wiele ciężkich wojennych lat. - Za chwilę nasza rozgłośnia przestanie chwilowo działać. Wrócimy tu na pewno. Żegnam się z wami tymczasem. Do usłyszenia z Wrocławia. Tak, z Wrocławia. Bądźcie tego pewni!”.

WILHELM SZEWCZYK: Następnego dnia wyjechaliśmy małym wozem transmisyjnym, stłoczeni w nim niemożliwie, przez Chrzanów na Wschód. Wraz z Hierowskim wysiadłem z tego blaszanego pudełka w Miechowie, reszta pojechała dalej. Był to tak zwany ostatni rzut ewakuacyjny naszej rozgłośni z Jerzym Tępą na czele.

ALEKSANDER WIDERA: Siostry z matką i ja wyruszyliśmy w wędrowkę, kierunek Mysłowice - ale to było 3 września. Dojechaliśmy do Wolbromia, bo tam pociąg został zbombardowany. Ukryliśmy się w lesie, no i potem już był powrót pieszo.

EDMUND ODORKIEWICZ: Z wielkim żalem pojechaliśmy do Brzezinki, aby dopełnić dzieła zniszczenia. Prze godziną ósmą otrzymaliśmy z elektrowni wiadomość, że o godzinie ósmej będzie wyłączone światło. Kazałem uruchomić patefon, nałożyć płytę z hymnem narodowym i do mikrofonu powiedziałem tylko to: „Tu Polskie Radio Katowice” i w tej chwili technik uruchomił płytę z hymnem narodowym. Rozległy się dźwięki „Jeszcze Polska nie zginęła”, i rozlegały się aż do momentu, gdy elektrownia wyłączyła prąd. Wówczas z kierownikiem technicznym rozgłośni, inżynierem Klimszą, przystąpiliśmy do niszczenia radiostacji. Rozbiliśmy wszystkie urządzenia nadawcze. Klimsza popłakał się, bo przecież on tę stację urządzał i teraz bolał nad zniszczeniem swego dzieła. Po rozbiciu wszystkich urządzeń nadawczych, wylaliśmy beczkę benzyny przygotowanej już w lipcu i podpaliśmy transformatory i cały gmach radiostacji. Później przyjechał plutonowy z kilku saperami i wysadziliśmy maszt.

ANTONI PALKA: Uciekamy z tęściami i szwagrem na rowerkach w kierunku Mysłowic. Wyruszyliśmy w niedzielę - 4 września o czwartej rano. Gdy przejeżdżaliśmy koło radiostacji w Brzezince, to było widać jak maszty fruwały. Co znaczyło, że wojsko polskie już wysadziło maszty w powietrze. Pomyślałem, że jest krucho.

KAROL LIPOWCZAN: Radio w Katowicach zostaje zlikwidowane i mój ojciec (Emil Lipowczan - technik katowickiego radia od 1927 - FN) dostał rozkaz przeniesienia się do Baranowicz. Na wschodnich terenach Polski. Tam była radiostacja, do której mieli dotrzeć i inni pracownicy naszej rozgłośni. Dyrektor Ligoń przydzielił nam na tę podróż samochód osobowy z kierowcą, bo miał zezwolenie na zabranie ze sobą rodziny (mamy i kilkumiesięcznego brata - ja urodziłem się w 1940 i całą tę historię znam z opowiadań rodziców). Ledwie tam przyjechali, a Niemcy już po kilku dniach zbombardowali nadajniki - takie mieli namiary. Ojciec wyszedł z tego cało, cud, bo podczas nalotu był w budynku radiostacji. Jak już te dymy i pyły opadły, mama widzi go jak idzie w potar-

ganym ubraniu przez pole, oddzielające nadajnik od budynku, w którym dostali mieszkanie.

PIOTR KUBACKI: I szczęśliwie dojechaliśmy do Warszawy 5-go w nocy. I tam nas poczęstowali kawą i ciastem i mówią: Panowie, jedźcie do Lublina. W Lublinie byliśmy do 7 września. A po bombardowaniu dostaliśmy rozkazy, żeby jechać do Baranowicz.

AGATA WOJTERZANKA: Ojca nie ma, bo jeszcze broni huty, i mówi, że nas odszuka. Po dwóch dniach jedziemy. Nie wiedzieliśmy, że za nami są trzy wagony Żydów z tamtej okolicy. Jechaliśmy na Miechów, i między Wolbromiem a Miechovem nastąpiło w ciągu dnia silne bombardowanie. Straszne. Nic tylko ogień. Jedni biegają do stawów, ciągną za sobą dzieci, toną, a my uciekaliśmy na drugą stronę, tam były kartofliska i każde z nas oddzielnie wcisnęło się w te bruzdy kartoflane. Taki atawistyczny odruch, poszukać wgłębienia w ziemi i wcisnąć się w nie twarzą do ziemi. Ojciec nas nie znalazł. On dotarł na to miejsce po bombardowaniu, ale to było jedno wielkie rumowisko. Co wtedy zrobił? Powędrował do rodziców w Poznańskiem, do swojej rodzinnej chałupy. Tam do pewnego czasu się ukrywał. W pewnym momencie to się okazało niemożliwe, bo i z Poznańskiego rugowali wszystkich, i wtedy ojciec pod fałszywym nazwiskiem wyjechał na roboty do Rzeszyc.

ZDZISIAW PYZIK: Przeszedłem front jako dowódca 3 Pułku Strzelców Podhalańskich, byłem w Cieszynie, w Podchorążówce, a potem przydzielono mnie do Bielska. Z Bielska poszedłem na front.

AGATA WOJTERZANKA: Powróciliśmy z mamą do Siemianowic. Popłakałyśmy się widząc całe Siemianowice wyflagowane: czerwone chorągwie z czarną swastyką. Polacy siedzieli cichutko. Pierwsi, którzy nas przyjęli, to byli ci, którzy siedzieli tak na granicy Siemianowic. To była akuszerka, która mamę znała, bo przyjmowała moje młodsze rodzeństwo i ona nas przygarnęła, dała coś zjeść, kazała się umyć i ubrać i pójść zgłosić w Niemców. Wyglądaliśmy okropnie, bo tę powrotną wędrowkę odbyliśmy przecież pieszo. Podtrzymywała nas na duchu.

KRYSTYNA BROLL-JARECKA: Wracałyśmy z takim lękiem do Katowic. Nie spałyśmy tu pierwszą noc, tylko w Bogucicach i tam wystano kogoś, żeby sprawdził co tu się dzieje u nas w domu. Była w nim nasza dawna niania z mężem. I nasz powrót na tę ulicę. Myśmy płakały całą noc, bo tu wszędzie były flagi niemieckie. To było tak tragiczne dla nas w odczuciu. To było takie odczucie, jak wtedy gdy powiedziano, że Katowice to Stalinogród. Ja, dosłownie, czułam się wysadzona z Europy. Weszłam do miasta i płakałam, bo to nie było już to miasto. Wróciłyśmy na Klonową, a w kilka dni później zarekwirowano nam cały dom. Wszystko było zarekwirowane, dom, meble, nawet sztuczne kwiaty. Każdy mebel otrzymał swój numer i jeszcze do niedawna stare meble w naszym domu miały tamte numery, których nie można było zmyć. Zresztą zostawiliśmy je na pamiątkę. Pozwolono nam mieszkać w tym domu, w jednym pokoju, w którym nocowałyśmy i żyłyśmy, a na piętro wprowadzili Niemców, z tym że jeden z inżynierów był miłym starszym panem, a na dole obok nas zamieszkała kobieta, partyjna ze znakiem NSDAP. Pierwsza rzecz, jaką zrobiłam, to pokazałam jej język.

ALEKSANDER WIDERA: Jakiś czas jestem w domu, chorowałem na żołądek po tym marszu przez całą Polskę.

KAROL LIPOWCZAN: Radiostacja przestała istnieć, misja ojca straciła rację bytu. Wracali do Katowic, nim do Baranowicz wkroczyła Armia Czerwona. Dzięki czemu nie rąbali lasów w tajdze. W drodze powrotnej spotkali stojący (zabrakło paliwa) samochód transmisyjny naszej rozgłośni, którym jechała do Baranowicz grupa naszych pracowników. Ojciec tłumaczył co się stało, ale nie chcieli uwierzyć. Ktoś zażądał benzyny - tych kilka litrów, jakie jeszcze były w baku. Kategoryczny sprzeciw mojego ojca umożliwił mojej rodzinie powrót do domu. Jednak pewna osoba już do końca życia mu tego nie wybaczyła.

AGATA WOJTERZANKA: Powróciliśmy do naszego mieszkania. Zniszczone; książki spalone na podwórzu - jeszcze tam były popioły; mundur ojca zabrali. I szablę.

„Straciłem przytomność,
a gdy ją odzyskałem,
wokół było cicho i ciemno.
Leżałem jakiś czas
bez ruchu,
z bijącym sercem,
po czym spróbowałem
wydostać się spod trupów.
Na podwórzu
nie było nikogo (...)” —

fragment wspomnień harcerza
chorzowskiego,
Rafała Kocika.



Rafał Kocik przeżył pobyt w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Zdjęcie ze zbiorów Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

BARBARA
POREMBWA-WOLKOWA

Cudownie ocalały

Katowicki wrzesień 1939

Już wiosną 1939 r., wobec działań i postaw państw faszystowskich, atmosfera w Polsce była bardzo niespokojna. Zwłaszcza w Katowicach, na terenach przygranicznych, zamieszkałych przez liczną i butną mniejszość niemiecką. Toteż już początek mają przynosi decyzję burmistrza miasta powołującą 16-, 17- i 18-letnich harcerzy do zrealizowania, w wypadku agresji „obowiązku osobistych świadczeń wojennych”. Powstają też, organizowane przez władze, liczne, przygotowujące się do działań bojowych, służby. Do społeczeństwa i młodzieży harcerskiej dociera słynne przemówienie polskiego ministra spraw zagranicznych Józefa Beka, nawiązujące do zerwania przez Niemców paktu o nieagresji. O słuszności czynionych przygotowań przekonywały słowa: „(...) W Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę”.

Już 10 maja Naczelnik Harcerzy powołuje Pogotowie, wyjaśniając w poufnym piśmie jego istotę. Ma ono oznaczać przystosowanie organizacji do natychmiastowego i celowego współdziałania na wypadek wojny, z władzami wojskowymi i administracyjnymi oraz organizacjami wyższych użyteczności. Naczelnik wyjaśnia także pojęcie ostrego pogotowia i zadania jego służb: łącznikowej, łączności, informacyjnej, sanitarno-ratowniczej. Do służby w pogotowiu powoływano już 12-letnich harcerzy, przewidując dla najmłodszych pracę gońców pieszych.

Dni 20 i 21 maja 1939 r. przyniosły Zjazd Walny ZHP w Lublinie, który w obliczu zagrożenia podjął uchwałę, stwierdzającą m.in.: „(...) z górą 300-tysięczna rzesza harcerów i harcerzy w kraju i poza granicami, wierna wielkiej tradycji poprzednich pokoleń harcerskich, które umiały sięgać po zaszczytne miano żołnierzy niepodległości, jest gotowa spełniać wszystkie rozkazy Naczelnego Wodza w walce o wierność Polsce i sławę narodu”.

Rafał Kocik urodził się w 1920 r. W dwa lata później jego rodzice przenieśli się z Wrzesni do Chorzowa, w poszukiwaniu pracy. Tu też ukończył szkołę podstawową, będąc już wówczas w harcerskich szeregach, a później pełniąc rolę komendanta. W sierpniu 1939 przebywał na obozie harcerskim. Ale już wtedy jak wspominał: „(...) niektóre obozy likwidowały się z uwagi na naprężoną sytuację. Tak samo mój (...) został zlikwidowany i wróciłem do Chorzowa — dzielnicy Klimzowiec”. Pod koniec miesiąca udał się do Komendy Chorągwi w Katowicach, przy ul. Francuskiej. Tu, od swego kuzyna — Franciszka Szymiczka — dowiedział się, że w Parku Kościuszki odbywa się przeszkolenie starszych drużyn harcerskich w zakresie pierwszej pomocy sanitarnej. Przybył na miejsce ćwiczeń, by w nich uczestniczyć.

Przygotowania do wojny trwały. Prócz harcerzy uczestniczyły w nich szerokie grupy społeczeństwa. Uczono zachowań na wypadek ataku, budowano schrony przeciwlotnicze, wyznaczano odpowiedzialnych za samoobronę. Harcerzy przygotowywano do obsługi punktów obserwacyjno-meldunkowych, służby łączności i obrony przeciwlotniczej. Starszą, męską młodzież harcerską szkolono w jednostkach przysposobienia wojskowego.

W trzeciej dekadzie sierpnia harcerze zaczęli otrzymywać powołania z klauzulą o obowiązku natychmiastowego zgłoszenia się do służby. Po spełnieniu wezwania wręczano im legitymacje i skierowania na posterunki. Wiedzano już wtedy o zawarciu paktu Ribentrop-Mołotow, lecz nie przypuszczano, że przedstawiciele obu totalitaryzmów uzgodnili zasady podziału między siebie terytorium Polski.

Zaczęło się o godzinie 3.30 nad ranem. Graniczną rzekę Liswartę przekroczyły potężne pododdziały 4 dywizji pancernej Wehrmachtu. O godz. 4.45 Wehrmacht zajął już sporą część terenów na południu. Siły polskie doskonale wiedziały o przygotowaniach do tej, rozpoczynającej II wojnę światową, inwazji. Długo jednak obowiązywał rozkaz dowództwa nieingerowania aż do momentu, w którym wróg istotnie nie przekroczy granicy. Owo nieprovokowanie Niemców zgodne było z polityką narzuconą Polsce przez aliantów i nadzieją, że w ostatniej chwili uda się konflikt rozwiązać na drodze dyplomatycznej... Tymczasem wróg zaatakował Krzepice, na 260-kilometrowym odcinku granicy polsko-niemieckiej. Odcinek ten był również miejscem działań armii „Kraków”, która broniła wówczas ziemi śląskiej.

Jeden z dziesiątków śląskich harcerzy, Rafał Kocik, drużynowy w chorzowskim hufcu ZHP, w chwili wybuchu wojny miał 19 lat. W jego wspomnieniach czytamy: „Nie objęła mnie służba wojskowa, tym większą więc pałałem chęcią przyczynienia się samemu do zwycięstwa, nikt bowiem z nas nie miał wątpliwości, kto zwycięży w tej wojnie”. Już w ostatnich dniach sierpnia nawiązał kontakt z oddziałem wojskowym stacjonującym w Klimzowcu. 1 września, z grupą harcerzy zameldował się u tamtejszego dowódcy, oferując wszelką, potrzebną pomoc. W pierwszych dniach wojny chłopcy w szarych mundurkach nosili tu wodę i pomagali w kuchni. Trzeciego dnia przeżyli ostrzelanie miejsca postoju oddziału przez niemieckie samoloty. Tego samego dnia wieczorem druh Rafał usłyszał z ust dowódcy ostrzeżenie: „(...) nie utrzymamy się długo. Radzę ci zbierz chłopaków i szoruj na wschód. Nie masz co tu szukać, jak przyjdą Niemcy”.

★ ★ ★

Tymczasem 1 września, zanim jeszcze komunikat radiowy poinformował o przekroczeniu przez wojska niemieckie polskiej granicy, fakt ten obwieściły Katowicom wrogie samoloty. Meldunki o tym przekazały dyżurujące na posterunkach w „drapaczu chmur” i Domu Powstańca.

W tym samym czasie trwały walki o michałkowiacką kopalnię „Maks”, między powstańcami śląskimi a niemieckimi dywersantami z Freikorpsu. Niemiecki atak odparto. Pomocy rannym udzielali harcerze z patroli sanitarnych. Równocześnie coraz więcej młodych zaczęło się zgłaszać do władz wojskowych z prośbą o przyjęcie do służby.

Drugiego dnia wojny Katowice zaczęły wypełniać się powstańcami i harcerzami, przybywającymi z innych, przygranicznych miejscowości. Towarzyszyła temu ewakuacja władz, urzędów, instytucji państwowych i samorządowych. Rozkaz ewakuacji objął także Komendę Harcererek... Nie wszystkie jednak placówki zostały zlikwidowane. Opuszczone, były natomiast rychło zajmowane przez nowe obsady. Tak stało się w Parku Kościuszki, w pobliżu wieży spadochronowej, czy na dworcu, gdzie harcerki gotowały posiłki dla powstańców kwaterujących przy ul. Szkolnej. Zlikwidowano też posterunki przeciwlotnicze. Nie wszyscy jednak zdecydowali się na podporządkowanie rozkazowi i pozostali w Katowicach, tworząc oddziały samoobrony.

★ ★ ★

Trzeciego dnia wojny drużynowy Kocik ponownie udał się do oddziału w Klimzowcu. Po wojsku nie było tu już jednak ani śladu. Poszedł więc na wyznaczoną zbiórkę. Harcerze wiedzieli już o decyzji władz, dotyczącej opuszczenia Śląska. Wielu powtarzało, że chce bronić miasta. On jednak postanowił rozwiązać drużynę, pozostawiając każdemu z jej członków swobodę decyzji. Sam ruszył do śródmieścia Chorzowa. Wokół Ratusza rozlegały się strzały — to miejscowi Niemcy atakowali budynek, chcąc zawiesić na nim hitlerowską flagę. Druh Rafał włączył się w obronę siedziby władz miasta i w pogon za uciekającymi dywersantami. Następnie podążył za rzuconym przez kogoś hasłem, by udać się do Katowic — siedziby Wojskowej Komendy Obrony Śląska.

Plac Wolności wyglądał jak prawdziwe pobojowisko. Pewien chorąży zapytał drużynowego Kocika: „A ty harcerzyku zostajesz z nami, czy idziesz dalej?” Ten odparł bez namysłu: „Zostaje”. Został przydzielony do 10-osobowego patrolu harcerzy i członków OMP. Wędrując przez ulice miasta, słyszeli dochodzące z okolic Parku Kościuszki strzały. Zbliżał się wieczór, zapadały ciemności. Na ulicy Kościuszki patrol natknął się na grupę ludzi, którzy na wezwanie do zatrzymania się, odpowiedzieli ogniem. Jeden z żołnierzy dostał strzał w ramię. Był tak słaby, że Kocik musiał nieść go wśród mrocznych, opustoszałych ulic. Szczęśliwym trafem natrafili na kobietę, stojącą w uchylonych drzwiach oświetlonego domu. Okazała się doświadczoną pielęgniarką i zaoferowała pomoc. Ranny został opatrzony. Młody Rafał, z odartą do krwi stopą, także. Od wybawicielki usłyszał radę: „(...) radzę ci zmienić mundur harcerski na cywilne ubranie”. Postanowił posłuchać. Tymczasem kobieta wyszła. Pozostał niespokojny i nieco nieufny, wsłuchany w odgłosy strzałów. Gdy wróciła, przyniosła okrutne wieści z centrum miasta. Widziała, jak z Domu Powstańca wyprowadzano mężczyzn z rękami podniesionymi w górę, jak bito ich kolbami, a jednego zastrzelono, gdy próbował ucieczki...

★ ★ ★

Była to zapowiedź klęski, poprzedzonej na ulicach miasta wieloma odważnymi aktami samoistnej samoobrony. Grupy

uzbrojonych ochotników wciąż zasilane były przez powstańców, harcerzy, członków Oddziałów Młodzieży Powstańczej. Sformowano i uzbrojono ponad 100-osobowy oddział pod dowództwem Nikodema Renca, skierowany do Parku Kościuszki dla obrony południowych rubieży miasta. Podobne zgrupowania skompletowali Franciszek Feige i Franciszek Kruczek. Obsadzono opuszczone posterunki na dachach Urzędu Wojewódzkiego, „drapacza chmur”, Komunalnej Kasy Oszczędności i budynku Teatru. W Domu Powstańca bronili się, nieznanymi z nazwisk, harcerze, powstańcy i członkowie OMP. Słynną z obrony Wieży Spadochronową obsadzili — wg Z. Brzyckiego i J. Niekrasza — harcerze z Rudy Śląskiej i Orzegowa. Józef Pukowiec, Komendant Śląskiej Chorągwi ułokował sporą ich grupę w Strzelnicy Bractwa Kurkowego.

Wieczorem, 3 września, harcerze ostrzelali z wieży nadjeżdżające od południa oddziały Freikorpsu. Wróg zbliżał się do Katowic także od zachodu. Linia obronna miasta stała się ulicą Bracka i Bocheńskiego. Tu Freikorps został powstrzymany przez kompanię z 73 PP pod wodzą kpt. Mariana Tułaka. Przed wdarciem się wroga od zachodu i północy bronił Katowic, z zabudowań i hałd ówczesnej kopalni „Ferdynand”, 150-osobowy Oddział Powstańczej Samoobrony por. Franciszka Kruczka. Walki toczyły się także w śródmieściu.

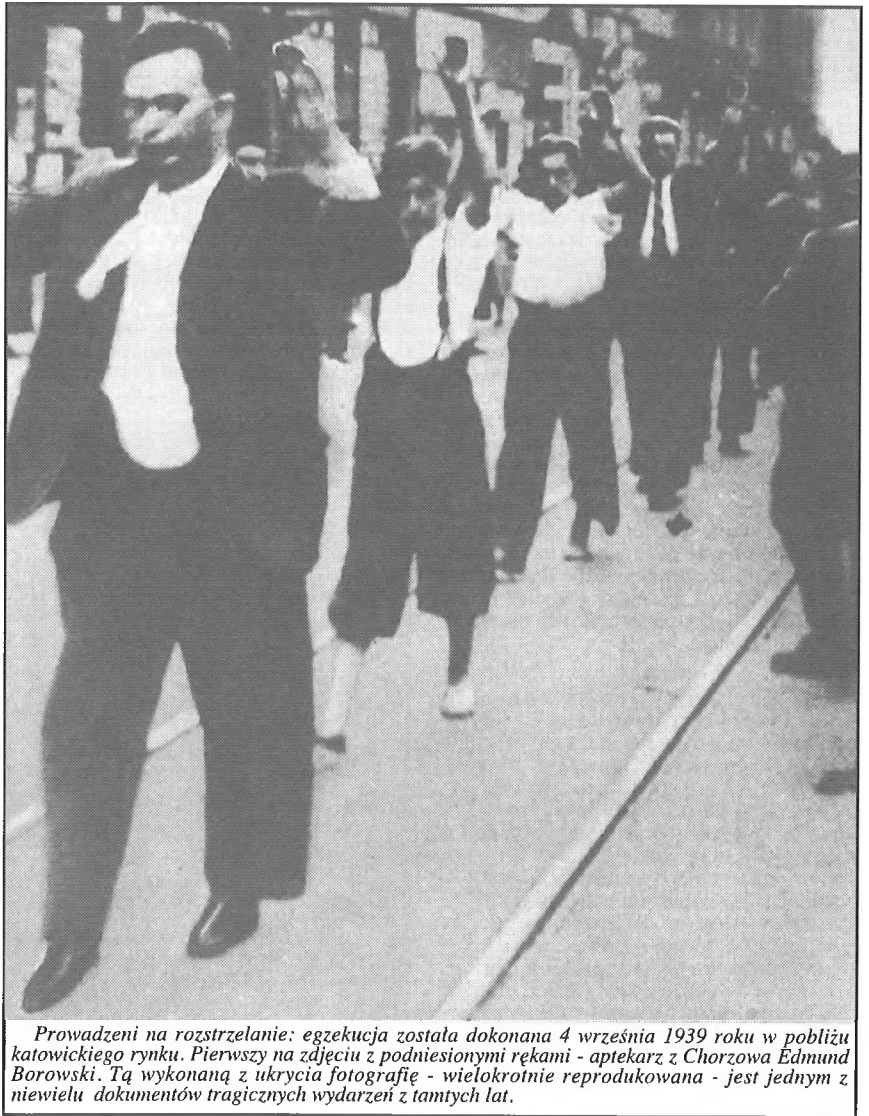
Czwarty dzień wojny przyniósł klęskę. Wobec silnej przewagi Niemców nie mogła swej forticy opuścić załoga Domu Powstańca. Wróg opanował Plac Wolności. Wdarł

się do centrum ulicą Chorzowską. Pokonał obrońców Parku Kościuszki i stąd przemaszerował do centrum. Inny oddział — pokonując harcerski opór — wtargnął ulicą Miłkowską. Rozpoczął się czas okupacji i zemsty.

★ ★ ★

Mniejszość niemiecka zaczęła się przygotowywać do uroczystego powitania „swoich”. Druh Kocik opuścił nad ranem mieszkanie zycielowej pielęgniarki, w cywilnym ubraniu. Wyszedł na ulice pełne ludzi. Zmiana stroju niewiele pomogła. Już po chwili usłyszał: „Halt! Hände Hoch!” Rzucił się do ucieczki. Dogoniono go. Posypały się uderzenia. Upadł. Ujrzał wówczas nad sobą postać SA-mana. Ten zaprowadził go na ulicę Wojciechowskiego. Była tu już spora gromadka harcerzy, pokrawionych i pobitych. Po pewnym czasie wyprowadzono wszystkich w dwuszeregu, z rękami uniesionymi ku górze. W budynku zajmowanym przez niemiecki konsulats spisano ich personalia.

Następnie poprowadzono na nie istniejącą już, ulicę Zamkową. Eskortowani byli przez Wehrmacht. Wprowadzeni na podwórze jednego z domów zostali ustawieni pod murem. Naprzeciw ułokował się szereg żołnierzy niemieckich, repetujących broń. „W jednej chwili zrozumiałem, że to koniec — wspomina R. Kocik — i zapragnąłem strasznie żyć.” Nie był w stanie policzyć, ilu młodych czekało na egzekucję. Może gdzieś ponad 30? Myślał tylko o jednym — jak się uratować. Zapamiętał, że nikt ze skazańców nie płakał, ani nie prosił o litość.



Prowadzeni na rozstrzelanie: egzekucja została dokonana 4 września 1939 roku w pobliżu katowickiego rynku. Pierwszy na zdjęciu z podniesionymi rękami - aptekarz z Chorzowa Edmund Borowski. Tę wykonaną z ukrycia fotografię - wielokrotnie reprodukowana - jest jednym z niewielu dokumentów tragicznych wydarzeń z tamtych lat.

Może przeżywali szok, a może nie wierzyli w okrutną prawdę? „Jak to się stało, że zdążyłem upaść, zanim pociski uderzyły w naszą gromadę, nie jestem w stanie wyjaśnić po dziś dzień — czytamy w jego wspomnieniach. — Faktem jest, że cały i nie naruszony udawałem zabitego, a na mnie waliły się ciała mordowanych. Niestety nie wytrzymałem nerwowo i zacząłem się ruszać, usiłując wygrzebać się spod trupów. Ponadto miałem wrazenie, że duszę się pod rosnącym zwałem zwłok, zapędziłem bowiem nowych skazańców pod mur... któryś z oprawców zauważył moje niezdarne ruchy i strzelił do mnie, wskazując innym. Poczulem, że dostałem w prawą rękę, następnie w okolice serca. Uratował mnie kalendarzyk w metalowej okładce, który nosiłem w kieszeni marynarki. (...) Pocisk ześliznął się, łamiąc mi żebra, o czym jeszcze wówczas nie wiedziałem, nie poczułem nawet bólu. Straciłem natomiast przytomność...”

Rozstrzeliwano zarówno ujętych z bronią w rękę, jak i wywlekanych z domów, czy zatrzymanych na ulicach. Zamordowanych zwożono do kostnic szpitalnych. Relacja jednego ze świadków — kierownika szpitala przy ul. Raciborskiej — dotyczy harcerzy zabranych z ulicy Zamkowej. Wszyscy mieli charakterystyczny postrzał w głowę z bliskiej odległości... Następnie, wg zeznań dr Mieczysława Grabowskiego, przywieziono około 30 ciał powstańców. Świadkiem pochówku ofiar był przypadkowo Rafał Wieczorek. Widział, jak na panewnicki cmentarz wjechał wóz magistracki z około 20 zwłokami w mundurach powstańców i harcerskich. Ciała wrzucono do wykopanego grobu. Potem pojawił się kolejny wóz. Następnego dnia — dwa.

5 września wyprowadzono harcerzy z Domu Powstańca. Świadkowie widzieli tylko, jak ustawiono ich twarzami do muru. Naprzeciw stał karabin maszynowy... Także na Placu Wolności widziano co najmniej 20 powstańczych zwłok. Wielu zdesperowanych Polaków prowadziło jeszcze walkę z ukrycia — z poddaszy, strychów, piwnic. Dopiero 22 września okupant wykrył i zlikwidował ostatnich obrońców miasta.

Dr M. Grabowski liczbę rozstrzelanych, przywiezionych do kostnicy szpitala przy ul. Raciborskiej, ocenił na wahającą się między 70. a 80. Byli wśród nich harcerze i harcerki w wieku od 11 do 14 lat. Paweł Szyszka natknął się, w magazynie pocztowym za szpitalem, na kilkanaście ciał chłopców w wieku od 16 do 18 lat. Liczbę zwłok złożonych w kostnicy przy ul. Francuskiej określił na 108. Nie są to jedyne relacje. Zaś pomiędzy poszczególnymi pojawiają się różnice. Trudno więc dokładnie określić liczbę ofiar. Ciała zwożono i grzebano przecież przez kilka dni... Nierzadko świadkowie obserwowali to z ukrycia...

Rafał Kocik, leżący wśród zwłok na ulicy Zamkowej stracił przytomność. Gdy ją odzyskał wokół było ciemno, a on leżał długo z walącym sercem. Ostatecznie postanowił wydostać się spod stosu trupów. Podwórce było puste. Wtopił się w mroczną ulicę, podpierając obolałe ciało o barierkę mostku na Rawie. Dobiegająca z ciemności rozmowa, toczona po niemiecku, kazała mu schronić się w pobliskim budynku. Tu usłyszał dziwne odgłosy. W błym świetle żarówki ujrzał harcerza z głową całą we krwi. Nieoczekiwanie zjawił się inny ocalały z masakry — mężczyzna z postrzelonym ramieniem. Ranny harcerz — wbrew sprzeciwom przypadkowych towarzyszy — uparł się, że dotrze do swego nieodległego domu. Gdy wyszedł, po chwili z ulicy dobiegły odgłosy strzałów... Mimo to taką samą de-

cyzję podjął ranny mężczyzna. Drużyny Kocik pozostał. Na schodach ogarnął go sen. Obudziła go zatroskana kobieta — mieszkanka domu. Niestety tuż po niej pojawił się jej mąż — agresywny, barczysty, który wrzeszcząc po niemiecku, zrzucił Rafała ze schodów. Osłabiony harcerz znalazł się na ulicy. Tu, ku swemu przerażeniu, co krok mijal niemieckie patrole... przez żaden z nich nie zatrzymany. Szczęśliwym trafem, niespodziewanie spotkał dwie znajome harcerki. Wzięły go pod ramiona i ruszyły przed siebie, wyglądając na beztroską grupę młodych.

Postanowił wracać do domu — na ulicę Górnicy w Chorzowie. Dotarł tu tramwajem. Zastał zapłakaną matkę... Nietrudno wyobrazić sobie radość spotkania. Nie miała ona jednak trwać długo. „(...) wkrótce zjawili się trzech osobników w cywilu, z opaskami ze swastyką — czytamy we wspomnieniach R. Kocika — i pistoletami w rękach”. Wyprowadzili go na dwór, każąc wejść do wykopanego dołu. Rozległ się lament matki. Niespodziewanie pojawiła się jakaś kobieta — nie znana rodzinie Rafała. Nie wiadomo kim była, ale jej protesty i żądanie odwiezienia Rafała do szpitala odniosły rezultat. Szpital pełen był rannych — w większości Niemców. Leczenie cudownie ocalałego druha było kolejnym przedziwnym wydarzeniem pozostawiającym go przy życiu. Po paru tygodniach opuścił lecznicę. Postanowił podjąć pracę w kopalni, licząc na to, że umknie tym sposobem uwadze hitlerowców. Niestety „już 18 grudnia zostałem aresztowany — wspomina. — Przebyłem wiele więzień niemieckich i katowni Gestapo, łądząc ostatecznie w obozie w Oświęcimiu...”

Mimo katowickich egzekucji, wykonywanych niemal na oślep, okupant uznał, że „urdeutsche Stadt Katowitz”, a więc proniemieckie miasto nie spełniło oczekiwań. Walczyło z odwagą i desperacją. Nowe okupacyjne władze cywilne uznały więc, że Katowice „nie zasługują” na to, by jakkolwiek ich część nazwać imieniem Hitlera. Toteż przez całą wojnę nie można tu było znaleźć żadnej „Adolf Hitler Strasse”, czy żadnego „Adolf Hitler Platz”. Fakt ten, w sposób przez wroga niezamierzony, stał się symbolem hołdu wobec bohaterów obrońców Katowic z września 1939 r.

Rafał Kocik przeżył pobyt w obozie koncentracyjnym. Po powrocie nie odnalazł wielu ze swych młodych, przedwojennych znajomych — harcerzy, czy harcerek. Jeszcze w Oświęcimiu, mając w pamięci różne, w przedziwny sposób ocalające go wydarzenia, podjął ważne postanowienie. Tak o tym pisał: „(...) jeśli wyjdę z tego cało, to co roku złożę wiązanek kwiatów w miejscu kaźni patriotów oraz pod wieżą spadochronową... I czynię tak od 1945 roku, każdego 4 września”.

Przyrzeczenia dotrzymywał. 18 dzień września 1992 r. przerwał ostatecznie drogę jego życia.

Rafał Kocik do końca pozostał wierny harcerskim ideałom. Żyjący harcerze, wspominając września 1939 r., stwierdzają iż niewiele brakowało, by wypełnił do końca przyrzeczenie z harcerskiego hymnu: „Wszystko, co nasze Polsce oddamy...” Pozostało po nim — mocno uszczuplone powojennymi rewizjami — harcerskie archiwum... Gdy odszedł, pożegnano go nie tylko na miejscu ostatniego spoczynku — w Dąbrowie Górnicy. Na spotkaniu Komisji Historycznej Katowickiej Komendy Chorągwi odejście druha Kocika uczczono tak samo, jak wielu innych których już zabrakło. „Nie minutą ciszy — twierdzi druha Witkowski — lecz bardziej godną i potrzebną, przedwojenną modlitwą harcerzy, napisaną w 1919 r. w Nowym Sączu przez druha S. Bugajskiego.”

Słowa tej modlitwy w szczególny sposób sytuują się na kanwie czasu, przepłatającej przeszłość i terażniejszość. Zdają się sięgać i wszystkich poległych, i tych co odeszli po wojnie, i wreszcie nowych, młodych, współczesnych nam członków bogatego w tradycje harcerstwa polskiego. Te wersy to pomost między dziejami i ocalałymi, wbrew zakrętom historii, ideałami:

*„O Panie Boże, Ojczyźnie nasz,
W opiece swej nas miej.
Harcerskich serc Ty drgnienia znasz.
Nam pomoc zawsze chciej.
Wszak Ciebie i Ojczyznę
Miłując chcemy żyć.
Harcerskim prawom w życia dniach
Wiernymi zawsze być.”*



To samo zdjęcie prowadzonych na śmierć skazańców dokonane z tyłu. Przed Boronowskim kroczy inny, niewspomniany uczestnik samoobrony Śląska w pierwszych dniach września 1939.

Nóż w plecach moich muz

Ślepią widownię
światliki
błądniki
trzęsawisk na scenach

za kurtyną skandalistów
goreje nóż
w plecach
moich muz

mdleje muza wzruszenia

Uśmiech zza grobów

Pradziad
nawiedza moje myśli
w prześcieradło siewców

pracuje
przy klekocie
bocianów

uśmiechem
poleca wzrosty
pogodzie
Żywicielce Skarbanowa

Wspomnienie latających uniwersytetów na Śląsku

(pamięci Renaty Zwoźniakowej)

W stanie wojennym
nawiedziła
betonowy familok
górników
w prywatnej izbie

mówiła
logiką liter
marsza
solidarnych

uczestniczył w lekcji
jej papieros
jasny ogieniek
latających uniwersytetów

w razie nieproszonych gości
pretekstem —
wiersze
też obrońcy
Wiecznego Westerplatte Polski

List po latach do kolegi

Pamiętasz
strajkowaliśmy
diabłom
na uciechę

przyłożyliśmy palce
do upadku murów
szatanom
na rozkosze

czy pamiętasz ze szkółki
wiersz
„A jak poszedł król na wojnę”?

pomyśl człowiecze
że tobie
kopcą kominy
w podzięce

Pamiętki

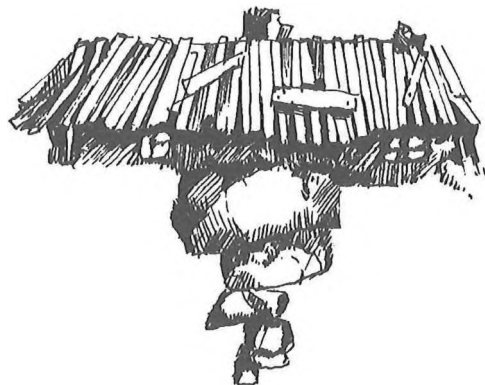
W tej chałupie
zgast ogień
obrzęd karmienia
dzieci i zwierząt

pamiętką

wyziębnięta furtka
do kikutów
po sadzie

pamiętką
obrzęki rąk
sprzed iluś lat
na żurawiu studni

winorośle
zdobią
niemoc
zabitej deskami chałupy



Rys. Wojtek Łuka

Nie tylko na Mikołowskiej

KATARZYNA WIDERA



Natalia Piekarska (1956).

- Widzi pani... to mój brat, a to moja mama, to Edziu, a to wujek - ten, o którym pani mówiłam - pani Natalia wolno odkłada kolejne fotografie, niektóre z nich poźółtkie, widać bardzo stare... a to właśnie Basia i Zosia, moje przyjaciółki, z którymi przeżyłam tyle ciężkich chwil...

Przyjaźniły się w trójkę; Natalia, Barbara i Zofia. Wszystkie trzy przykładne uczennice końcowych klas Liceum Ogólnokształcącego imienia Marii Curie-Skłodowskiej w Chorzowie. Odbierając świadectwa szkolne i wybierając się na wakacje w 1952 roku pewnie żadna z nich nie przypuszczała, że nie dane im będzie równie radośnie i beztrosko przeżyć kolejne wakacje. U progu nowego roku szkolnego 1952/53 stanęły więc wesole, wypoczęte i pełne optymizmu. Chociaż, jak wspomina pani Natalia, czuły, że to co się wokół nich dzieje, co mówią niektórzy dorośli, jest prawdą względną, że UB jest rzeczą złą, a „żelazna kurtyna” zasłania jakiś inny, bardziej kolorowy świat.

Wiedziały, że stojący obok nich koledzy, pólsieroty, którzy potracili ojców w Katyniu, przeżyli największy dramat, który (o czym wiedzieć wówczas nie mogły) dopiero po latach zostanie odsłonięty. Z ogromną ciekawością nasłuchiwały co robią rodzice późnym wieczorem przy straszliwie skrzeczącym odbiorniku radiowym - dodaje pani Zofia, zaznaczając, że jak to dzieci, mocno naciągały uszu, tak, że wkrótce wiedziały już z grubsza co to takiego Wolna Europa.

Pierwsze półrocze upłynęło dziewczynom nadzwyczaj spokojnie, wszystko wokół działało się normalnym, szarym „życiem”, do momentu, kiedy świat stanął u progu wiosny, a krajami, które wówczas były pod ojcowską opieką „wielkiego wodza” wstrząsnęła przerażająca wiadomość. 5 marca 1953 roku zmarł Józef Stalin. Byli tacy, którzy śmierć jego przyjęli jak odejście najbliższej im osoby, wylewając gorzkie łzy, najczęściej na publicznych spotkaniach. Dla tysięcy była to jednak jedna z chwil największych i najcudowniejszych. Pojawiła się nadzieja na zmianę życia, na eliminację ciągłego strachu przed niewiadomym, przed jakimś złem wiszącym w powietrzu. Niestety bardzo szybko okazało się, że są to płonne marzenia, że nim zdążą w pełni rozkwitnąć, zostaną zduszone przez kolejną wiadomość ukazującą wielkość zaprzędania „zaborcy”.

Uchwała w sprawie Stalinogrodu zapadła 7 marca 1953 roku na wspólnym posiedzeniu KW PZPR i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach. Od tego momentu przez ponad 3 lata nazwa Katowice nie pojawiła się na żadnym oficjalnym dokumencie, w żadnym publicznym miejscu i na żadnym spotkaniu. Nikt podczas posiedzenia Sejmu, które odbyło się 28 kwietnia 1953 roku, po słynnym przemówieniu śląskiego pisarza Gustawa

Morcinka nie wystąpił przeciwko przemianowaniu Katowic na Stalinogród. Obrońcy Morcinka podkreślają, że był on tylko pionkiem w wielkiej politycznej grze, że jego przemówienie nie miało żadnego znaczenia wobec decyzji, której inspiratorzy zasiadali w Biurze Politycznym KC PZPR.

Stalinogród stał się faktem. Wobec tej decyzji zwykli ludzie stanęli bezradnie. Jednak nie wszyscy. Byli tacy, którzy postanowili walczyć z ludzką głupotą. W ich szeregach znalazły się: Natalia, Zofia i Barbara.

- Myśmy tak bardzo spontanicznie zbuntowały się przeciw pierwszym pogłoskom o zmianie nazwy - wspomina pani Zosia. - A tak strasznie szybko się to działo - dodaje pani Natalia - ani się człowiek spostrzegł, gdy z dworcowych megafonów popłynęły słowa: „Tu stacja Stalinogród, stacja Stalinogród”. Konduktorki w tramwaju bardzo szybko zaczęły poprawiać starsze, nieprzyzwyczajone do nowej nazwy osoby. A z gmachów publicznych zniknęły wszystkie tabliczki informujące o tym, że ten czy inny budynek mieści się w Katowicach.

Dziewczęta przystąpiły do akcji, która w ich rozumieniu skłonić miała decydentów do zmiany decyzji. „I tak zaczęłyśmy wspólnie, czcionkami z drukarenki dziecięcej i na wypożyczonej maszynie do pisania produkować ulotki na pociętych kartkach papieru. Rozrzucaliśmy je kilka razy w Chorzowie i po przyległych miastach. Podkładaliśmy pod wycieraczki przy drzwiach znanym nam panom z policji i bezpieki, na stołach w barach i pod nakryciami stolowymi w chorzowskich restauracjach.”

Pani Basia wspomina dzień, kiedy jedną z ulotek powiesiła na restauracji, w której jej mama była kierowniczką. Jako, że restauracja ta mieściła się niedaleko koszar, więc też szybko któryś z oficerów znalazł ją i zerwał. W kilka dni później aresztowano mamę Basi. Zwolniono ją po 24 godzinach. To był znak dla trójki konspiratorów, by pożyć się z domu ulotek oraz maszyn do pisania.

Pani Zofia dokładnie pamięta marcowy, deszczowy dzień, gdy po raz pierwszy w pobliskim parku rozrzuciły ulotki. Ich treść: Precz z komunizmem, Precz z Polski komunistami, śmierć komunistom, Stalinogrodu nie będzie - pozostaną Katowice, Katowice stolicą śląska.

Nie miały zbyt wiele czasu na rozwinięcie swojej działalności podziemnej. Bardzo szybko władze wpadły na trop dziewcząt. Dużo później Natalia dowiedziała się, że naprzeciw jej domu zamieszkał człowiek z UB, który pilnie obserwował wszystkich wchodzących i wychodzących z kamienicy. To prawdopodobnie on był jedną z osób, które zdecydowały o aresztowaniu całej trójki. Rozpoczęły się przesłuchania. Nikt nie chciał wierzyć dziewczętom, że nie są ogniewe większej, podziemnej organizacji, nikt nie mógł zrozumieć, że piętnastolatki mogły same wpasć na taki pomysł. Przesłuchaniom i biciu nie było końca. Na długie lata tamte dni pozostaną w ich pamięci.

„Cele bez mebli, koca. Zaryglowane drzwi. Miska z jedzeniem położona na ziemi”. I zimno - wspomina pani Natalia - oczywiście ciągle bicie, wyzwiska o każdej porze byleby tylko jak najbardziej złamać fizycznie i psychicznie, przesłuchiwanie. Każda z nich dokładnie pamięta te okropne poniżenia, których doznały. Zofia wspomina jeszcze jedną równie bolesną rzecz, której doświadczyła - towarzystwo w celi. Zwykle były to prostytutki, złodziejki, pijaczki. Zwykła, spokojna dziewczyna z normalnego domu nie mogła obojętnie patrzeć na to co się wokół niej działo, w jaki sposób się mówiło i jak zachowywało. Z tamtego czasu pozostał ten ogromny strach i niesmak pojawiający się na myśl o tamtych wydarzeniach.

Dla każdej z nich kolejne więzienia w Bytomiu na Dąbrowskiego, w Katowicach na Mikołowskiej, czy w Gliwicach zwały się w jedną ciernistą drogę przesłuchań. Na początek czerwca 1953 roku wyznaczono termin rozprawy. Pierwsza jednak nie doszła do skutku. Prze budynkiem sądowym zebrała się bowiem grupa młodych ludzi, którzy krzykiem pragnęli dodać otuchy przesłuchiwanym dziewczętom. „Dziewczęta trzymajcie się, nie dajcie się” - krzyczeli, burząc porządek rozprawy. Wyznaczono kolejny termin. Rozprawa toczyła się za zamkniętymi drzwiami. Natalia dokładnie pamięta, jak wszystkie trzy zostały pouczone; „Katowice muszą nazywać się Stalinogrodem, albowiem dawny właściciel małej miejscowości Koczwów, bogacąc się na krzywdzie ludzkiej, był prawdziwym katem dla swoich podwładnych. Mówi o tym również sama nazwa miasta, w której słowo „Kat” umieszczone jest na samym początku jego nazwy: Kat-owice”!

Zapadł wyrok skazujący dziewczęta: Barbara - jako 17. latka mogła być już osadzona w więzieniu - otrzymała wyrok 4 lat pobytu w zakładzie karnym, Natalia i Zofia, które nie ukończyły 17. lat, skazane zostały na pobyt w zakładzie poprawczym.

Dla każdej z nich był to najstraszniejszy okres w życiu. Natalia wspomina, że strasznie obawiała się groźby tego, że jak ukończy 17 lat, a będzie się nadal źle zachowywać to odeśle ją do więzienia. W pewnym momencie nie wytrzymała tego napięcia psychicznego i postanowiła uciec z poprawczaka w Wodzisławiu. Dość też miała przymusowych prac w gospodarstwach rolnych przy burakach i ziemniakach, przy plewieniu, grabieniu i okopywaniu. Dość miała robienia wszystkiego pod przymusem. Pewnej nocy wzięła więc najpotrzebniejsze rzeczy i uciekła do Żywca, stamtąd do Wrocławia, Nysy... Wszędzie pomagali jej dobrzy ludzie, którzy narażali tym samym swoją wolność; przecież ona była już wtedy poszukiwana. Wreszcie celem jej wędrówki stał się Gdańsk. Dowiedziała się, że tam krążą plotki o zmianie sytuacji w kraju, o zwiastunach nowego, lepszego życia. Przyjechała więc do Gdańska i pierwszego września rozpoczęła naukę w Technikum Wychowania Fizycznego w Gdańsku. Ciągle jednak towarzyszył jej strach. W dniu 1 czerwca została aresztowana i umieszczona w schronisku dla nieletnich, skąd ucieczka nie była już taka łatwa. W lutym 56-ego roku otrzymała przepustkę pierwszą w swoim życiu, trzydniową. Na Wielkanoc powróciła do domu.



Wśród uczniów LO im. Marii Curie-Skłodowskiej w Chorzowie: Barbara Galas (w środku) i Zofia Klimonda (druga z prawej).

Wolność dla całej trójki była najszczęśliwszym momentem w życiu, ale jak ogromne piętno odcisnął w ich psychice pobyt w więzieniu, tego nawet same do końca nie wiedzą.

Zofia - wróciła do domu z ogromnym poczuciem winy wobec rodziców. Ojca usunęto z kierowniczego stanowiska i został zwykłym kreślarkiem. Czuli się winni i psychicznie załamani. Postanowiła jednak, że skończy 9-tą klasę, potem 10-tą i 11-tą. Udało jej się to zrobić, chociaż - jak dziś

mówi - każdemu kolejnemu egzaminowi towarzyszył ogromny lęk. Zawsze odnosiła wrażenie, że to kolejne przesłuchanie. Później wyjechała do Krakowa. Tu ukończyła archeologię śródziemnomorską i rozpoczęła pracę przy odnawianiu zamku królewskiego na Wawelu. Pracowała też na Politechnice. Na krótko wyjechała do Francji. Po powrocie rozpoczęła pracę w Państwowym Przedsiębiorstwie Desa - dzieła sztuki i antyki. Jako antykwariusz pracowała do czerwca tego roku. Czasem myślała, że źle zrobiła wybierając ten kierunek studiów. Jakie miała po nim perspektywy? - żadne. Powinna była być lekarzem, prawnikiem, ale ona myślała, że wyjedzie do Włoch lub Egiptu, rozpocznie tam nowe życie i może zapomni o wszystkim. Niestety, wróciła i nie zapomniła. Przez wszystkie te lata skrzętnie jednak ukrywała prawdę o swojej przeszłości.

Barbara - nie ukończyła szkoły, nie mogła znieść tego psychicznie. Rozpoczęła pracę w Zakładach Gastronomicznych w Chorzowie. Pracowała tam jeden rok. Potem wyszła za mąż i wyjechała do Konina. Tutaj mimo sprzeciwu dyrektora Miejskiego Handlu Detalicznego podjęła pracę w sklepie, a następnie w warszawskim Betonstalu. Pracowała do 1991 roku. Jej przeszłość wszystkim była znana. Miała problemy z przełożonymi. Do dziś pamięta słowa prokuratora: „Takich jak wy powinno się rozgniatać jak pluskwy na ścianie”.

Natalia - pragnęła ukończyć szkołę, chciała podjąć studia humanistyczne. Niestety z powodu przeszłości nie otrzymała skierowania na ten kierunek. Ukończyła więc Liceum Kulturalno-Oświatowe w Gliwicach, a potem studia - wychowanie fizyczne z biologią. Jak dziś mówi, uczyła prawie wszystkiego, łącznie z zabronioną historią. W tym celu przeszła roczny kurs. Czego uczyła? Były to dzieci z młodszych klas szkoły podstawowej, które musiały przygotowywać zgodnie z programem. Czasem powiedziała im coś z historii zakazanej, ale nie mogła tego robić zbyt często. O swoich przejściach nigdy nie mówiła i tak zresztą wszystkie wiedziały, takich rzeczy nie można ukryć. Po latach, w ubiegłym roku postanowiła spisać swoje wspomnienia. Wydała małą książeczkę zatytułowaną „Byłam nie tylko na Mikołowskiej”.

Od czasów tragicznych wydarzeń Natalia, Zofia i Barbara przez wiele lat w ogóle się nie spotykały, nie znały swoich dalszych losów, nie wiedziały, gdzie każda z nich mieszka. Przed kilkoma laty spotkały się Natalia z Barbarą, przed ponad rokiem Natalia z Zofią. Czy po czterdziestu latach uda im się jeszcze spotkać w trójkę.

Od czasów tragicznych wydarzeń Natalia, Zofia i Barbara przez wiele lat w ogóle się nie spotykały, nie znały swoich dalszych losów, nie wiedziały, gdzie każda z nich mieszka. Przed kilkoma laty spotkały się Natalia z Barbarą, przed ponad rokiem Natalia z Zofią. Czy po czterdziestu latach uda im się jeszcze spotkać w trójkę.

(Tytuł artykułu oraz wszystkie cytaty pochodzą ze wspomnianej książeczki pani Natalii Piekarskiej-Ponety.)



Pani Natalia dzisiaj (zdjęcie z 1997 roku).

GUSTAWA HOLOUBKA

znają wszyscy.
Wybitny aktor
teatralny i filmowy,
reżyser,
współautor książki
o teatrze,
profesor
w warszawskiej
Państwowej Wyższej
Szkołe Teatralnej,
przez 11 lat
prezes
SPATIF-u,
poseł,
który wraz
z wprowadzeniem
stanu wojennego
zrezygnował z mandatu,
od 1989 do 1991 roku
senator,
kierownik artystyczny
i dyrektor teatrów
(obecnie
„Ateneum”
w Warszawie).
Kiedy tuż po wojnie,
rozpoczął w Krakowie
karierę aktorską
miał 24 lata.
Towarzyszyl mu
wielki zapal do pracy
i obecna
w jego świadomości
stale,
niezachwiana wiara
w uczciwość,
prawdomówność
i sprawiedliwość.
Zaczynał
w Teatrze Słowackiego.
Jednak, po dwóch latach
postanowił
przenieść się
do Katowic.



Foto: ARC

Aktor spełniony

— Skąd ten wybór? — pytam zagłębionego w miękkim fotelu i zapalającego papierosa Gustawa Holoubka. — Czy Kraków nie był wówczas dla aktora wymarzonym miejscem pracy?

Śmieje się.

— Władysław Woźnik, mój krakowski pedagog i mistrz, objął dyrekcję Teatru Wyspiańskiego w Katowicach. Poszedłem za nim. Nie wahałem się ani chwili. Jeśli chodzi o moją wstępną edukację aktorską — zawdzięczam mu wszystko. Jego gust, religia artystyczna, wnikliwość w ocenie ludzi, a przede wszystkim sprawiedliwość i prawość w stosunku do innych zrobiły na mnie potężne wrażenie. Pod wpływem jego osobowości pozostają zapewne do dziś...

Kiedy zgłosiłem się do niego w Katowicach, zdziwił się, że chcę zrezygnować z Krakowa. Wiadomo przecież, że było to zawsze miasto usatkwone, zażytkowe i dostojne, a do tego po wojnie, co zupełnie niebywałe, nietknięte...

Gdy znalazłem się w Katowicach, w gęszczy szyn kolejowych, drutu, płomieni i hut, doznałem szoku. Zdawało mi się, że długo tam nie wytrzymam...

Gustaw Holoubek przyjechał do Katowic w 1949 roku, by spędzić tu prawie 9 lat. Wspomina je jako czas wyjątkowo wyczerpanej pracy, wysiłku graniczącego z możliwościami organizmu, pierwszego małżeństwa i ciągłego odkrywania bogactwa i złożoności mentalnej Ślązaków. Był to okres teatru „na wozie” i nowych doświadczeń aktor-

skich, kibicowania Ruchowi Chorzów i... coraz częściej dającej o sobie znać, nabytej w czasie niemieckiej niewoli, gruźlicy.

— Na Śląsku szybko zorientowałem się, że mam do czynienia z niezwykle interesującymi ludźmi. Byli moimi sąsiadami — mieszkałem na Ligocie — spotykałem ich w drodze do- i z- pracy, w pociągach, autobusach, na widowniach teatrów, w których grałem... Najbardziej zaskakujące było dla mnie to, że ich ocena ludzi kształtowała się w odniesieniu do ich stosunku do pracy. Właśnie praca była dla nich probierzem moralności: jeśli ktoś wykonywał ją uczciwie i kompetentnie, jeśli był fachowcem w swojej dziedzinie — cieszył się szacunkiem i poważaniem. Nato-

miast obiboki i nieroby, których zresztą wówczas rzadko można było tam spotkać, byli wyraźnie dyskryminowani i w naturalny sposób z tej społeczności eliminowani.

Układa głowę na oparciu fotela. Przyemyka oczy. Zaciąga się dymem papierosowym. Po chwili znów opiera łokcie na kolanach. Porządkuje rzeczy na stole. Robi to odruchowo. Moje pióro układa idealnie równoległe do kartonika papierosów. Na nim umieszcza pudełko zapalek — równiutko na środku. Perfekcjonista?

— *Praca w teatrze była mordercza. Chyba porównywalna do wysiłku górnika. Wychodziłem z domu o dziewiętej, wracałem o dwunastej — pierwszej w nocy. W tamtym okresie przejechałem, razem z całym zespołem ok. 100 tys. km — wszystko starym autobusem — teatr miał w obowiązku grania w ponad czterdziestu miejscowościach! Poznałem śląską publiczność dosyć dobrze. Była zdumiewająca... W przeważającej mierze robotnicza, a więc naturalnie mocno związana z wysiłkiem, pracą, namacalną rzeczywistością — zdecydowanie odrzucała to, co nazywamy naturalizmem czy realizmem. Oczekiwała od teatru oderwania od codzienności, chciała baśni dla dorosłych. Sukces klasyki w Teatrze Śląskim był niewiarygodny. Nigdy potem nigdzie nie udało mi się go powtórzyć. Wielkim powodzeniem cieszył się Słowacki, Kochanowski, Moliere, Szekspir, Fredro... A przecież były to szczytowe lata tak zwanego socrealizmu!*

Tak, to była pierwsza nauka: śląska publiczność oczekiwała od teatru świata nierzeczywistego, odrealnionego, chciała metafor i przenośni. Druga nauka, wynikająca z tych kontaktów, była dla mnie nie mniej ważna: otóż nie ma takiej publiczności, którą można lekceważyć. Co mam na myśli? Bywało czasem tak, że niektórzy z naszych widzów, przed spektaklem odwiedzali pobliską piwiarnię, dodawali sobie animuszu i żartując, przeszkadzali nam trochę. Cóż... I tak się zdarzało. Jednak zawsze był na widowni ktoś, kto przyszedł się wzruszyć, skupić, znaleźć w innym świecie... Graliśmy dla niego.

Pod koniec pobytu w Katowicach został Gustaw Holoubek kierownikiem artystycznym Teatru. Dyrektorem był wówczas Waclaw Koziol. Było to w latach 1954—56 — czyli w szczytowym okresie tzw. realizmu socjalistycznego.

— *Oczywiście spotykałem się z naciwkami repertuarowymi. Jednak może wynikało to z ambicji regionu, który miał zawsze separatystyczne skłonności w stosunku do reszty Polski, ale władze polityczne i partyjne były w pewnym sensie autonomiczne, a na pewno w mniejszym niż inne rejony stopniu zależne od tak zwanej centrali.*

Jednak socrealizm obowiązywał oczywiście także w Katowicach. Próbowano narzucać nam repertuar. Dobrze widziane było, gdy graliśmy sztuki

o robotnikach i chłopach, „złych” Niemcach i „dobrych” Rosjanach, autorstwa współczesnych polskich pisarzy. Unikaliśmy tego jak ognia: nie było to utwory bliskie ani nam, ani publiczności...

Na szczęście ten okres trwał w Polsce krótko.

Gustaw Holoubek (ur. 1923), aktor, reżyser; występy od 1947 roku w Krakowie (Teatr Słowackiego i Stary), Katowicach (Teatr Śląski 1949—1958, 1954—1956 kierownik artystyczny), Warszawie (Teatr Polski 1958—1959 i 1983—89; Teatr Dramatyczny 1959—63 i 1969—82, dyrektor 1972—82, Teatr Narodowy 1963—68; od 1989 — Teatr Ateneum); role dramatyczne (m.in. Cust — „Trąd w pałacu sprawiedliwości U. Bettiego, Goetz — „Diabeł i Pan Bóg” J. P. Sartre’a, Edyp — „Król Edyp” Sofoklesa, „Hamlet”, „Ryszard III”, „Król Lear” W. Szekspira, Riccardo Fontana — „Namiestnik” R. Hohnhutha, Konrad — „Dziady” A. Mickiewicza, Skrzypek — „Rzeźnia” i Superiusz — „Pieszko” S. Mrożka), czasami role komediowe (m.im. Fior — „Operetka” W. Gombrowicza; prace reżyserskie (m.in. „Hamlet” Szekspira 1962, „Mazepa” J. Słowackiego 1953 i 1992); występy w filmie, telewizji; 1970—81 prezes SPATiF-u; 1976—82 poseł na Sejm; 1989—91 senator; wydał (razem z A. Hausbrandtem) „Teatr jest światem” (1986); praca pedagogiczna w warszawskiej PWST (od 1991 roku profesor).

(Za: Nowa encyklopedia powszechna, Wydawnictwo Naukowe PWN; Warszawa 1995, t. 2.)

Na Śląsku wspominają, że Holoubka było wtedy 41 kg. Aktor śmieje się, gdy to mówi. Ale przyznaje, że ważył poniżej 50 kg.

Wspomina swoje role z tamtego okresu. Szczególnie bliski był mu Fantazy, z sentymentem myśli też o Królu w „Mazepie” i Łatce w „Dożywociu” Fredry.

— *Praca była dosłownie i w przenośni gorączkowa. Czulem, że się wypalam. Choroba odbierała mi siły. Stany gorączki trwały miesiącami. Bardzo możliwe, że moja nadpobudliwość, szczególna nerwowość i podekscytowanie, wynikające z zaawansowanej gruźlicy, były jednym z powodów, dla których zwrócono na mnie uwagę, na moje aktorstwo. Dość nietypowo zachowywałem się na scenie, posługiwałem się szczególnie mocną dawką emocji. Tak... I pewnie czymś jeszcze co wymyślało się mojej samokontroli.*

Na egzaminie do szkoły teatralnej recytował „Testament mój” Słowackiego. Uznał, jak wspomina, że wyrzucił dobre wrażenie, jeśli w trakcie deklamacji rozplacze się prawdziwymi łzami. Tak też zrobił.

Do szkoły się dostał, ale — tak bardzo ceniony później przez niego — Władysław Woźnik, zwrócił mu mało dyskretnie uwagę: „Czy pan zwiariował? Cóż pan tak płacze? Aktor nie powinien się wzruszać naprawdę!”

— *Moje wzruszanie się, na początku było dosłowne. Kiedy było trzeba, wywoływałem w sobie łzy, płacze, szloch. Dopiero później zrozumiałem, jak fatalny to sposób na wyrażanie emocji. Od wzruszeń jest nie aktor, ale publiczność! Trzeba tak grać, by to ona szlochała.*

Trzeba posługiwać się świadomością pobytu na scenie. Szczególne znaczenie ma wymiana energii między publicznością a aktorem, powodująca że aktor tą

publicznością włada, że potrafi nad nią panować.

Tę świadomość wypracowuje się latami. Na początku trzeba nauczyć się ruchu, mowy scenicznej, pojąć jak ma wyglądać gest, co to jest pauza, na czym polega kontakt z partnerem, z publicznością. Tego można i trzeba się

nauczyć. Później przychodzi nadświadomość, czyli odwoływanie się do własnej osobowości.

W miarę upływu lat doszedłem do wniosku, że jeśli nie mam nic do powiedzenia publiczności, jako człowiek, od siebie, prywatnie, to nie mam po co wchodzić na scenę. Granie to nic innego, jak dzielenie się z ludźmi własnym poglądem na świat. Powodzenie aktora zależy od tego, w jakim stopniu jest on szczerzy i uczciwy wobec siebie, a także od tego, na ile jego ogląd świata jest dojrzały i inteligentny.

„Sfera kształtu, sfera formalna — to intelektualna część aktorstwa. I aby kształt ten był dojrzały, doskonały, trzeba być wykształconym, posiadać określoną wiedzę o tym, co się w ogóle dzieje, nie tylko w innych dyscyplinach sztuki, ale także wiedzę o tym, co się dzieje na ulicy. Wiedza ta wiąże się właśnie z umownymi środkami wyrazu; jest jakby kształtem wyrażania się — obowiązującym w chwili obecnej znakiem kultury.

To, co nazywamy „światopoglądem”, jest ostateczną dojrzałością aktora, sferą ściśle intelektualną. Okazuje się bowiem, że można wyrazić swój punkt widzenia na rzeczywistość poprzez granie, podobnie jak dzieje się w innych, twórczych zawodach. Właściwie można to uczynić prawie niezależnie od tego, co się gra, o ile grana postać cechują walory autentyczności. Światopogląd może jednak charakteryzować tylko aktora w pełni dojrzałego.”

(wypowiedź aktora w książce Zbigniewa Taranięna „Rozmowy o teatrze”)

W czasach katowickich często widywano Gustawa Holoubka na stadionach piłkarskich. Jego drużyną był wtedy Ruch, a idolem, „sportowcem prawdziwym” Gerard Cieślak. Do dziś

aktor darzy go wielkim sentymentem. Mówi, że rozumiał on uprawianie sportu jako spontaniczne dawanie upustu swojemu talentowi, bez interesowności i ciągłego szukania pieniędzy.

Widać, że ten temat mocno go obchodzi. Ubolewa, że sport tak bardzo uległ komercjalizacji. Jednak nie dziwi się temu. Mówi, że każdy wyczyn wymaga ponadludzkiego treningu i samozaparcia, powoduje olbrzymie wyczerpanie fizyczne, często poważne kontuzje. Muszą więc sportowcy dbać o zabezpieczenie finansowe na resztę życia dla siebie i rodziny.

Kiwa w zamyśleniu głową. Mówi, że woli nie myśleć, ile zarabiają osoby zatrudniające sportowców...

— *Duchowo, niezmiennie do lat jestem kibicem Cracovii. Ale ona spada powoli już nawet z drugiej ligi. To okropne! Skarżą się, że nie mają pieniędzy, ale nie sądzę, żeby to był główny powód tak wyraźnego spadku formy. W tym klubie musiało stać się coś złego!*

W Katowicach decyzja Holoubka o przeniesieniu się do Warszawy wspomina się jako zupełnie nagła. Aktor dziwi się temu. Mówi, że w 1955 i 1956 roku choroba poczyniła w jego organizmie tak wielkie spustoszenia, że jedynym ratunkiem było zaprzestanie pracy i bardzo intensywna kuracja. Dwa lata spędził poza teatrem. Pobyt w szpitalach i sanatoriach odniósł pozytywny skutek: znalazł się w gronie pierwszych wyleczonych z gruźlicy szczyśliwców.

Jeszcze w trakcie choroby dostawał liczne propozycje teatralne. Wybrał angaż w Teatrze Polskim w Warszawie.

— *Moje początki w Warszawie, muszę przyznać bezwstydnie, były rzeczywiście rewelacyjne... Pierwszą sztuką, w której grałem na Scenie Kameralnej Teatru Polskiego był „Trąd w pałacu sprawiedliwości”. Rzecz odniosła kolosalny sukces. Koledzy mówili, że od pięćdziesięciu lat nie było podobnie mocnego „wejścia” do Warszawy. Wszyscy bardzo mnie chwalili za intelektualną niezwykłość, jak wówczas mówiono. Ja jednak uważam, że to powodzenie było wynikiem szczęśliwych zbiegów okoliczności: i dramat, i moja rola były bardzo atrakcyjne...*

Na ten mój warszawski debiut zjechał pewnego dnia Władysław Woź-

nik. Po spektaklu powiedział: „Panie, co pan wyprawia? Po co te czary, kokietki? Ciekawe co pan pokaże, jak przyjdzie panu grać Hamleta? Eksploatuje się pan przy słabej literaturze? Zdradza pan swoje wszystkie tajemnice i odkrywa całość aktorskich możliwości!” Dopiero po kilku latach stwierdziłem, że miał absolutną rację...

Po roku pracy w Teatrze Polskim aktor przeszedł do Dramatycznego, a później do Narodowego, gdzie m.in. wcielił się w postać Mickiewiczowskiego Gustawa-Konrada z pamiętnych (Marzec '68) „Dziadów”.

— *Władza przypisała nam tendencje antypolskie i antynarodowe, określając naszą działalność jako zbrodnię politycznej reakcji. A wszystko dlatego, że Kazimierz Dejmek — dyrektor Teatru Narodowego — zaproponował aktorom granie zgodnie z literą tekstu. To był główny powód, który wywołał tę burzę!*

Nigdy przedtem, ani potem nie było mi dane uczestniczyć w tak niezwykłym zbiorowym uniesieniu. Graliśmy wszyscy jak w transie, jakby anioły lub jakaś magiczna, niezwykła siła dodawała nam energii i podnosiła ponad deski sceny.

Pamiętam, kiedy Kazimierz Opaliński rozpoczynał przedstawienie Mickiewiczowską dedykacją: „Pamięci umęczonych przez zaborcę...” — sam płakał. Nie mógł znieść napięcia i emocji płynących z widowni.

„Dziady” były wielką manifestacją patriotyzmu, ogromnej tęsknoty do wolności i nadziei na odzyskanie niepodległości. Jak się okazało, wybuch ten nastąpił zbyt wcześnie. Wtedy nie było jeszcze warunków, które zaistniały w roku 1981.

Tamte wydarzenia skończyły się odejściem z Teatru Narodowego Kazi-

mierza Dejmka. Wraz z nim uczyniło to samo trzydziestu aktorów.

W czasach zaborów i walk niepodległościowych wyroczyniami moralnymi byli pisarze i poeci. Ich wrażliwość była barometrem nastrojów społecznych. Jak to się stało — pytam Gustawa Holoubka — że przez ostatnie dziesiątki lat tak bardzo wzrósł prestiż zawodu aktora?

Mój rozmówca zapala kolejnego papierosa.

— *Kiedy zaczynałem, miałem cień podejrzeń, że dostaję się do środowiska trochę grzesznego, którego przedstawiciele jeszcze niedawno nie byli chowani w poświęconej ziemi. Przez lata Teatr Polski dorobił się szacunku społecznego, dzięki uczciwości w postępowaniu. Aktorzy doznali swoistej nominacji społecznej, która uczyniła z nich nauczycieli patriotyzmu, pedagogów i stróżów moralności publicznej.*

Reakcje widzów w stanie wojennym, kiedy to teatry były tłumnie odwiedzane, a aktorzy spontanicznie obsypywani kwiatami, były najlepszym dowodem wdzięczności ludzi za postawę teatru nie tylko w czasie bojkotu telewizji, ale w czasie ostatnich czterdziestu lat. Widocznie zachowywaliśmy się nie najgorzej...

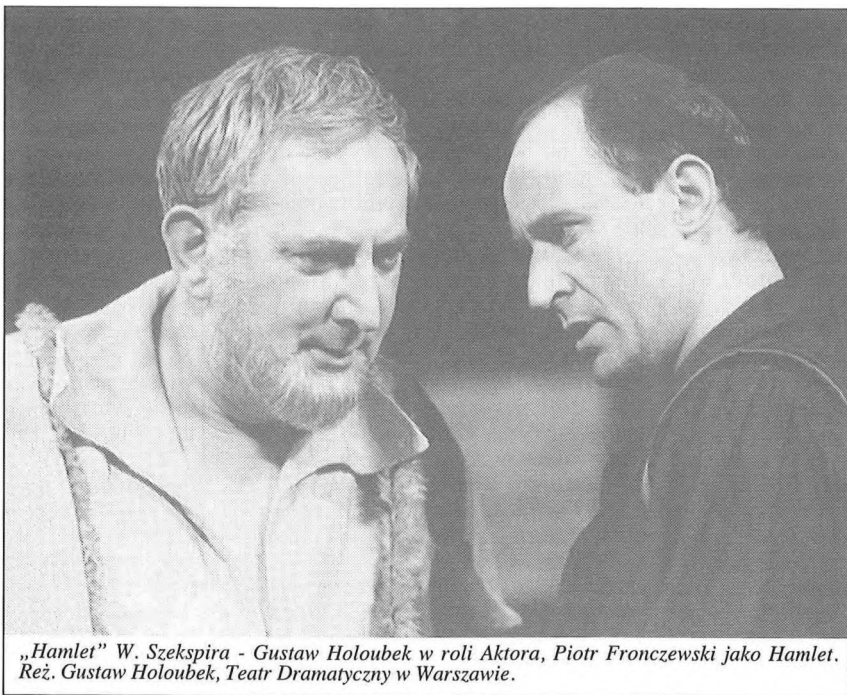
Zastanawiam się czy aktorzy nie tęsknią za czasem, kiedy publiczność nosiła ich na rękach i wsłuchiwała się w każdy głos płynący ze sceny. Dziś aktor ma być po prostu aktorem. Wymaga się od niego głównie profesjonalizmu...

Gustaw Holoubek nie chce się ze mną zgodzić.

— *Natura zawodu się nie zmieniła i artyzm się nie zmienił — mówi. — Kryteria i wartości są wciąż takie same, zmieniła się tylko treść i forma ich wyrażania... Uwaga teatru winna być teraz zwrócona na człowieka. Skończył*

się naród, społeczeństwo, walka o niepodległość, moralistyka ogólnonarodowa, a zaczęła walka o uczciwego, mądrego, kulturalnego i czułego człowieka, którego kultura uczuć byłaby możliwie najgłębsza.

My, ludzie teatru zyczylibyśmy sobie, by nasze społeczeństwo zaczęło budować się od strony jednostki. Hasła narodowo-społeczne nie mają dziś nośności. Ważne jest pochycenie się nad człowiekiem, jego tajemnicą, egzystencją, zastanowienie się, kim jest w istocie, wobec



„Hamlet” W. Szekspira - Gustaw Holoubek w roli Aktora, Piotr Fronczewski jako Hamlet. Reż. Gustaw Holoubek, Teatr Dramatyczny w Warszawie.

siebie i tego co jest nadrzędnością... Penetracja tych zjawisk jest obowiązkiem teatru, literatury i sztuki w ogóle...

Gustawa Holoubka pamiętamy m.in. z filmów „Pętla” W. J. Hasa, „Gangsterzy i filantropi” J. Hoffmana, „Lawa” T. Konwickiego, „Królewskie sny” G. Warchoła. Sam aktor twierdzi, że film nie jest instytucją, która powołała go do życia. O tej dziedzinie sztuki rozmawia niezbyt chętnie.

— Budowanie współczesnego kina, jak wskazują przykłady dojrzałych kinematografii, z amerykańską na czele, nie polega wyłącznie na angażowaniu aktorów na podstawie ich umiejętności. Tam próbuje się dobrać człowieka do danej roli tak dokładnie i tak przenikliwie, by był całkowicie wiarygodny. Jestem przekonany, że Dustin Hoffman czy Al Pacino w Polsce nie mieliby szans na zostanie amantami, bo według naszych kryteriów są za mało atrakcyjni. Także aktorki „brzydkie” nie mają u nas szans, a za oceanem robią wielkie kariery i zostają gwiazdami. Życzyłbym filmowi polskiemu większej przenikliwości w patrzeniu na człowieka...

W latach 1970—1981 Gustaw Holoubek był prezesem SPATiF-u, w latach 1976—1982 posłem na Sejm, a w roku 1989 został senatorem.

— Nigdy nie czułem się politykiem. Byłem jedynie w politykę wdany... Zaczęło się, kiedy koledzy jednogłośnie wybrali mnie na szefa związku aktorów. Jako prezes, siłą rzeczy prowadziłem rozmowy z tymi, którzy decydowali o polityce kulturalnej kraju i o pieniądzach przyznawanych m.in. na teatry. Robiłem wszystko, żeby wytłumaczyć ludziom z Ministerstwa i partyjnych wydziałów kultury, że polityka kulturalna nie powinna mieć nic wspólnego z polityką normalną, że kultura jest zjawiskiem delikatnym, efemerycznym i że mieszanie do niej tzw. wielkiej polityki, zwłaszcza fałszywej, jest niedopuszczalne.

Kiedy ogłoszono stan wojenny, byłem jedynym posłem, który zrzekł się mandatu. Reprezentowałem w parlamencie swój Związek, który dekretem o stanie wojennym został rozwiązany. Uznałem, że nie mam powodu ani motywacji do dalszego funkcjonowania na Sejmie. Bo niby czyje interesy miałbym reprezentować? Zdałem sobie wtedy sprawę, że ta zabawa w politykę była tylko parodią: nie mogłem dłużej być w tej, nominowanej przeciw a nie wybranej, ferajnie...



Gustaw Holoubek w roli Łatki w „Dożywociu” Aleksandra Fredry. Towarzyszy mu Mieczysław Jasiński w roli Filipa (pierwszy od prawej). Teatr Śląski, 1951 r., reż. Roman Zawistowski.

W 1989 roku, kiedy wybuchła „Solidarność”, Lech Wałęsa zaproponował mi udział w Senacie. Było to dla mnie — i moich kolegów Szczepkowskiego i Łapickiego — olbrzymie wyróżnienie. Zostaliśmy wybrani przez społeczeństwo w pierwszych demokratycznych wyborach do parlamentu. Myślę, że widocznie na to zasługiwaliśmy, skoro w tym niezwykłym momencie na nas wskazano.

Gustaw Holoubek sprawia wrażenie spokojnego i uładzonego wewnątrz. Mówi raczej powoli, ważąc słowa. Często się uśmiecha.

Pytam go, jak ocenia perspektywę teatru.

— Myślę, że już wkrótce część scen teatralnych zamieni się w miejsca impresaryjne. Będą one gościły różne imprezy, także teatralne, służąc im salą i techniką. Być może dla mniejszych ośrodków będzie to korzystne: na zaproszenia impresariatu będą przyjeżdżały tam najlepsze przedstawienia z całego kraju. Publiczność nie ruszając się z miejsca będzie mogła obejrzeć teatr najwyższych lotów.

Zresztą to przeobrażenie już się dokonuje. A teatr jeśli będzie chciał mieć publiczność — musi się doskonalić...

Na zakończenie zaproponowałam mojemu rozmówcy zabawę. Poprosiłam go o dokończenie rozpoczętych przeze mnie zdań. Przystąpił na tę propozycję, tajemniczo (wrozumiałe?) się uśmiechając.

Foto: ARC Teatru Śląskiego

Zdolności są... na pewno dyspozycją organiczną, zanotowaną w genach. Natomiast ich wykorzystanie zależy wyłącznie od pracy. I niewątpliwie od szczęśliwego zbiegu okoliczności.

Uważam, że polityka... w sensie ścisłe politycznym, nie ma nic wspólnego ze sztuką. Sztuka powinna być autonomiczna i samodzielna.

Nie cierpię... wielu rzeczy... Najbardziej chamstwa. Przy czym nie przypisuję go żadnej klasie społecznej (w ogóle protestuję przeciwko marksistowskiemu podziałowi na klasy!). Mam na myśli zjawisko występujące wszędzie, na każdym kroku. Stwarza ono pole nienawiści, lekceważenia drugiego człowieka, egoizmu, braku szacunku dla cudzej pracy i pokory wobec osiągnięć innych.

Dzieci... nie należy wychowywać. Wszelkie nauki, zakazy i przykazy nie pomogą, jeśli rodzice nie dają dobrego przykładu.

Czy wychowa się człowiek dobry czy zły zależy od jego kodu genetycznego.

I nie ma takiej ludzkiej siły, która mogłaby nawrócić złego. Bowiem, nawet gdyby znalazł się on w najdogodniejszej sytuacji do czynienia dobra, zawsze będzie czynił zło. I na odwrót: nie ma takiego gnojowiska, które tęsknoty za dobrem i tendencje do jego czynienia byłoby w stanie zniszczyć...

Moja żona... O, to prywatna sprawa! Nigdy nikomu nie powiedziałem co mnie łączyło z kobietami, ani tym bardziej jak mnie łączyło...

Moją dumą jest... mój syn. Jest on dzieckiem nadzwyczajnym! Nie mam mu absolutnie nic do zarzucenia.

W przyszłym roku... mam nadzieję, że będzie tak jak w tym, jeśli chodzi o pracę. A sądząc po tym, co pojawia się jako pierwsze jaskółki po pobycie papieża w Polsce, powinno być lepiej! Oczywiście jeśli będziemy pamiętać o przestaniu tej wizyty i naukach z niej płynących...

Marzę o... bardzo dobrej partii brydza. Niestety jestem tak zajęty, że nie mogę oddać się tej pasji z takim upodobaniem jak niegdyś. Brydż z ludźmi dobrze grającymi to sama rozkosz!

Najbardziej lubię... Nie ma niczego takiego, co lubię najbardziej. Ale np. lubię, kiedy odnosimy sukcesy w sporcie. Zakończone sukcesem zmagania naszych sportowców, oglądane w telewizji, sprawiają mi dużą przyjemność.

Moją pasją jest... Moją pasją są kobiety! Przyglądanie się im i ich wielbienie. Właśnie dlatego nic o nich nie mówię.

Rozmawiała:
DOROTA
STASIKOWSKA-WOŹNIAK

Szept węża w wysokiej trawie

(Fragment)

AN
PIERZCHAŁA



Rys. Wojtek Łuka

Mieli kilkanaście flaszek cierpkiego Rieslinga. Ukradkiem go mieszał ze słodkim tokajem, którego było mniej. Wznosili toasty za zdrowie rotmistrza, za jego zwycięstwa pod Ruszcą, Pokrzywnicą. Makowski podniósł kielich za zdrowie i szczęście pięknej panny Elżbiety! Wszyscy wstali, by spełnić miłą im intencję. Zapamiętała tę chwilę, nie ze względu na słowa, jakie przy tym wypowiedział lecz z uwagi na jego spojrzenie, które zdawało się pytać, czy słyszy głos oddanego jej serca? Prosił o znak, iż ona wie, co dzieje się w nim, gdy z bliska patrzy w jej twarz i czy może czuje w sobie doznania podobne? Od tych przemitych wzruszeń rozpromieniła się szczęśliwa. Płonęła, jak tylko niewinność potrafi oblać się płomieniem. Makowski powiedział do wszystkich:

— Panowie! O świecie pobudka! Jeżeli wcześniej nie wpadnie kawaleria rosyjska!

Elżbieta uczuła na sobie spojrzenie Kisielnickiego. Domyślała się o czym chce do niej mówić, i że ją ostrzega, niczym zazdrośnik, napomina jak przyjaciel. Umknęła wzrokiem zawstydzona. Cóż mogło oznaczać popatrywanie Kisielnickiego? Od rana asystował jej w kuchni, nie spuszczał z niej oczu.

Makowski obciągnął na sobie szarobłękitną bluzę z amarantowymi wyłogami. Pożegnał kolegów. Za moment zniknął w gabinecie, gdzie mu posłała na szerokiej kanapie. Stamtąd mijając przedpokój pospieszył za Elżbietą. Ostrożnie kroczył w ciemności, póki w załomie korytarza nie ujrzał nikłego światła. W maleńkim pokoju służbowym paliła się lampa naftowa. Drzwi były nie domknięte. Kiedy tam wszedł, Elżbieta cofnęła się przed nim raptownie:

— Skrada się pan jak nieprzyjaciel. Spać! Spać! Panie rotmistrzu!

Wyciągnął do niej ramiona. Przepraszał roziskrzonymi oczami. Uśmiechnął się zgadzając, iż ona wcale nie cofa się przed nim a tylko przybliżyła wolno do okna, by zaciągnąć firankę.

Przepraszał ją za śmiałość a jej zabrakło naraz powietrza, jak gdyby tonęła. Ogarniało ją przerażenie. Wstrzymała go ruchem ręki. Prosił o chwilę rozmowy:

— Kilka niezwykle ważnych słów. Tylko tyle chcę powiedzieć. Błagam, by pani nie myślała o mnie źle!

— W takim razie przejdźmy do kuchni. — Zagubiona nie mogła rozpoznać brzmienia własnego głosu. — W kuchni ciepło.

Nie miał zamiaru opuszczać jej pokoju. Usiłował zapanować nad jej płochliwym zmieszaniem:

— Musi pani wiedzieć, co stało się ze mną, gdy panią ujrzałem!

— Jest pan kuzynem Karola! — Uchwyciła się faktu, jaki sam przez się podkreślał niemożność czegokolwiek między nimi.

— Pani jest może jego krewną ze strony Bobrowskich?

— Nie jestem z Bobrowskich! — Zaprzeczenie Elżbiety było tak zdecydowane, że wykluczało nie tylko więzi rodzinne ale i wszelkie inne.

— Herakliusz, ojciec Karola, jego starszy brat Konrad z Kanoniczej, nigdy nas nie lubili. Musiała pani słyszeć o wywołanych przez Herakliusza procesach o majątek, o zatargach z moimi rodzicami...

Sprawiła wrażenie zaskoczonej, nie widzącej jak gdyby o niczym więcej, prócz tego, iż są z Karolem bliskimi krewnymi:

— Coś słyszałam piąte przez dziesiąte.

— Nasze matki są rodzonymi siostrami ale nie byłyby nigdy u siebie. Co panią łączy z Karolem? Czy mogę wiedzieć?

— Jestem jego koleżanką z szeregu. Opiekuję się starą panią Bobrowską, która udała się do bratowej na Kanoniczą, żeby panowie oficerowie mieli więcej miejsca. Od dwóch miesięcy prowadzi ten dom. Ale wołałabym iść do szwalni lub w pole, do sanitariatu wojskowego...

— Będę pamiętał — obiecał jej rotmistrz. — Co jeszcze mógłbym uczynić dla pani?

— Już pan uczynił bardzo dużo — uśmiechnęła się blade, spuszczać oczu. — Mnie wystarczy obietnica!

— Jestem szczęśliwy, że panią poznałem!

— Na wojnie o takie szczęście widać najłatwiej!

— Krzywdzi mnie pani! Jak nazwać inaczej to, co mnie spotkało? Jestem szczęśliwy! — Nim się spostrzegła ujął jej obie dłonie. — Nie kłamie, mówiąc o szczęściu. Jak zwraca się do pani w domu?

— Po co to panu wiedzieć?

Upierał się, że będzie do niej mówił tak samo, byle mu tylko zdradziła właściwe zdrobnienie jej imienia. A ona wychowała się w surowych warunkach, od dziecka mówiono do niej: Elżbieta, Elżbietka. Nie było potrzeby subtelniejszych czułości.

— Jak Karol zwraca się do pani?

— Co tam Karol! On czasem powie Elunia!

— To ja tak mówił nie będę! W powadze lub w jakimś szczególnym uroku bardzo drogiego nam imienia, zawsze tkwiło coś, co potem rozlega się wokół nas, pewnie do samej śmierci.

— Każdemu pisane inne życie. — Unikała jego spojrzeń. — Każdemu inne szczęście! — Do siebie jak gdyby wyłącznie adresowała ironiczne powątpiewanie, z jakim wypowiedziała to kwestionowane słowo.

— Prawda! O, prawda! — przyznał Makowski. — Nasze szczęście, pośród tej krwawej wojny, miłować do szaleństwa! Nasz los, krew nieprzyjaciół naszych rozlewać i ginąć we własnej... Wszystkich, których tu dzisiaj widzisz, panno Elżbieto, którym chleb kroisz jak siostra, jutro może już nie być. Wspomnisz kiedyś za pięć, za dziesięć lat! Słuchając jak pani wymawia słowo szczęście, zrozumiałem, co pani ma na myśli... Samą niedolę wyłącznie. Żołnierskie szczęście podobne...

— Boję się krwi, mówienia o zabijaniu! Nie mówmy o śmierci, panie rotmistrzu.

— Opowiadaniem o szczęściu, roztkliwiamy się sami nad sobą. — Ucałował jej obie dłonie, przygarnął, ustami dotknął jej włosów. — Do mnie proszę mówić Marcin.

Nigdy by jej to imię przez wargi nie przeszło. Spłoszyła ją naraz klująca szorstkość jego wąsów. Chciała zdecydowanym ruchem cofnąć twarz lecz była mocno uwieczona. Chwilę później doznała czegoś nadzwyczaj miłego. Zapragnęła, aby ją całą opasał ramionami. Czula mrowienie rojące się po szyi. Podniecające zjawisko przemieszczało się na piersi, na brzuch, spływało coraz niżej, póki nie uwieźło w twardym zamknięciu ud, otwierających się jedynie pod przymusem albo w omdleniu dobrowolnej rozkoszy oddania. Umysłowiła sobie nagle, iż w tym właśnie momencie Karol mógłby powrócić do domu, tak jak przyrzekał:

— Ciągłe czekam — odezwała się zmieszana. — Karol obiecał wrócić do domu przed północą.

— Czekasz na niego? Nie czekaj! Mnie zaprosił na Floriańską a sam z plutonem kwaternistrzowskim, na ochotnika, pojechał do Suchej, do Zawoi. Rosja naciska. Będziemy się pewnie cofać w tamtym kierunku. Karol nie wróci wcześniej jak za tydzień! — Otoczył ją

ramionami. Palcami dotykał czule jej pleców, bioder. Przyłgał do niej odważnie bez pewności czy się podda. Sprawiała wrażenie uległej, gdy wyczuła jego męskość. Z przykrością myślała o tym, że Karol wyjechał bez uprzedzenia, oddając ją jakby kuzynowi. Wyznała naraz, iż czuje lęk, którego pewnie nie przewalczy.

— Oboje boimy się tego samego — pocieszył ją Marcin.

— Wiem czego ja powinnam się bać — rzekła ledwie słyszalnym szeptem. — To nie jest to samo!

W słabym świetle lampy naftowej ujrzał jej rozwarte szeroko, czekające na coś oczy, jakby to miał być przyływ wybaczenielskich sił wewnętrznych. Dotknął wargami jej suchych, rozgorączkowanych ust. Wtedy niespodziewanie krzyknęła uwolniona od wszelkich pokus i czarów jakie zarzucił na nią:

— Proszę mnie więcej nie dotykać. Będę krzyzczeć.

Z mocą oparła dłonie na jego piersi. Chciała go odepchnąć lecz to było niemożliwe. Ramiona Makowskiego opasały ją jeszcze ciaśniej. Zaczęła płakać niepokodzona z tym, co jej gotował:

— Jaka ja jestem głupia. Jaka nieszczęśliwa!

— Nie bój się! Błagam na wszystko. — Wargami powiódł czule po jej kroniach. — Jesteś piękna, tylko nie krzycz. Myślę o tobie jak jeszcze nie myślałem o żadnej kobiecie. Pamiętaj o tym, choćby ci nie wiedzieć co o mnie mówili. Proszę cię na wszystko!

— Boisz się panie rotmistrzu, tego, co mogą mówić? Wolę być uprzedzona. Że co? Kto mi to może powiedzieć?

— Sam ci powiem, jeśli zechcesz.

— Chcę! Bardzo chcę! O mnie prawda jest tylko jedna — dopowiedziała Elżbieta — ta, jaką znają wszyscy. Przed nikim nie mam tajemnic.

— Moje szczęście, że cię spotkałem. Jeżeli o mnie zapomnisz, wróć do ciebie, chociażby z zaświatów. Mogę przysiąc. Przysięgam!

Zwarli się w uścisku, bo czy mogła być dana inna odpowiedź na przysięgę wieczystej miłości, która została złożona i od razu przyjęta. Pragnęli okazać sobie nawzajem jeszcze więcej miłości, niżeli sami byliby w stanie przyjąć i znieść. Rzekła dzwoniąc zębami o jego zęby:

— Nie wiem czy to przetrzymam... Pamiętasz, że przysięgałeś?

— Szczęście moje! Pójdę za tobą na koniec świata. I ja się czegoś boję!

— Czego? Krzywoprzysięstwa?

— Tylko tego, czego i ty się boisz — odszepnął jej na to.

— Boję się więcej od ciebie — wyznała cichutko.

— I bardzo pragnę tego, czego się boję. Dotrzymasz przysięgi?

Zębami uchwycił wtulające się w niego wargi. Zadał jej ból, który zniosła z cichym jękiem lecz ust nie cofnęła. Objął ją ze wszystkich sił i przegiął do tyłu, by się poczuła z nim związana. Już wolno w nią wchodził, gdy wtem ktoś szarpnął nagle dzwonkiem u drzwi wejściowych. Jego uścisk naraz zelżał. Oboje zamarli bez oddechu. Spojrzeli po sobie jak obcy. Gwałtowne dzwonienie rozlegało się raz za razem. Elżbieta odezwała się z sercem podchodzącym jej do gardła:

— Karol wraca!

— Albo ktoś do mnie ze sztabu. Finlandzki pułk kawalerii jest już pewnie w Krakowie.

Błyskawicznie przyglądziła włosy, uporządkowała na sobie porozpinaną bluzkę, podciągnęła spódnicę. Wybiegła na palcach do przedpokoju. Po omacku zapalili wreszcie wielką lampę naftową w kuchni. Makowski skrył się szybko w gabinecie, tam gdzie miał swoje posłanie. Elżbieta otworzyła szerzej drzwi od kuchni, ażeby jej było jaśniej. Zaczęła wołać w stronę drzwi wejściowych spokojnym głosem przebudzonej właśnie ze snu, świadczącym wszakże o pośpiechu:

— Kto tam? Już idę! Lecę! Otwieram! Już otwieram! — Przez uchylone drzwi, nie zwolnione jeszcze z łańcucha, ujrzała Weronkę, starszą już służącą od Bobrowskich z Kanoniczej. Kiedy ją wpuściła, tamta zachowywała się jak ścigana:

— Hażbityko! Hażbityko! — odezwała się do Elżbiety, gdyż tak w jej ustach



brzmiało to imię. — Moja kochana Hażbitytko! Żebyś ty wiedziała!

Elżbieta położyła palce na wargach:

— Nie wrzeszcz tak, Weronka! Wojsko śpi. Sami oficerowie.

— Jo wrzesce? — Weronka zsunęła z czoła szarą, kraciastą chustkę. Jej wielka, siwa głowa pomyślana była jakby dla kogoś bardzo wysokiego. Oznajmiła nieco ciszej, lykając powietrze zdyszonym gardłem. — Wasa pani Bobrowsko zmarła u nos, zaraz po kolacji. Ktoś puścił wiadomość że rusko konnica finlancko jes juz na rynku pod Sukiennicami. Wasa pani sie pyto: „Kaj? Pod cym?” Za kwile się łodzywo, zeby jom położyć, bo ji słabo. Za kwadrans była fertig. Konradowa wtedy do mnie: „Weronka, honem na Floriańską po suknie pani Herakliuszowej na śmierć!” Lece na złomanie nóg. Cały Kraków pełny wojska. Kaj sie podziół pon Karol?

Elżbietę przeszło zimno. Zaczęła dygotać:

— Umarła po kolacji? To znaczy o której, Weronko?

— U nos sie jodo o pu do siódmy!

Elżbieta chciała mieć pewność, co robiła o pół do siódmej, gdy matka Karola umierała? Ogarnęło ją przynębnienie. Mogło to być akurat w tym momencie, kiedy wdziewała spódnice starej pani i jej różową bluzeczkę? Miała przykrą świadomość obojętnego uczestnictwa w śmierci starej pani Bobrowskiej. Opanowały ją zgiełkliwe myśli, lęgnące się razem z pytaniami, co teraz pocnie, dokąd pójdzie? Albo jak ma postąpić wobec Karola i jego mieszkania? Jak wobec Makowskiego? Co stanie się z nią jutro, gdy wojsko odjedzie, pani Bobrowska zostanie pogrzebana. Czyim będzie mieszkanie przy Floriańskiej? Czy może jej, gdyby została z Karolem? Dlaczego więc twierdzi, że nic ją z Karolem nie łączy? — Pan Karol wyjechał z kwatremistrzami do Suchej, do Zawoi.

— As tam? — zdziwiła się Weronka.

— Rosja może przerwać front. Wtedy będzie koniec z nami!

— Ruskie polom, grabiom, gwolcom, ale noród śpiewający!

Znowu gwałtownie szarpnięto dzwonkiem, choć drzwi były niedomknięte. Weszła rozeźlona stryjenka, bratowa zmarłej, Konradowa Bobrowska. Była w czarnym płaszczu, z gołą głową, otulona rudym lisem. Odsunęła pod ścianę ogłupiałą Weronkę, która się nie spodziewała przybycia chlebodawczyni. Zdyszana Konradowa napadła na Elżbietę:

— Nie stać! Nie gapić się na mnie, jak wół na malowane wrota! Rzeczy pani na śmierć leżą w szafie z bielizną w sypialni, po lewej stronie! Ciało przywiezione zostanie do was na Floriańską. Tu będzie umyte, ubrane! Ona u mnie trzy dni leżeć nie będzie! Ja sobie waszą Herakliuszową mieszkania nie zapeszę!

— U nas w domu pełno wojska. Sami wyżsi oficerowie — zauważyła Elżbieta. — Karol ich przysłał i sam wyjechał z kwatremistrzem!

Konradowa wypięła się na wojsko, na oficerów, na wszystkich:

— Posłać kogoś po Karola! Gdzie pieniądze na pogrzeb? Ja nie będę sobie łamać głowy skąd wziąć na trumnę, na karawan, na księży. Herakliuszowa pozostawiła w domu pięć tysięcy złotych reńskich! Drugie tyle ma w szparkasie. Niech szybko da klucze!

Elżbieta zasunęła wreszcie rygiel w drzwi. Uczuła niemile kurczenie się skóry na twarzy. Dygnęła przed Konradową Bobrowską, powiedziała cicho, grzecznie:

— Pani nosiła klucze przy sobie. W tym domu nigdy nie widziałam pieniędzy. Nic o tym nie wiem. — Zaczęła płakać. — Dzisiaj i tak niczego pani nie znajdzie. Wojsko śpi w całym domu. Przyjechali ledwie żywi.

— Wojsko wstanie bardzo szybko! — Konradowa zachowywała się coraz głośniejsze. Żądała zwrotu kluczy, pieniędzy ukrytych w niewiadomym miejscu. Groziła Elżbiecie. — Bo się znajdziesz na Odwachu! Tam czekają na takie jak ty! Dzisiaj panuje surowe prawo wojenne!

— Rano jak tylko wojsko wyjdzie poszukamy spokojnie kluczy, pieniędzy. Nie teraz. Pieniądze jeżeli były, to być muszą przy nieboszczce.

W Konradową jakby piorun strzelił. Wściekła skoczyła ku Elżbiecie, gdy naraz z gabinetu wychylił się rotmistrz Makowski. Pytającymi oczami spojrzął najpierw na Elżbietę, potem ukłonił się Konradowej Bobrowskiej, którą pamiętał z dawnych czasów, gdy bywał w Krakowie i mówił do niej stryjenko. Podszedł, by się przywitać lecz ona tego nie do-

strzegła. Mimo uszu puściła jego: całując rączki. Elżbieta powiedziała do niego, łamiącym się głosem:

— Matka Karola przed chwilą umarła... Ja nie wiem gdzie klucze, gdzie zostały ukryte pięć tysięcy złotych reńskich...

Rotmistrz odezwał się do Konradowej Bobrowskiej:

— Szanowna pani żąda kluczy, pieniędzy? Skąd panna Elżbieta ma je wziąć?

Konradowa przerwała mu bezceremonialnie:

— To pan kawaler mnie nie poznaje? Nie wie jak należy się zwracać? Nie szkodzi! Biedną Herakliuszową wypędziłeś z jej własnego mieszkania na pięć minut przed śmiercią!

— Zostałem tu zaproszony — usprawiedliwił się Marcin. — Ciocia wyszła przed moim przyjściem nie wiem dlaczego? Mam pisemne zaproszenie Karola. Zostawił mi liścik w sztabie!

— Nawet jeżeli dają zaproszenie, to się z niego nie korzysta, jeżeli się Herakliuszów odarło ze wszystkiego! — rzekła rozwścieczona Konradowa. — Weronka bierz lampę!

— Lampa należy do kuchni! — sprzeciwiła się Elżbieta. — Ja tu w ciemności nie zostanę!

— Zostaniesz ze swoim adwokatem — bąknęła zgryźliwie Konradowa.

Makowski raz jeszcze skłonił się przed nią, zaczął przeproszać:

— Poznałem panią, proszę się nie gniewać. Nie wiem tylko jak się zwracać?

— Jak się nie wie, to się zawsze mówi ciociu, albo stryjenko — pouczyła go, prostując się przed nim. — Jabłko niedaleko pada od jabłoni! Stara to prawda!

— Za pozwoleniem! Przepraszam! Kogo szanowna pani ma na myśli?

— Przepuść mnie panie adwokacie! — Konradowa otarła się o niego. Z impetem przemierzyła przedpokój, ciągnąc za sobą oniemiałą Weronikę. Weszły do pokoju stołowego. Zawały się na moment, widząc kilku mężczyzn w bieliznie, uciekających od drzwi na swoje postłania. Bobrowska odezwała się wyniośle:

— Die gnaedigen Herren Verzeihen! Ich bin gekommen um die Schraenke durchzusuchen!

— My jesteście wojsko polskie! — tubalnym głosem zagadał młody Putiatycki.

— Ale urzędową mowę chyba panowie rozumieją! Bieriecie żołd cesarski, czy nie bierzecie? — odcięła się ostro i zdenierwowana ruszyła do sypialni.

Tu znowu podniósł się krzyk. Zastała tam śpiących w poprzek na łóżku zmarłej: Wąsowicza, Byrczaka, Tyczyńskiego. Nie zważając na protesty pozapałała wszystkie lampy, zaczęła poszukiwania, przetrząsała szafy, szuflady. Klucze odnalazły się jednak, czy też komódki i szafy nie były zamknięte. Po niedługim czasie z sypialni wyłoniła się wpiernw Konradowa, za nią kroczyła schyłona Weronka z ogromnym brzemieniem na plecach. Były to zawiązane w wielkie lniane prześcieradło: suknie, płaszcze, futra, bielizna stołowa, bez pościelowej, gdyż tę, ile jej było, Elżbieta wcześniej rozesłała kawalerzystom. Tobał ledwie się mieścił w drzwiach. Trzeba było pomagać Weronce, poprawiać na jej plecach nieporęczny ciężar, stałe grożący rozwiązaniem lub przewróceniem niosącej. Zmuszeni byli otworzyć drugą połowę drzwi wejściowych. Rygle nie chciały puścić. Byrczek z Kisielnickim przybiegli pomagać...

Elżbieta rozpaczała:

— Jutro wszystko zwalą na mnie! Ciało jeszcze nie ostygło a te już rabują! Zabrały wszystkie najdroższe rzeczy po pani Bobrowskiej. Panowie widzieli. Spakuje się natychmiast przy panach oficerach. Niech rozkradną wszystko do końca. Konradowie Bobrowscy z Kanoniczej rozkradną Herakliusz Bobrowskich z Floriańskiej!

Konradowa odpowiedziała na to wrzeszcząc na cały dom:

— Dość się nakradłaś już wcześniej, za życia nieboszczki! Co ty na siebie dziś włożyłaś? Twoje to?

— Elżbieta uniosła ręce, zapłakała bezradna:

— Mamusia Karola płaciła mi tylko starymi łachami, których nawet dziadówki nie chciały! Przyszłam do Krakowa zwerbowana na służbę świętej sprawie niepodległości, nie na kuchnię, na popychadło! Ja też nie jestem pierwsza lepsza z Kleparza albo z Kazimierza, albo spod latarni na AB! Należy mi się może więcej szacunku od wszystkich Bobrowskich z Kanoniczej czy z Floriańskiej, tych pijaków i karciarzy. Herakliusz zastrzelił tancerkę we Wiedniu i sam się powiesił w hotelu. A mój pradziad Florian Grabiński był wysokim ofi-

cerem królewskim na dworze w Saksonii!!! — Zapłakanymi oczami powiodła po wszystkich. Dłonie uniosła do twarzy. Łkała rzewnie.

Konradowa zniknęła. Byrczek ze Skotnickim zamknęli drzwi wejściowe i przysiedli na chwilę w kuchni. Wypili kilka flaszek rieslinga, który im wcześniej nie smakował. Marcin Makowski pozostał z Elżbietą, o której ileż dowiedział się w przeciągu krótkiej chwili. Nie posiadał się z oburzenia. Jak Karol mógł prosić go do siebie na kwatere, skoro wiedział, że jego matka z tej przyczyny opuści mieszkanie i uda się do bratowej, do której sam ją zaprowadził, bo już fiaków nie było. Jak postąpić z Elżbietą? Sprowadził ją do Krakowa razem z innymi ochotnikami, wpisał na listę plutonu kwatermistrza i uprosił, aby została opiekunką jego matki. Zaprowiantowana była u kwatermistrza, po swój prowiant chodziła codziennie do krakowskiej komendy.

Elżbieta z Marcinem stali pośrodku kuchni, próżno czekając na chwilę zapamięnienia o tym, co nagle wywołało tyle zamieszania. Elżbieta bała się matki Karola za życia, cóż dopiero po śmierci:

— Oni ją tu przetransportują! Co ja zrobię?

— Marcin w obie dłonie ujął jej twarz:

— W nocy tego nie zrobią. Jest już późno. Najgorsze są w tym wszystkim wiadomości o kawalerii rosyjskiej pod Sukiennicami. — Pocałował Elżbietę w usta. — Chodź. Posiedź przy tobie, póki nie zaśniesz.

— Wszystko tylko nie to. Broniła się, spać nie będzie:

— Nie mogłabym oka zmrużyć. Bez przerwy widzę nieboszczkę. Pan rotmistrz zmęczony, nie ja!

— Jezu Chryste? Co ty mówisz? Jaki pan rotmistrz?

— Przepraszam pana Marcina! — Nie dała się jednak przekonać, co do tego kto powinien czuwać. — Ja jem chleb kwatermistrza. Pan Marcin po tylu dniach ciężkiej służby w polu, dopiero dzisiaj zsiadł z konia, choć przedwczoraj sztab ogłosił, że pan Marcin w boju poległ...

— Wzruszyła go. Umiała wyrazić tyle szczerzej troski o niego:

— Nikt tak jeszcze o mnie nie dbał. Ty pierwsza. Krótko się znamy a już tacy jesteśmy sobie bliscy. Tyle wiemy o sobie.

— Ile? — spytała. — Ukrywasz niejedno, panie rotmistrzu!

— Wszystko bym ci wyznał wcześniej, gdybyś tylko chciała wiedzieć.

— Jesteś żonaty — stwierdziła, gdyż to w istocie obchodziło ją najbardziej.

— Mógłbym zaprzeczyć. Wtedy byłabyś uspokojona. Mam żonę i czteromiesięcznego syna. Nie przeczę. Dali mu Marcin. Urodził się w kwietniu, ja w sierpniu poszedłem na wojnę. Ożenili mnie z panną Balbiną Nowotarską. Była sierotą z dużym wianem. Wielce szlachetna i dobra kobieta. Mojego ojca zniszczyły procesy. Nie było wyjścia. Uległem. Ruble Nowotarskiej były niezbędne, ażeby dziedzictwo Makowskich nie poszło w żydowskie ręce. O co jeszcze mnie posądzasz?

— O nic więcej. To wystarczy! — powiedziała zapierając się łokciami o jego piersi, jakby uczuła wstręt do niego. — Dlatego znalazłeś sobie pannę służącą w Krakowie u cioci, z którą procesował się twój ojciec. Tylko czekać jak twoja szlachetna żona zjawi się na Floriańskiej, aby wydrapać mi oczy. Albo mi twarz obleje kwasem solnym, bo to dzisiaj bardzo modne.

— Mam żonę, ale nie twierdzę, że ją kocham. Nikt do ciebie nie przyjdzie, nasza Rogoza zbyt daleko. Moja żona wie, że ma mój szacunek. Nie mogę jej dać niczego więcej.

Elżbieta zaśmiała się na to z goryczą, jak uczyniłaby to każda kobieta oszukana zdradliwie:

— Syna panu jednak urodziła. No i pana zdaniem, przed wypaleniem mi oczu kwasem, może powstrzymać ją wyłącznie odległość! Twoja pani Nowotarska była sierotą z dużym wianem, ja jestem sierotą bez wiana. Czegoż się mogę spodziewać po dziedzicu Rogoży?

Makowski zagryzł wargi. Porwał się gwałtownie, by dokończyć, jakby po jakichś świętości lub po inne dowody prawdy. Naraz zawrócił. Objął ją z całej siły i uczuł, że leci mu z ramion, niczym bez życia. Zaczął całować jej mokre od łez policzki. Zakłamał się szepciem:

— Kocham cię nad życie, nad wszystko kim jestem, ile posiadam, co nie jest wcale szczęściem ale kulą u nogi. Klnę się na mojego syna Marcina! Co tobie najdroższa?

— Nic! Nic! — odparła bezwolnie. — Przestałam się bronić. Już nie mam sił. I ja ciebie kocham od pierwszej chwili,

jak cię tylko ujrzałam. Obojętna mi twoja żona. Wszystko mi obojętniało, życie, śmierć. Sama siebie nienawidzę za to kim jestem, gdzie się znalazłam, za to co czuję i co mówię... Za to, co ty robisz z mną.

— Nie opuszczę cię już nigdy! Przysięgam ci! Pamiętaj o tym. — Wzruszenie zdawało się zawiązywać krtań Marcina. — Zostaniesz przy mnie blisko. Moja będziesz na zawsze. Przysięgam ci jak w kościele!

— Po co tyle mówić o tym? — Sprawiała wrażenie zbudzonej ze snu. — Ty utracisz tylko tyle ile zechcesz. Ja muszę dać wszystko!

— Jak cię mam przekonać? Co mam jeszcze zrobić?

Elżbieta zgasiła lampę w kuchni. Zobojętniała odeszła do swego pokoju, nie patrząc, czy idzie za nią. Kiedy znaleźli się w służbowce Makowski ukląkł. Otwartymi dziko ustami zaczął wodzić po jej brzuchu. Przywarł do niej. W obie dłonie ujął jego głowę:

— Późno już panie rotmistrzu. Wszyscy śpią. Twoje wojsko także już pewnie zasnęło. Rano przetransportują tu twoją ciocię. Wiesz, co mnie wtedy czeka? Nawet mnie nie spytalesz, czy może jestem jeszcze dziewicą? Jak ty mnie traktujesz? Niech ci Bóg przebaczy.

Makowski skamieniał milczący. W pokoju stołowym, za dwie sekundy w gabinecie, zaś później natychmiast u reagenta Kowaczka, piętro wyżej, zegary zaczęły bić późną godzinę. W trzech miejscach rozlegało się dwanaście uderzeń, przenikających bezdenną ciszę nocy i jak to zwykle każde brzmienie nieco inaczej, odmiennie, jak gdyby to były wołające głosy ludzkie, obwieszczające kres czegoś i nowy czemuś wróżąc początek.

Marcin milczał, nie wypuszczając jej z uścisku. Powiedział:

— Słyszysz kroki starej pani? Ja słyszę. Co ja pomyślę o sobie jutro?

— Moje myśli nic nie znaczą — odezwał się Marcin z niesamowitą gwałtownością, która ją zaskoczyła. — Mogłem ci wcale nie wyznać prawdy i tak postąpić, jak postępują mężczyźni.

— Mnie jeżeli kto oszuka, będziesz nim pierwszy ty, panie rotmistrzu.

— Przeklnę sam siebie, to co mam najdroższego. Jeszcze kiedyś przyjdiesz na mój grób, przeprosisz za to, co przed chwilą powiedziałaś! Bo tylko wtedy nie będzie mnie przy tobie!

Zaczęła żałować pochopnie wypowiedzianych słów. Uniosła ku niemu ręce. Szepnęła omdlała:

— Błagam cię panie Makowski, nie kupuj mnie za słowa, których mógłbyś kiedyś nie dotrzymać. — Dręczyło ją wahanie, lęk. Zaczęła prosić by zostawił ją w pokoju.

Zrazu jakby nie słyszał wcale o czym do niego mówi. Potem zastępnym jak od ciosu:

— O czym ty ciągle mówisz? Kim ja jestem dla ciebie? Czym moje przysięgi?

— Jutro o mnie zapomnisz. Nie chcę tego. Niczego od ciebie nie pragnę, niczego się nie spodziewam!

Wzburzony wybiegł do przedpokoju. Zapalił lampę w kuchni. Odszukał swój pałasz. Zjawił się przed Elżbietą, przyciskając broń do piersi obiema dłońmi. Porywczą namiętność opanowała jego wyrazistą twarz. Rozpiął białą koszulę. Palcami lewej dłoni uchwycił pochwę między ryfkami. Prawą pchnął ku górze kablak rękocyści. Jak kat wysunął błyszczącą jadowicie głownię. Ostrze, podobne raczej do tasaka, przyłożył do ciała zarośniętego gęsto aż po grdykę. Odezwał się rozjuszony, z płomieniem w oczach:

— Jak droga jest twoja wiara? Płacę krwią!

— Nie! — krzyknęła raptownie. — Nie chcę krwi. I nie chcę słów!

Perłowy guziczek od jego białej koszuli z krajką, upadł pod nogi Elżbiety. Ujrzała wykwitającą wolno plamkę krwi, rozlewającą się złowieszczo tuż nad paskiem u jego spodni. Patrzyła na niego zatruwiona. Dłonie bezwiednie skierowała ku tnącemu jak brzytwa, ostrzu pałasza, by go odsunąć jak najdalej. Uczuła tnący chłód w palcach. Przeszył ją ból. Niewiele myśląc, jak gdyby w tym jedynie mogła znaleźć pociechę i ratunek, przywarła do niego otwarta, pragnąca rozkoszy. ■

Jest to fragment powieści z lat 1914 -1939, pod tym samym tytułem, nad którą autor rozpoczął pracę.

Powódź jakiej podobno nie notowano na Opolszczyźnie od pół wieku, przyszła 8 lipca i trwała do 14 lipca. W ciągu tych siedmiu dni i nocy zmieniło się radykalnie życie tysięcy mieszkańców Śląska Opolskiego, którzy zostali wepchnięci w siódmy dantejski krąg. Woda zaatakowała nagle. Fala runęła na wsie i miasta w wysokości jakiej w stanie nie był przewidzieć nikt, z siłą jaką nikt sobie nie wyobrażał.

HENRYKA WOLNA
— VAN DAS

Powódź półwiecza przeżyłam tkwiąc w samym oku cyklonu. Los oszczędził mi zamieszkania w lewobrzeżnej części Opola. To jednak, co widziałam usiłując jak większość mieszkańców prawobrzeżnej części miasta pomagać powodziarom, zostanie w mojej pamięci, obok wciąż jeszcze żywych wspomnień z wojennego dzieciństwa, na zawsze.

W czasie lipcowej powodzi na terenie Śląska Opolskiego pod wodą znalazło się 90 tysięcy hektarów użytków rolnych. Zalanych zostało 40 gmin. Pod wodą znalazły się miasta: Głuchołazy, Prudnik, Nysa, Koźle, Kędzierzyn, Lewin Brzeski oraz lewobrzeżna część Opola. Powódź dotknęła 13.400 rodzin, łącznie 53 tysiące osób.

W Opolu apogeum fali powodziowej w kulminacyjnym punkcie, z środy dnia 9 lipca na czwartek dnia 10 lipca wyniosło ponad 7 metrów wysokości. Była to przy tym fala tak gwałtowna, że w pierwszych godzinach po jej ataku niemożliwe było dotarcie do powodzian amfibiami, łodziami i pontonami.

Na terenie Opolszczyzny zostało ewakuowanych 25 tysięcy ludzi. Zniszczone zostały w dużym procencie takie zakłady jak: Koźle Port, Fabryka Samochodów Dostawczych w Nysie, Huta Szkła w Jedlicach, Zakłady Odzieżowe w Głuchołazach, Zakłady „Frotex” w Prudniku, Cukrownia w Lewinie Brzeskim, opolski Metalchem, Cementownia „Odra” w Opolu, Elektrownia „Opole”.

Poza ekonomicznymi problemami związanymi z powodzią istnieją także straty niewymierne w żadnej walucie. Zaczynają już dziś mówić o nich psychologowie, wysuwając dramatyczne prognozy na przyszłość. Chodzi o ludzi, którzy przeżyli powódź, lecz którym woda zabrała cały ich życiowy dorobek, będący niejed-



Te kobiety z opolskiej wsi nie zdążyły nawet włożyć butów. Żołnierz niesie cały ich dobytek - dwie reklamówki

Fot. Roman Kwaśniewski

Odnaleźć nadzieję

nokrotnie dobytkiem kilku pokoleń. Ci ludzie w chwili obecnej gdy woda ustąpiła znajdują się w szoku. Syndrom szoku popowodziowego przeżywają ojcowie rodzin, którzy utracili domy i miejsca pracy. Matki pozbawione możliwości stworzenia dzieciom bezpiecznego domu, starzy ludzie nie mający nadziei na odbudowę resztek swego życia, a także dzieci.

Życie na złom

Woda opadła. Nastal czas liczenia i szacowania strat, na razie tych materialnych, wymiernych. Czas porządkowania obęsk, gospodarstw, domów, ulic, osiedli.

Jest koniec lipca. Opolskie Zadrze. Ulice Koszyka, Wojska Polskiego, Prószkowska, Łąkowa, Wrocławska, dzielnica Domków Jednorodzinnych. Wszystko to wygląda jak krajobraz po bitwie. Domy z burymi ścianami, pełnymi brudnych zacieków, pękające ściany, a przede wszystkim przed każdym domem zwały wyrzuconych z mieszkań i piwnic przedmiotów, których nie zabrała ze sobą woda. Ten złom to dorobek całego życia powodziar. Wraki pralek, lodówek, telewizorów, samochodów, sprzętu audiowizualnego, komputerów, gnijące meble tapicerskie, dywany i wykładziny. Wewnątrz mieszkań ludzie próbują usunąć szarą oblepiającą ściany maź. Pracują w milczeniu. Nad wszystkim unosi się fetor gnijących odpadów

i butwiejących papierów, oraz meblowych obić. Gdy zaświeci słońce pojawią się natychmiast roje małych muszek oblepiających twarz. Wieczorem szaleją watahy niepokonanych komarów.

Przez ulice zachodniego Opola jak żałobny kondukt ciągną ciężarówki i przyczepy traktorowe załadowane po brzegi owym wyrzucanym przed domy złomem. Jadą na wysypiska. Wiozą lata ludzkiej pracy i mozolnie ciułanych oszczędności.

— Proszę pani, mówi do mnie stara kobieta, która nie życzy sobie podania swego nazwiska, mam już 74 lata. Przeżyłam wojnę. Moi rodzice i ja straciliśmy wszystko po wywiezieniu na Syberię. Nigdy nie wróciliśmy już tam, na wschodzie, do rodzinnych stron. Teraz znowu nie mam nic. I nie mam już sił, aby wszystko raz jeszcze zaczynać od nowa.

Młodzi ludzie muszą mieć jednak nadzieję. I w większości próbują ją mieć. Ale nie jest to takie łatwe. Rozmawiam z Arkim. Ma 23 lata. Na tydzień przed powodzią brał ślub. Rodzice dołożyli młodemu do kupna domku. Zdążyli w nim przemieszkać zaledwie tydzień. Wszystko poszło z wodą. Także garaż, samochód i prezenty ślubne. Arek nie może sobie darować jednego. Krótko przed ślubem pozbył się swego mieszkania w blokach na Prószkowskiej. Tę ulicę także nawiedziła powódź, ale Arek mieszkał na piątym piętrze wieżowca.

Poza gromadzonymi przez lata dobrami materialnymi większość powodzian straciła także dobra niewymierne. Stali się ludźmi bez tożsamości i historii. Poszły z wodą dokumenty rodzinne, rodzinne archiwa pieczęlowicie strzeżone podczas wojny, nieraz przywożone tu z zesłań w Kazachstanie i na Syberii. Woda zabrała pamiątki rodzinne, których już nie będzie można odtworzyć. Fotografie ludzi, którzy odeszli, taśmy wideo na których były uwiecznione uroczystości rodzinne, śluby i chrzty, Pierwsze Komunie, pogrzeby, wycieczki turystyczne. Wielu ludzi nie zdążyło uratować nawet dokumentów. Są ludźmi bez korzeni.

Kartki z notatnika

Towarzyszyłam powodzianom w trzech najgorszych dla nich dniach w Opolu, najpierw z reporterskiego obowiązku. W pewnym momencie ten obowiązek przestał być dla mnie ważny. Dołączyłam jako mieszkanka miasta do grupy ludzi niosących powodzianom pomoc.

Byłam świadkiem lądowania helikopterów z uratowanymi powodzianami, zwożonymi najpierw z zalanych kozielskich wsi, potem ze wsi opolskich i z opolskiego Zaodrza. Od trzeciego dnia powodzi kończą się zapiski w moim reporterskim notatniku. Ich miejsce zajmują kilka linijek liczące skrótowe zapisy. Dziś są to dla mnie ludzkie dramaty, których nigdy nie będę w stanie zapomnieć.

9 lipca. Środa. Z helikoptera na lądowisku wysiada ewakuowana matka z dziećmi. Pochodzą ze wsi Cisek w powiecie kozielskim. Tyle notatka. A ja widzę młodą kobietę wiejską z trójką dzieci. Kilkumiesięczne trzyma na rękach zawinięte we frotowy ręcznik, a u jej spódnicy uczepiona trzylatka. Dziecko jest tak przerażone, że nie może wydobyć z siebie głosu. Ponieważ ojciec został na dachu domu odmawiając ewakuacji, jako ostatni wychodzi z helikoptera „opiekun rodziny”. Dziewięcioletni mężczyzna. Bosa, zsiniała z zimna, okryty kocem. W raminach trzyma równie jak on przerażonego rudego kundelka. Żołnierz dźwigający dobytek rodziny w postaci dwóch reklamówek, chce pomóc chłopcu przy wysiadaniu i wyciąga rękę po psiaka. Chłopiec wydaje z siebie nieludzki wrzask. — Nie dom! Nie dom! Ostowcie! Nie biercie go! — Dziecko jest w takim szoku, że żołnierz blednie i cofa rękę. — Nie biercie mu tego psa panie, mówi cicho matka, to jedyna żywina jaka nom została z gospodarki.

11 lipca. Lądowisko helikopterów. Podchodzi do mnie kobieta. Na oko moja rówieśnica. Jest przerażona. Jej także nie zapomnę. Czeka już drugi dzień na córkę i 2 letniego wnuczka, którzy zostali w blokach na Zaodrzu.

Zięć nie może się przedostać do Opolu. Córka nie daje znaku życia mimo iż pani nadała komunikat do radia. Gdy nadlatuje helikopter pani ta rzuca się w jego kierunku...

Za kilka dni dzielnicę Kazanów zaleje woda na wysokości drugiego piętra. Na ósmym piętrze mieszka mój jedyny syn z rodziną. Miał pod koniec lipca wracać do kraju z Danii z dwuletniego pobytu na stażu naukowym, Bóg strzegł...

Jedenasty lipca, piątek. Jeden z opolskich akademików przeznaczony dla matek z małymi dziećmi. Znowu w pamięci odnajduję filmowy kadr. W rogu pokoju kobieta, matka siedmiorga drobiazgu. Najmłodsze ma siedem miesięcy. Zdjęto ją z dachu tonącego domu zalanej wsi opolskiej do której długo nie można było dotrzeć. Zdjęto w ostatniej chwili. Na tym dachu przesiadła pół dnia. Teraz zastanawia się dokąd wróci gdy opadnie woda. Straciła wszystko co miała.

W tym samym dniu, godzina później. Sala wykładowa Technikum Elektrycznego w Opolu. Na polowym łóżku siedzi stary człowiek. Nie wypuszcza ani na moment z dłoni sękatą laski. To wszystko co uratował z domu. To co ma na sobie, pochodzi z darów. Utkwiwszy puste spojrzenie w oknie mówi, że czeka na synów, którzy zostali w podopolskiej wsi. Czeka cierpliwie. Wierzy, że go odnajdą.

— Pani, mówi, mnie jest już osiemdziesiąt i sześć lat, ale takiej wścieklej wody toh jeszcze za swego żywota nie widzioł! A przecam żech się nad Odrą urodził i tam był chowany od dziecka. I moi rodzice i dziadkowie, też się tam rozdili. Jezusiczkę rostomiły! Święta Panienko! Toć, przyszła na tych biednych ludzi zagłada!

Odnaleźć nadzieję

Śpiewają znani piosenkarze na kasecie-cegiełce, która bije wszelkie rekordy sprzedawalności. Lecz odnaleźć nadzieję w cuchnącym szlamie wypełniającym to co było niedawno mieszkaniem, wyrzucając na złom całe swoje życie nie jest łatwo. Gdy tylko ludzie skończą prace porządkowe i znajdą jakiś kąs dla siebie i rodziny, będą także próbowali odnaleźć się w nowej rzeczywistości. W życiu, które już nigdy nie będzie tym samym którym było dawniej.

— Moje życie, powiedział jeden z moich rozmówców — powodzian, zawsze już teraz będzie się liczyło na to co było przed powodzią i na to co jest po niej.

I wtedy nastanie czas by sięgnąć po pomoc psychologa, pedagoga, lekarza-psychiatry. Wtedy wielu ludzi dojdzie do wniosku, że rzeczywistość ich przerosła. Nie potrafią sami pora-

dzić sobie z problemami. Psycholodzy prognozują iż najwięcej pomocy przy wyprowadzaniu z szoku popowodziowego będą potrzebowały dwie grupy powodzian. Ludzie starszy i dzieci.

Powódź, podobnie jak wojna, jest zjawiskiem ekstremalnym. Radykalnie zmienia osobowość człowieka zarówno na korzyść jak i na niekorzyść. Stąd zróżnicowane zachowanie poszczególnych ludzi. Od osób, które poświęcają się bez reszty niesieniu pomocy innym, po występowanie tak zwanych hien powodziowych, grabiących lub spekulujących. Stąd też, przypadki krańcowego sobkostwa i egoizmu, który każe się zamknąć na wyższym bezpiecznym piętrze przed sąsiadem z zalanego parteru czy pierwszego piętra.

— Nie mam nic. A więc nie mam nic do stracenia — to jedna postawa dominująca w szoku powodziowym, której zaprzecza druga streszczająca się w słowach — nie mam już nic, ale jeszcze mogę mieć wszystko.

I wreszcie, już na marginesie reportażu, pewien problem nader delikatnej natury. Chodzi o darczyńców. W większości na pewno ludzi dobrej woli i wielkiego serca. Powodzianie to ludzie, którzy przeżyli koszmar. Jedyne czego nie mogła im zabrać woda, to poczucie godności osobistej. Wystawianie w kolejkach po zapomogi, konieczność korzystania z darów, koczowanie w domach krewnych i znajomych, to dla nich trudne do zniesienia nieraz upokorzenie. Tymczasem do opolskich punktów zbiórki darów trafiają i takie, które nadają się jedynie do wyrzucenia na śmiecie. Komu bowiem z powodzian potrzebna jest stara suknia z balu sylwestrowego? Znoszone trepy, które niegdyś były butami? Brudna i podarta bielizna osobista? Wyciągnięte z piwnicy zardzewiałe łóżka polowe, które się rozkładają?

Bywa i tak, że darczyńca kalkulując, iż państwo odpisze mu sumę ofiarowanych darów od podatku, wypełnia ciężarówkę rementami ze swojej hurtowni czy sklepu; na przykład przeterminowanymi o dwa lata puszkami konserw rybnych, zwierzającymi proszkami do prania, czy nawet przeterminowanymi odżywkami dla małych dzieci (!!!). A przecież każdy mieszkaniec Polski żyjący nad Wisłą, Bugiem czy Wartą mógł się znaleźć także w sytuacji takiej jak dziś są Opolanie, Wrocławianie, czy mieszkańcy innych odrańskich regionów dla których powódź wciąż jeszcze trwa.

Może więc lepiej wpłacić sumę na konto powodzian w banku, lub po prostu kupić kilkadziesiąt cegiełek rozprowadzanych na rzecz teje pomocy.

Przypomniały mi się nieoczekiwanie lata szkolne. Zaskoczona byłam, że w takiej sytuacji moja pamięć podsunęła mi właśnie ten fragment przeszłości. Biała plama zeszytu i tytuł wypracowania: „Człowiek wobec przeciwności losu”. Chyba jeden z najpopularniejszych tematów. Przerabiany we wszystkich modelach; w czasach przedwojennych, wojennych i powojennych.



BEATA
TOMANEK

Rodzina rodzinie

Wielka woda przyszła z początkiem lipca. Zalała 26 województw, tysiące hektarów ziemi, kilkadziesiąt miast i setki wsi. Pierwsze miejscowości, do których dotarła powódź powracają do normalnego życia. Wsie pod Raciborzem: Nieboczowa, Buków, Ligota Tworkowska, Nowy Dwór, Rogów nad Olzą, Belsznica zalewane są systematycznie od lat. Ludzie tutaj przyzwyczaili się do powodzi. Wiedzieli, że jeżeli w Chałupkach woda sięga określonych stanów, to u nich będzie jej odpowiednio więcej. Mieszkańcy znali granice, do których może sięgać woda. Nie spodziewali się, że może być inaczej.

— Jak dzieci były małe, to łóżeczko stało na stole. Tak na wszelki wypadek. Wiadomo, że woda może przyjść w każdej chwili — mówi młoda kobieta.

— Pamiętam — wspomina inna gospodyni — jak budzili my się rano w łóżku, a tu wody po kolana!

W tym roku mieszkańcy nie odebrali żadnego alarmowego sygnału z Chałupek, więc zwyczajowo trwali, a o ratunek zaczęli wołać niestety za późno, kiedy woda znalazła już sobie nowe koryto. Przelewała się ostrym nurtem przez wsie niszcząc i zabierając ze sobą to, co dla nich było cenne. Teraz, kiedy woda już opadła, jeszcze widać jej siłę. Powyrywane i przeniesione kawały asfaltu, powyrywane drzewa z korzeniami, rozmyte drogi, pozrywane mosty, tony błota. Niektóre domy odplynęły z wodą, do pozostałych wracają ludzie. Bardzo często gołe ściany to wszystko, co pozostawiła im po wieloletnim dorobku powódź.

Z myślą o tych ludziach, którzy z szlamu i cuchnącego błota zaczynają odbudowywać swoje życie, Radio-Katowice zorganizowało akcję: „Rodzina—rodzinie”. Jej koordynatorami są: redaktor Grzegorz Żmuda i ksiądz Stanisław Puchała.

Uczestniczyłam w tej akcji podobnie jak inni dziennikarze od początku. Zaznajamiałam ze sobą rodziny i byłam świadkiem spotkań pełnych serdeczności.

Okazało się przede wszystkim, że cały patos sytuacji dramatycznych wyraża się w prostych bardzo słowach, albo nawet nieumiejętności mówienia. Widoczny jest w bardzo prozaicznych wydarzeniach.

Gospodarstwo państwa Zajaków było bardzo skromne. Teraz właściwie nie istnieje. Kury się potopiły, jeden z psów zaginął. Córka pani Klary Stolarskiej z Belsznicy prowadzi nas na podwórkę przez klepisko zalane brunatną mazią:

— Tu rosły kwiaty — mówi mimochodem. Stajemy przed małą obórką. Wewnątrz kwiczą dwa prosiaki;

— Pani, w ostatniej chwili wciśli my je — wskazuje głową na zwierzęta — do gołębnika, Nie chciały wejść, to my na siłę. Zmieściły się; przeżyły. Mąż przypląwał codziennie z workiem na pontonie, żeby je karmił — zaczyna się nagle śmiać. — Wyobraża sobie pani, że od potopu moje uchronili, a z głodu by padły!

Przed wejściem do domu babci Klary na schodach stoją kwiaty. Kwitną kolorowo pelargonie, fuksje, surfinie... Słońce dodaje im wdzięku. Są jak wybryk natury w tym księżycowym, ponurym krajobrazie. Babcia Klara widząc moje zaskoczenie od razu wyjaśnia:

— Pani, wszystkie żem wtaszczyła na góra, na dach, bo kwiaty kochom — kiwa głową ze smutkiem w oczach.

Na słońcu suszy się obraz. Dwie chałupki wtulone w śnieg i dwa drzewa. Woda wymyła kolory, ale widać kontury jak się dobrze wpatrzyć. Babcia drżącą ręką odwraca obraz. Przylepiona mała karteczka zachowała się cudem. Wykaligrafowane starannie dziecięcą ręką atramentowe litery: „Tatusiowi”, świadczyły o wielkiej, duchowej wartości tego obrazu.

— To mój dziadziuś namalował — powiedziała cicho babcia. Ściany w jej domu pokrył już czarny grzyb. Śmierdzi. Okien nie da się otworzyć, bo od wody napęczniały. Na starym łóżku suszą się równie stare pierzyny.

— Jak szła ta woda, to zech słońk wziena, żeby tych malin nartagać, a synek do mnie krzyczy: Matka, potopić sie chcecie, do dom mi! Do schodów ledwo żem doszła, tak szybko ta woda szła. Żołnierze na rękach mnie nieśli, bo richtig bych sie potopiła.

Gospodarz z Bukowa pamięta jak w wodzie po kark szedł ratować swojego cielika.

— Jak by Pani widziała jak on pływał, to by sie Pani zdziwiła. Ze strachu! Dopłynął do schodów i szedł do domu jak dziecko. Psy to na piecu w kotłowni przeżyły.

— Tu, na rozstajach, przy moim gospodarstwie stoi krzyż. Drzewniany. Jeszcze sprzed I wojny. Woda nie podmyła go. To cud boski. To musi być jakiś znak Opatrzności. Jak my tu podpływali łódką, a prąd był wielki, to my się mogli zatrzymać i odepchnąć od niego, żeby do domu trafić.

— Strach był wielki — wspomina pani Szczesiak — ciemno, bo światło wyłączyli, szum wody, zwierzęta wyją, też przeca sie boją, dziecka płaczą...

— My tu, można tak powiedzieć, prowadzili życie nocne. Człowiek wie Pani, nie śpi, chodzi, bierze latarki i patrzy: idzie czy nie. To jest później szybko. Fala podejdzie, do godziny jest w podwórku, w domu i koniec.

— Do Syryni, do mamy, co idę dziesięć minut to dwie godziny wiosłowałem pod prąd. Taka fala była! Jeszcze dwa dni później ręce mi się trzęsły od wysiłku — wspomina dwudziestokilkuletni Andrzej.

We wsi Buków uchodzi za miejscowego bohatera. Wylądował z wody, ich zabawki, rozwoził po sąsiadach wiadomości od rodzin.

On wzrusza ramionami:

— Normalka, każdy by tak zrobił. Jestem silny i młody.

Ludzie o dramacie

opowiadają chętnie i dużo. Słowa uświadamiają im tragedię, bo rzeczywistość, którą widzą, przerosła ich wyobraźnię.

Niczym sen na jawie. Nie wierzą, że jest aż tak źle, że stracili wszystko. Heroizm takich chwil to zwykła konieczność wykonywania podstawowych, niemal odruchowych czynności. Naturalne, oczywiste zachowania nabierają innego wymiaru. Ktoś wypłukuje trawnik przed domem, żeby odzyskał zielony kolor, kobieta przygotowuje legowiska w sianie, bo łózka rozplynęły się w wodzie. Rodzina siada do kawy, bo pora podwieczorku, w zamulonym ogródku obok sterty mebli, które przed chwilą wyrzuciła przez okno. Dzieci bawią się ryjąc patykiem szlaczki na świeżej betonowej wylewce w swoim pokoju, stare podłogi zapadły się aż do piwnic. Babcia podlewa kwiaty, żeby nie uschły teraz, kiedy woda już poszła. Matka czworga dzieci częstuje świeżo upieczonym ciastem. Wokół puste, odrapane już z tynku ściany, wciąż mokre i przeżarte fetorem.

— Wie Pani, wczoraj zech trzy kawałki sera dostała w darze. Coch miała zrobić?

Ludzie nie poddają się łatwo; walczą, ale czyż mogą robić coś innego?

— Teraz żyjemy z dnia na dzień — mówi gospodarz, dla którego krzyż był drogowskazem — no, nic innego nie zostało. Rękawy zakasać i już. Dobytek to rzecz nabyta. Najważniejsze, że my ocaleli. Życie i zdrowie, to się liczy. Takich rodzin jak my są tysiące. To trzeba przeżyć. Trzeba się zmobilizować do życia, nic innego nie zostało.

— Wie Pani co, jednak solidarność międzyludzka istnieje — uśmiecha się pan Zajac, ten, który wniósł 93-letnią teściową na strych.

Właśnie przyjechali do niego goście. Obcy ludzie. Ze Śląska. Wypakowują z bagażnika kołdry, poduszki, koce, pierzynę...

— Gdyby Panu zalało mieszkanie, to czego by Pan potrzebował, suchego miejsca do spania chyba, prawda? — rzeczowo stwierdziła pani Maria nie przerywając wypakowywania bagażnika.

— Było hasło: „Rodzina rodzinie, nie?! — dorzucił jej mąż. Najpiękniejsze i najbardziej wzruszające są spotkania ludzi, którzy nigdy nie poznaliby się, gdyby nie spotkały się w tej samej sytuacji życiowej potrzeba i ofiarność.

— Myśmy tu po prostu przyjechali i pytali gdzie mieszka pan Zajac — wspomina swój pierwszy przyjazd do Lubonii pani Skwarowa.

— Normalny człowiek mógłby się rozplakać, że jest takie współczucie ludzi — ten sam moment tak wspomina pan Zajac.

— „Dzień dobry, chleb pani przywiozłam z Katowic — rozpoczyna wesoło rozmowę pani Ania — na pewno inaczej smakuje. Trochę masła i trochę dżemu, mojego, sama robiłam.

Jeśli człowiek jest w potrzebie, to trzeba rękę podać, to nie ma o czym mówić. Nie jesteśmy już młodzi i nie powodzi nam się wyjątkowo dobrze, ale każda pomoc jest dobra. Uważam, że poza pieniądzem ważne jest serce, ważne jest uczucie, to co człowiek może dać od siebie, nie wyjąć z kieszeni” — tymi słowami pani Anna z Katowic argumentuje swój udział w akcji „Rodzina rodzinie”.

Pan Jacek z Chorzowa jest oszczędny w słowach, a nawet lakoniczny:

— Różnie w życiu bywa — jestem przekonany, że jak ja będę kiedyś potrzebował pomocy, to ktoś wyciągnie do mnie rękę z kromką chleba.

Ludzie nie potrafią mówić o tym, co dla nich oczywiste i naturalne. Używają więc skrótów myślowych i metafor. Trudno znaleźć słowa, by to, co tak przecież normalne, nie zabrzmiało górnolotnie lub melodramatycznie.

Łatwiej jest dawać niż brać

Ludzie, którzy wszystko zawdzięczają swojej pracy, czują się zażenowani, kiedy życzliwi, ale obcy ludzie stają w progach ich domostw z darami. Trudno wyciąga się rękę, żeby

przyjąć to, co ofiarowane, z serca przecież. Jest w tym geście jakieś przyznanie się do klęski, do cierpienia. Dociera do nich, że naprawdę są w potrzebie. Często więc na pytanie: „W czym można pomóc?” padają odruchowe słowa: „Właściwie, to my niczego nie potrzebujemy”.

Wiedziałam iży w oczach mężczyzny, który kilka razy potarzał, jakby sądził, że mu nie wierzą:

— Zupełnie nie znam tych ludzi, naprawdę zupełnie są mi obcy, pierwszy raz ich widzę, a oni mnie znaleźli, żeby pomóc. To aż się wierzyć nie chce.

— To trzeba powiedzieć, jednak ludzie to są ludzie. Przyjechali i pytali: co trzeba? Ja patrzę na żonę, żona na mnie. No, co można powiedzieć. Nawet szklanek nie ma, żeby jakąś kawę zrobić.

Młody dwudziestokilkuletni Andrzej, właściciel piętrowego domu, w którym cały parter zalany jest jeszcze szlamem, zapiera się, że pomocy nie chce.

— Ja mogę zaczynać od nowa. Wszystko jeszcze zdązę zrobić. Na dniach miałem otwierać warsztat stolarski. Woda zalała nowe maszyny, materiały, narzędzia, deski. Praca poszła na marne, ale nie rezygnuję. Pomagać trzeba starszym, którzy stracili to, na co pracowali przez wiele lat, albo... — zastanawia się — należałoby się zastanowić, co należałoby zrobić, żeby takiej tragedii więcej nie było i na to pieniądze przeznaczyć. Najlepiej te ziemie, tutaj, wykupić od nas, bo przecież co rok nas woda z Odry zalewa, i zrobić jeden wielki zbiornik retencyjny. Straty przecież, nie tylko tu, ale w Opolu, Raciborzu są tak wielkie, że chyba opłacałoby się Państwu tak zrobić. Ewentualnie pomyśleć o małej elektrowni wodnej.

— Niejedno by się przydało, ale my jesteśmy temu państwu, co przyjechali z Katowic bardzo wdzięczni, naprawdę bardzo. Mam nadzieję, że może w przyszłości zdarzy się tak, że się można będzie odwdziżyć. Na co dzień się takiej dobroci nie widzi.

Upředzone przez księdza proboszcza rodziny, bardzo przygotowują się duchowo na takie spotkanie i konkretnie ukierunkowują działania chętnych do pomocy.

— Widzi pani, tapety trzeba będzie zmienić, wykładzina jużgniła, pralka się spaliła, bo zamokła, mleka dla dzieci nie mamy... wylewki w pokojach byśmy już porobili, ale piasku braku... itd. itd.

— Mnie właściwie wszystkiego potrzeba. Zostałam bez środków do życia. Straciłam pracę, bo Urząd Celny w Chalupkach na razie jest zamknięty. Samotnie wychowuję troje dzieci, co mam robić, jeżeli nie liczyć na pomoc dobrych ludzi?

Zaradni wzięli się od razu do wynoszenia mułu w wiadrach, szorowania podwórek, zrzucania mokrych tynków..., inni nie spieszą się. Widocznie spustoszenie działa na wyobraźnię. Bieda zachęca do dawania, a może poniekąd usprawiedliwia branie. Klęska jednych mobilizuje, innych obezwładnia. Jednym i drugim potrzebna jest pomoc. Dobrze jest przekonać się i zobaczyć, że nie trzeba o nią prosić. Natura w swym okrucieństwie przypomniła nam, co to znaczy być człowiekiem.

Akcja „Rodzina rodzinie” daje taką możliwość.

Artykuł powstał w oparciu o relacje dziennikarzy Radia Katowice: Anny Dudzińskiej, Beaty Krzakiewicz, Anny Musiałik, Henryka Kawki i Wojciecha Paculi.





Plac Fryderyka z teatrem miejskim

Geneza powstania polskiego teatru zawodowego w Katowicach łączy się nierozdzielnie z nagromadzonym przez lata niewoli poczuciem krzywdy i potrzebą wyrównania istniejących dysproporcji rozwijającą się dynamicznie na terenie Górnego Śląska kulturą teatralną Niemców, a dyskryminowaną i ograniczoną działalnością teatralną Polaków.

Narodziny Teatru Polskiego

ANDRZEJ LINERT

Działające na przełomie wieków na tym terenie niemieckie zawodowe zespoły teatralne do swej wyłącznej dyspozycji posiadały budynki teatralne m.in. na terenie Bytomia, Gliwic, Tarnowskich Gór, a także Bielska i Cieszyna. Ponadto korzystały z całego szeregu przestronnych sal teatralnych, znajdujących się w każdym większym ośrodku miejskim Górnego Śląska. Zbudowany zatem w latach 1906—1907 budynek teatralny w Katowicach nie był ewenementem, lecz jednym z przejawów wzrostu ambicji władz miejskich, które w walce z odradzającą się kulturą polską pragnęły mieć własne narzędzie walki narodowej.

Deutschem wort, deutscher art

Podkreślmy, że na kosztujący pół miliona marek budynek, rząd niemiecki wydatkował sto tysięcy marek. Prywatni sponsorzy reprezentujący miejscowy przemysł ciężki i handel, złożyli 65 tys. marek. Resztę zmuszone były wyłożyć z kieszeni podatników władze miasta.

Ta niewspółmierna wówczas do potencjału gospodarczego Katowic inwestycja miała zatem obok aspektu społecz-

no-kulturalnego swoje głębokie podłoże propagandowe, zabarwione mocną tonacją narodowego szowinizmu. Wzrost poczucia odrębności narodowej Ślązaków, wyrażający się m.in. w tworzeniu coraz to nowych amatorskich zespołów teatralnych i śpiewaczych sprawił, że walka o oblicze narodowe tej ziemi toczyła się od drugiej połowy XIX stulecia również na scenach i widowniach licznych teatrzyków Górnego Śląska. Świadom tego faktu cesarz Wilhelm już w czerwcu 1898 r. w operze berlińskiej wypowiedział znamienne słowa: „Das Theater ist auch eine meiner Waffen” („Teatr jest również jedną z moich broni”). U progu epoki wojujących nacjonalizmów przed teatrem postawiono bowiem zadania i cele znacznie wykraczające poza jego dotychczasowe doświadczenia artystyczne. Wprzęgnięty w walkę narodową i polityczną, stał się synonimem nietolerancji i dyskryminacji.

Gmach teatru uroczystie otwarto 2 października 1907 r. premierą „Wilhelma Tella” Fryderyka Schillera. Przy tej okazji ówczesny burmistrz Katowic dr Pohlmann życzył sobie i innym, aby teatr ten stał się: „Bollwerk gegen das feindliche Polentum” („Dumnym i niezwalczonym bastionem

przeciwko wrogiemu żywiołowi polskiemu”). Nie dziwi zatem fakt, że na tympanonie teatru, w miejscu gdzie dziś widnieje napis „Teatr im St. Wyspiańskiego”, umieszczone zostało hasło: „DEUTSCHEM WORT, DEUTSCHER ART” („Niemieckiemu słowu, niemieckiej kulturze”). Tym samym zaraz na wstępie w sposób jednoznaczny i zdecydowany wykluczona została możliwość prezentacji na scenie katowickiej polskich przedstawień.

W tej sytuacji pierwszy polski zespół teatralny tzw. Teatr Plebiscytowy Edmunda Rygiera zezwolenie na występ w gmachu teatru od zarządzającej nim Niemieckiej Gminy Teatralnej otrzymał dopiero 12 kwietnia 1920 r. Pierwsze polskie słowa na scenie katowickiej wypowiedział wtedy prawdopodobnie sam Rygier w roli Cześnika Raptusiewicza w „Zemście” Aleksandra Fredry. Niemniej na stały polski zespół teatralny Katowicom przyszło czekać jeszcze przeszło dwa lata. Do tego czasu po występach gościnnych zespołu Rygiera, w gmachu teatru w lipcu 1920 r. dwukrotnie z „Halką” Stanisława Moniuszki wystąpiła Opera Warszawska pod dyr. Emila Młynarskiego, a następnie w sezonie 1920/21 swoje przedstawienia kilkakrotnie prezentował objazdowy Teatr Górnośląski Henryka Cepnika.

Naczelna Rada Ludowa będąca w okresie poprzedzającym utworzenie województwa śląskiego oficjalnym przedstawicielstwem ludności polskiej, zdawała się jednak nie przywiązywać większego znaczenia do działalności zawodowego teatru polskiego. Gościnne występy teatru sosnowieckiego w gmachu teatru w sezonie 1921/22 były efektem zabiegów powstałego w tym czasie w Katowicach Towarzystwa Miłośników Wiedzy i Sztuki z Janem Piechulkiem i Janem Widuchem na czele. Dobre układy członków Towarzystwa z Magistratem sprawiły, że ten ostatni jako właściciel gmachu, w umowie dzierżawnej budynku teatralnego z niemieckim dyrektorem Paulem Weinerem, zastrzegł po raz pierwszy prawo występu polskich zespołów teatralnych w każdy wtorek i co jakiś czas w niedziele. Ten stan rzeczy trwał do maja 1922 r.

„Bez względu na różnicę języka i wiary”

Kiedy więc 20 czerwca 1922 r. na schodach frontowych teatru katowickiego ks. dr Teodor Kubina, proboszcz parafii NMP w Katowicach, członek Tymczasowej Rady Wojewódzkiej w asyście księży odprawił Mszę polową dla zgromadzonego na rynku wojska polskiego, umieszczone na tympanonie hasło pozbawione zostało nieoczekiwanie swoich szowinistycznych fundamentów i stało się niespodziewanie dokumentem panującej dotychczas niesprawiedliwości. Prezentowana przez wojsko w czasie Ewangelii i Podniesienia broń, poza znaczeniem religijnym i patriotycznym, miała swoje głębokie odwołania do jedności ideowej wojska polskiego i zgromadzonych powstańców, była gwarancją rodzącej się sprawiedliwej Polski.

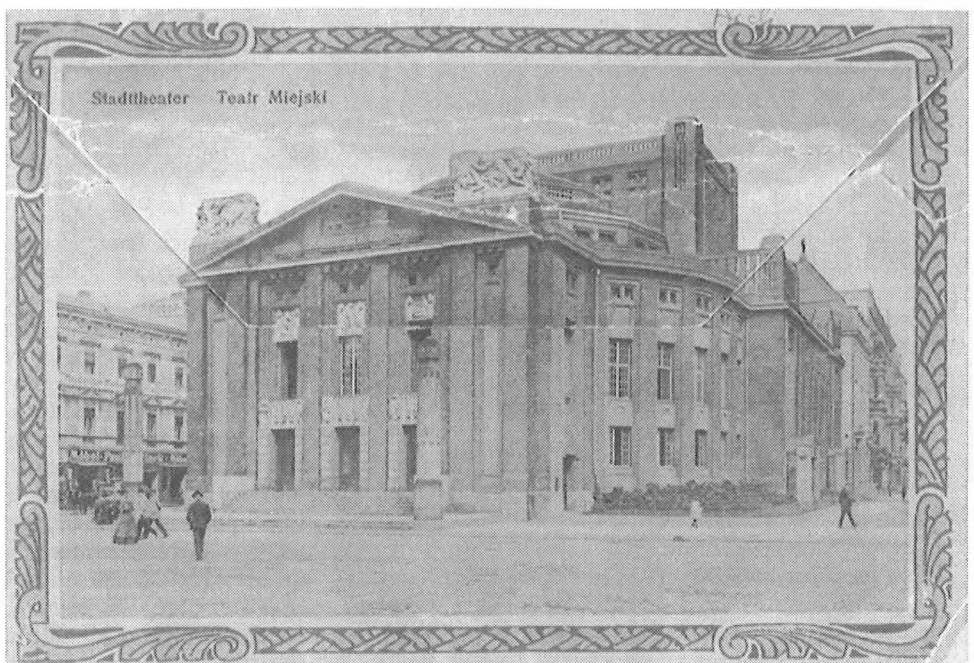
Niekwestionowany gospodarz tej ziemi Wojciech Korfanty tuż po Mszy ze stopni teatru mówił: „Wierna swoim tradycjom wolnościowym, Polsko, przyjmij wszystkich tej ziemi mieszkańców dobrej

woli, jako dzieci swoje, przyjmij je bez względu na różnicę języka i wiary, i daj świadectwo wielkiej prawdzie, że w nowoczesnym państwie dla wszystkich wyznań i języków jest miejsce pokojowej i twórczej pracy dla dobra ludzkości”. I choć tego miejsca z czasem brakło dla niego samego, to z jakże różnego podłoża ideowego wyrastały słowa zwycięskiego dyktatora powstańczego! Jakże odmienne były ich konotacje i konsekwencje, w stosunku do widocznego nad nim w tympanonie hasła! Dość na tym, że przyjmująca wkraczające wojsko polskie stolica nowo powstającego województwa śląskiego, w istniejącym teatrze miejskim nie miała swoich ugruntowanych pozycji w postaci oficjalnie działającego polskiego stałego teatru zawodowego. Jego rolę zastępowało pełniły liczne zespoły amatorskie. One też były podstawowym źródłem doświadczeń i wiedzy o sztuce teatru, źródłem przeżyć i uniesień, jakie towarzyszyły prezentacjom aktorów amatorów w bliskich im kulturowo wioskach, osadach i dzielnicach miejskich. Teatr zawodowy dla znakomitej większości mieszkańców Górnego Śląska kojarzył się z czymś niezwykle odświętnym i wyjątkowym, wyzwalającym najczęściej spory ładunek emocji patriotycznych. Jego społeczno-artystyczny charakter był jednym z najistotniejszych przejawów życia narodowego.

Targi zatem jakie o dostęp do gmachu teatru katowickiego rozpoczęły się w pierwszych dniach lipca 1922 r., spowodowane były tym, że początkowo przewidywano powstanie teatru polskiego w Bytomiu na czele z Feliksem Kochańskim i Janem Langem. Niekorzystny wynik plebiscytu i nowo powstała granica państwa polskiego przekreśliły te plany i nadzieje. Niemcy tymczasem skutecznie bronili się przed oddaniem gmachu teatru katowickiego, wykorzystując przede wszystkim sprzyjających im urzędników we władzach miasta.

W reakcji na to grupa kilkunastu działaczy śląskich, nie związanych ze sceną zawodowo, prawdopodobnie 4 lub 5 lipca 1922 r. zawiązała z pomocą Naczelnej Rady Artystycznej ZASP komitet tymczasowy, którego celem było powołanie do życia Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach. Jego podstawowym celem było powstanie stałego teatru polskiego. Zebranie konstituujące TPTP z udziałem miejscowych działaczy oraz prezydium Naczelnej Rady Artystycznej ZASP-u z Juliuszem Osterwą, Michałem Orliczem i Janem Kochanowiczem na czele, odbyło się 15 lipca w sali obrad Urzędu Wojewódzkiego.

Po dłuższej dyskusji wyjaśniającej rolę i znaczenie stałego zawodowego zespołu teatralnego w Katowicach, postanowiono, że powstanie zawodowa placówka teatralna pod nazwą Teatr Polski w Katowicach. W intencjach jego organiza-



Ogólny widok teatru.
Stan z 1923 r.

Reprodukcja: Józef Wróbel



*Moment
wkroczenia
wojsk polskich
do Katowic
w dniu
20 VI 1920 r.
W tle budyne
teatru
z widocznym
napisem
„DEUTCHEM
WORT,
DEUTCHER ART”.*

*Reprodukcja:
Józef Wróbel*

torów miał to być teatr dramatyczny, grający komedie, sztuki historyczne i wodewile, a także prowadzący szeroką działalność objazdową. Jego podstawowy profil określać miały zatem sztuki popularne i adresowane przede wszystkim do szerokich rzesz robotniczych. Dobór repertuaru, jak i jego poziom wykonania określać miały z jednej strony warunki społeczne, a z drugiej stan stałego zagrożenia ze strony ekspansywnej nadal kultury niemieckiej. Stąd zaraz na wstępie postulowano, aby planowane widowiska teatralne „odpowiadały wrodzonym cechom ludu śląskiego, jego zamiłowaniu do gestu bohaterskiego, do baśni i legend, do folkloru”, a także aby były pełne „poczucia humoru i dążenia do konkretności”. Odpowiedzialność finansowa za całe przedsięwzięcie spoczęła na świeżo ukonstytuowanym Towarzystwie Przyjaciół Teatru Polskiego.

Najpierw „Reduta”

W skład powołanego zarządu wchodził urzędnicy, prawnicy i przedstawiciele zamożnego mieszczaństwa katowickiego oraz nieliczni reprezentanci Królewskiej Huty (późniejszego Chorzowa) i Mysłowic. Jego pierwszym przewodniczącym wybrany został prezes Sądu Apelacyjnego w Katowicach dr Feliks Bocheński. Funkcję wiceprezesa pełnił Jan Piechulek, dyrektor banku i prezes Stronictwa Demokratycznego.

Podkreślmy, że wspomniane grono działaczy śląskich pragnąc uczcić moment przyłączenia części Górnego Śląska do Polski, zaprosiło — jak pisze Kazimierz Olszewski — warszawską „Redutę”. Jej występy w dniach 15 i 16 lipca 1922 r. z „Fircykiem w zalotach” Franciszka Zabłockiego, z udziałem Juliusza Osterwy w roli tytułowej, poprzedzone były przed kurtyną „płomiennym i patetycznym” przemówieniem Mieczysława Limanowskiego. Mówca opisując ówczesną sytuację Górnego Śląska, nazwał ją „redutą polskości”, która przez lata niewoli skutecznie chroniła ludność narodowości polskiej przed wynarodowieniem. Dodajmy, że poza Osterwą w zespole wykonawców byli: Maria Dulęba, Helena Rolandowa, Jan Kochanowicz, Józef Jarczyk-Poremba, Mikołaj Turczyński i Feliks Noriski. Entuzjastyczne przyjęcie, jakie aktorom zgotowała widownia, po spektaklu dodatkowo na specjalnej audyencji wyróżnił generał broni Stanisław Szeptycki, głównodowodzący wojsk polskich na Górnym Śląsku i wnuk Aleksandra Fredry po kądzieli w jednej osobie.

Szeptycki, znany z opieki nad placówkami kulturalnymi, namawiał gorąco Osterwę i Limanowskiego do osiedlenia

się na Śląsku. Obiecywał opiekę, pomoc materialną i wygodną siedzibę. „Reduta” w jego opinii posiadała wysoką ocenę, datowała się ona prawdopodobnie od czasu, kiedy to Osterwa jako przewodniczący ZASP-u wystosował na jego ręce depezę gratulacyjną z okazji wkroczenia armii polskiej na Górny Śląsk. W odpowiedzi Szeptycki m.in. zaznaczył: „Przesyłam najserdeczniejsze podziękowania i pozdrowienia z odzyskanej dzielnicy, która czeka z niecierpliwością przyszłej owocnej pracy artystów scen polskich”.

Niestety mimo tego poparcia i zaangażowania znacznych sił społecznych, perturbacje związane z uruchomieniem stałego zespołu Teatru Polskiego trwały nadal. Podpisana bowiem początkowo na sezon 1922/23 przez Magistrat z Niemiecką Gminą Teatralną umowa zakładała występy zespołu polskiego tylko raz w tygodniu. Po interwencjach i kolejnych ustaleniach zdecydowano, że TPTP będzie w sezonie 1922/23 — jak pisze Elżbieta Nawrat — „współużytkownikiem gmachu i wszystkich jego urządzeń na tych samych prawach co towarzystwo niemieckie”. Równocześnie zaplanowano, że pierwszymi dyrektorami nowej placówki będą dwaj kandydaci ZASP-u: Jan Janusz i Walery Jastrzębiec-Rudnicki. Niestety przewidziana przez obu kandydatów dotacja w wysokości 150 mln marek niemieckich była zbyt wysoka i do podpisania umowy nie doszło. W efekcie powstała sytuacja niezwykle trudna i kłopotliwa. Przeciągający się brak kandydata na dyrektora sprawił, że już w połowie sierpnia zaczęto powątpiewać w możliwość otwarcia sceny polskiej, a to ze względu na fakt, że znakomita większość aktorów i reżyserów zdołała już podpisać swoje umowy na zbliżający się sezon i wszelkie dalsze pertraktacje były niezwykle utrudnione.

W ostatnich dniach sierpnia w Katowicach przejazdem znalazł się jednak Tadeusz Wierzbicki, śpiewak, reżyser i współdyrektor Teatru Wielkiego w Poznaniu w sezonie 1919/20. Liczący 46 lat artysta w środowisku znany był jako bas z występów m.in. w zespole opery Warszawskich Teatrów Rządowych w latach 1907—1914, a także występów gościnnych w Mediolanie, Palermo i Wiedniu. W kwietniu 1915 r. reżyserował „Halkę” Moniuszki w wiedeńskim Carltheater. Po powrocie do Warszawy w 1915 r. obok występów w Teatrze Wielkim, udzielał się w organizacji i pracy zrzeszenia artystów sceny. Jego skromne, jednoroczne doświadczenia w kierownictwie zespołu teatralnego, prawdopodobnie sprawiły, że zaproponował tworzenie Teatru Polskiego w oparciu o przeszło połowę niższą subwencję, w wysokości zaledwie 60 mln marek niemieckich. 23 sierpnia na posiedzeniu zarządu TPTP z udziałem woje-

wody śląskiego Józefa Rymera, propozycja została przyjęta i ustalono, że nowo powstała placówka będzie jednak zespołem dwudziałowym, wystawiającym opery, operetki i sztuki muzyczne, a także dramaty i utwory o charakterze patriotycznym.

Własne zespoły

Prace organizacyjne i przygotowawcze od owego 23 sierpnia do momentu inauguracji w dniach 7 i 8 października musiały przebiegać dość sprawnie, mimo licznych trudności i kłopotów. Największe z nich dotyczyły braku mieszkań. Przyjeżdżających w połowie września artystów przyjmowali najczęściej do swoich mieszkań członkowie TPTP. Zespół baletowy zakwaterowano w pomieszczeniach parafialnych, a chór po prostu ulokowano w garderobach teatru. Także starania i zabiegi Wierzbickiego o przyznanie subwencji w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego uwieńczono zostały poławicznym sukcesem. Pierwszą ratę obiecano mu przekazać dopiero w połowie października. Z zastrzeżeniami otrzymał akceptację na prowadzenie teatru ze strony ZASP-u. A mimo to 7 października zespół dramatyczny zainaugurował swoją działalność komedią Lucjana Rydla „Królewski jedynak”, z Waławem Nowakowskim w roli Zygmunta Augusta i Aldoną Jasińską gościnnie występującą w roli królowej Bony. Dzień później zespół operowy zaprezentował „Halkę” Stanisława Moniuszki, z udziałem H. Skwareckiej w roli Halki, H. Millera — Jontka, Cz. Rawity-Janusza i T. Wierzbickiego — Stolnika.

Z perspektywy dzisiejszej można dodać, że te spektakularne wydarzenia artystyczne i narodowe nie zakończyły walki o polskie oblicze teatru katowickiego. Do 1924 r. TPTP korzystało z budynku i jego urządzeń na równi z Deutsche Theater-Gemeinde für Polnisch-Oberschlesien. Ostatecznie dopiero 22 października 1924 r. Magistrat zdecydował się na odstąpienie budynku teatru TPTP, warunkując niemieckiej Gminie Teatralnej dziewięć, względnie dziesięć dni w miesiącu.

Kończąc podkreślimy, że inaugurujący w pierwszych dniach października 1922 r. swoją działalność Teatr Polski, był jednym z pierwszych instytucjonalnych ośrodków polskiego życia kulturalnego, skutecznie konkurujących z atrakcyjną i posiadającą bogate tradycje kulturą teatralną Niemców. Ówczesne zacofanie cywilizacyjne Polski, pozbawionej przez ponad 120 lat własnej państwowości, własnego ustawodawstwa i administracji, sprawiło, że proces kształtowania polskiego oblicza Górnego Śląska rozkładał się na całe lata. Wieloletni dyrektor Teatru Polskiego i członek zarządu TPTP Marian Sobański wspomina, że „aż do 1925 r. w korespondencji z Towarzystwem i teatrem posługiwał się Magistrat przeważnie językiem niemieckim”.

Powstały zatem w 1922 r. Teatr Polski był wyrazem triumfu kultury narodowej. Niemniej jego powstanie w jakimś stopniu uwarunkowane było reakcją na to wszystko co niosła z sobą bogata kultura teatrów niemieckich, a zwłaszcza te jej elementy i treści, które odwoływały się do wartości humanistycznych i ogólnoludzkich. Przemycane przy tej okazji hasła i treści nacjonalistyczne budziły ze strony zamieszkujących te ziemie Polaków zrozumiały opór i sprzeciw. W latach niewoli wyrazem tego była wspomniana niezliczona ilość amatorskich zespołów teatralnych i śpiewaczy. Natomiast po odzyskaniu niepodległości świadectwem tego było powstanie Teatru Polskiego. Zrodził się on niemal natychmiast, niejako z buntu wobec umieszczonego w tympanonie teatru hasła. Dzisiaj emocje opadły. Istniejące podziały uległy częściowemu zatarciu. Możemy więc spokojnie skonstatować, że u podstaw genezy Teatru Polskiego w Katowicach leży cała bogata tradycja teatralna ziemi śląskiej, zarówno ta niemiecka, jak i polska. Jest to niewykrywane dotychczas dziedzictwo, które po odrzuceniu całego balastu dwudziestowiecznych szowinizmów, może stać się wartością w nadchodzącej przyszłości.

„Myśl Protestancka” — pismo kulturowe

Rozwija się rynek czasopism społeczno-kulturalnych i literackich na Górnym Śląsku. Obok miesięcznika „Śląsk”, kwartalników „Arkadia”, „FA-art”, „Incipit”, „Opcje” i „Wyrazy”, pojawił się niedawno nowy tytuł — „Myśl Protestancka”. Wydawany przez Fundację Kultury Chrześcijańskiej w Katowicach, pod kierunkiem dra Jana Szurca, swoją formułę programową wyprowadza z szeroko rozumianej roli cywilizacyjnej i kulturowej protestantyzmu (czy ewangelicyzmu). Pismo jednak, zgodnie z deklaracją wstępnej redakcji, nie jest kierowane wyłącznie do środowisk ewangelickich, ale — jak czytamy — „może nawet szczególnie do szerszych kręgów czytelniczych”. Owo poszerzenie adresu czytelniczego wynika stąd, iż redaktorzy i autorzy pisma postanowili szerzej spopularyzować myśl ewangelicką w Polsce (społeczną, kulturową, cywilizacyjną), ponieważ „pomijanie milczeniem tego dorobku, wciąż przecież wzbogacanego, jest zubożaniem naszych narodowych tradycji o jej istotne składniki”.

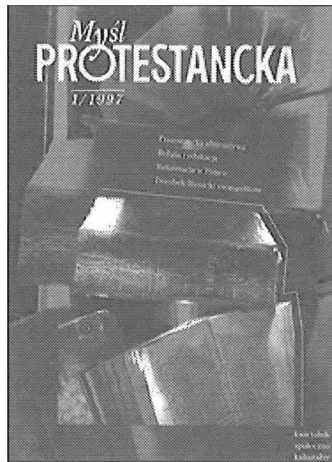
„Nie powoduje nami wszakże ukryta chęć prozelityzmu (...) — czytamy w nocie *Od Redakcji* — uważamy natomiast, że dorobek protestantyzmu na polu nie tylko religijnym, teologicznym, ale także społecznym i kulturalnym, jest bardzo ważki”. Potwierdzeniem tego są materiały zgromadzone w numerze pierwszym (marzec 1997), interesująco zakomponowanym i zwartym jeśli chodzi o poruszaną problematykę. Początki każdego nowego pisma są, oczywiście, zawsze trudne i niepewne, tutaj jednak — jak się zdaje — zupełnie obiecujące.

Większość dużych materiałów poświęcona jest protestanckiej myśli społecznej i historycznej. Szczególnie warto polecić ważny artykuł Tadeusza J. Zielińskiego *Protestancka alternatywa*, w którym przedstawiona została współczesna, ewangelicka oferta społeczna, zaś sam protestantyzm jako „promotor postaw słabo obecnych” (chrześcijaństwa głębi, światłego stosunku do otoczenia, demokratyzmu i republikanizmu, wreszcie — ekumenizmu). Z tym szkicem dobrze korespondują teksty o charakterze ogólnym: Bogusława Milerskiego (*Religia i edukacja w procesie przemian społecznych*) oraz Ewy Chojeckiej (*Śląskie tradycje samorządowe*). Polecić warto także czytelnikom dwa bardzo interesujące szkice historyczne — Henryka Dominika (*Ekumeniczne Aspekty Reformacji w Polsce*) i Jana Szurca (*Towarzystwo Badań Dziejów Reformacji w Polsce (1920—1963)*).

Ciekawie przedstawia się w „Myśli Protestanckiej” dział krytyki literackiej i recenzji. Grażyna Szewczyk w instruktywnym eseju *Dorobek literacki ewangelików śląskich (XVIII i początek XIX wieku)* omawia działalność kilku ważnych postaci tamtego czasu, m.in. Johanna Christiana Bockshammera, Jana Muthmana, Samuela Ludwika Zasadiusa, Roberta Fiedlera, natomiast Jan Wild przedstawia sylwetkę zmarłej przed kilku laty poetki śląskiej — Marty Aluchny-Emelianow. W dziale recenzji omówione zostały opublikowane

w ostatnim pięcioletniu książki historyczne, biograficzne i teologiczne (spośród recenzentów warto wymienić ks. prof. Manfreda Uglorza).

Nowy kwartalnik społeczno-kulturalny, starannie i czysto wydawany, zapowiada się nader interesująco. Na razie szczupły (liczy 80 stron), w przyszłości zapewne zwiększy swoją objętość. Należy mieć nadzieję, że również w kolejnych zeszytach pojawią się ważne artykuły społeczne i literackie, a także utwory oryginalne i przekładowe.



Tylko współdziałanie

Słowo „misja”, odnoszone do sfery biznesu i pieniądza, brzmi nieco tajemniczo, dla większości z nas - po prostu niezrozumiale. Tymczasem coraz częściej używa się go w zarządzaniu i organizowaniu pracy wielkich przedsiębiorstw i instytucji, także tych finansowych - takich jak Fundusz Górnośląski S.A., który stał się jednym z głównych instrumentów, służących realizacji Kontraktu Regionalnego dla Województwa Katowickiego.

Fundusz Górnośląski sformułował na własny użytek podstawy programowe swej misji. Mają one pomóc w codziennej pracy tej instytucji, przyczynić się do jej rozwoju i skutecznego działania. By jednak zrozumieć, na czym polega istota sprawy, konieczne są wyjaśnienia natury teoretycznej. Poprosiliśmy o nie Marka Łukaszewskiego, wiceprezesa Zarządu Funduszu Górnośląskiego.

- Najogólniej rzecz biorąc, w teorii zarządzania można wyszczególnić dwie koncepcje - wyjaśnia Łukaszewski. - Jedna zakłada, że ludziom trzeba pozostawić pełną wolność w podejmowaniu decyzji, gdyż wtedy będą pracować skutecznie i wydajnie. Koncepcja przeciwna zaś zakłada, że cały proces pracy należy dokładnie „wyregulować” po to, by w sytuacjach trudnych ludzie znajdowali jakieś oparcie i wzorce zachowań. Obie te koncepcje zawierają wiele wad, ale również wiele zalet. Prawda zapewne leży gdzieś pośrodku. Wiemy na przykład, że nie da się przewidzieć, wyregulować i kontrolować wszystkich sytuacji, jakie pojawiają się w pracy. To rzeczywiście jest tak, że niejednokrotnie życie okazuje się bogatsze od sztywnych reguł postępowania i podpowiada nowe, lepsze rozwiązania. „Pełny luz” jednak też może zaprowadzić na manowce. W mojej opinii, sposobem rozwiązującym i wypośrodkowującym owe dwa punkty widzenia jest właśnie wypracowanie misji dla swojej firmy.

Fundusz Górnośląski S.A. działa w oparciu o ustalone z góry procedury. Cóż, obracając wielomilionowymi kwotami, nie można sobie pozwolić na „improvizację”; by tak powiedzieć - sama natura pieniądza na to nie zezwala. Ale są przecież takie sytuacje, że nie bardzo wiadomo jak postępować w danym momencie, jaką decyzję podjąć. Są sytuacje, w których zawodzi rozum i nauka. Wtedy wolno i należy odwołać się do racji i wartości uniwersalnych,

sformułowanych jako zbiór zasad najważniejszych. To one właśnie składają się na to, co nazywamy misją.

W tych sytuacjach trudnych, które stanowić mogą nie lada barierę do pokonania nawet dla najlepiej przygotowanych fachowców, najczęściej - tak to w ogóle bywa, nie tylko w biznesie - odwołujemy się do tego, co tkwi w nas, do naszego doświadczenia, do naszych przekonań. Ale i to bywa zawodne, zwłaszcza gdy poruszamy się w sferze niełatwej do zarządzania, gdzie ciągle czekają na człowieka jakieś pułapki. Za każdą zaś pomyłkę, a to szczególnie przypadek Funduszu Górnośląskiego, trzeba - i to dosłownie - zapłacić. No, i wtedy - by jeszcze raz to powtórzyć - pomocne staje się sformułowanie misji, czyli rodzaju „drogowskazu”, który wyznaczy kierunek działania i podpowie metody rozwiązywania trudnych problemów, pomoże w podejmowaniu decyzji.

Jednocześnie istnienie owej misji sprawia, że działania firmy uzyskują niejako „autorski atest”, pozwalający odróżnić ją od innych, przede wszystkim - od konkurencji. Ponadto człowiek, niezależnie od tego jakie stanowisko pełni i jaka funkcja została mu przydzielona, staje się podmiotem swej pracy, zaś jego stopień utożsamienia się ze swoją firmą rośnie. W Funduszu Górnośląskim ten zaś element bardzo poważnie jest traktowany. Zresztą wcześniej, w którymś z artykułów tego cyklu, już to akcentowaliśmy.

Misja Funduszu, rzecz jasna, musiała przyjąć jakąś hasłową formułę, którą później dopiero wypełnia się treściami. „Współdziałanie i kapitał dla dobra regionu” - oto jak ją zapisano - lecz, przynajmniej, te kilka słów nie wyjaśniają jeszcze, czym Fundusz chce się różnić od innych instytucji finansowych.

- XIX-wieczne hasła o wolnej konkurencji chętnie są dziś przyjmowane i akceptowane - tłumaczy prezes Łukaszewski. - Rządziej pamięta się o tym, że walka rynkowa i stawianie

barier konkurencji na ogół pochłaniają olbrzymią ilość pieniędzy i energii. My zaś tak wielkimi sumami, jakich potrzebowałby nasz region, nie dysponujemy, więc tego co mamy, nie możemy wydać na boje z konkurentami. Tylko synergia, czyli współdziałanie, może powodować, że nasze kapitały będą pomnażane, a umiejętności - w pełni wykorzystywane. Nie chcemy więc za wszelką cenę konkurować z innymi.

Nie chcemy nikomu udowadniać, że jesteśmy najlepsi, bo nasza rola jest inna. Jeśli zaś okaże się, że rzeczywiście „jesteśmy najlepsi”, to odczuć ma to region; nam samym nie jest taka ocena potrzebna. Celem naszej firmy nie jest zagarnięcie rynku czy rozrost terytorialny. Zysk nie ma służyć tylko zyskowi. To nas właśnie odróżnia od innych.

Przy takich założeniach także pojecie „kapitał”, rzecz jasna przez nikogo w Funduszu nie lekceważone, nabiera jednak jakby nieco innych znaczeń. Za tym terminem kryją się nie tylko pieniądze, ale i ludzie, ze swymi umiejętnościami, zapałem i dobrą wolą. Wolno też mówić o „kapitale zaufania społecznego”, który został niejako wpisany w Kontrakt Regionalny, stanowiąc ramy, w jakich Fundusz chce i musi się poruszać.

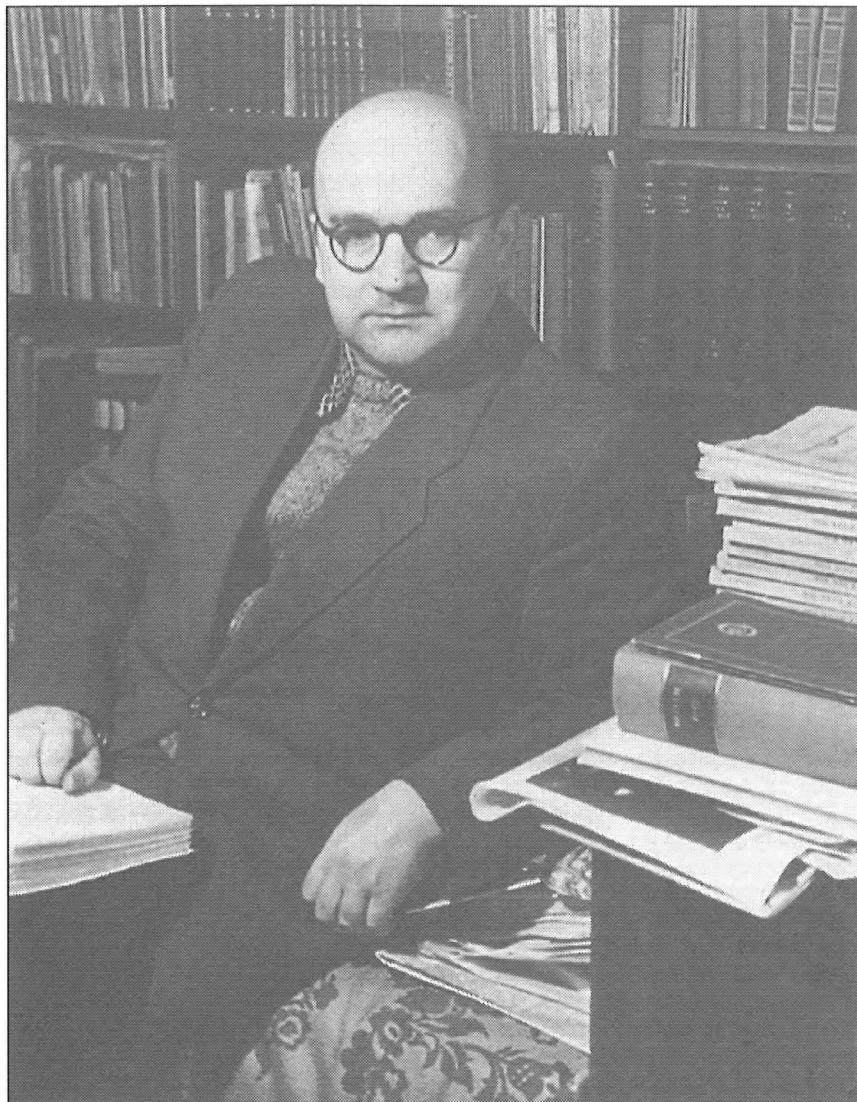
- Właściwie wszystkie rozmowy z nowymi partnerami zaczynamy od wyłożenia tych właśnie zasad, od określenia i wyjaśnienia innym swojej misji - dodaje Łukaszewski. - Oto jacy jesteśmy - mówimy. Jeśli to rozumiecie i akceptujecie, to - proszę - możemy współpracować. Podkreślamy też, że nie jesteśmy nastawieni na „szybki, krótki biznes”. Nie obchodzą nas spektakularne sukcesy. Owszem, wiemy, że właśnie nimi żywią się mass media, lecz tak naprawdę w codziennym życiu, zwłaszcza w sferze finansowej, liczą się inne wartości, liczą się z mozołem stawiane „małe kroki”, byle - we właściwym kierunku. Kto wie, czy nie najważniejsze jest zdobycie zaufania partnerów. Mówimy przecież o pieniądzach, które wraz z naszymi partnerami lokujemy w regionie. Określenie misji firmy sprzyja taktemu uwiarygodnianiu się w oczach naszych partnerów, partnerów rzeczywistych i już potwierdzonych w działaniu, ale także tych potencjalnych, którzy na nas jeszcze czekają i na których my także czekamy.

Wilhelm Szewczyk zapisał się w pamięci współczesnych przede wszystkim jako prozaik, krytyk literacki i publicysta. Różnorodność jego zainteresowań intelektualnych sprawiła, że już za życia został uznany za autorytet w zakresie spraw śląskich, germanistyki polskiej, wspólnoty losów polsko-czeskich oraz problematyki łużyckiej. Zapewne tych szczegółowych zagadnień wypadaloby wymienić więcej, albowiem renesansowy charakter autora *Syndromu śląskiego* wybitnie nie pasuje do upraszczających formuł. Dziś nie potrafimy jeszcze w pełni ocenić i docenić zasług redaktora powojennych pism społeczno-kulturalnych na Górnym Śląsku („Odry”, „Przemian”, „Poglądów”), nie mamy miarki, którą należałoby odmierzyć jego wkład w kształtowanie klimatu intelektualnego tej ziemi. Historyk literatury powiedziałby w tym miejscu, że wszystko jest kwestią czasu, oraz że i na takie zbilansowanie przyjdzie odpowiedni moment.

Rzecz w tym jednak, że dzisiejsza pamięć jest wątpliwej jakości, zaś ewentualne pragnienie sprawiedliwości po latach nie zawsze się urzeczywistnia. Osoba Wilhelma Szewczyka jeszcze nie raz będzie prowokować krytyków i badaczy, nie wszyscy zaakceptują jego działania literackie i społeczne w bez mała półwieczu powojennym, nie wszyscy także będą czytać jego utwory, zrazeni ich śląskim (więc, wedle potocznego wyobrażenia, regionalistycznym) odium. Taka jest prawda o naszych czasach: ani gorszych, ani lepszych. Buntować się przeciwko nim — można, a nawet — trzeba. Zwłaszcza, jeżeli czasy te są burzliwe, natomiast ludzie w nich bytujący łatwo zgadzają się na to, by ograniczyć naszą historię duchową tylko do prezentystycznych formuł.

Na tle niezwykle bogatego dorobku prozatorskiego, krytycznoliterackiego i publicystycznego — poezja Wilhelma Szewczyka jest bodaj najmniej znanym fragmentem jego pisarstwa. W świadomości historycznoliterackiej autor *Nocy* funkcjonuje także wybiórczo: głównie jako twórca — napisanego w grudniu 1937 roku — poematu *Hanys*. Wydaje się wszakże, iż jego miejsce w historii polskiej poezji powojennej jest wyższe od tego, jakie mu przydzielono.

Szewczyk przychodził jako autor w czasie, kiedy na Śląsku wysokiej poezji polskiej właściwie nie było. Ostatnie chwile jej względnej świetności zamknął wiek XIX. W latach trzydziestych naszego stulecia jednak — ani Norbert Bonczyk, ani Konstanty Damrot nie stanowili już wzorca li-



O poezji Wilhelma Szewczyka

Między przepaściami

MARIAN KISIEL

rycznego, który można by było podjąć w nowszej twórczości. Nie był takim wzorcem także kształt liryki Jana Nikodema Jaronia, ani też jakkolwiek propozycja wierszowa — bezwzględnie wtórnych — poetów czasu trzech powstań, z których takie nazwiska, jak: Bobelak, Tyc, Zarzycka-Ręgorowiczowa, Imiela, Koraszewski, Ligonowie, Szabatowski czy Świder zapisały się tylko w pamięci historyków literatury. Przez trzy pierwsze dzie-

siatki lat nie pojawił się żaden wielki talent poetycki na Górnym Śląsku, bo przecież nie można do grona autorów tej ziemi zaliczyć Juliana Przybosia, edukującego przez czas jakiś młodzież gimnazjalną w pobliskim Cieszynie. Przychodząc tedy jako poeta, Szewczyk musiał mieć świadomość wielkiej wagi słowa lirycznego. Mógł być pierwszym w tym wieku poetą ze Śląska, który zajmie wyższą pozycję w skali ogólnopolskiej.

Zdzisław Hierowski pisał: w życie literackie wszedł Szewczyk jako poeta regionalny. Regionalny w znaczeniu, że cała jego twórczość trzymała się wyłącznie spraw śląskich. Ale [...] miał to być regionalizm otwarty, tj. regionalizm nawiązujący bezpośredni kontakt z sytuacją panującą w poezji polskiej, z występującymi w niej kierunkami i ideami artystycznymi, a zarazem zmierzający do nadania tematowi regionalnym sensu ogólniejszego, do pozbawienia ich folklorystycznego sztafetu i ujęć ograniczonych do ciasnej lokalnej perspektywy. Realizacja tego programu [...] trwała jednak zbyt krótko, a przy tym nie była wolna od niepewności, znamiennej dla pierwszych kroków w literaturze, wahań, niekonsekwencji, a więc nie mogła przynieść rezultatów pełnych, ostatecznych.

Sąd to, jak się okaże, prawdziwy tylko w części. Zgadzać się z tezą Hierowskiego o „regionalizmie otwartym” poezji Szewczyka, niepodobna zaakceptować innej — że jest to twórczość ograniczona wyłącznie do tematyki śląskiej. Problematyka „małej ojczyzny”, tak wyraźna w dorobku autora *Hanysa*, stanowi bowiem zaledwie jedną z jego części, lecz jakkolwiek bardzo ważnej, to jednak — dodajmy — części równoprawnej, a nie dominującej.

Pora zatem na usunięcie dzisiaj owego, funkcjonującego przez lata, stereotypu krytycznego. Powiemy o tym, opierając się na wierszach mniej przez czytelników znanych, nie sięgając do klasycznych już w historii literatury poematów *Hanys i Noc*. O tych utworach napisano już wystarczająco wiele, by ukształtowała się opinia o poecie jako twórcy regionalnym. Ten problem nie będzie nas tutaj interesował. W szkicu tym będzie mowa o innej twarzy Wilhelma Szewczyka, poza kontekstem spraw śląskich, jako twórcy, którego wiersze powinny stać się przedmiotem nowego namysłu krytycznoliterackiego. Był to poeta o wiele większy niż sądzimy i bardziej skomplikowany niż nam się zdaje.

Na styku poetyk

Poezja Wilhelma Szewczyka rodziła się na styku różnych, niejednokrotnie względem siebie antagonicznych — lecz niezwykle ważnych dla polskiej liryki lat trzydziestych — propozycji estetycznych: późnego awangardyzmu i neoklasycyzmu, autentyzmu i katastrofizmu. Wiersze wczesne Szewczyka stają się tym samym jak gdyby różnostylowe — ich oferta gatunkowa koncentruje się wprawdzie na formach wysokich

(pieśń: *Nowa pieśń o Śląsku*, oda: *Do braci hałdźiarzy*, elegia: *Pogrzeb Korfantego*, poemat epicko-liryczny: *Hanys*), wszelako tonacja emocjonalna, w jakiej są pisane — obok silnie eksponowanej prywatności - społeczne i patriotyczne zaangażowanie), a także rozrzuć tematyki (od erotyków po utwory interwencyjne czy pobudkowe), sprawiają, iż teksty te nie mogą zostać jednoznacznie przypisane do którejkolwiek z wymienionych formuł ówczesnej liryki polskiej — neoawangardowej, neoklasykistycznej, autentystycznej czy katastroficznej. Więcej jest w nich „estetycznego” rozdarcia niż „formalnej” z nimi zgodności.

Łatwiej chyba byłoby zatem przypisać wiersze Wilhelma Szewczyka do którejś z autonomicznych „szkół” międzywojennej poezji niż do jakiegoś kierunku poetyckiego. Lecz i tutaj napotkamy zadziwiające powiązania: na przykład w wierszu *Poczucie górniczej wielkości* dostrzeżemy wyraźne „przemysłowe” obrazowanie Juliana Przybosia i równie dobitną — społeczną — tonację Broniewskiego, natomiast w *Godzinie* frazowanie Tuwima i Gałczyńskiego pospołu. Problematyka małej ojczyzny przeniknięta jest duchem Awangardy, estetyzująca liryka epigramatyczna miesza się z rewolucjonizującą składnią. Gdy przypomnimy jeszcze *Hanysa*, synkretyzm formalny juveniliów Szewczyka objawi się nam w całej okazałości.

Są to jednak wiersze wczesne, można by więc powiedzieć, że tak się dzieje zawsze: debiutant imituje autorów znanych. Rzecz wszakże nie w tym, że młody poeta naśladował poetów starszych, bowiem nawet jeśli tak robił — robił to niezwykle umiejętnie i zacierając ślady. Rzecz w tym, że wczesna twórczość Szewczyka, w równym stopniu zretoryzowana co liryczna, odbija wahaniami całej ówczesnej poezji polskiej u schyłku lat trzydziestych. Wahania wszystkich kręgów i grup twórczych, a nie jakiejś — na szczególnych prawach uprzywilejowanej — orientacji poetyckiej.

Ma zatem twórczość Szewczyka, podobnie jak cała poezja polska ostatnich lat międzywojennych, ambicje społeczne, realizuje założenia „liryki głośnej”, ale także chce zachować prawo do „głosu ściszonego” — głosu osoby, a nie zbiorowości. Radykalizuje się w postulatach lokalnego patriotyzmu, ale także — zachowuje naturalną powściągliwość w sferach oceny zachowań prywatnych. Jest — w liryce głośnej — romantyczna w zgłaszanych postulatach społecznych i poniekąd katastroficzna w odniesieniu do przyszłych losów śląskich, a równocześnie — także w liryce cichej — uczulona na poetykę wizji oraz równania uczuć. Popękana

w wierszu wolnym, zdyscyplinowana w epigramatach.

Autentyzm miesza się u autora *Hanysa* z katastrofizmem, klasycyzm z awangardyzmem, liryka emocji z liryką wizji. Dobrze oddaje ów synkretyzm tonacji i stylu poetyckiego choćby wiersz *Fragment* z roku 1938, w którym prywatność nakłada się na kwestie społeczne, „ślaskość” natomiast traktowana jest w kategoriach egzystencjalnego i eschatologicznego przeznaczenia. Jest to przy tym wiersz zawieszony w jakiejś aurze franciszkanizmu, swoiste *confesio fidei* poety — wyraźnie artykułujące jego stosunek do swojskiego świata, przy czym owa „swojskość” tyleż jest radosna co obdarzona jakimś nostalgicznym smutkiem. Przypomnijmy zresztą ten wiersz: *Smaganie wiatrów nadrannych nie załomocę mi w uszach. / Zaparłem bramy od świtu. Niech ćma bezszelestnie prószy. // Znad syren błędno-płomiennych wypadł dziś trzepot jaskółek / i trwał. Lecz dymy skrzydłaste miękko się z nizin wysnuły... // W mojej samotni rodzinnej, gdzie Śląsk się po niebie wspina, / wygaś mój bunt nienasytany, waśni zniknęła przyczyna. // Bóg z nieba zlął wysokiego. Anioły wyprały suknie. / Zaparłem bramy od świtu, bo szczęście stanęło w oknie. // A Śląsk, ta święta roślina, po niebie chodzi schylonym / i ptaki płoszy i śpiewa, że kiedyś w jedno z nim splełone. //*

Wczesna twórczość nie musi być, oczywiście, niczym reprezentatywnym dla późniejszego dorobku poety. Bywało, że między wierszami młodzieńczymi a dojrzałymi żadnego powiązania nie znajdowano, co więcej — wiersze dojrzałe odsuwały w niebyt te wczesne. U Szewczyka, jak mi się zdaje, jest inaczej. To poeta niezwykle konsekwentny w swoim synkretyzmie stylowym. To, ku czemu kierował swoje oko w młodości — do tego powracał w wieku dojrzałym. Objawi się jako autentysta w wierszach o Śląsku, jako klasycysta w świetnym, pisanym w czasie wojny, cyklu *Pasje strasburskie* i wierszach z tomu *Zima boi się drzew*, tonacja awangardowa ujawni się w konsekwentnej metaforyce i obrazowaniu. Zniknie tonacja katastroficzna (obecna jeszcze w niektórych wierszach wojennych), zachowa się pasja społeczna (lecz już będzie przywoływana sporadycznie).

Siła metafory

Siłą poezji Wilhelma Szewczyka od samego początku był jej metaforyzm. Początkowo miał on zakorzenienie w poezji Przybosia, jakkolwiek w omawianej poezji nie jest on już przejmowany wprost, lecz w dalekim

pogłosie. Choćby tutaj — w wierszu *Poczucie górniczej wielkości*: „syrena się ptakiem poderwie pod błękit”. Czy tutaj — w *Nowej pieśni o Śląsku*: „Gdzieś pod wieczór nagle rozbudzą się syreny, / niebo hałdami spłynię na drogę”. Albo tutaj — w wierszu *Chwila dalekosiężnych spojrzeń i modlitwa*: „Zastygł czas, który mnie chciał porwać. — Zamilkły szumy, wywiane z czubów drzew, / [...] mgła wyrastała przede mną jak parujący kolos. — [...] Słońce wtedy gorało jak pękająca słoma — wysoko”.

To eksplozywna metaforyka Przybosa raczej z tomów *Sponad i W głąb las niż z Oburącz*. Później ów metaforyzm awangardowy ulegnie w poezji Szewczyka daleko idącej redukcji, rządzić nim będzie nie zasada kontrastów czy oksymoronów, lecz — koincydencji obrazu z rzeczą. Ale i w takich utworach odnajdziemy bez trudu fascynację Przybosiem. Na przykład — w wierszu *Rano*: „Upał zwisa, nad łąką woń snuje się pszczeła; / w hałdach wędnie powietrze i jak nać jesienna / uschnięte i szcerniałe w piersiach się spopiela, / że dymem suchym trzeszcza / dygocą zimno”. Albo w *Niedzieli*: „Rowerzyści rozwinęli taśmę białej szosy daleko gdzieś... // słowa lecą czerwone, zielone i modre, / na łodydze asfaltu kołysze się wieś”.

Powtórzmy: tu i tam jest to ten sam metaforyzm w awangardowym, krakowskim wydaniu. Realizm sytuacyjny musi mieć w sobie jakąś dozę niecodzienności, by zainteresować czytelnika; precyzja środków wyrazu nie może gubić się w nadmiernej ilości słów; wartością wiersza jest jego siła obrazowa, a nie retoryczne pomnażanie napięcia emocjonalnego. Znajdziemy to i u awangardystów, i u Szewczyka. Można więc zasadnie powiedzieć, iż system obrazowy autora *Posągów* ma w sobie coś z ducha Awangardy, jakkolwiek to nie Awangarda określiła główny temat tej liryki.

Egzystencja i metafizyka

Wypadnie zgodzić się z Bolesławem Luboszem, gdy powiada (nieco schematyzując drogę twórczą Wilhelma Szewczyka), iż jest to poeta rozpięty między dwoma żywiołami: śląskością oraz — wolną od wszelkich uwikłań zewnętrznych — prywatnością. Tu jednak drobna korektura: autor *Nocy* wierszy o tonacji prywatnej nie zaczyna pisać — jak sugeruje Lubosz — dopiero w latach pięćdziesiątych. Owa egzystencjalna tkanka jego poezji widoczna jest już w cyklu podwojonych kwadryń, pisanych w latach trzydziestych, by przypomnieć tylko takie wiersze, jak: *Co*

dalej, Paproć, Confetti czy *Godzina*. Dalej jednak zgoda: rzeczywiście lata czterdzieste i pięćdziesiąte przyniosą głębszą refleksję Szewczyka nad kondycją ludzką w ogóle.

Refleksyjność tej poezji wyrasta w dużej mierze z intensywnie przeżywanego kontaktu z naturą. Nie tylko „śląską”, ale w ogóle z naturą, ujmowaną również w perspektywie sztuki. Słusznie napisał Bolesław Lubosz: Wiersze zawarte w tomie „*Zima boi się drzew*” napisał Szewczyk przede wszystkim dla siebie, pragnąc ocalić swoją prywatność. Widocznie ciążyło mu już nawet śląskie „wieszczanie”. Postanowił odpocząć od problemów rodzinnej ziemi, od wszelkich postulatów i dławiących człowieka problemów. Ojczyste hałdy zastąpione zostały górskimi szczytami a familoki zagranicznymi pinakotekami i domami wielkich autorów. — Człowiek zmienia skórę — powie i zanurzy się w urodziwych krajobrazach. Wychyli się z niego Hiddensee z morską jesienią; zafunduje mu swoistą przystań W. H. Auden. Natomiast on z kolei — niczym urwis — podroczy się z Angelusem Silesiusem, wypnie się na van Dycka i spojrz koso na Rubensa.

Tak odkryje Wilhelm Szewczyk nową wartość liryki — metafizyczną. Prywatność zespolona z intensywnym przeżywaniem krajobrazów natury i refleksja nad egzystencją dzieł sztuki — sprawią, że poeta, utożsamiany przez krytyków zasadniczo z tematem śląskim, zaskoczy wszystkich. Wiele będzie w jego nowych wierszach swoistego humoru z siebie i z wszystkich innych, którzy w akcie pisarskim starali się zawrzeć jakiś ładunek intelektualnego opanowania świata. I będzie także przyznanie się do prawdy najpierwszej: tylko to, co nas bezpośrednio dotyka jest życiem prawdziwym. W wierszu *Pochwała zmyśłów*, wyjętym niemalże z filozofii Arystotelesa, poeta tak konkludował: „nie gniewajcie się panowie / nie dąsaj się maszyny świata / macie kolory a nie można ich dotknąć / macie sprząty a nie można ich ugryźć / macie flety a nie można ich sądzić / jakże można wam ufać i wierzyć // co widzimy to jest / dlatego żyjemy”.

Metafizyka poezji autora *Posągów* jest ziemską, nie transcendentną (za wyjątkiem chyba kilku wierszy wojennych: folkloryzującej *Pastoralki maluczki*, estetyzujących *Pasji strasburskich*, patriotycznej *Modlitwy*). W trwale skowanej przez eschatologię ziemskości również można odnaleźć *sacrum*. Objawia się ono w znakach pamięci (*Ze szkicownika górskiego*), intymnym geście (*Czy kochałem, W muszli*), wspólnocie ludzkiej (*Z W.H. Audena*). *Sacrum*

zawsze jest intymne, nie daje się łatwo przełożyć na literaturę (najpewniej też taki „przekład” jest czymś zbędnym), dlatego w metafizycznych wierszach Szewczyka jawnej teofanii nie ma. Ale nie ma również profanum, bowiem to, co ziemskie jest — z definicji — jedyną rzeczywistością człowieka. Ziemską metafizykę można postrzegać animalistycznie (jak w wielkiej urody *Robaku*), karnawałowo (jak w wierszach *Toast*, *Chyba nie głód czy Nieustraszona rozmowa z samym sobą*), bądź też intelektualnie (jak w konfesyjnym liryku *Co jest najgorsze*); każdorazowo jednak z pozycji „stania między przepaściami”, z perspektywy życia skazanego na nieuchronny koniec.

Metafizyka lub — jak kto woli — egzystencja świadoma własnej eschatologii, stanie się bodaj najważniejszym tematem poezji Wilhelma Szewczyka. Odnaleźć ją będzie można również w wierszach o małej ojczyźnie, Śląsku, bowiem los człowieka trwale jest zespolony z miejscem serdecznym, krajobrazem prywatności, a doświadczenie obcości, wykorzenia, utraty czy braku — jest najbardziej dojmującym doznaniem jego ziemskiej egzystencji.

Tristis est anima mea

Czytając po latach wiersze Wilhelma Szewczyka, łatwo poddać się ich brzmieniom. Ale to smutna liryka, nawet w jej licznych formach karnawałowych. „Słowo, kształt zapomnienia”, „wiersz, dźwięk rozpaczny” — napisze poeta w elegii *Ze szkicownika górskiego*. I doda: „Teraz już tylko pamięć, ekstrakt odwagi”. To, co jest smutkiem życia powinno zatem znaleźć swoją przeciwwagę w pamięci poezji. Dlatego w tej, intymnej przecież choć z ducha Przybosa zrodzonej, elegii przeczytamy wezwanie:

*Ponad doliną przenieś pamięć
by sama stała się lotem,*

*by sama była śmiechem szyderczym
z minionych zdarzeń.*

*Chwalcie miłość, dmijcie w trąby,
w smutne trąby niepamięci.*

Zapewne — poezja nie znaczy wiele w historii świata; niewątpliwie — nie potrafi przeszkodzić szybkiemu umieraniu; może jednak swym głosem ocalać to, co kruche. Być znakiem człowieka „między przepaściami”. Widowym znakiem, że się było, czuło, kochało, cierpiało, śmiało.

W późnych wierszach Wilhelma Szewczyka właśnie ta świadomość, ów „ekstrakt odwagi”, dominuje.

nie o to chodzi

poezji należy się wyuczyć
 najlepiej żeby text był napisany
 na maszynie
 albo wydrukowany
 prostą czcionką — to ważne

bo wtedy przemawia wyraźniej
 mocną kompozycją zwartych słów
 uszeregowanych
 i grzecznych

i musi być krótki bo długie wiersze
 zniechęcają do czytania
 a kto ma czas
 na czytanie?

i koniecznie powtarzam koniecznie
 musi być łatwy i prosty
 w odbiorze

więc nie powinien go pisać poeta
 bo poeta sam nie wie
 co chce powiedzieć

ale za to tak jak poeta
 poezja powinna umierać
 albo popełniać samobójstwo

a jeśli czytać poezję
 to tylko w opracowaniach
 bo krytycy wiedzą
 o co chodzi w poezji

ja poeta

zimobury korytarz komuś znowu
 trzeba dać w mordę żeby przejść
 i zdążyć na czas na zupę i na kartofle
 i zachować odrobinę drobnych

parę groszy
 na paczkę caro lub lampkę białego wina
 żeby wszystko grało i wszystko znów
 mogło się majgać urabiać w rudosinej glinie
 swoje cierpienie częstujące na sztuki
 iskrami myśli jak resztką klubowych
 bądź co gorsza sportami bez filtra
 ja jednak mam w sobie coś z artysty
 bo ostatecznie dziedziczę nos rozkwaszony
 i znowu muszę obgryzać paznokcie
 wymagać litości i niby niechcący
 częstować ból trucizną cudzesów
 i pić za nieswoje

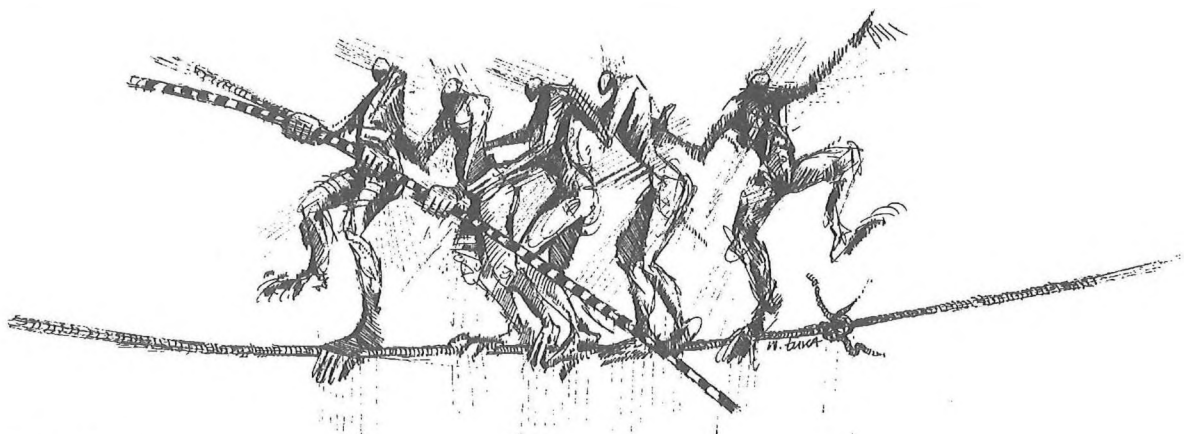
autoportret

Prości ludzie mają rozczochrane włosy
 Chodzą po ulicach Ze spuszczoną głową
 wiedzą wiele za mało żeby wiedzieć dużo
 o wiele za dużo żeby wiedzieć mało

Prości ludzie deformują swoje ciało
 Noszą cudze garby Udają poetów
 żeby się nie nudzić Piją alkohole
 i pisują wiersze czasami dla zdrowia

Prości ludzie na jarmarkach sprzedają
 talenty
 Czasami oddają je za bezcen żeby się nie
 nudzić
 piją alkohole lub robią poezję

Prości ludzie mają pogmatwane myśli
 Ale znaczą proste szlaki Chwiejnym
 krokiem
 przez życie umierają na zakrętach



Rys. Wojtek Łuka

Codziennie prawdziwy

Codziennie budzi go pęk
promyków albo też
krople tżawej chmury.

Przeciera oczy. Dochodzi ósma!

Wstaje szybciotko
zjada śniadanie
albo też kaptcie
założy tylko.

Biegnie do pracy lekko
spóźniony biurka dopada.
I siada.
I zwraca w białą kartkę
myśli. I pisze wiersze
do szesnastej.

Prawdziwy Czesław Poeta Miłosz
Artysta — Nobel — Zawodowiec.

Wieczory

Nastala cisza.
Ostateczność. Potulnie milczę.
Zapada zmrok. Pustka
i wszechświat; chwila
i wieczność; świetlana
ciemność. Zamykam
oczy. Wkoło mrok.
I naraz wszystko
czuję, słyszę,
widzę, dotykam
oraz wiem. Istnieję w sobie
i wokół siebie. Nareszcie. W końcu.
Nastal sen.

★ ★ ★

Kto to nie ja tak
może to ale
nie jestem tak
tym to nie
ja kto może
jest a może nie
ja tak tak tak
i nie nie nie.



Rys. Wojtek Łuka

Próba nowego

Więc co by tu
napisać raz
dwa trzy
próba długopisu
jeszcze zerknięcie
w lustro
wsteczne a
potem w niebo
bezsukutecznie
herbata stygnie rozmyślanie
potem czekanie wzrok
na ścianie później za
oknem na końcu wszędzie
cisza i mrok nic już
nie będzie.

★ ★ ★

Piszę
kolejny myślę że
wiersz to nie jest
bardzo zły
sposób spędzania życia
z powiek natrętnego
szumu istnienia
nie widać stąd jak
dotąd stamtąd
nic.

Niedawno miałem okazję zobaczyć jak w Republice Federalnej Niemiec zorganizowana jest sieć instytucji, fundacji, stowarzyszeń, wydawnictw i muzeów, wspierających pamięć o Górnym Śląsku i dbających o — co oczywiste — przede wszystkim niemiecką spuściznę kulturową tego regionu. Aby całą tę strukturę przeniknąć i poznać, trzeba by zapewne wielotygodniowych studiów i podróży. Mnie musiało wystarczyć 10 dni. Ale był to wystarczający okres, by wyrobić sobie ogólną opinię na ten temat i by docenić rozmach i energię, z jaką Niemcy kultywują swą przeszłość.

Przed rokiem 1989 działalność niemieckich instytucji tego typu ocenialiśmy niemal wyłącznie przez pryzmat polityki i oficjalnej propagandy. Widzieliśmy w niej przejaw rewizjonizmu i rewanżyzmu, a słów tych — co warto podkreślić — używano także w niemieckich, głównie lewicowych mediach, które wyłuskiwały z działań, przede wszystkim ziomkostw śląskich (Landmannschaft Schlesien), treści godzące w polsko-niemieckie porozumienia, zwłaszcza te odnoszące się do ostatecznego kształtu granicy na Odrze i Nysie. Tylko nieliczni z nas chcieli, potrafiliby i mogli przebić się przez tę polityczną otoczkę, spowijającą działalność górnośląskich zrzeszeń i instytucji kulturalnych czy naukowych, od zarania legalnie funkcjonujących w RFN i korzystających z obfitych dotacji rządów: landowych i federalnego. Blokada ta miała przede wszystkim formalny charakter i omijała ją tylko nieliczni profesjonalni germaniści czy historycy, którym komunistyczne władze zezwalały na to, choć w bardzo ograniczonym i wyselekcjonowanym zakresie. Tamy zresztą stawiali także sami Niemcy.

Ten brak kontaktów skutkuje do dzisiaj, o czym wielokrotnie w Niemczech przekonałem się na własnej skórze. Niegdyśjsze blokady miały bowiem również podłoże psychologiczne. Dzisiaj, kiedy nie tylko granice państwowe są otwarte, nadal trzeba wielkiego wysiłku, by od razu na wstępie, zanim podejmie się jakąkolwiek próbę dialogu, rozbijać mury nieufności. To nie jest łatwe. Przyznam, że również dla mnie, tym bardziej ze swą podróż rozpocząłem od uczestnictwa w tradycyjnym ogólnoniemieckim zjeździe dolno- i górnośląskich ziomków (Deutschandtreffen der Schlesier), który odbył się w lipcu w Norymberdze, zaś pierwszą „oficjalną osobą”, z którą dane mi było się zetknąć, był Herbert Hupka. Nie trzeba chyba przypominać, że tym nazwiskiem skutecznie straszono dwa pokolenia Polaków. Mnie również...

Te mentalnościowe i dziedziczone z przeszłości zahamowania nie omijają nikogo. Oczywiście, także Niemców. Im jednak — chciałoby się zaryzykować tezę — łatwiej teraz przychodzi zrywać ze stereotypami we wzajemnym postrzeganiu się obu na-

ścieżki i rozdroża

Cień Hupki

rodów, a przynajmniej stwarzać takie pozory. Dlaczego? W moim przekonaniu dwa czynniki o tym decydują. Pierwszy i najważniejszy zawiera się w liczącej już kilka dziesięcioleci tradycji i praktyce państwa prawa, państwa w pełni demokratycznego, respektującego potrzeby różnych grup społecznych. Ci Niemcy zatem, którzy w ten czy inny sposób angażują się na rzecz Górnego Śląska, przywykli do tego, że wolno im to robić, gdyż swoją pracą i wysiłkiem pielęgnują tradycje swoje i swych przodków, a tego państwo zabronić im nie może. Ba, ma obowiązek ich w tym wspierać, co zostało nawet zapisane w konstytucji niemieckiej. Takie przekonanie ułatwia dziś kontakty z „obcymi”. Wielu Niemców, zwłaszcza tych z młodszych generacji, nie potrafiloby już nawet pojąć, a co dopiero zaakceptować, by jakkolwiek siła wewnętrzna czy zewnętrzna mogła blokować dostęp do wartości kulturowych, stanowiących o tożsamości pojedynczego człowieka. Pamiętajmy przy tym, że Republika Federalna Niemiec jest dziś krajem wybitnie wieloetnicznym i w takiej na przykład Północnej Nadrenii-Westfalii są miasta i miasteczka, w których mieszkają przybysze dosłownie z wszystkich zakątków świata i nierzadko stanowią większość. Różnorodność kulturowa jest więc w Niemczech końca XX wieku normą tak powszechną i — również prawnie — zagwarantowaną, że tym bardziej musi obejmować prawa ziomków śląskich. Poza tym dawny niemiecki wschód to gigantyczny obszar ogólnoniemieckiej kultury, bez którego także dzisiejsza tożsamość niemiecka nie mogłaby po prostu istnieć. Takiej wyrwy niepo-

dobna nawet sobie wyobrazić. To tak jakbyśmy my, Polacy, chcieli ze swojej przeszłości i tożsamości wyrzucić całe dziedzictwo Kresów Wschodnich.

No, i jeszcze czynnik drugi, niejako wspomagający pierwszy i znacząco ułatwiający nawiązywanie nowego typu kontaktów między Polską a Niemcami, a także niejako wewnątrz „górnos Śląskich spraw”. To czynnik finansowy. Niemcy — mówiąc wprost — to kraj bogaty, który nie zamierza oszczędzać na kulturze. Mając zaś pieniądze, nie tylko można skutecznie wspomagać własne badania naukowe, działalność popularyzatorsko-wydawniczą czy muzealno-wystawienniczą, ale również łatwiej przychodzi wyciągać dłoń do współpracy i porozumienia. Tak, budowanie przyjaznych stosunków kosztuje. I to sporo. Ale Niemców to nie zraża. Oni zdają się doskonale wiedzieć, że na takim otwarciu mogą tylko skorzystać. Ich własne — tak je ogólnie nazwijmy — fundacje, stowarzyszenia i instytucje śląskie, zamknięte dla Polaków czy Czechów, musiałyby się prędzej czy później przerodzić w rodzaj anachronicznych skansenów, martwych a ponadto zagrożonych jednokierunkową perspektywą widzenia, nie tolerowaną we współczesnej, jednoczącej się Europie.

Ta choroba i tak już od dawna toczy te instytucje, cóż z tego, że świetnie na ogół zorganizowane i mogące pochwalić się znakomitą dorobkiem, skoro siłą rzeczy przez dziesiątki lat były one oderwane od „żywej” śląskiej gleby. Wolno więc dosadnie odpowiedzieć, że Niemcy nie uratują swego dziedzictwa kulturowego i nie uchronią go przed zamieraniem bez pomocy Polaków. Także Czechów. Wielu Niemców uświadomiło sobie tę trudną prawdę i przekuwa ją teraz w czyn, więc niech nas nie dziwi, że to niemiecka strona jest w tych akurat kontaktach bardziej polskiej aktywna. I to nie tylko dlatego, że ją na to — finansowo — stać. W wielu tych instytucjach, z których większość jest zdecydowanie apolityczna, wygrywa przekonanie, że trzeba teraz odrobić stracony czas, wykorzystać absolutnie nowe możliwości i szanse.

Mam świadomość, że tak skonstruowana przeze mnie diagnoza, tłumacząca racje i cele niemieckich Górnoślązaków, a ściślej: ich intelektualnych elit, wcale nie uspokoi tych Polaków, którzy podejrzewają wszystkich Niemców o ekspansjonizm i chęć powtórnego, tym razem zawaolowanego zaanektowania Śląska. Lekarstwa na to nie ma. Wiem jedno: kultura, i to ta w najszerszym tego słowa pojęciu, wcale nie musi, ba, nawet nie powinna być obszarem rywalizacji i swoistej licytacji narodowych racji. Wielu Polaków przyzwyczajonych jest do innego myślenia, a i wielu Niemców zastęgló w tej „antagonistycznej pozie”.

KRZYSZTOF KARWAT

Jeśli nie liczyć nazwiska, a raczej pseudonimu artystycznego, Aleksandra Śląska nigdy nie podkreślała specjalnie swej śląskości. Dlatego mało kto wie, że ta wybitna aktorka filmowa i teatralna była katowiczanką, a w dodatku pochodziła z rodziny zapisanej na kartach dziejów górnośląskich w przełomowym okresie powstańców i plebiscytowym.

Jakiś czas temu z inicjatywą przypomnienia Aleksandry Śląskiej wystąpił zmarły niedawno Edward Poloczek, prezes Górnośląskiej Partii Regionalnej i pasjonat katowickiej tradycji, lecz nie zdążył doprowadzić sprawy do końca. Niedługo przed śmiercią powiedział mi, że chciałby, żeby na domu rodzinnym aktorki odsłonięto tablicę z jej popiersiem. Żalił się także, że ma trudności z przekonaniem kogo trzeba, że Śląska na taką tablicę zasługuje, a ja mu obiecałem, iż napiszę o jej artystycznej karierze i górnośląskim pochodzeniu, co niżej czynię.

Z przekonaniem mogę najpierw oświadczyć, że Aleksandra Śląska należała do najwybitniejszych aktorek teatralnych i filmowych w okresie powojennym. Zgodni są w tej opinii zarówno historycy powojennego teatru, jak i historycy i krytycy filmowi. Można tylko się spierać, czy więcej osiągnęła na deskach scenicznych czy też na ekranie. Zacznijmy jednak od teatru, bo z nim Śląska związana była silniejszymi więzami.

Zadebiutowała w końcu lat czterdziestych na deskach Teatru Słowackiego w Krakowie, gdzie ukończyła również studia teatralne. Jednak szybko przeniosła się do Warszawy, gdzie związała się najpierw z Teatrem Współczesnym, a potem z Ateneum kierowanym przez jej męża Janusza Warmińskiego. Z tymi scenami związane są jej najwybitniejsze kreacje, jak choćby Ruth z „Niemców” czy Inga z „Pierwszego dnia wolności” Leona Kruczkowskiego. Potrafiła wcielać się w kobiety z pozoru chłodne i powściągliwe, lecz spalane w głębi duszy przez gwałtowne namiętności, jak w adaptacjach Ibsena i Strindberga. Sporo grała w sztukach autorów skandynawskich, co związane było także z jej urodą w typie nordyckim.

Jej kariera filmowa rozpoczęła się w „Ostatnim etapie” Wandy Jakubowskiej w 1948 roku niezwykłą rolą esesmanki z Oświęcimia, co na pewien czas zdeterminowało jej dalszą drogę artystyczną. Młodziutka aktorka potrafiła stworzyć kreację wybitną, najlepszą w tym klasycznym filmie, tworząc ją ze sprzeczności między okrucieństwem i wrażliwością bohaterki, między siłą i delikatnością. Dzięki tej kreacji powierzano jej później tak chętne role Niemek, a po latach Andrzej Munk powierzył jej rolę byłej esesmanki Lizy w „Pasażerze”, która to kreacja należy do najlepszych w jej filmowej karierze. W obu filmach oświęcimskich Śląska budowa-

wędrowki po kinie Katowiczanka

ła bohaterki w pewien sposób tragiczne, niespełnione w swojej kobiecości, a przez to prawdziwe. Z pewnością można w niej widzieć wielką aktorkę tragiczną.

W sumie zagrała w 20 filmach fabularnych i 2 serialach telewizyjnych. Do najlepszych zaliczane są także kreacje Konstancji Gładkowskiej w „Młodości Chopina” Aleksandra Forda, młodej wdowy w telewizyjnej „Czarnej sukni” Janusza Majewskiego i wreszcie obie kreacje serialowe, najpierw hrabiny Marii Potockiej w „Wielkiej miłości Balzaca” Wojciecha Solarza i szczególnie królowej Bony w serialu Janusza Majewskiego, gdzie Śląska — niejako na zakończenie kariery filmowej — przeszła wręcz samą siebie. Do tego dodajmy zdubbingowanie Glendy Jackson w wyświetlanym w polskiej telewizji brytyjskim serialu „Elżbieta, królowa Anglii”. Z biegiem czasu Śląska potrafiła, jak chyba żadna inna polska aktorka, grywać arystokratki i królowe, kobiety władcze i wzniośle. Nie tylko w kinie, także w teatrze i w telewizji.

Jednak zanim została wielką aktorką tragiczną, Aleksandra Śląska urodziła się w Katowicach (4 listopada 1925 roku), tutaj spędziła lata dzieciństwa i młodości, i tutaj przeżywała pierwsze teatralne fascynacje. Zaczęło się to jeszcze w latach gimnazjalnych, w końcu lat trzydziestych, gdy recytowała wiersze na imprezach literackich. „To był właściwie pierwszy silny impuls — opowiadała po latach w jednym z wywiadów — i pierwsza poważniejsza myśl o pracy aktorskiej. Chodziłam w tym czasie bardzo czę-

sto do teatru z rodzicami lub na przedstawienia szkolne”. W tamtych latach Aleksandra Śląska nie nazywała się jeszcze „Śląską”, lecz była Aleksandrą Wąsikówną. Artystyczny pseudonim przybrała na studiach teatralnych w Krakowie i słusznie, bo głupio byłoby młodziutkiej aktorce występować na afiszu z Wąsikiem.

Nazwisko to ma wszakże znaczenie, skoro Aleksandra Wąsik była córką Edmunda Wąsika (1883-1946), działacza plebiscytowego, doradcy Wojciecha Korfantego, a w latach trzydziestych posła do Sejmu Rzeczypospolitej. Jego droga życiowa związana była z kolejnictwem. W latach 1908-1921 Edmund Wąsik był naczelnikiem stacji kolejowej w Gliwicach, a w roku 1918 organizatorem Związku Kolarzy Polskich, w czasie trzeciego powstania szefem referatu kolejowego przy Naczelnej Władzy na Górnym Śląsku. Dzięki temu zajmował potem wysokie stanowiska w dyrekcji PKP w Katowicach i prezesował Związkowi Zawodowemu Kolarzy na Górnym Śląsku. Należał do osobistości znanych i wpływowych, co oczywiście miało znaczenie także dla jego córki, która zostanie aktorką.

Z nieocenionej książki „Czy wiesz, kto to jest?” Stanisława Łozy można się jeszcze dowiedzieć, że Edmund Wąsik żonaty był z Heleną z Masłowskich Jewasińską, a mieszkał w Katowicach przy ul. Poniatowskiego 34, to znaczy w potężnej kamienicy na rogu Poniatowskiego i Kościuszki. Właśnie na tej kamienicy Edward Poloczek zamierzał wmurować tablicę pamiątkową z popiersiem z „Królowej Bony”, która to kreacja uchodzi słusznie za najwybitniejszą w dorobku filmowym aktorki.

Niewiele więcej udało mi się zebrać informacji o tych najwcześniejszych latach późniejszej Aleksandry Śląskiej. W każdym razie wychowała się w rodzinie górnośląskiej, lecz o zdecydowanej polskości, no i zamieszkałej. Lata okupacji spędziła na Górnym Śląsku i w Austrii. Niedługo po wojnie Ola Wąsikówna wyfrunęła do Krakowa, by stać się Aleksandrą Śląską, a do Katowic powracać sporadycznie. Ale to już inna historia...

Dziwnym zrządzeniem losu przy tej samej ulicy Poniatowskiego spędził lata dzieciństwa i młodości Bogumił Kobiela. To oczywiste, że inicjatywę Edwarda Poloczka warto dokończyć i wmurować tablicę na domu, gdzie urodziła się Aleksandra Śląska. Ale myślę, że w tym samym dniu, na tej samej ulicy Poniatowskiego, warto byłoby odsłonić także tablicę na domu, w którym urodził się Kobiela. W końcu nie ma chyba drugiej takiej ulicy w Polsce, z której wyszło aż dwoje tak wybitnych aktorów. Z pewnością czeka ją legenda.

Czytanie muzycznych emocji

z ANDRZEJEM JASIŃSKIM
rozmawia
IWONA SZAFRAŃSKA

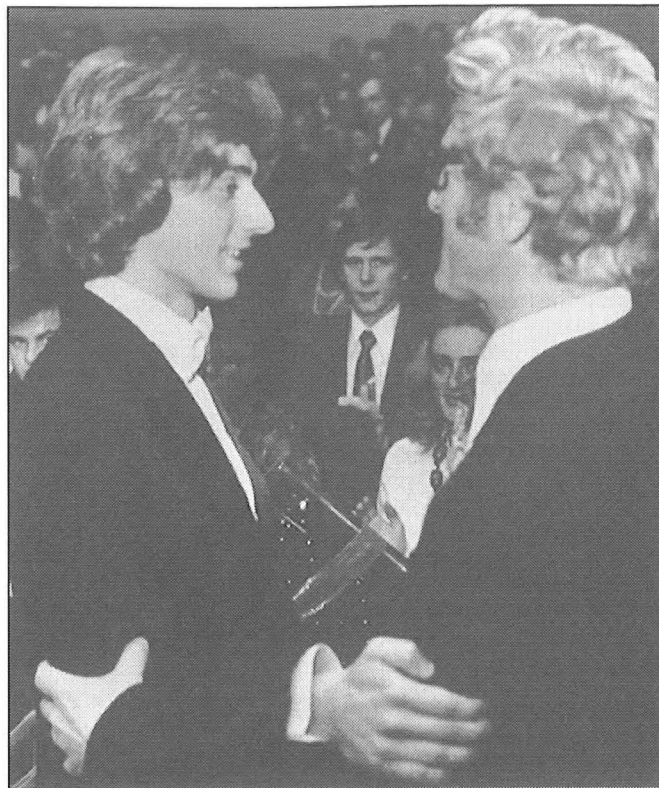


Foto: ARC

Andrzej Jasiński składa gratulacje Krystianowi Zimermanowi w chwilę po otrzymaniu dyplomu w Akademii Muzycznej w Katowicach

— Jest Pan pianistą, pedagogiem i jurorem polskich i zagranicznych konkursów pianistycznych... Wykształcił Pan wielu znakomitych muzyków, ale i sam ma Pan sporo doświadczeń koncertowych na swym koncie. Kiedy Pan — pianista zdecydował, że zostanie pedagogiem?

— Dosyć wcześnie, bo już pod koniec studiów. Gra na fortepianie nie sprawiała mi większych trudności. Miałem bardzo dobry słuch, wrodzone zdolności manualne, sprawne myślenie... ale tak naprawdę brakowało mi pewnych cech osobowości wirtuoza, które dopingują do maksymalnego wysiłku i wyzwalają pragnienie sukcesu. Na estradzie raziłem sobie bardzo dobrze, choć grałem czasem nerwowo, a nie mogąc sprostać stawianym sobie wysokim wymaganiom, nawet po dobrych wykonaniach odczuwałem niedosyt. W klasie natomiast chętnie muzykowałem wspólnie z kolegami pianistami i innymi instrumentalistami, obserwowałem lekcje prowadzone przez moją profesorkę. Odczuwałem dużą radość, przyjemność mogąc dzielić się z innymi moimi spostrzeżeniami, dotyczącymi np. sposobów ćwiczenia. Moja profesorka, Władysława Markiewicz, była dobrym psychologiem. Pewnego razu zaskoczyła mnie stwierdzeniem „... masz predyspozycje pedagogiczne, musisz zostać bardzo dobrym pedagogiem... kto wie, może kiedyś będziesz uczył w Warszawie...” Po studiach zaproponowała mi asystenturę. Kiedyś zadzwoniła do mnie z propozycją przyjęcia na lekcje małego, zdolnego chłopczyka. Bronilem się przed tym bardzo, bo nigdy wcześniej dzieci nie uczyłem. Zapewniała mnie, że dziecko jest wyjątkowe... Tym chłopcem był Krystian Zimerman, z którym pracowałem do końca jego studiów. Uczyliśmy się obaj...

— Sporo Pan jednak przedtem koncertował. Zdobył Pan nawet I nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym w Barcelonie.

— Wygrany konkurs w Barcelonie to cała historia. Najpierw przygotowywałem się do Konkursu Chopinowskiego. Nie przeszedłem jednak eliminacji. Wtedy tylko sześć osób mogło reprezentować polską ekipę, a ja mia-

łem być tym trzecim ze Śląska. Przyjąłem tę porażkę co prawda spokojnie, jednak moja profesorka, chcąc mnie zdopingować do dalszej pracy, zaproponowała mi udział w konkursie w Barcelonie. Na przygotowanie do eliminacji zostały mi jedynie trzy, cztery tygodnie. Do opanowania miałem trudny repertuar m.in. Sonatę Liszta, Koncert Brahmsa, utwory hiszpańskie, których wcześniej w ogóle nie grałem. Po dwóch tygodniach zniechęciłem się, poszedłem do Pani profesor i powiedziałem, że nie dam rady, że utworów hiszpańskich jeszcze nie umiem na pamięć, a do eliminacji został tylko tydzień... Oświadczyłem, że nie chcę się kompromitować i rezygnuję... wyjeżdżam za dwa dni w góry na narty... Wtedy to profesorka niby godząc się z moją decyzją zaproponowała, abym do momentu wyjazdu jeszcze trochę poćwiczył i sprawdził, ile w ciągu tych dwu dni jestem w stanie nauczyć się. Wyzwoliła we mnie taką ambicję, że po dwóch dniach zmieniłem zdanie i trasę wyjazdu. Pojechałem na eliminacje do Warszawy... sławni pedagodzy wydali opinię, że „z taką Sonatą Liszta, może śmiało prezentować się w Europie...” Pojechałem więc na Konkurs... no i przywiozłem I nagrodę...

— W jakim repertuarze czuje się Pan najlepiej?

— W repertuarze klasycznym. Moim ulubionym kompozytorem jest Mozart. Jego utwory są szalenie przejrzyste... z jednej strony proste, a z drugiej wykintne i finezyjne. Przy pomocy tak prostych środków wyrazić tak wiele. Wbrew pozorom utwory te wymagają od wykonawcy oprócz zegarmistrzowskiej precyzji, dużej dojrzałości i artystycznego temperamentu. A temperament, to nie granie szybko i głośno. To rodzaj pobudzenia psychicznego, wyzwolenie fantazji i wyobraźni, umiejętne przechodzenie z jednego stanu emocjonalnego w drugi...

— A muzyka współczesna?

— Grałem jej dość dużo. Byłem jednym z pierwszych wykonawców Sonaty Grażyny Bacewiczówny. Miałem nawet okazję i przyjemność grać ten utwór w jej obecności dwa razy. Najpierw w Katowicach, a później na

zyczenie kompozytorki w Warszawie. Na festiwalu we Wrocławiu grałem Małą Symfonię na fortepian, smyczki i perkusję Romualda Twardowskiego. Było to prawykonanie tego utworu. W trakcie Warszawskiej Jesieni i Poznańskiej Wiosny wykonywałem Koncert Szeligowskiego. Do swojego repertuaru włączałem także utwory Malawskiego, Serockiego... Mówiąc jednak szczerze, lepiej czuję muzykę klasyczną i romantyczną... większą czerpię z niej satysfakcję.

— Kto Pana zdaniem jest pianistą najlepszym? Czy ma Pan jakiś swój ideał?

— Nie ma jednego idealnego pianisty, tak samo jak nie ma „idealnego” wykonania. Jest kilku pianistów, którzy mnie fascynują. Wielkim jest dla mnie Artur Schnabel. Grał zawsze prosto, bez ekstrawagancji, bez upiększania... Jednak każdy jego dźwięk, każdy akord przez niego postawiony funkcjonował jako skończony świat, zawierający w sobie wszystkie parametry przeżycia ludzkiego. Innym wielkim pianistą był Paderewski. Czytałem nawet kiedyś taką relację Tadeusza Szeligowskiego z koncertu Paderewskiego. Szeligowski siedział w pierwszym rzędzie i zauważał masę niedokładności w jego grze — nieczystości, niespójność lewej ręki z prawą... W pewnym momencie Paderewski spojrział na Szeligowskiego z wyrzutem, tak jakby wyczuł, że ktoś mu przeszkadza. Szeligowski poczuł się zmieszany. W drugiej części koncertu nie analizował już gry Paderewskiego, wtopił się w dźwiękową otchłań, został oczarowany i przeniesiony w inny wymiar czasu. Po koncercie entuzjastycznie krzyczał z zachwytem z innymi słuchaczami i obsypywał wykonawcę garściami owacji. Ten przykład daje mi wiele do myślenia na temat więzi pomiędzy słuchaczem a wykonawcą. To nie jest tylko przekazywanie dźwięków. Jest to przekazywanie poprzez dźwięki i między dźwiękami czegoś więcej. Podziwiam także pierwszą damę pianistyki na świecie Marthe Argerich, cenię mądrą grę niezwykłą już Jorge'a Boleta, zaangażowaną Sokołową, czy idealnego Perahie. No i... Krystian Zimerman — jest mi szczególnie bliski jako artysta i jako człowiek. Jego wy-

1. Jacek Podsiadło pisze dużo, może zbyt dużo jak na nasze przyzwyczajenia odbiorcze. Zapewne mało kto już się orientuje, ile jeden z najbardziej wpływowych (i reprezentatywnych) autorów „pokolenia bruLionu” wydał osobnych arkuszy i tomików wierszy. Sam nie wiem, czy te, które tutaj wymieniam, tworzą kompletny wizerunek poety: *Hej!* (1987), *Nieszczęście doskonałe* (1987), *Tak* (1988), *Nie wiem* (1988), *Sobą po mapie* (1989), *Kompot z orangutana* (1989), *Wah wah* (1989), *Można na mnie jeszcze polować* (1989), *Odmowa współdziałania* (1989), *W lunaparkach smutny, w lunaparkach śmieszny* (1990), *Wiersze wybrane 1985-1990* (1992), *Arytmia* (1993), *Dobra ziemia dla murarzy* (1994), *Języki ognia* (1994), *Królestwo kolorów* (1995), *Duma maszynisty: dziesiątki zielonych rąk* (1995), *To all the whales i'd love before* (1996), *Wiersze wybrane 1990-1995* (1996). W zapowiedziach wydawniczych czytamy o kolejnej książce — *Niczyje, boskie*.

Blisko dwadzieścia książek i arkuszy poetyckich. W roku 1996 poeta pisał w przedmowie do *Wierszy wybranych 1990-1995*: „Nowe wyzwania wymagają nowych, śmiałych odpowiedzi, a na zew nowych czasów odpowiadać należy czymś. Dla literata orężem wykonywania rzeczywistości jest słowo, słowo pojmowane przede wszystkim jako Logos. Dlatego moją prywatną odpowiedzią na krzyk dziejów stało się podjęcie u progu nowej pięćdziesiątki zobowiązanie, aby pisać więcej i lepiej niż dotychczasowi przodownicy narzucani nam przez Moskwę. W tym celu powołałam na wzór dawnych dwójek murarskich jedynek poetycką”. A wcześniej, w roku 1989, w *Credo*, zamykającym arkusz *Odmowa współdziałania*: „Tylko samym sobą, własnym życiem można zde-maskować świat ukrywający swój rzeczywisty obraz. Wymaga to jednak porzucenia życia w imię poznawania jego wyższego sensu — na co stać niewielu. Pisanie wierszy jest desperacką próbą przewrotu, udowodnienia światu, że jest inny, za pomocą tak mizernej broni, jak język. Śmieszny to bunt, bo skazany na niepowodzenie. I tym szlachetniejszy”.

2. Kariera poetycka Podsiadły nie zapowiadała się rewelacyjnie pod koniec lat osiemdziesiątych. Pewnie też, gdyby nie jego związek z „bruLionem”, powtórzyłyby wiele innych biografii literackich — interesujących, lecz niekoniecznie oryginalnych. Autor związany z ruchem alternatywnym Wolności i Pokoju, publikujący — jak to się dzisiaj mówi — w „trzecim obiegu”, nie mógł zapewne liczyć na to, że jego wiersze znajdą szerszy oddźwięk w dynamicznie — choć w sposób nieciągły — rozwijającym się wówczas życiu literackim. Związek z „bruLionem” dawał szansę na wejście do młodej literatury głównymi drzwiami. Podsiadło z tego skorzystał — i słusznie. Obecnie trudno wyobrazić sobie kształt najnowszej liryki bez jego wierszy.

Inna rzecz, czy jest to twórczość wybitna. Co do tego krytycy mają różne zdania, ostatnio pojawiają się nawet i takie opinie, że poezję Podsiadły można spokojnie wymienić na poezję Świetlickiego (i odwrotnie), nic na tym nie tracąc. Są to — oczywiście — głosy naiwne, buńczuczne, wiele nie rozumiejące. Przekomarzania się, która propozycja jest wybitniejsza, która zaś wtórna, na obecnym etapie rozwoju poezji trzydziestolatków — musi wywołać odruch uśmiechu. Zbyt mało mamy jesz-

cze przesłanek, aby takie hierarchizacje przeprowadzać. Moje zdanie jest takie: lepiej bacznie obserwować kolejne książki poetów niż o nich wyrokować w szybkim tempie. To wszystko i tak się ucukuje za czas jakiś, nawet nie zorientujemy się jak szybko. Lepiej szukać tego, co indywidualne w konkretnej praktyce twórczej i tego, co ponadindywidualne w twórczości generacji niż twierdzić, że ktoś kogoś dystansuje. Według mnie Jacek Podsiadło jest taką samą osobowością jak Marcin Świetlicki i szereg innych autorów. Któremu po latach przyznamy miano „księcia poetów”, tego jeszcze nie wiadomo...

3. Podsiadło jest twórcą bardzo konsekwentnym w swojej poetyce. Jego wiersz — językowo nieekonomiczny, o rozległej frazie, narracyjny, zasadniczo także publicystycznie nieuporządkowany, nastawiony bardziej (i częściej) na wielość informacji niż na redukcję liryczną — wywodzi się w pierwszej kolejności z doświadczeń amerykańskiej poezji „beat generation” i angielskich hipsterów, a następnie — z polskiej poezji nowofalowej i noworocznikarskiej. Trudno powiedzieć, która z wymienionych tradycji jest dla autora *Arytmii* kluczowa, wszystkie nakładają się na siebie, tworząc w efekcie jeden stop — wiersza publicystycznego, jaki istniał przed debiutem Podsiadły i jaki zapewne będzie jeszcze wielokrotnie powracał w przyszłości w praktykach młodopoetyckich.

Wiersz taki dobrze oddaje świat codzienności, która także jest rozległa i nieuporządkowana, atakuje nas różnorodnością doznań wzrokowych (informacji) i wymusza, abymy wobec nich zajęli jakieś stanowisko. Dobrze oddaje to — Ginsbergowski w swoim wyrazie — wiersz *Plastic clay*, będący w istocie rzeczy szeregiem różnokąściowych wyliczeń tego, co „jest” (a „jest” pełno rzeczy ważnych i błahych, i zupełnie marginalnych), i kończący się wymownym stwierdzeniem: „jest we mnie obóz koncentracyjny z którego wychodzi się tylko wyobraźnią”.

4. Ów „obóz koncentracyjny”, siedlisko nienormalności, jest może nazbyt brutalną metaforą własnego stanu psychicznego. W gruncie rzeczy chodzi bowiem autorowi o *Odmowę współdziałania* o zaakcentowanie własnej — poetyckiej i zwyczajnie człowieczej — odrębności. Dlatego w cytowanym wierszu mowa jest o „wyjściu przez wyobraźnię” (*pendant*: obozowego „wyjścia przez piec”). Tylko wyobraźnia, to czego nie da się w żaden sposób przykroć do jakiegokolwiek szablonu, jest gwarantem osobności i niezależności. Powiedzmy patetycznie: indywidualności.

W tym i innych wierszach Podsiadły, bohater liryczny przyjmuje postawę wycofania. To znana socjologom reguła, genialnie opisana przez Roberta K. Mertona, a wcześniej przez twórcę tzw. nowego egzystencjalizmu — Colina Wilsona. Najogólniej rzecz ujmując, chodzi o przeciwstawienie członkom zbiorowości, akceptującej jej normy, ludzi „z marginesu”, dystansujących się wobec zasad powszechnie akceptowanych. Ów bunt outsiderów przeciwko insiderom zrodził znane w latach pięćdziesiątych ruchy — „beat generation” (w Ameryce) i hipsterów (w Anglii). Po latach ten sam gest sprzeciwu odnajdziemy w twórczości autora *Kompotu z orangutana*.

Jakiś czas temu pisałem, że „Podsiadło, by użyć zapomnianego już słowa, jest hipsterem, człowiekiem z boku, lecz ustawicznie poszukującym dla siebie miejsca. Uciekającym, powracającym, negującym, afirmującym. Kultura peryferyjna dla niego i dla wielu innych jest *out*; znaleźć w niej miejsce dla siebie — oto zadanie, któremu chcielibyśmy sprostać”. Sąd ten wydaje mi się prawdziwy również i dzisiaj. Dystans wobec świata i równocześnie maksymalna obrona własnej intymności — tak dalece są w poezji Jacka Podsiadły manifestowane, że wydają się niezwerbalizowanym dyskursywnie programem poetyckim. Równocześnie: pozostawanie w obrębie kultury peryferyjnej, na uboczu ważnych spraw społecznych (które się, z definicji, odrzuca, jak w — okrutnym przecię — utworze *W odpowiedzi na wiersz Czesława Miłosza „Sarajewo” a także w obronie własnej*), intensywne natomiast skupianie się na własnej cielesności (czytaj: niocości — „Bo niocość odbija się w naszych oczach, / jeżeli nie odbija się w nich strach, nienawiść lub ból”), wszystko to powoduje, że w wierszach Jacka Podsiadły świadomości istnienia przeniknięta jest duchem eschatologii. „Człowiek, jeśli wolno mi powiedzieć coś na temat tak dużego, wszędzie zjawia się spóźniony” — czytamy w *Piosence o mojej Warszawie*, a w *Let's take a trip to the highland*: „Kiedy wreszcie trafi nam się trip, / z którego nie powrócimy? / czy to będzie / śmierć? / Tak, śmierć też, jedna z wielu przyjemności / zafundowanych nam zaocznie”.

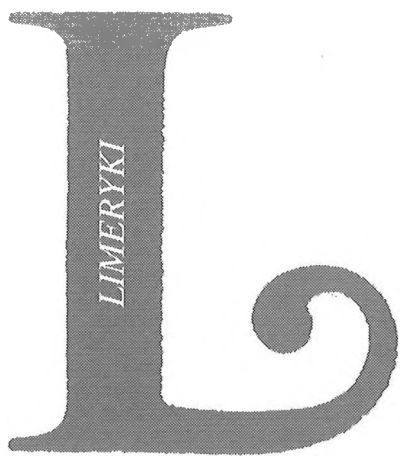
5. Istnienie w cieniu eschatologii mogłoby być, oczywiście, pełne lęków. U Podsiadły wszakże lęku nie ma. Są za-wody, bóle, lecz jest także świadomość brania życia „na gorąco”. Gdzieś spod outsiderskiego dystansu przebija horacjańskie „carpe diem”. Ostatecznie, na cóż więcej może liczyć człowiek spoza zbiorowości? Cieszyć się dniami, dostrzegać zło, lecz poszukiwać dobra — to przecież nie tylko postawa. To coś więcej, to jasno określony, mimo wszystko optymistyczny, światopogląd.

If we can't as we would, we must do as we can.

MARIAN KISIEL

Starty
i
falstarty

Hipster
nowej poezji



TADEUSZ KIJONKA

JERZY BILEWICZ

White & red

White & red, biało & czerwone
to nazwa firmy czy hurtowni?
Japońsko-nędznej pół-montowni?
... Coś pochrzanione.

Choć... white and red, to nawet nieźle brzmi
biało-czerwone, to dobre jest na szyld!
I pod reklamę w telewizji też się nada.
White & red, coś mi się śni... to jakiś sklep
z utargiem ostrym, cholera, sto milionów!
Elektroniczna waga — cyp-cyp-cyp — i jestem w domu!!

To pomysł, tera wszędzie jest na czarno
tylko komputer turkusowo świeci
liczy te śmieci...

Nie, konkurencja ma od jutra przechłapane —
white & red, biało-czerwone, prawie darmo!
Towar ten sam, lecz jak podane!
To będzie sklep!
Toplessy nając, cholera, ja mam teb!!

White & red, kupujcie w white&red
biało-czerwonym handlujemy od niedzieli!
Jak komuś się kojarzy z symbolem, to jest zgred
i ma nie po kolei.

WIESŁAW MALICKI

Słowa pod wiatr

Tuż za kołyską zaczyna się wszechświat.

To, o czym śnią mężczyźni, spędza sen z oczu kobiet.

Również suflerzy mawiają: „Mój teatr...”

Pobocza mają własną koncepcję drogi.

Lwia część przypada na ogół szakalom.

Małość pluje wielkości pod nogi — a anuż się
pośliznie.

Przeciekał mu dach. Wziął się za remont nieba.

Śmierć nie grzebie. Czynią to ludzie.

Piramidalna głupota miewa głębokie fundamenty.

KONESER

1. Żartoczny koneser z Wrześni
Wyjadał robaki z czereśni.
A potem brał procę
I miotał owoce,
Śpiewając bojowe pieśni.

WNUCZEK

2. Nauczał dziadek wnuczka różnych sprytnych
sztuczek,
By okazał się godny swego dziadka wnuczek.
Lecz ciężko szła nauka: no cóż — nie
przypadkiem...
Choć babcia była babcią, czy dziadek był
dziadkiem?
Oj, dopadł sąsiad babcię, gdy dziadek —
sąsiadkę.

OTO JEST PYTANIE!

3. Dla zawiąnego kręta każda droga.
By mieć podporę — kupić pijak doga.
Dziś zataczają się razem,
Lecz kto z nich bardziej pod gazem —
Oto pytanie jest?... na chwiejnych nogach.

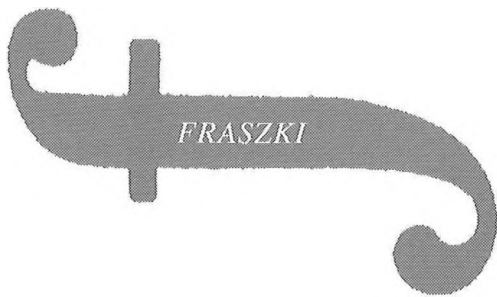
DOWÓD

4. Cięty rudzielec z maleńką główką
Był przekonany, że stał się mrówką.
Na dowód nagi wlaź do mrowiska —
I skoczył z rykiem w stronę urwiska.
Taki to koniec był widowiska.

PLOTKA

5. Z winy korekty pocziwy Teofil
Jest traktowany jak wredny pedofil.
Odtąd plotka wciąż się rozwija
I z pocziwego Teofila...
Zrobiono już sado-nekro-pedofila.





EDWARD SZOPA

DIALOG

Lewy brzeg do prawego brzegu:
pilnujemy rzeki biegu.

KRET

Marzy kret:
przyjrzyć wnet.

BOHATER

Sam sen o szpadzie
zaraz go kładzie.

GEST

Miewał także piękny gest
— errare humanum est!



W „Życiu” (z książkami) 30 lipca 1997 - Bronisław Maj w krótkim tekście pt. „Zapomniane książki” pisze o „Wspólnym pokoju” Zbigniewa Uniłowskiego. „... „Wspólny pokój” został doceniony przez historyków literatury, ale później, zwłaszcza w czasach powojennych, właściwie o nim zapomniano”. Czyżby? Do roku 1989 ukazało się sześć wydań „Wspólnego pokoju”. Wojciech Has nakręcił film. Jerzy Antczak zrealizował spektakl w poniedziałkowym Teatrze Telewizji. Grzegorz Warchoń nakręcił serial telewizyjny „Życie Kamila Kuranta”, na podstawie „Dwudziestu lat życia”, „Dnia rekruta” i oczywiście „Wspólnego pokoju” (Lucjana Salisa (Uniłowskiego) zagrał Krzysztof Pieczyński). Jeżeli to oznacza, że „... zwłaszcza

w latach powojennych właściwie o nim („Wspólnym pokoju”) zapomniano” - to przepraszam, że zwracam głowę i zabieram czas.

(FEN)



TRZYMINUTOWA NOWELKA

... i zabiłem go — powiedział mężczyzna do kobiety, która była jego żoną; strzępy jakichś niewiarygodnie błahych zdarzeń, odpryski epizodów, ścinki biurowych rozmówek — oto co od lat przynosił z pracy do domu. Praca! bez specjalnych widoków na przyszłość. Jaka tam przyszłość; to, co miało być niegdyś przyszłością, już dawno rozwiąło się w przeszłości. Ten niemęski mężczyzna budził w tej kobiecie jasno wytlumaczony, dlaczego dzieli życie ze swoim mężem. „Może dlatego, że nie jest świnia?” — odpowiadała, czując, że wprawia rodzinę i znajomych w osłupienie. I raptem ta niesamowita wieść. Powiedział: „Zabiłem go!” Palily ją policzki, wyszło w gardle. Patrzyła na mężczyznę o wąskich, niemal niezarysowanych wargach i ptasim profilu. Wyglądał, jak zawsze, okropnie, a przecież... „Zabiłem go!” — powiedział. Poczuli, że sukienka pod pachami zaczyna parować.

— Jak? — wyrzuciła ze spieczonego gardła serię krótkich pytań: — Gdzie? Dlaczego? Po co? — pytając, czuła, że narasta w niej podniecenie.

— Wezwał mnie do siebie — powiedział mężczyzna, sprawdzając czubkiem buta, czy teczka znajduje się na podłodze, tam, gdzie ją postawił wszedłszy do pokoju. Nie miał domku jednorodzinnego, nie miał samochodu, miał tylko tę teczkę, z którą chodził do biura od lat — i już przed drzwiami, lekko uchylonymi, usłyszałem jakieś dziwne odgłosy, jakby to nie był mój szef, Jarema Podsiadło, ale zarazem nie miałem wątpliwości, że to jednak on chrząka, czy chrumka...

— Czym zabiłeś?! — kobieta nie mogła już dłużej czekać z tym pytaniem, które wydało się jej szczególnie ważne.

— Nożem — odparł mężczyzna, który był jej mężem, z niejasnych zresztą powodów; ktoś tak jałowy i bezbarwny, niewiarygodnie nudny, ale jednak... coś w niej drgnęło, i on to wyczuł, to było nowe, nagle, nigdy dotychczas nie odczute doznanie: błysk zaciekawienia... — bo, ty nie wiesz, ale ja nigdy nie wychodzę z domu bez noża!

— Niesamowite — powiedziała kobieta i dopiero teraz zauważyła plamy krwi na rękach męża.

— Siedziała za biurkiem... — mężczyzna podjął opowieść, lecz kobieta ocknęła się z odurzenia, w którym zgroza wymieszała się z podziwem:

— Siedział! — poprawiła go stanowczo.

— Kto? spytał, tak głupio, jak to zwykł był czynić.

— Kto! Kto! Twój szef, chyba, Jarema Podsiadło!

Mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo i zarazem pobłażliwie:

— Za biurkiem siedziała świnia.

— Stąd to chrumkanie! — wykrzyknęła kobieta, ale natychmiast się opamiętała: — Więc kto to był — świnia czy Jarema Podsiadło?!

— To był Jarema Podsiadło — powiedział mężczyzna i uniosł dłoń, jakby chciał uspokoić wzburzone fale uczuć i myśli swojej żony: — ... który był świnia, i ta świnia — znów podniósł dłoń, bo chciała coś krzyknąć, lecz ją uciszył, pierwszy raz w życiu — i ta świnia mówiąc, chrumkała, czy też chrumkając, mówiła...

— Co mówiła, co? — napierała kobieta, ocierając pot z czoła i z dłoni. Do jakiego stanu doprowadził ją ten nieborak, któż by pomyślał!

— Same świństwa, to oczywiste — powiedział mężczyzna — jak to świnia.

— Czy to na pewno był Jarema Podsiadło?

— Miał świński ryj, ale reszta: garnitur, krawat, białe skarpetki, czarne pantofle i zielone szelki...

— Zielone szelki!? — kobieta przerwała mu i wytarła ręce w obrus.

— Ten świński ryj miał srebrną koronę na lewej górnej trójce i ryżą szczerę na łapach...

— Jarema Podsiadło! — krzyknęła dysząc ciężko — pamiętam tę koronę, bo raz chciał mnie pocałować, i te jego świńskie łapy poróżnione ryżą szczercą i te wszystkie jego świństwa... Zabiłeś Jarema Podsiadło!!!

Mężczyzna sięgnął po teczkę i wysypał na stół parę świńskich nóżek.

— Ale cię nabrałem! — krzyczał jak dziecko, podsunął jej ręce pod nos: — A to jest ketchup nie krew! Ha, ha! Nabrałem Cię! Zrób na jutro zimne nóżki! — śmiał się okropnie, aż się usmarkał.

— Świńskie nóżki, no dobrze — powiedziała niezbyt głośno kobieta — ale dlaczego są w białych skarpetkach i czarnych pantoflach?

FELIKS NETZ

W czerwcu 1997 przy współpracy Muzeum Narodowego w Warszawie otwarta została w Muzeum Śląskim w Katowicach wystawa obrazów Hilarego Krzysztofiaka. Jest to właściwie pierwsza poważniejsza — aczkolwiek nadal niekompletna — wystawa tego artysty na naszym terenie. Wystawa poprzednia, która miała miejsce kilka lat temu w Galerii Art Nova była dość skromna i wycinkowa. A jest to przecież artysta o bardzo poważnym znaczeniu zarówno w ogólnopolskim rozrachunku artystycznym jak i w tym bardziej naszej, śląskiej perspektywie. Kłopot z Krzysztofiakiem, z ciągle niewystarczającą znajomością jego sztuki, wziął się stąd, że artysta ten odkąd w 1968 roku opuścił kraj, stał się w PRL-u postacią w ogóle nie istniejącą. Być może wybaczone by lub zapomniano tę jego „dezercję”, gdyby nie to, że wyjechał wraz z żoną, dziennikarką Krystyną Miłotowską-Hilary, a ta podjęła pracę w Rozgłośni Wolna Europa w Monachium. To prawdopodobnie sprawiło, że co do Krzysztofiaka obowiązywał całkowity „zapis” cenzury.

Hilary Krzysztofiak urodził się w roku 1926 w Szopienicach, czyli w obecnej dzielnicy Katowic. Po studiach w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, nie ukończonych zresztą, wrócił na krótko na Śląsk. W roku 1953 był współzałożycielem legendarnej grupy St-53. Przyjęło się mówić, że grupa ta za punkt wyjścia i swego rodzaju program wzięła teorię widzenia Władysława Strzemińskiego i rzeczywistość dotyczyło to sporej części członków grupy. Krzysztofiak był jednak osobowością żywiołową, całkowicie nieortodoksyjną i nie podporządkowywał się żadnym programom. Wydaje się, że jego związek z grupą był oparty wyłącznie o wspólną z innymi platformę zdecydowanego sprzeciwu wobec narzuconego w Polsce socrealizmu. Potwierdził to jego udział w słynnej wystawie w „Arsenale” jako chyba jedyne przedstawiciela Śląska. Pokazał tam wówczas słynną „Szczykłę”, obraz, który wywołał wiele zamieszania i oburzenia ówczesnego establishmentu. Niezależnie od wszystkiego, to pełne ekspresji płótno można było oskarżyć o różne powiązania i związki, lecz z pewnością bez żadnej, jakiegokolwiek zależności od „widzeniowej” teorii Strzemińskiego.

Nieco później bierze udział w Salonie „Po prostu”, Salonie „Współczesności” i w klubie Krzywego Ko-



HILARY

ła, we wszystkich tych nielicznych miejscach, które zapewniały względnie niezależność. Hilary pracował również jako grafik. W latach 1955—57 był redaktorem graficznym pisma „Po prostu”, które odegrało tak dużą rolę w ówczesnych wydarzeniach w Polsce. Później był grafikiem w dwutygodniku „Ruch Muzyczny”. Pracował również jako scenograf. Projektował dekoracje i kostiumy, między innymi do wielu sztuk Mrożka. Gdy w 1968 roku wyjechał z Polski, najpierw zamieszkał w Kolonii a potem przez prawie dziesięć lat przebywał w Monachium. Miał wiele wystaw indywidualnych w zachodniej Europie i w Stanach Zjednoczonych, gdzie zamierzał osiąść na stałe. W roku 1976 otrzymał nagrodę Fundacji im. Jurzykowskiego w Nowym Jorku. Zmarł na atak serca 30 września 1979 roku w Falls Church koło Waszyngtonu.

Na otwarciu wystawy Krzysztofiaka w Muzeum Śląskim, Pan Kazimierz Kutz, kolega i przyjaciel Hilarego z czasów dzieciństwa i młodości, wspomniął o jego wielkim niefarcie, wielkim pechu, który towarzyszył mu jakoby przez całe życie. Mimo biednego urodzenia, trudnego dzieciństwa i również mimo nagłej śmierci u progu entuzjastycznego przyjęcia jego sztuki w Stanach Zjednoczonych, mimo wszystko, nie określiłbym tego w ten sposób. Myślę raczej, że Hilary dobrze, bogato i intensywnie przeżył swe nie naj-

dłuższe w istocie życie. Jak napisała Pani Danuta Wróblewska: „Natura, poza talentem, obdarzyła go żywotnością i uporem. W życiu i sztuce lubił mieć horyzont otwarty. Toteż rozpychał ramy codzienności, szedł swoją drogą, zwracał się do całego świata. Oddychał wolnością, którą sam sobie ofiarowywał. Jego malarstwo także było wolne. Traktował je zachłannie, dawał w nim siebie w pełni. Siebie skupionego i siebie rubasznego. W jego płótnach widoczną rolę odgrywa materia — budulec i symbol świata. Pojawia się ona w najmniejszym i w największym swoim wymiarze, jako pięćdziesiątka, tajemnicza bryła, korpus drzewa, krąg solarny. Jest bezkresem powietrza i światłem galaktyk...”

Ostatni raz widziałem Hilarego w 1968 roku, na krótko przed jego i Krystyny „ucieczką” z Polski. W połowie roku 1979, już w Nowym Jorku, przeczytałem o jego sukcesie w Franz Bader Gallery w Waszyngtonie i zamierzałem skontaktować się z nim po wakacjach. List wysłany na adres galerii jednak powrócił ze smutną adnotacją. Już za późno. Trochę trudno mi pisać o Hilarym. Ze strony katalogu spogląda na mnie poważna, jakby surowa lub nieco zatroskana twarz. Twarz jaką pamiętam, jeśli chodzi o ogólne zarysy, ale przecież pamiętam go zupełnie innym. Był to wulkan nie tylko świetnych pomysłów, ale i również radości życia. Jakoś tak się działo, że przy Hilarym życie nabierało kolorów.

Od samych początków jego twórczości, mimo wspólnej niemal wszystkim w tym okresie fascynacji materia, było jasne, że Hilaremu chodzi o coś więcej niż zgrabne rozgrywki formalne. Jego malarstwo zawsze w taki czy inny sposób tkwiło swymi duchowymi korzeniami w tendencji nadrealistycznej, poetyckiej i wizyjnej. Tę naturalną dla siebie skłonność Hilary znakomicie rozwinął w drugim, „zagranicznym” okresie swojej twórczości. Chyba nie ma sensu opowiadanie tych pięknych obrazów. Raczej, powinniśmy je częściej oglądać.

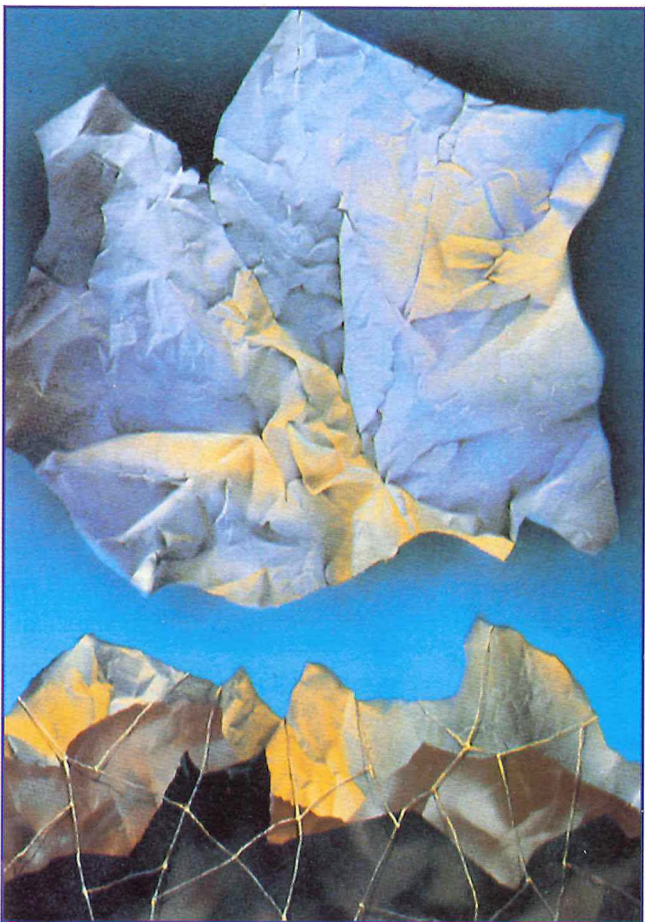
Swoje obrazy, rysunki, inaczej niż powszechnie, zawsze sygnował tylko imieniem HILARY, jakby w przeczuciu, że to imię własne stanie się jego nazwiskiem. Sygnaturą oryginalności, dynamizmu i witalności, ale i przecież niezwyklej poetyckiej wizji tej sztuki.

ANDRZEJ URBANOWICZ



Hilary „*Monachium*” 1974 olej, płótno 160x120

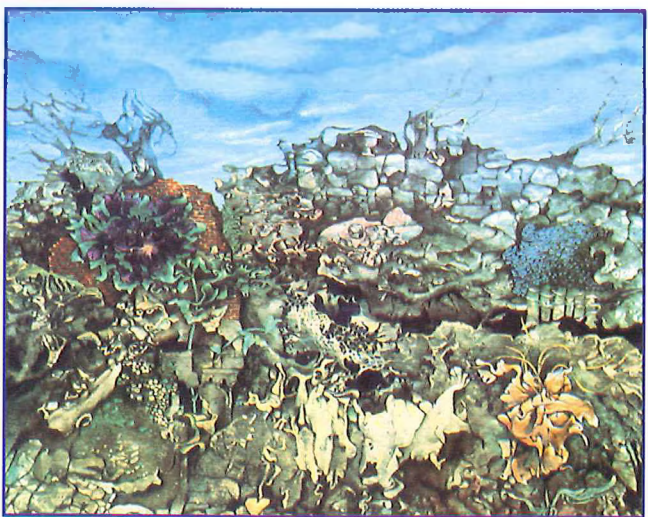
Hilary „*Zapakowane góry*” 1977 olej, płótno 80x100



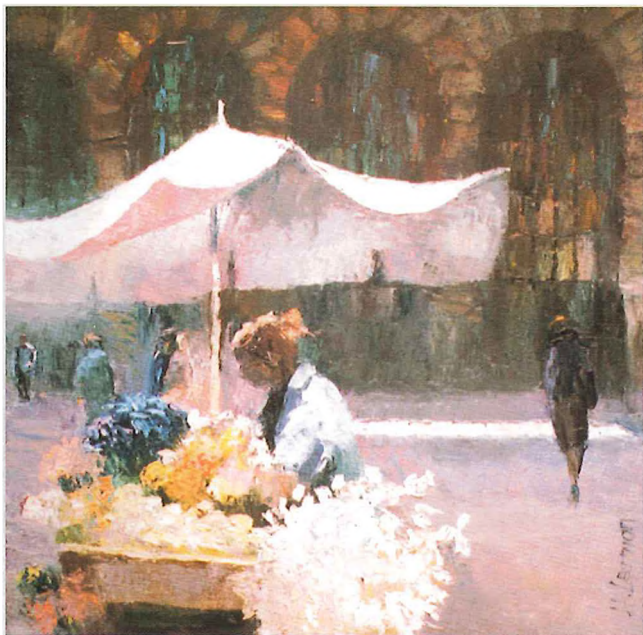
Hilary „*Zegar kosmiczny*” 1978 olej, płótno 80x100



Hilary „*Złamany krąg*” 1978 olej, płótno 101x76



Hilary „*Ogród rzymski*” 1975 olej, płótno 120x90



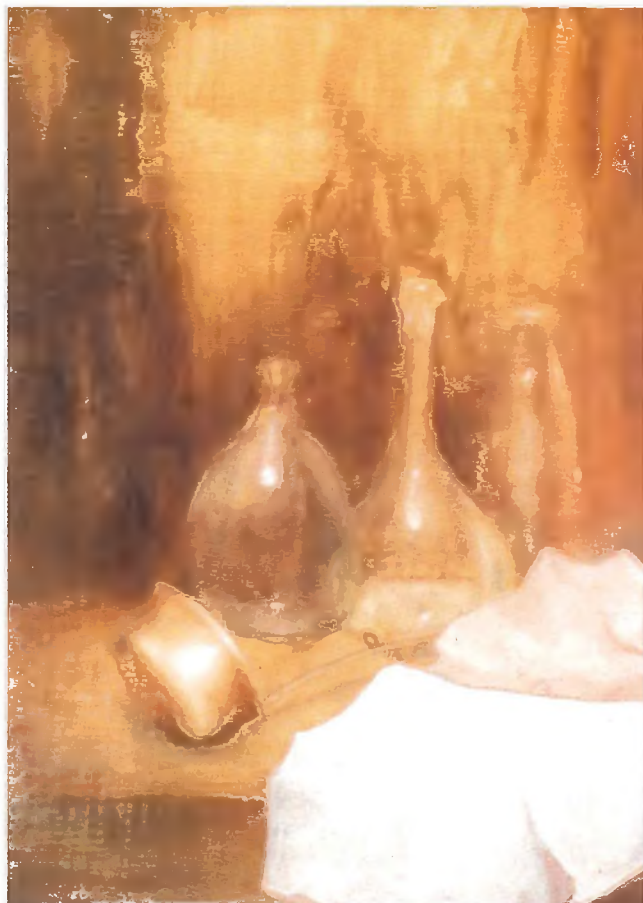
HALINA LERMAN



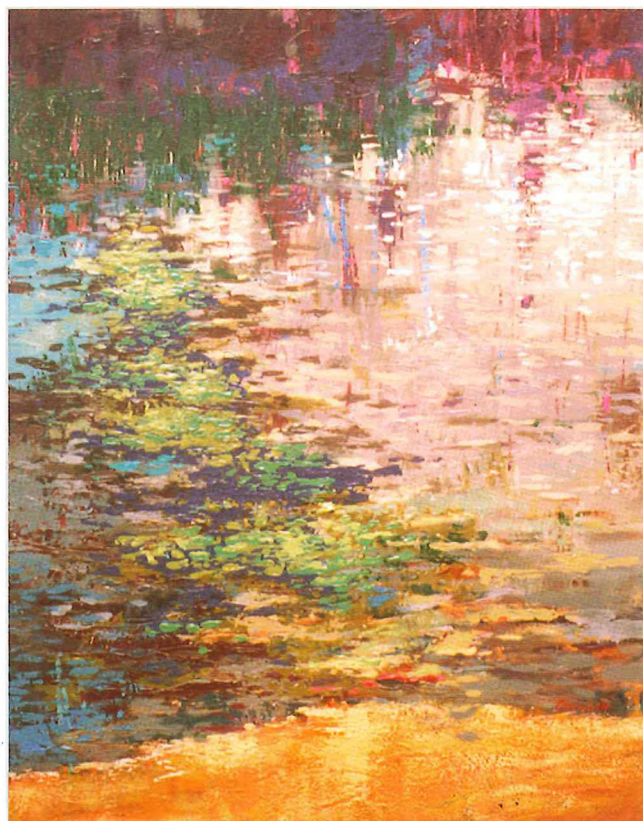
JAN HERLA



TERESA NOWELSKA - SABALCZYK



ALEKSANDER SZYMASZKIEWICZ

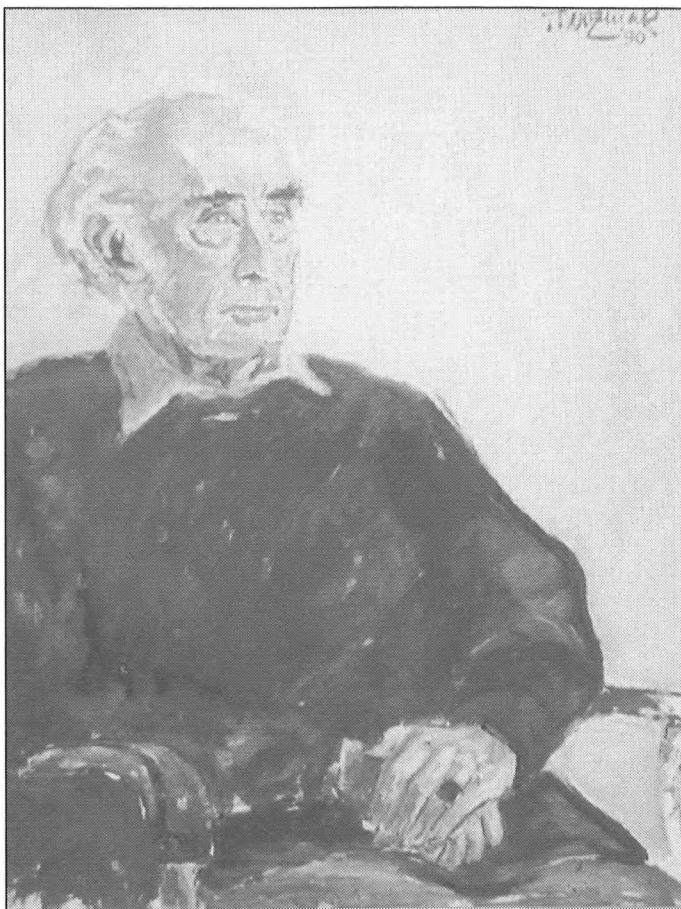


ANDRZEJ CZARNOTA

Na bezrybiu i rak ryba - z takiego zdaje się założenia wyszli organizatorzy wystawy, którą nazwali Letnim Salonem Malarstwa Katowickiego Okręgu ZPAP. Czy taka impreza powinna być wydarzeniem artystycznym? Z pewnością tak. Niestety, mimo nawet sporej ilości gości obecnych na wernisazu (proporcjonalnie do mikrych rozmiarów galerii Art. - Nova 2) nic takiego nie miało miejsca. Szkoda, bo w końcu nieczęsto zdarza się oglądać prace wielu artystów występujących pod szyldem katowickiego okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. A Letni Salon był w rzeczy samej gorący - przez okna galerii na pierwszym piętrze wdierał się niemiłosiernie oddech gorącego, dusznego, katowickiego sierpniowego popołudnia. Natrętne promienie słońca dość skutecznie uniemożliwiały oglądanie rozwieszonych na ścianach obrazów. Skutkiem tego część z nich stała się prawie niewidoczna. Poza tym trudno skupić się na dziele, skoro dokucza upał. Wtedy myśli się o chłodnym prysznicu...

Ponieważ trudno było zmieścić około 70 prac w jednej galerii, dlatego Letni Salon rozciągnął się również na Art - Nova 1 na parterze. Tutaj z kolei nic nie informowało o tym, które prace aktualnie reprezentują swoich twórców, a które - zrzędzeniem losu - od dawna czekają na swego nabywcę.

Lista autorów, których prace znalazły się na wystawie osiągnęła 66 nazwisk. Każdego z nich reprezentowała jedna lub - rzadko - dwie prace. Trudno jednak w ciasnocie ZPAP-owskiej galerii dostatecznie dobrze przyjrzeć się każdej z nich, skoro na pierwszy rzut oka „wytapetowane” obrazami ściany stanowiły barwną plamę. Sprawiało to bardziej wrażenie remanentu przeprowadzonego w katowickim ZPAP-ie niż przemyślanej ekspozycji. Każdy dał co miał? Chyba że za kryterium



Adam Woźniak

Bardzo letni salon malarstwa

przyjęto - ale nie we wszystkich przypadkach - tematykę letnią: kwiaty, pejzaże, widoczki miejskie i wiejskie, las, kury i koguty, ptaszki, ludowe zabawki, okręty i muszle, subtelne i delikatne portreciki. Na ogół utrzymane w ciepłych - letnich - tonacjach żółci, zieleni, brązu, czerwieni. Na szczęście pośród tego zamętu znajdowało się kilka czy kilkanaście prac przyciągających oko na dłuższą chwilę, m.in. Ewy Rosiek-Buszko, Michała Smółki, Henryka Bzdoka, Franciszka Dziadka, Mariana Knoblocha, Haliny Lerman, Stefana Szawicy, Ewy Tamar, Małgorzaty Kacperek. Z pewnością do najciekawszych należały prace wybiegające poza krąg „letniości”, a wśród nich Andrzej Urbanowi-

cza, Andrzeja Czarnoty, Ireneusza Walczaka. Na swój sposób od reszty odcinała się akwarela Jana Herli ukazująca śląskie podwórko w zimowej szacie.

Słusznie podczas wernisazu powiedział szef katowickiego okręgu ZPAP - Marian Słowicki, że znalazły się na tej wystawie obrazy także tych artystów, których trudno zobaczyć gdzie indziej. Szkoda, że dostali tak skromną szansę pokazania swoich możliwości. Jak dotąd ginęli w tłumie, tak pozostaną w nim dalej. Letni Salon nie wniósł niczego by lepiej ich poznać. A i dla nich będzie to tylko „zaliczenie” jeszcze jednej wystawy zbiorowej.

Tak więc Letni Salon Malarstwa okazał się letni nie tylko ze względu na porę roku. Bez wyrazu, wyraźnych dominant czy chociażby kilku prac, które zdecydowanie określiły jednoznacznie poziom ekspozycji. Trudno wyrokować, czy winę ponoszą za to autorzy prac, którzy przeznaczili na wystawę te a nie inne obrazy, czy organizatorzy, którym bardziej zależało na wymienieniu wszystkich z imienia i nazwiska oraz jednej pracy

niż na stworzeniu ogólnego wizerunku tego, co się dzieje w katowickim środowisku plastycznym. Słowem, zorganizowana wystawa nie służy dobrze całej sprawie. Można mieć tylko nadzieję, że kolejne salony będą bardziej zdecydowane, a zapowiadana na czerwiec przyszłego roku wystawa okręgowa w galerii BWA będzie zdecydowanie odbiegać od tej w Art - Nova 1 i 2.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Letni Salon Malarstwa Katowickiego Okręgu ZPAP '97. Galeria Art - Nova 1 i Art. - Nova 2 w Katowicach. Wernisaz 13 sierpnia 1997 r.

Taniec współczesny to domena Amerykanów. Przed wojną i Polacy mieli w tej dziedzinie pewne osiągnięcia. Potem czas jednak nie sprzyjał artystycznej modernie. W tańcu na państwowy mecenat liczyć mogła wyłącznie klasyka, którą nowszymi trendami ubarwiał Conrad Drzewiecki. Przy dzisiejszym otwarciu na świat przychodzi nam jego pracę nieco weryfikować i chyba też inaczej myśleć o niegdysiejszych pracach Marty Bochenek, Andrzeja Glegolskiego czy choreografiach Henryka Konwińskiego, zwłaszcza tych do muzyki Wojciecha Kilara. Tak naprawdę jednak dance moderne po raz pierwszy profesjonalnie i konsekwentnie zaczął w Polsce uprawiać Jacek Łumiński, założyciel Śląskiego Teatru Tańca w Bytomiu. Osiągnięcia artystyczne i organizacyjne bytomskiego zespołu sprawiają, iż u schyłku drugiego tysiąclecia zdołaliśmy nawiązać żywy kontakt z współczesnym tańcem niemal całego świata.

Foto: Jan Cararadzia

Taniec naszego fin de siècle'u

TANIEC



Już po raz czwarty w Bytomiu i pierwszy raz w Krakowie, na przełomie czerwca i lipca odbyła się Międzynarodowa Konferencja Tańca Współczesnego i Festiwal Sztuki Tanecznej. Zorganizował je Śląski Teatr Tańca ze środków pozyskanych w całości od sponsorów.

Zderzyły się na tym festiwalu różnorodne zjawiska tańca współczesnego, rozmaite tradycje kulturowe Zachodu i Wschodu, Północy i Południa, dokonania najnowsze z osiągnięciami niemal już klasycznymi. Największym osiągnięciem organizatorów wydają się być wizyty: najstarszego amerykańskiego zespołu tańca modern, legendarnej The Limón Dance Company, świętującej swe półwiecze, oraz rzadko goszczących nawet na scenach amerykańskich tancerzy z RPA – zespołu Robyn Orlin z Johannesburga.

Na prowadzone w Bytomiu warsztaty przyjechało aż 150 tancerzy z Polski, a także z Litwy, Rosji, Szwecji a nawet... USA. Wziął w nich również udział cały austriacki zespół Tanz Atelier Sebastian Prantl, który uczestniczył w festiwalu. Bytomskie warsztaty z roku na rok przyciągają coraz więcej uczestników – niestety, nie z samego Bytomia – bowiem zapewniają one renomowanych wykładców, bezpośrednio związanych ze źródłem prezentowanych technik. W tym roku były wśród nich te uznane już za tradycyjne (Graham, Limóna, Cunninghama czy Hortona) i nowsze (Muller, releasing). Najwięcej słuchaczy mieli: Jacek Łumiński,

którego dokonania (wywiedzione z tradycji polskiego folkloru i kultury Żydów polskich) już przez wielu określane są jako „polska technika tańca współczesnego” oraz Jackie Mbuyiselwa Semela z RPA, który poprowadził warsztaty tańca afrykańskiego. Spore zainteresowanie towarzyszyło również lekcjom m.in. techniki Joségo Limóna prowadzone przez niegdysiejszą tancerkę jego zespołu Sarah Stackhouse, techniki legendarnej Marthy Graham u Dunki Luise Klixbull czy techniki Merce'a Cunninghama u Ellen Cornfield. Także bytomskie i krakowskie seminaria gwarantowały znakomitych prelegentów i uczestników w osobach renomowanych krytyków prestiżowych, międzynarodowych pism branżowych Roberta Johnsona, Paul Parisha, Catheriny Peili, Maily Withers z USA, Rene'a Schmidta ze Szwajcarii, Patricii Stöckemann i Claudii Lutrinhaus z Niemiec czy Pabla Guzmanna z Francji.

Przez dziesięć dni na festiwalowych scenach wystąpiło 18 zespołów z Polski, Szwajcarii, USA, Słowacji, Estonii, Danii, Rosji, Austrii, Holandii, RPA i Finlandii. Największe zainteresowanie widzów budziła The Limón Dance Company, która pokazała Jiřego Kyliana „Pieśni wieczorne” (z muzyką Dvořaka) oraz cztery zrekonstruowane choreografie zmarłego w 1972 roku Joségo Limóna. Te choreografie wciąż pozostają atrakcyjne i świeże, ale jednocześnie reprezentują zamknięty już rozdział tańca współczesnego. Wyrażały one bunt wobec skostniałej klasyki, ale nie poprzez prostą negację a twórczy rozwój. Po ćwierćwieczu i one stają się już z wolna klasyką moderny. I zwierciadłem dla młodszych zespołów. Takich, jak Śląski Teatr Tańca,

który wyrasta na jedną z najwartościowszych grup europejskich.

Owacja na stojąco towarzyszyła aktowi wręczenia (przed występem tancerzy Limóna) Jackowi Łumińskiemu Nagrody im. Poli Nireńskiej, przyznanej przez Waszyngtońskie Stowarzyszenie Sztuki Wykonawczej w uznaniu wybitnych zasług bytomianina dla tańca. Łumiński jest pierwszym nie-Amerykaninem uhonorowanym tą prestiżową nagrodą, która niesie też pamięć o polskiej tancerce, absolwentce pierwszej polskiej szkoły tańca współczesnego, która zwróciła na siebie uwagę przedwojennymi laureatami za choreografię „Krzyk”. Dalszą jej karierę udaremniła wojna, po której Pola Nireńska założyła w Waszyngtonie szkołę i orga-

organizowała festiwale. Teraz *Amerykanie są wdzięczni Polakom* - jak powiedział Paul Parish, krytyk m.in. „Ballet Review”, wręczając Łumińskiemu nagrodę - i za *Polę Nireńską, która pół swego życia spędziła w Ameryce i współpracowała z Josém Limónem, i za Jacka Łumińskiego*. Łumińskiego choreografie – na tych łamach już omawiane – zdobyły wielki aplauz festiwalowej publiczności.

Ożywienie przyniósł występ zespołu z Johannesburga, prowadzonego przez zdecydowaną przeciwniczkę klasyki. Robyn Orlin jednak zastrzega się zdecydowanie: – *Nie mam problemów z baletem, ale z tym jak go uczyć, zwłaszcza, że dawno stanął już w miejscu i nie potrafi dalej rozwijać się*. Jej „Naga na kozie czyli po-Apokaliptyczna interpretacja Salome tańca siedmiu zasłon” stała się bardziej „teatrem totalnym” niż tylko „sceną tańca”, teatrem, w którym istotne problemy społeczne (np. wolność) pokazywane są zarówno poprzez elementy kultur i obrzędów czarnych mieszkańców Afryki, jak i osiągnięcia teatru japońskiego czy Grotowskiego i Kanto-ora. Rewelacja okazał się holenderski duet Diane Elshout & Frank Handeler. Interesujący występ dała też fińska Company Toothpick.

W propozycjach wymienionych przeze mnie zespołów ogromnie intrygowały zarówno przesłania ich propozycji, dotyczących zawsze istotnych problemów współczesności, jak oryginalny, zawsze swój – wywiedziony z określonych tradycji, ale swoiście je rozwijający – język tych artystycznych wypowiedzi. Cieszyć może, że Śląski Teatr Tańca może konfrontować się z najlepszymi i być wzorem dla innych.

MAREK SKOCZA

Po raz pierwszy w dzie-
więćsetletniej histo-
rii katedry winchesterskiej
wystąpili Polacy. Bohate-
rem tego prestiżowego wy-
darzenia był Polski Zespół
Śpiewaczy „Hutnik” z Za-
olzia. Koncert w Winche-
ster — historycznej koleb-
ce Anglii — był bardzo
efektownym zwieńczeni-
em zagranicznego tour-
neé „Hutnika”.

„Hutnik” śpiewa od 43
lat. Założył go w Trzyńcu
i przez ćwierć wieku pro-
wadził Karol Wronka. Do
„Hutnika”, który dziś liczy
60 osób, należą m.in. kilka
polskich rodzin. Śpiewają
w „Hutniku” rodzeństwa,
śpiewają razem małżeń-
stwa i ich dzieci. Choć
większość zaolziańskich
chórów starzeje się, „Hut-
nik” ma szansę przetrwać
— a to dzięki wielkiemu
magnesowi, jakim są sukcesy arty-
styczne, osiągane nierzadko także
podczas zagranicznych tournée.

— *Mamy zamilowanie do śpiewu,
ale chcemy też pokazać Czechom, że
jesteśmy. To jest bardzo ważne, bo-
wiem dziś polska społeczność na Za-
olziu kurczy się — mówi Władysław
Zientek, w chórze od 1957 roku. Na
Zaolziu zespoły takie, jak „Hutnik”
podbudowują narodową dumę ich
członków, dają poczucie zbiorowej
siły, zakorzeniają trwale w kulturze
polskiej, ale nie antagonizują relacji
między Polakami i Czechami. Najlep-
szym tego dowodem jest kilkuletnia
już współpraca „Hutnika” z czesko-
polską Smyczkową Orkiestrą Kame-
ralną z Trzyńca, prowadzoną przez
Alenę Kostkową.*

Od prawie 12 lat rolę chórmistrza
i dyrygenta „Hutnika” przejął Cezary
Drzewiecki — katowiczanie z urodze-
nia, absolwent Wydziału Pedagogicz-
no-Artystycznego Uniwersytetu Ślą-
skiego w Cieszynie i Akademii Mu-
zycznej w Bydgoszczy, dziś mieszka-
niec Wisły. To właśnie pod jego kie-
rownictwem „Hutnik” stał się jednym
z najlepszych polskich amatorskich
chórów na Zaolziu, jednym z czoło-
wych chórów polonijnych. Chórmistrz
rozmiłowany jest w repertuarze sa-
kralnym. Na okazję wprowadzenia go
w „Hutniku” czekał parę lat. Dopiero
„aksamitna rewolucja” 1989 roku
zmieniła dawny zapis cenzury, nie po-
zwalający śpiewać po łacinie.

Właśnie sakralne pieśni Bacha, Mo-
zarta, Brucknera, a także kompozyto-
rów polskich — Gomółki, Gorczy-
ckiego, Koszeckiego oraz „Missa bre-
vis” Haydna stały się podstawą reper-
tuaru, który „Hutnik” wraz z Orkiestrą
Aleny Kostkowej i trojgiem solistów:
Aliną Farny-Podskalską — sopran,
Władysławem Czepcem — tenor
i Beatą Drzewiecką — fortepian, pre-
zentował w maju, w czasie kolejnego

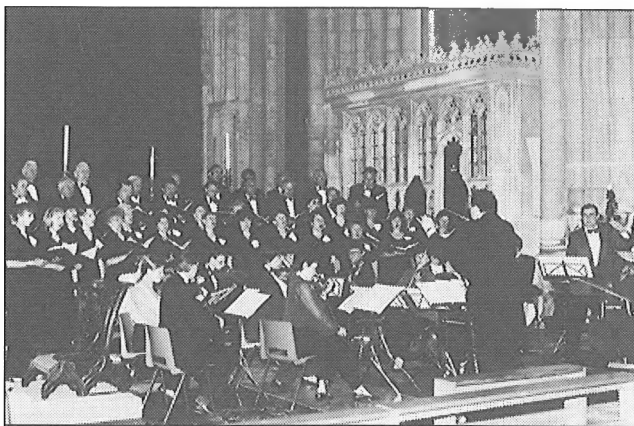


Foto: Petr Rubal

„Gaude Mater Polonia” Hutnika

M
A
Z
Y
R
Y
K
A

tourneé, którego trasa wiodła przez
Niemcy, Belgię do Wielkiej Brytanii.

Pierwszy koncert odbył się 21 maja
w Bautzen (Budziszynie), w sali Lan-
dratsamtu, gdzie „Hutnik” wystąpił na
zaproszenie chóru „Schubert”, z któ-
rym przyjaźni się już od ponad 30 lat.
Wieczorny koncert poprzedził nie-
przewidziany programem dopołudnio-
wy recital w budziszynskiej katedrze.
Miał on wymiar szczególnie symboli-
czny, bowiem od czasów reformacji
Katedra św. Piotra jest świątynią,
w której odprawiają swe nabożeństwa
zarówno ewangelicy, jak i katolicy.
Świątynia ta dzielona pospołu przez
jednych i drugich to jeden z najstar-
szych w Europie przykładów ekume-
nizmu, a przecież i w „Hutniku” śpie-
wają jednym głosem wyznawcy obu
tych wiar. Następnym etapem podró-
ży było Comblain la Tour — mia-
steczko położone niedaleko Liege
w Belgii. „Hutnik” gościł w siedzibie
Polskiej Macierzy Szkolnej, gdzie dał
krótki recital 23 maja.

Najważniejsza część tournée odby-
ła się w Wielkiej Brytanii. Sześci-
dniową gościną „Hutnika” w Londy-
nie zorganizował Zespół Tańców
i Pieśni Polskiej YMCA „Mazury”.
„Mazury” przygotowały „Hutnikowi”
nie tylko trasę koncertową, ale i tury-
styczny szlak wiodący m.in. pod pol-
skie pomniki: Katyński na cmentarzu
Gunnerysbury i Lotników Polskich
w Northolt oraz prowadzący śladami
polskich pamiętek z pietyzmem prze-
chowywanych na obczyźnie w lon-
dyńskim Instytucie Sikorskiego oraz
w Muzeum Polskim w Fawley Court.

— *Od 1939 roku jestem poza kra-
jem, ale żyliśmy tą Polską, o czym
najlepiej świadczą zgromadzone tu
darowizny — mówił kustosz Mu-
zeum Polskiego Henryk Lipiński. W
zbiorach Fawley Court m.in. znaj-
dując się rękopisy Adama Mickiewi-
cza i jego chusteczka z wyhaftowa-*

nym monogramem, pieczęcie
i podpisy niemal wszystkich
polskich władców przywie-
zione tu z wojennej pożożi na
polskich ziemiach wschod-
nych przez założyciela szkoły
ojca Józefa Jarzębowskię.
Jakże wymownie pośród tych
narodowych pamiętek za-
brzmiało trzynieckie „Gaude
Mater Polonia”!

Polskiej społeczności
w Londynie po raz pierwszy
„Hutnik” i towarzysząca mu
Smyczkowa Orkiestra Kame-
ralna zaprezentowali się
w niedzielę 25 maja. Wystą-
pili podczas Mszy św. w ko-
ściele polskim pod wezwa-
niam NMP Matki Kościoła na
Ealingu. Drugi z londyńskich
koncertów miał miejsce tego
samego dnia w kościele MB
Częstochowskiej na Devonii.
I tu szczególnie wzruszająco
zabrzmiała otwierająca wy-
stęp pieśń „Gaude Mater Po-

lonia”. Słuchali jej nie tylko licznie
przybyli do kościoła rodacy. Słuchały
jej postaci żołnierzy Polskich Sił
Zbrojnych na Zachodzie zdobiące po-
święcone zmaganiem Polaków o su-
werenność witraże Adama Bunscha.
Słuchały jej umieszczone w ołtarzu
głównym patriotyczne wota — wśród
nich posrebrzany orzeł, dar prezyden-
ta Raczkiewicza oraz szabla, dar ge-
nerała Sikorskiego. Koncert ten był
ogromnym przeżyciem zarówno dla
żyjących poza granicami ojczyzny
Zaolzian, jak i ich londyńskich go-
spodarzy.

— *Kościół na Devonii chcemy
utrzymać jako centrum kultury pol-
skiej, chrześcijańskiej kultury pol-
skiej. Swym pięknym występem doda-
licie nam otuchy, ducha zachęty dla
naszych młodych. My też mamy chór,
ale nie tak dobry, jak „Hutnik”. Na
razie na tak ambitny program pozwo-
lić sobie nie możemy, ale obiecuję, że
poćwiczmy i potem przyjedziemy na
Zaolzie — mówił trzynianom, dzięki-
jąc za występ, ks. Teodor Poloczek.*

Wielkim wydarzeniem tournée był
koncert „Hutnika” i Orkiestry w kate-
drze w Winchester, który odbył się 28
maja. Winchester jest pierwszą histo-
ryczną stolicą Anglii. Tu do naszych
czasów przetrwała romańsko-gotycka
katedra, której początek datowany jest
na 1079 rok — dziś najbardziej presti-
żowe w Wielkiej Brytanii sakralne
miejsce koncertowe. Mury winchester-
skiej katedry, które stały się schronie-
niam m.in. dla prochów królowej Em-
my, córki Bolesława Chrobrego, pol-
skiej żony króla Canute’a, rozbrzmiały
m.in. pieśniami polskich kompozyto-
rów: hymnem „Gaude Mater Polonia”
w opracowaniu Klonowskiego, psal-
mem 77 do muzyki Gomółki i utwora-
mi „Totus pulchra es Maria” oraz „La-
etatus sum” Gorczyckiego.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

Dom Korfantego



Dla zwyczajnych przechodniów jest to po prostu stara willa, jakich w tej okolicy Katowic wiele. Dzisiaj mieści się w niej przedszkole. Niedługo w tym domu na rogu Powstańców i Sienkiewicza mieszkał Wojciech Korfanty z rodziną, co dokumentuje wmurowana we frontową ścianę tablica pamiątkowa.

Jednak tablicę informującą, że w tym katowickim domu mieszkał w latach 1923—1939 Wojciech Korfanty odsłonięto dopiero w 1989 roku, w pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci. Wcześniej tylko starzy, rodowici katowiczanie, a i to nie wszyscy, wiedzieli o tym modernistycznym domu, że należał do rodziny Korfantych. Wiadomo, przez kilka powojennych dziesięcioleci komunistyczne władze starały się zacierać ślady po górnośląskim przywódcy, a samą willę zabrano nieprawnie wdowie Elżbiecie Korfantowej, która powróciła po wojnie do kraju.

Dzisiaj ta willa wygląda w zasadzie tak samo, jak za czasów Korfantego. Jest to willa piętrowa, zbudowana z czerwonej cegły, którą mniej więcej do wysokości pierwszego piętra pozostawiono bez tynku. Pod spadzistym dachem znajdują się jeszcze rozległe strychy; także piwnice zostały zaprojektowane z myślą o celach użytkowych. W ten sposób niby piętrowa willa posiada w istocie cztery kondygnacje. Kończy się rozległym tarasem na wysokości pierwszego piętra wychodzącym w stronę ulicy Sienkiewicza na ogród porośnięty drzewami. Zwłaszcza od strony Sienkiewicza można ocenić, iż willa jest potężna i rozległa.

Jak dawniej, tak i obecnie do domu Korfantego wchodzi się od ulicy Powstańców, po kamiennych schodach. Za małą sienią znajduje się kwadratowy hall, z którego prowadzą schody na piętro. Po lewej stronie hallu znajdowały się biblioteka, gabinet Wojciecha Korfantego, potem duży salon, jadalnia i pokój mieszkalny. Z kuchni, mieszczącej się w piwnicy, posiłki podawano na górę przy pomocy windy. Ponadto w piwnicy były pokoje dla służby, pralnia i nawet osobna lodownia. Również na piętrze znajdowały się duże sale i mniejsze zakamarki. Dzisiaj całą willę zajmuje miejskie Przedszkole nr 33.

Dzieje domu Korfantego sięgają początku naszego stulecia. Z dokumentacji budowlanej wynika, że willa została zaprojektowana w 1907 roku przez budowniczego Paula Frantziocha, w następnym roku policja budowlana zatwierdziła plany i rozpoczęła się budowa. W latach 1912—1913 willa była gotowa. Do czasu przyłączenia miasta do Polski w 1922 roku, należała ona do wspomnianego budowniczego Frantziocha, a przez Korfantego została nabyta w 1923 roku. Z dokumentacji budowlanej wynika jeszcze, że w maju 1924 roku władze budowlane miasta zezwoliły Korfantemu na przebudowę domu.

Z pewnością kupno domu i jego przebudowa kosztowały niemało. Jednak w tym okresie Korfanty stał się na Górnym Śląsku osobistością wpływową, powiązaną z interesami przemysłu. Już w 1922 roku został prezesem rad nadzorczych Banku Śląskiego i Skarbofermu, czyli potężnego polsko-francuskiego koncernu węglowego, a potem członkiem rad nadzorczych wielu innych przedsiębiorstw przemysłowych. Zapewniało to oczywiście znaczne dochody, pozwalające na kupno i przebudowę domu.

W tym domu na rogu Powstańców i Sienkiewicza Korfantowie zamieszkiwali aż do 1939 roku, lecz samego Wojciecha Korfantego nie zawsze można było w nim zastać. Wystarczy tu wspomnieć, że przywódca górnośląskiej chadecji aż cztery lata (1935—1939) spędził przecież na wygnaniu w Pradze. Ale wcześniej ściany domu musiały być świadkiem wielu poufnych konferencji politycznych. To w tym domu dwukrotnie aresztowano Korfantego, najpierw w 1930 roku, a potem — po powrocie z emigracji — w kwietniu 1939 roku. To w tym domu, w hallu na parterze, wystawiono ciało zmarłego w 1939 roku polityka. I stąd właśnie, w dniu 20 sierpnia 1939

roku, wyruszył kondukt pogrzebowy Korfantego, który po drodze na cmentarz zamienił się w potężną manifestację, największą jaką kiedykolwiek na Górnym Śląsku oglądano.

Niewiele później, we wrześniu 1939 roku wdowa Elżbieta Korfantowa znalazła się na emigracji, podobnie jak później syn i obie córki. Dom Korfantego opustoszał, a potem zajęli go niemieccy urzędnicy, którzy mieszkali w nim przez okres okupacji. Po wojnie Elżbieta Korfantowa wróciła do Katowic, lecz ze swego własnego domu została wyekskmitowana. Nowe władze przydzieliły najpierw willę wojskowemu sądowi garnizonowemu, a następnie zakwaterowały się w niej biura przedsiębiorstwa transportowego z resortu górnictwa. Wreszcie w 1957 roku do domu Korfantego wprowadzono przedszkole, które znajduje się w nim do dnia dzisiejszego.

Z różnych stron słyszy się coraz częściej głosy postulujące stworzenie w tym domu muzeum Wojciecha Korfantego. Ostatnio z ponowną inicjatywą wystąpił w tej sprawie prezes Związku Górnośląskiego, poseł Jerzy Wuttke, który proponuje stworzenie muzeum Wojciecha Korfantego jako żywej placówki zajmującej się nie tylko spuścizną Korfantego, ale także działalnością naukową i popularyzacyjną. Swoje muzea posiadają przecież Józef Piłsudski, Ignacy Paderewski, Wincenty Witos, także Władysław Sikorski. Nie byłoby niczym zdrożnym muzeum Korfantego, skoro wracamy ciągle do jego postaci, jako niewątpliwie największego polityka na Górnym Śląsku w naszym stuleciu.

Z pewnością sprawa warta jest realizacji. Dom Korfantego stoi na rogu Powstańców i Sienkiewicza prawie nie zmieniony od dziesięcioleci. I mógłby służyć pamięci Korfantego nie tylko w sensie symbolicznym.

JAN F. LEWANDOWSKI

Po pięćdziesięciu latach istnienia Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Katowicach w czerwcu br. otrzymało imię Józefa Pankiewicza. Tablicę pamiątkową wmurowano w jeszcze surową ścianę nowego gmachu szkoły. Jest nadzieja, że przyszły rok szkolny (98/99) rozpocznie się w nowo wybudowanym Zespole Szkół Artystycznych, w którym prócz „plastyka” znajdzie swoje miejsce Liceum Muzyczne im. K. Szymanowskiego. Wiele lat trwała batalia tych dwóch szkół o zmianę warunków nauczania. Obydwie, jak dotąd, są tylko gośćmi - jedna w Akademii Ekonomicznej, druga w Akademii Muzycznej.

Nowy obiekt, którego projekt autorstwa architektów H. Buszko i A. Franty powstał w 1992 r., spełnia wymagania nowoczesnego obiektu przeznaczonego dla kształcenia w kierunkach artystycznych. Co ważne, dzięki sali koncertowej, galerii, pracowniom i obiektom sportowym będzie służył mieszkańcom osiedla, w którym został zlokalizowany. Wreszcie i Katowice - stolica województwa - doczekały się po wielu dziesiątkach lat staran reprezentacyjnego obiektu, godnego tak szacownych placówek.

Warto przypomnieć, że mury tychże szkół opuściło wielu późniejszych wybitnych artystów. Wśród absolwentów PLSP znajdują się m.in. Zygmunt Lis, Henryk Waniek, Jerzy Pitera, Roman Polański, Roman Kalarus. Z kolei Liceum Muzyczne szczyt się takimi wirtuozami i kompozytorami jak Wojciech Kilar, Witold Szalonek, Krystyna Szostek-Radkova, Krystian Zimerman.

Liceum Muzyczne w swej historii miało więcej „szczęścia” do lokum, bowiem - mimo skromnych i trudnych warunków, nie musiało jak PLSP przeprowadzać się wiele razy. Początkowo mieściło się przy ulicy Stawowej, po kilku latach zostało przeniesione na ulicę Wita Stwosza, a następnie - gdzie mieści się do dzisiaj - na ul. 1 Maja. Z kolei warsztaty - pracownie rozproszone pomiędzy ulice Warszawską (w oddaleniu od szkoły) i Kościuszki. Tak pozostało do dzisiaj. Los szkoły nie był w centrum zainteresowania decydentów z lat minionych aż po 1989 r. Wtedy to dyrektorka PLSP Irena Rączka rozpoczęła ostateczną batalię o nową szkołę i godziwą jej lokalizację. W tym samym roku Sejmowa Komisja Budżetowa zaproponowała środki na budowę PLSP w Katowicach. A ponieważ łatwiej walczyć o coś w zwartym gronie, dlatego do pomysłu budowy kompleksu zwanego Zespołem Szkół Arty-



Uroczystość nadania PLSP imienia Józefa Pankiewicza. Przemawia dyrektor szkoły Irena Rączka.

Wkrótce będą na swoim

stycznych dołączyło Liceum Muzyczne. Dziś wspólnie oczekują na magiczną datę 1 września 1998 roku. - *We wrześniu ma być oddana do użytku część dydaktyczna dla obydwu szkół - mówi Irena Rączka. Przy czym nasza koegzystencja pod jednym dachem sprowadzać się będzie do wspólnego użytkowania obiektów sportowych, natomiast każda szkoła dysponować będzie swoją niezależną częścią gmachu. Oczywiście, jak spodziewam się, będziemy co dzień współpracować z muzykami, co czynimy zresztą od dawna. To rozdzielenie spowodowane jest także różnymi wymaganiami technicznymi - szkoła muzyczna musi być wyciszona. Cieszy fakt, że wreszcie nasi uczniowie będą mogli w lepszych warunkach nie tylko pracować, ale także eksponować swój dorobek. W chwili obecnej istnieje możliwość organizowania wystaw i*

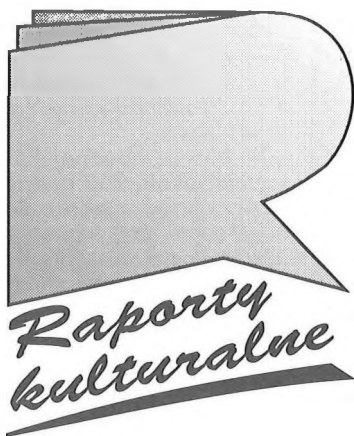
nad połowa absolwentów). Młodzi ludzie nie zawsze są zdecydowani na uprawianie zawodu plastyka, ich krąg zainteresowań jest znacznie szerszy. Wielu jednocześnie uczy się muzyki, interesuje przedmiotami ścisłymi, humanistycznymi, bywają aktorami. Dlatego zadaniem szkoły jest rozbudzanie różnych talentów i samorealizacji uczniów. Poznają oni podstawy różnorodnych technik plastycznych, a zainteresowania dopasowują do indywidualnych predyspozycji.

Obchody jubileuszu 50-lecia szkoły rozpoczęły się jeszcze w 1996 r. a złożyły się na nie liczne wystawy w siedzibie szkoły, Muzeum Historii Katowic, sesja popularno - naukowa poświęcona Józefowi Pankiewiczowi oraz wspólne prace plastyczne i plenery malarskie w Katowicach i Kazimierzu Dolnym (ulubionym przez młodych artystów i nauczycieli zakątku kraju) młodzieży z PLSP oraz Berlina i Bochum (kwiecień 1997). W czerwcu tego roku szkoła otrzymała imię Józefa Pankiewicza - wybitnego artysty, humanisty, pedagoga i niestrudzonego organizatora życia artystycznego oraz własny sztandar. Uroczystościom towarzyszyła wystawa prac absolwentów i nauczycieli PLSP. To nie była rywalizacja ale pokaz rozwoju talentów, oryginalnych spojrzeń - mimo różnicy pokoleń, współistnienie na jednej płaszczyźnie zawodowej. Po prostu partnerstwo.



Taki będzie finał Zespołu Szkół Artystycznych - makieta nowego obiektu.

WIESŁAWA
KONOPELSKA



MARIAN KISIEL

Górnośląski ruch wydawniczy

Za kilkanaście lat, kiedy wszystko wróci do jakiejś takiej normy, zapewne inny będzie ogląd dzisiejszego ruchu wydawniczego na Górnym Śląsku. Być może nie tylko postronny obserwator, ale także zawodowy badacz powie, że po transformacji ustrojowej w roku 1989 nasz region odzyskał swoje naturalne oblicze również w zakresie wydawnictw książkowych. Ale dzisiaj, kiedy rozterki pisarskie są wielkie, a możliwości wydawnicze wciąż niezbyt dokładnie określone (a nadto, przy braku konkurencyjności poszczególnych oficyn wydawniczych, zainteresowanie wartościową książką tutaj powstałą - niewielkie), wydaje się, że ten bilans nie równoważy się tak prosto.

Ktoś powie, że zawsze tak było. Że między stanowiskiem prezentystycznym a tym, formułowanym po latach - zgody być nie może. To prawda. Lecz prawdą jest i to, że żaden z twórców nie żyje dla przyszłości, ale określa swój byt wobec zmiennego rytmu teraźniejszości. Gdyby żył tylko dla nieznanego czasu - czy mógłby pisać dla kogokolwiek?

Po przełomie: zyski i straty

Niewątpliwym zyskiem rynku wydawniczego po przełomie ustrojowym roku 1989 było zrobienie centralistycznej polityki kulturalnej i dominującej na rynku księgarskim roli wydawnictw warszawskich. Wydawnictwa stare, prestiżowe i z wybitnym dorobkiem edytorskim musiały liczyć się odtąd z faktem, iż nie są jedynym miejscem, do którego autor będzie zwracał się ze swoją książką. Warunki ekonomiczne zmusiły oficyny doby realnego socjalizmu do określenia na nowo swojego profilu. Interesująca książka nie mogła być już przetrzymywana przez lata na redakcyjnym stoliku, musiała ukazać się względnie szybko, aby nie została oddana do druku w konkurencyjnej firmie.

Tych przybywało w szybkim tempie. Nie wszystkie radziły sobie w nowych warunkach, ich plan wydawniczy był początkowo skromny, dorobek nie zawsze zadowalający wybrednego czytelnika (drukowano głównie literaturę popularną i sensacyjną), lecz przecież nie można niedocenić i tego, że młode i nieznanne dotąd wydawnictwa wprowadziły na rynek księgarski wiele pozycji, których do-

tań w takim wymiarze nie było. W tym ich wielka zasługa.

Straty też były jednak widoczne. Rozbicie dotychczasowego rynku wydawniczego zaowocowało zwolnieniami zastąpionych i wybitnych redaktorów, którzy nad książką czuwali od momentu jej złożenia do oficyny. Pojawiły się w efekcie książki właściwie przez nikogo nie redagowane, pełne usterek technicznych, źle składane, pozbawione w większości profesjonalnej oprawy graficznej lub po prostu oprawiane byle jak (szaro, tanio, bez gustu). Książka stała się towarem popularnym (podobnie jak w socjalizmie), nieluksusowym. Miała sprzedawać się szybko i w wysokich nakładach (niska cena odpowiadała w efekcie słabej jakości wyrobowi). Trzeba było czekać przynajmniej jedno pięciolecie, aby zrozumiano, że tego typu działania niczemu nie służą, że książka winna czekać na swojego czytelnika niejednokrotnie dłużej i że wyrób słabej jakości raczej odstrasza niż przyciąga kupującego.

Śląsk: brak konkurencyjności

Po przełomie ustrojowym 1989 roku nie wykształciło się na Górnym Śląsku żadne wydawnictwo książkowe, które można by nazwać konkurencyjnym wobec podobnych profilem oficyn. Jest rzeczą zdumiewającą, że tutaj, gdzie jest dość dobre zorganizowanie drukarni i agencji reklamowo-artystycznych (a więc istnieje baza techniczna), gdzie jest znaczący odsetek czytającej społeczności - bez walki zostało oddane pole dla innych, bardziej zapobiegliwych i zaradnych, domów wydawniczych, cierpiących przecież na takie same choroby (tytułów, finansów, czytelnika). Górny Śląsk stał się terenem zdominowanym przez książki wydawane w innych regionach, staranniej opracowywane i lepiej reklamowane w różnego rodzaju mediach.

Ten brak konkurencyjności w efekcie nie dał na siebie długo czekać. Lepiej opiniowana książka z zewnątrz, skutecznie nagłaśniana w prasie, szerzej (i taniej) propagowana - wyparła książkę tutaj wydawaną. Przecież - książkę niezłą, a niejednokrotnie poszukiwaną przez odbiorcę, lecz po prostu zepchniętą w niebyt przez wydawcę, nie mogącego lub nie potrafiącego przebić się na ogólnopolski rynek.

Brak informacji

Największym mankamentem dzisiejszych wydawnictw na Górnym Śląsku jest brak jakiejkolwiek informacji o ich planach edytorskich oraz pozycjach, które już zostały wydane. W odróżnieniu od innych oficyn (np. krakowskich - Wydawnictwa Literackiego i „Universitasu”, drukujących wyczerpujące i luksusowe informatory), w województwie katowickim właściwie trudno rozeczać się w dorobku poszczególnych oficyn. Jedynie bodaj Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego i „Videograf II” dbają o promowanie swojej książki, inne oficyny czynią to niejako wstydliwie i bez widocznych efektów. Również na dorocznych - warszawskich Targach Książki promocja ta nie jest imponująca. Zauważa się brak jakiejkolwiek polityki reklamowej, która mogłaby przyciągnąć czytelnika zarówno do wydawnictwa, jak też autorów z nim związanych.

Brak informacji widać również w mediach. Wydawnictwa górnośląskie z reguły nie zamieszczają w prasie reklam swoich pozycji (wyjątkiem są tutaj tylko „Książnica” i „Videograf II”), nie starają się dotrzeć do czytelnika poprzez najbardziej popularne czasopisma. Jeżeli już zamieszczają jakąkolwiek informację, czynią to raczej na łamach prasy centralnej, pomijając lokalne dzienniki i miesięczniki. A przecież jest zrozumiałe dla każdego, że - głównie ze względów finansowych - właśnie na własnym terenie opłaca się tworzyć lobbying czytelnicy, inwestować w kolportaż i sieć księgarską. Zwłaszcza, gdy teren ten jest chłonny i zdolny przyjąć większą część produkcji wydawniczej.

Wiąże się to również z omówieniami książek na łamach prasy. Wprawdzie profesjonalnie zorganizowany dział recenzji w czasopiśmie opiera się na doborowej grupie krytyków, opiniujących pozycje ich zdaniem wartościowe, niemniej do zadań takiego działu należy także zamawianie recenzji. Ignorowanie przez wydawcę pism kulturalnych, nieprzesyłanie na adres redakcji egzemplarza recenzyjnego (kto jeszcze pamięta o takim relikwie?), przyczynia się w efekcie do tego, że nawet wartościowa książka nie zawsze była recenzowana w prasie branżowej (a recenzja, przypomnijmy, jest skuteczniejszą reklamą dla książki niż ich bezbarwny wykaz w ramce ogłoszeniowej).

Dystrybucja

Wkraczamy tutaj na pole najbardziej kłopotliwe - dystrybucję. Borykają się z nią wszystkie wydawnictwa, nie rozwiąże też tego problemu pióro publicysty. Wydaje się jednak, iż - podobnie jak w przypadku reklamy - jedną z przyczyn niedoskonałej obecności książki w obiegu czytelnictwem na Górnym Śląsku jest pozostawienie jej wyłącznie do dyspozycji księgarzy (ten zawód także dopiero się u nas kształtuje na nowoczesny sposób), zrezygnowanie natomiast z własnych stoisk w dużych i prestiżowych księgarniach (bądź z własnych księgarni). Trudno może tę winę zwać wyłącznie na wydawców (choć można wskazać wiele oficyn dbających o stałe miejsce sprzedaży własnych książek), pewnie pretensje trzeba kierować również do władz miasta (np. do stołecznych Katowic), które - zgodnie ze swoim statutowym obowiązkiem - winny dbać o upowszechnianie wartości kultury lokalnej. Wydawnictwa również należą do tej sfery kultury, jakkolwiek z natury swej są komercyjne i samodzielne prawnie.

Przegląd wydawnictw

Po tych, dość cierpkich, uwagach przejdźmy do prezentacji ważniejszych wydawnictw województwa katowickiego.

1. Stałe miejsce od lat zajmuje w pejzażu górnośląskim **Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego**, oficyna - z definicji - związana z uczelnią humanistyczną i publikująca szereg książek z dziedziny literatury. Można z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że dzięki temu domowi wydawnictwemu uratowana została na Górnym Śląsku krytyka literacka i naukowa, gdzie indziej - czyli w wydawnictwach komercyjnych - mająca raczej niewielką szansę na jakiegokolwiek zaistnienie. Rzecz o tyle jest interesująca, że wraz ze zmianami stylów pisarstwa naukowego (zanikiem analizy strukturalnej, popularnością hermeneutyki, krytyki postmodernistycznej i feministycznej), nie przyszła zmiana optyki wydawniczej. W efekcie - humanistyczny ośrodek górnośląski, jeden z czołowych w Polsce, nie zyskując zainteresowania wśród tułających wydawców, musiał szukać miejsca druku poza Śląskiem i - tam je znalazł.

2. Przez pewien czas funkcję oficyny naukowej spełniała, wyodrębniona z dawnego wydawnictwa „**Śląsk**” - spółka pod tą samą nazwą. To tutaj ukazywały się na początku lat dziewięćdziesiątych - dotowane z grantów uniwersyteckich, Komitetu Badań Naukowych i Ministerstwa Edukacji Narodowej - książki śląskich naukowców. Podobnie jak wzmiankowana niżej „**Książnica**”, „**Śląsk**” skoncentrował się głównie na pozycjach humanistycznych (również - albumowych), choć tutaj także ukazało się kilka książek prozatorskich autorów katowickich i zainicjowane zostały (ciekawie rozwijające się) serie krytyczno-naukowe „**Sylwetki pisarzy XX wieku**” oraz „**Epizody**”. Dzisiaj ta oficyna publikuje mniej (choć - jak zawsze - bardzo starannie), prawdopodobnie szukając dla siebie miejsca w nowych warunkach wydawniczych.

3. „**Książnica**” podobnie jak „**Śląsk**” również uległa podzieleniu. Działająca dzisiaj prężnie spółka wydawnicza pod tą samą nazwą trwale zaznaczyła się w pejzażu księgarskim. Walorem publikowanych przez „**Książnicę**” pozycji jest ich szeroki adres czytelnicy. Oficyna specjalizuje się głównie w nowych opracowaniach szkolnych kanonu polskiej literatury, ale także wydaje szereg książek krytycznych. Ścisły związek z humanistyką uniwersytecką zaowocował książkami kompetentnymi i poczytnymi. Zwraca także uwagę wysoka jakość edytorska poszczególnych tytułów. Można powiedzieć, że podobnie jak - charakterystyczny niżej „**Videograf**” - jest to jedna z dwóch prestiżowych dzisiaj oficyn górnośląskich.

4. „**Videograf**” (dzisiaj: „**Videograf II**”) jest może bardziej widoczny od „**Książnicy**” i w swojej działalności bardziej spektakularny. Głównym jego profilem jest publikowanie poczytnych książek o charakterze encyklopedycznym (różnego typu: serie popularnych encyklopedii kieszonkowych, repertoria literackie, leksykony filmowe, itp.), ale także wydaje się tutaj klasykę literatury światowej i głośne książki biograficzne (np. gwiazd filmowych). Wydawnictwo nie promuje raczej autorów nieznanymi (choć i od tego odstępuje), jest jedną z niewielu oficyn na Górnym Śląsku, która wiąże z sobą krytyków i tłumaczy, rozumiejąc iż właśnie taki związek jest na dłuższą metę opłacalny, ponieważ może zaowocować nowymi propozycjami edytorskimi.

5. Wydawnictwo książkowe **Towarzystwa Zachęty Kultury**, jakkolwiek stanowiące niewielką część w ogólnych planach tej instytucji, zdobyło swoją wysoką pozycję w regionie głównie dzięki publikacji książek literackich, zwłaszcza autorów młodego pokolenia. Kilkadziesiąt tytułów poetyckich, prozatorskich, publicystycznych i naukowych, zainicjowanie nowego periodyku historycznego „**Silesia Superior**”, a także współudział w ukazywaniu się dwóch czasopism kulturalnych - miesięcznika „**Górnośląski Dziennik Kulturalny**” i kwartalnika „**Wyrazy**” - wydanych systematycznie po roku 1993, pozwoliło w nowej sytuacji kultury odnaleźć się wielu pisarzom i naukowcom, którzy nie potrafili przebić się przez szybko komercjalizujące się wydawnictwa. Mankamentem początkowej działalności „**Zachęty**” była jej swoista „**rozrzutność**” w zakresie publikowania książek różnej rangi. Jakkolwiek nie wszystkie pozycje zasługiwały może na osobny druk, to przecież nie da się ukryć i tego, że „**Zachęta**” stała się w pewnym momencie jedynym miejscem dla autorów, poszukujących nie tylko oficyny, ale także sponsora. Wydawnictwo, z reguły drukujące książki własnym sumptem, inicjowało różnego typu konkursy, w których wylaniało nowych autorów, stymulowało pojawienie się niektórych imprez literackich, stałe też uczestniczy w majowym kiermaszu książki, organizowanym od kilku lat w katowickim Parku Kościuszki.

6. Wydawnictwo „**Księgarnia św. Jacka**”, niegdyś również uczestniczące w publikowaniu literatury pozakatolickiej, dzisiaj głównie koncentruje się na pozycjach związanych z religią, jakkolwiek okazjonalnie można również spotkać w jego dorobku wartościowy esej filozoficzny, wydawnictwa encyklopedyczne czy literaturę popularnonaukową. To oficyna typowo „z programem”, adresująca swoje książki

do znanego czytelnika i oczekująca na książki, które tego czytelnika zainteresują.

7. Gliwicka oficyna „**Wokół Nas**”, starując jeszcze w obiegu podziemnym, początkowo miała szeroką ofertę wydawniczą. Publikowała książki metodyczne i krytycznoliterackie, antologie i tomiki poezji, przekłady z literatury niemieckiej. Dzisiaj, słabiej obecna na rynku, koncentruje się głównie na działalności przekładowej, a do jej zasług należy zainicjowanie druku dzieł Horsta Bienka.

8. Na początku lat dziewięćdziesiątych bardzo silną pozycję miał „**Akapit**”, którego oferta wydawnicza wydała się modelowa. Oficyna, publikując w dużych nakładach literaturę popularną, postanowiła również promować nową prozę polską - trudną i właściwie dla koneserów. Ścisły związek wydawnictwa z miesięcznikiem „**Twórczość**” zaowocował serią kilku książek w świetnej oprawie Stasysa Eidrigeviciusa i z rekomendacjami wybitnych krytyków. Po nagłej bessie „**Akapitu**” serię tę przejął warszawski Państwowy Instytut Wydawniczy, katowickie wydawnictwo natomiast tak szybko jak się pojawiło - zniknęło z krajobrazu księgarskiego.

9. Oficyny środowiskowe oraz te, związane z instytucjami kulturalnymi - zaznaczają swoją obecność w pejzażu górnośląskim słabiej i raczej okazjonalnie. Do ważnych wydawnictw tego typu należy zaliczyć zwłaszcza **Wojewódzką Bibliotekę Publiczną**, **Bibliotekę Śląską** oraz **Muzeum Śląskie**, publikujące regularnie książki, broszury i poradniki literackie, historyczne oraz kulturoznawcze. Wagę tych publikacji trudno przecenić, tym bardziej, że koncentrują się one głównie (choć nie wyłącznie) na problematyce kultury, historii, języka i literatury Śląska i Zagłębia - wciąż przecież niedoskonałe znanej i oczekującej na właściwe, obiektywne opisanie.

10. Odnotować trzeba tutaj również pojawienie się w ostatnich latach **wydawnictw związków twórczych** (Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Związku Literatów Polskich), a także mniejszych oficyn - jak np. sosnowiecki Offmax - nieregulnie publikujących wartościowe książki autorów ze środowiska śląskiego. Takich wydawnictw jest nawet sporo, lecz wiedza o ich działalności jest z reguły niepełna i wybiórcza.

Konkursy wydawnicze

Na koniec wspomnijmy o nowej ofercie, kierowanej do wydawców i autorów przez władze państwowe i samorządowe Górnego Śląska. Mowa o Konkursie na przedsięwzięcie kultury i Programie Wydawniczym Wojewody Katowickiego oraz o Konkursie Inicjatyw Kulturalnych Rady Miejskiej Katowic i „**Bibliotece Katowickiej**”, prestiżowej serii wydawanej pod patronatem Prezydenta Katowic. To nowe zjawiska na mapie kulturowej Górnego Śląska, które zaowocowały już wieloma publikacjami, subsydiowanymi właśnie z funduszy wojewódzkich i miejskich. Mimo niedługiego czasu ich istnienia, zapisały się one bardzo chlubnie w świadomości edytorów i środowiska autorskiego. Najprawdopodobniej mechanizm funkcjonowania tego typu oferty będzie dłuższy i sprzyjający rozwojowi górnośląskiego ruchu wydawniczego.

Ukazał się ostatnio oczekiwany od dłuższego czasu album grafik Tadeusza M. Siary „Listy na lewą rękę”. Edytorsko w całości przygotowany przez autora (koncepcja i opracowanie graficzne) — jest dziełem osobistym o urzekającej urodzie i lirycznym klimacie. Artysta będący „zdeklarowanym” introvertykiem, dziełem tym dobitnie akcentuje swoje, prywatne widzenie świata, jakby nieco anachroniczne, stojące na uboczu współczesnego zgiełku i chaosu w sztuce.

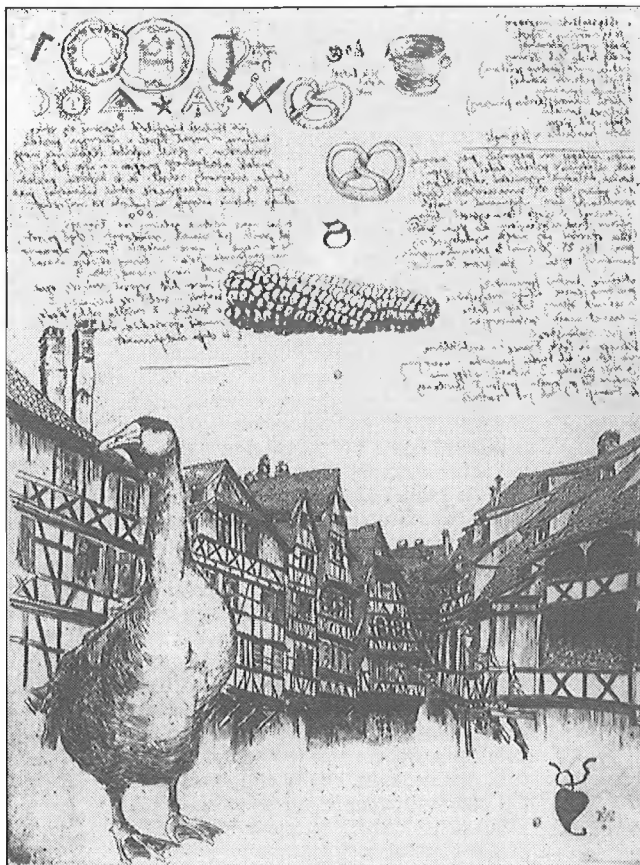
Grafika Tadeusza Michała Siary jest par excellence europejska, wyrasta z kultury i tradycji sztuki naszego kontynentu, nawiązuje do pewnych mitów i motywów historycznych. Jego wewnętrznie ułożone, emanujące spokojem, refleksyjnością akwaforty i akwatinty imponują mistrzowskiemu opanowaniem warsztatu, nasuwając niejako automatycznie skojarzenia z mistrzami miedziorytu tej miary co Dürer, Holbein czy Rembrandt. Kilka lat temu artysta powiedział: „Nie wymyślałam nowej rzeczywistości, ja obserwuję, tę, która jest i ją komentuję. Muszę wiedzieć, w którym miejscu jestem. Nie mam natury, ani ochoty, by dokonywać rewolucji w sztuce. Myślę jedynie o własnym przekazie

(podkreślenie — SAW). Rzeczywistość fizyczna i transcendentna to jest jedność, którą staram się przetwarzać. Mój warsztat jest tradycyjny, ograniczony z wyboru, bowiem uważam, iż ograniczenie środkami formalnymi wzmacnia dyscyplinę twórczą. Używam jednego narzędzia, jednej igielki, ale nie traktuję się jak niewolnik wybranej techniki.”

Dorobek artystyczny Siary, obok prac pojedynczych, czy też wzajemnie uzupełniających się „par”, stanowią cykl akwafort „Listy”, „W Wieży Babel”, „Obserwatorium” i „Wyjścia”. Cykl „Listy” ma znaczenie szczególne, co autor podkreślił, decydując się na ich wydanie albumowe. W katalogu wystawy, jaka miała miejsce w katowickim BWA na początku 1993 roku (Tadeusz Michał Siara „Grafika”), napisał on lapidarnie: „Jest to rodzaj notatnika z niektórych moich podróży, które trwają nadal, wobec tego cykl także ma charakter otwarty”.

Grafika jest w swojej istocie formą wypowiedzi bardzo osobistej. To jej cecha immanentna, wykrystalizowana od momentu zaistnienia. Chcąc posłużyć się porównaniem, na zasadzie per analogiam, odniesieniem do literatury, można grafikę jedynie zestawiać z liryką, z poezją liryczną. W cyklu „Listy” mamy do czynienia z nawiązaniem do europejskiej tradycji literackiej — listów z podróży, pamiętników itp., czyli jest to zamierzone przez artystę wejście w pogranicze literatury i grafiki. Każdy z „listów”, intencjonalnie klarowny, posiada swoją „przeźrzen magiczną” wypełnioną zbiorem znaków — elementów wybranych z przestrzeni „opisywanej”, przetworzonych i uzupełnionych przez artystę tekstem. Stanowi on artystyczną rejestrację osobistych — a jednocześnie, jak się okazuje, uniwersalnych — impresji związanych z danym miejscem, jego tradycją, kulturą i wrażeniami oraz przeżyciami jakich ono dostarczało autorowi tych notacji.

W króciutkim wstępie do albumu Siara napisał m.in.: „Dobiegła końca trzeci miesiąc mojego pobytu w Amsterdamie.



Notatnik osobisty

GRAFIKA

(...) Myślałem już o powrocie... W walizce pozostała mi jeszcze zawerniksowana blacha, ostatnia z tych, które przeznocnie przywoziłem ze sobą... Zabierać z powrotem nie wykorzystaną — trochę dziwne, jakby wstyd. Spróbowałem więc narysować na niej moje stypendialne życie i Holandiję zobaczoną z małej, prywatnej perspektywy. Resztę dopełniłem tekstem. Chciałem wszystko zamknąć w jednej, niewielkiej grafice, różnej od tych, które dotąd zrobiłem. Tak »napisałem« list, który okazał się pierwszym... A potem przyszły kolejne podróże i kolejne »listy« (...). O tych listach zaś można powiedzieć, że to ówczesna na lewą rękę. Przecież serce jest też po lewej stronie.”

„Listy na lewą rękę” można „Lodczytać jako credo artystyczne Siary, jako specyficzny leitmotiw jego całej twórczości i zarazem klucz do jej rozumienia, pomocny w odczycie kodu symbolicznego zawartego w pozostałych cyklach, jak i dziełach pojedynczych „Listu”. Nie są kierowane do konkretnych adresatów, ale wyczuwalna jest w nich intencja, chęć nawiązania „Łączności” z tymi, którzy bliscy duchem i wrażliwością, zechcą je „odczytać”, uznać, iż właśnie do nich były one rytowane i pisane.

Surrealistyczne zestawianie przedmiotów, fragmentów pejzażu podporządkowane jest nie tyle automatyzmowi skojarzeń sennych, lecz mechanizmowi skojarzeń pamięciowych i emocjonalnych. Urok i atmosfera tych prac wynika zarówno z zaskakujących zestawień jak i ornamentyki czysto graficznej, w której swobodnie biegnące kreski, zachwycają lekkością, zwiewnością, bądź tworzą siatkę zagęszczającą całość kompozycji, decydując o jej ekspresji.

W albumie — „Listy” prezentowane są na zasadzie tzw. rozkładówki. Na stronie prawej „list” jako taki, na lewej wydrukowany tekst, który był w nim zawarty. Każdy z tekstów autor uzupełnił bądź zdjęciem osób bliskich, bądź ornamentem, rysunkiem czy grafiką. Wszystkie wprowadzone elementy korespondują bezpośrednio z danym „listem”, rozbudowując go niejako w warstwie znaczeń i relacji emocjonalnych, istotnych z punktu widzenia autora.

Album opracowany został i przygotowany do druku w 1994 roku. Przynajmniej od wtedy trwały uparte starania Tadeusza M. Siary mające na celu jego wydanie. Czteroletniego opóźnienia, cieszymy się wszyscy, iż w ogóle się ukazał, nie mam zamiaru komentować, powiem tylko, że jedynie na Śląsku mamy do czynienia z tak haniebnym zapóźnieniem i lekceważeniem wydawnictw monograficznych, prezentujących dorobek naszych wybitnych artystów.

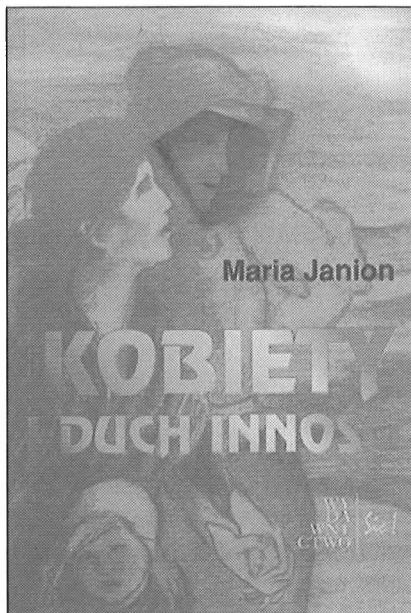
SEWERYN A. WISŁOCKI

Tadeusz M. Siara, „Listy na lewą rękę”. Akwaforty, koncepcja i opracowanie graficzne, tekst — Tadeusz M. Siara. „Śląsk” sp. z o.o., Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 1997 r.

Wśród polskich wypowiedzi feministycznych, słabo zindywidualizowanych, jawnie spóźnionych w stosunku do ruchu zachodniego, który rozwija się dłużej i z satysfakcją porzuca wcześniejsze pozycje, pojawiła się książka wyrazista i ważna. Wyszła ona spod pióra bardzo wybitnej badaczki polskiego romantyzmu i jego nie wygasających ech w polskiej literaturze, kulturze, fantazmatach narodowej wyobraźni. Autorka patrzy na kulturowy fenomen kobiecości, na jego wieloznaczną i ambiwalentną karierę z perspektywy historycznej; przy czym uwaga jej skupia się na wybranych przykładach z literatury polskiej i powszechnej. Na ogół porusza się po terenach rzadko dotąd odwiedzanych. Śledzi np. wyobrażenia ikonograficzne o pochodzeniu jeszcze starożytnym, przyglądając się ich metamorfom w emblematyce politycznej oraz w literaturze, poddanej ciśnieniu polityki. Przedstawia dzieje Bogini Rozumu, Bogini Wolności i wreszcie — Marianny, symbolizującej republikańskie aspiracje Francuzów. Statyczność, wzniosłość, aseksualność pierwszego uosobienia ewoluuje ku dynamiczności, dzikości, seksualności, ludowości drugiego. Natomiast Marianna wydaje się być efektem kompromisu pomiędzy tymi wyobrażeniami, które jednocześnie informują o niejednoznacznym postrzeganiu kobiety w kulturze europejskiej. Jest ona zarówno gwarantką pokoju, stabilizacją, jak zarzewiem konfliktu. Tu raczy nas autorka portretami rewolucjonistów, petrolez, komunardek, postrzeganych przez pisarzy wrogich rewolucjom jako sadystyczne megieri, a przynajmniej — osoby o nadwątlonej równowadze psychicznej (Theroinne de Mericourt). Zastanawiając się nad niebezpiecznymi konotacjami wizerunku zbrojnej kobiety, Janion przypomina zbanalizowany przez szkolne odczytania literatury polskiej, pozornie „oswojony” obraz kobiety-rycerza. W tej partii rozważań oryginalnie i z połosem interpretuje romantyczne wcielenie kobiety rycerskiej, bohaterki sprawy narodowej. Zwraca uwagę na skandaliczność wyboru egzystencjalnego kobiety, która przywdziewając męski strój i zbroję (*casus mickiewiczowskiej Grażyny*) dopuszcza się jawnego przekroczenia normy, łamie społeczny zakaz: wychodzi z sytuacji osoby podporządkowanej mężczyźnie, realizującej się tylko w jego cieniu, a wkracza w rolę kreatorki własnej egzystencji. Za załamanie patriarchalnej reguły zawsze płaci życiem.

W dalszych rozdziałach Maria Janion pokazuje „rewolucyjne” aspekty egzystencji kobiet w polskiej i obcej literaturze: dążenie do wolności, znaczenia, miłości. Z subtelnym wyczuciem szczególnie interpretuje autorka *Ucieczkę*, jedną z mniej znanych, późnych ballad Mickiewicza. Chodzi o parafrazę słynnej *Lenory* Bürgera, która w Niemczech, jak chce tradycja, uTOROWAŁA drogę nowej, romantycznej wrażliwości oraz rewelacyjnej, prostej i emocjonalnej dykcji. Autorka dostrzega w *Ucieczce* wyjątkowy w polskiej literaturze przykład ekstremalnej postawy kobiety w miłości, którą bohaterka utożsamia ze śmiercią-nieskończonością, dobrowoltnie i z rozkoszą zatracając się w niej.

Już te dwa przykłady orientują w kierunkach poszukiwań Marii Janion — su-



Maria Janion: *Kobiety i duch inności*. Wydawnictwo Ślęzak, Warszawa 1996, s. 349, 3 nrb.

Inność i tożsamość

gestywnie zapowiadzianych trafnym tytułem. Zajmują ją kobiety nieprzeciętne, kobiety w których rozpoznaje jakiś nadmiar potencji w stosunku do standardowych ról, stylów zachowań i perspektywy rozwoju, ofiarowanych im przez patriarchalne społeczeństwo. „Ja pospolitą kobietą być nie chcę!” — wołała Pelagia Zgliczyńska, narzeczona Jarosława Dąbrowskiego, pierwowzór płomiennej *Szalonej* (1880) J.I. Kraszewskiego. Zatem — inne kobiety. Lecz w takich właśnie, zbuntowanych, niespokojnych, niesytych życia, wyzwania, dokonania, uczuć — rozpoznaje się niemal każda kobieta współczesna. Myślę, że taki był ukryty zamiar autorki. Chce pokazać czytelnikom zdumiewającą trwałość kulturowych wzmowień i niewzruszoną opór wobec nich ze strony kobiet. Z drugiej strony — w książce Janion z całą drastycznością ukazane zostało ryzyko, na jakie naraża się kobieta bezkompromisowa, ambitnie dążąca do pełnej realizacji swojego talentu, swojego powołania. Pragnąca swobodnego rozwoju.

Trzecią część tomu poświęca autorka przybliżeniu osobowości i sylwetki twórczej młodopolskiej pisarki — Marii Komornickiej. Ta kontrowersyjna poetka, prozaiczka, próbująca swoich sił w dramacie i przekładach, była również przenikliwym i wrażliwym krytykiem literackim. Po trwającym około piętnastu lat okresie intensywnej twórczości na tak różnych polach, uległa załamaniu psychicznemu, uznała się za mężczyznę i dalsze swoje prace sygnowała nowym nazwiskiem: Piotr Odmieniec Włast. Pozostawiła nie wydaną do dziś w całości, obszerną spuściznę rękopiśmienną. Maria Janion w dwóch gruntownych studiach podjęła próbę rewindykacji dla polskiej kultury zarówno niepowtarzalnego do-

świadczenia egzystencjalnego, jak i całej twórczości Komornickiej. W dawniejszym studium „*Gdzie jest Lemańska?!?*” przedstawiono złożone motywy i efekty artystyczne dążenia Komornickiej do „człowieczeństwa”, do czystej spirytualności, bez ziemskiego skażenia jakkolwiek picią. W drugim studium „*Maria Komornicka, in memoriam*” — autorka wcześniejszą tezę modyfikuje: Komornicka pragnie przeobrazić się w mężczyznę, ponieważ męskość jest „lepsza” (Tu podąża Janion za sugestiami R. Zimanda). Szokujący wybór Komornickiej ratuje jej maksymalistyczny projekt istnienia i tworzenia nieosiągalny na płaszczyźnie „normalności” kobiety-pisarki z przełomu XIX i XX wieku.

Maria Janion jest jedną z niewielu autorek rozpraw naukowych, które odważają się demonstrować osobisty stosunek do tekstu. Gdzież moglibyśmy przeczytać takie zdanie: „Jeśli historyk literatury może być szczęśliwy, to ja ogłaszam swoje szczęście z powodu odziedziczenia w polszczyźnie takiego klejnotu, jak *Ucieczka* Mickiewicza”. Ta książka mieni się różnorodnymi efektami: od solidnej udokumentowanej analizy, poprzez osobiste wyznanie po... otwartą proklamację polityczną. Zwracam uwagę na pełną pasji, ciętą interpretację *Absolutnej amnezji* Izabeli Filipiak — a *rebours* wojowniczy manifest nowego wyzwolenia polskich kobiet — tym razem z kompleksu Ifigenii, przymusowej ofiary na ołtarzu ojczyzny. Janion przypomina, że „demokracja jest dotąd w Polsce rodzaju męskiego” (por. stanowisko „Solidarności” w sprawie aborcji — s. 327—328).

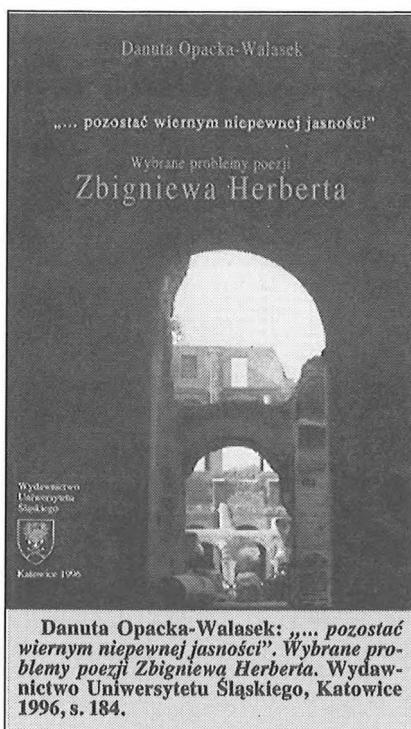
Ważnym polem przejawiania się zapowiadanej tytułem „inności” okazał się krąg swoistych problemów i język najnowszej literatury kobiecej. Tutaj ważne miejsce zajmują teksty autorek niemieckich i francuskich: opisującej perypetie miłości homoseksualnej Nicole Müller, która wchodzi w dialog z Rolandem Barthesem i Héléne Cixous; przedstawiającą mężczyznę jako istotę nieznaną Elisabeth Badinter, autorka książki *XY-De l'identité masculine* (1992), która idąc za nowymi tezami fizjologii utrzymuje, że tradycyjny mężczyzna walczy o swoją tożsamość z tkwiącym w jego genach pierwiastkiem żeńskim. Janion analizuje też ujęcie *Mężczyzny, kobiety i dziejów w Turbocie* (1977) — powieści Güntera Grassa. Pisarz „podejmuje swoją próbę rekonstrukcji głosu mężczyzny poprzez wieki — w konfrontacji z feministycznym dążeniem do usłyszenia głosu kobiety” — streszcza Janion. Dzięki studiom na temat wątków feministycznych w literaturze zachodniej problematyka książki wzbogaca się w nowe, bardziej uniwersalne kąty widzenia. Podążając za autorkami polskimi i obcymi Janion tropi inność biologiczną, intelektualną i emocjonalną kobiet wobec mężczyzn, pomaga im zrozumieć wielorako uwarunkowaną tożsamość. Polecam tę rzecz reprezentantom obu płci. Kobiety wzmożni, mężczyźni — zapewne odrobinę przerażeni. Kto wie, czy — dla symetrii — nie przydałaby się książka opisująca adaptacyjne trudności mężczyzny w świecie przeszywanym zgiełkiem coraz donośniejszych, kobiecych głosów?

KRYSTYNA KRALKOWSKA
- GAŃKOWSKA

Każdy kontakt z książką zaczyna się od okładki. Dobra okładka to połowa wydawniczego sukcesu. W tym przypadku jest ona tak dobra (projekt Zenona Dyrzki), że „ilustruje” to, czym zajęła się badaczka. Przez tytułowy cytat „pozostać wiernym niepewnej jasności”, przez wyłom w głębokiej czerni tła — oko wędruje za światłem w głąb przestrzeni, w której formy okaleczone (resztki konstrukcji zburzonego domu) oczekują naszego podziwu i współczucia. Tak właśnie — od malowniczych, jasnych ruin — zaczyna się kontemplacja piękna — plastyczny znak-drogowskaz wybranych zagadnień problemowych. Pierwsza strona okładki zachęca do podróży w głąb czasu: przez arkadę wchodzimy w arkadyjską przestrzeń sztuki. Strona ostatnia żegna tym samym, lecz pomniejszonym, jakby znikającym, obrazkiem; światełko jasnego nieba kontrastuje z czernią a kształty ruin korespondują z delikatnym rysunkiem kolumny. Okładka zaprasza pod kolumny, do Miasta-kolebki, które ocala wierna pamięć.

Bo jest to książka o wierności i o podróżach, albo inaczej: o fundamentalnych dla Herberta wartościach i poetyckich strategiach moralistyki. Asekuracyjny podtytuł „wybrane zagadnienia” uważam za mylący, gdyż autorka niezmiennie koncentruje się na dwu podstawowych kwestiach: wierności i podróży tę wierność podtrzymującej. Nadto, Danuta Opacka-Walasek czyta Herberta „wiernie”, to znaczy zgodnie z wolą Pana Cogito, wyrażoną w jego testamentie formułą „Bądź wierny. Idź”. W *Przestaniu Pana Cogito* z pozycji autorytetu (jaką wyznacza poetyka testamentu) wypowiada Herbert trzy słowa najważniejsze, w nich bowiem zawiera się program zarówno Pana Cogito jak też autora wewnętrznego.

W dotychczasowej herbertologii zabrakło refleksji nad istotną kwestią budowania autorytetu potwierdzającego wiarygodność przestania, nadającego sens postawie wyprostowanej i poezji tworzącej wartości. Ukonstytuowany w wierszach głos poety dojrzałego — życiowo (po doświadczeniu wojny i stalinizmu) oraz intelektualnie (dzięki erudycji) — od początku tworzy warunki do tego, by stał się on autorytetem. To teza wyjściowa, sprawdzona w kontekście historycznoliterackim (Miłosz-Różewicz-Herbert) i socjologicznym (recepacja poezji Herberta w latach siedemdziesiątych), mocno podparta analizą perswazyjnej taktyki morali-



Danuta Opacka-Walasek: „... pozostać wiernym niepewnej jasności”. *Wybrane problemy poezji Zbigniewa Herberta*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 1996, s. 184.

Wierność, pamięć i podróże

sty. Gdy Miłosz uczy, Herbert zaledwie podpowiada i tę strategię „podpowiadania” przekonująco autorka pokazuje. Być moralnym autorytetem w epoce burzenia zasad nie jest łatwo. Żyjąc w świecie przemian, autorytet, jako zwolennik ładu odrzucający względność, zwraca się ku tradycji, ale robi to ostrożnie i nieufnie. Jest niezłomnym rycerzem oddanym Pięknu, Dobru i Prawdzie, a zarazem burzycielem, który rewidując mity „fałszywe” musi dowieść logiki i sensu bronionego/tworzonego systemu wartości. Zdaniem badaczki Herbert podpowiada, że one są w nas, w sumieniu i w pamięci, tylko trzeba im wyjść na spotkanie. I tu zawężają się główne wątki badawcze Danuty Opackiej-Walasek: autorytet, pamięć, wierność i podróż.

Warunkiem bycia wiernym, czyli warunkiem ocalenia wartości, jest pamięć i podróż. Podróż po Bibliotece, muzeach, ruinach, kontemplacja zabytków w bliskości kultur przechowujących pamięć „kolebki”. Pan Cogito czyta świat jak tekst kultury, każde miejsce odsyła go do przeszłości. A ponieważ celem jego życia - podróży jest powrót do źródeł, wy-

biera Grecję. Uwiedziony harmonią, różnorodnością i mądrością antyku, kartezjańsko wątpi w możliwość odczytania sensu ostatecznego: czy ten „ogród” go uwodzi, czy też zwodzi? O tym pisze autorka w znakomitej, odkrywczej interpretacji *Modlitwy Pana Cogito - podróżnika*. Śledzi też podróż intelektualną, czyli wędrówkę myśli „szlakami wytyczonymi przez mitologię, Biblię, kontemplację przedmiotów, mity dzieciństwa i rodzinnego miasta” i wreszcie podróż teoriopoznawczą, śladem Kartezjusza, Pascala, Heideggera (ich „metody” poznawcze to kolejne etapy „drogi” — sprawdzone, pokonane), czyli nieustanne poznawanie swojego istnienia — bez możliwości poznania istoty bycia.

Wierny idei podróżowania, Pan Cogito stale „idzie”, z hotelowego pokoju (to figura własnego losu), z szarości i ciemności — przez fragment Księgi, kwadrat płótna lub arkadę — wychodzi na spotkanie dawnym mistrzom. Uwiedziony światłem błądzi po ruinach w poszukiwaniu niepewnej jasności. W taką podróż z Herbertem prowadzi nas mądre, pełne błyskotliwych interpretacji studium Danuty Opackiej-Walasek. Czytanie prawdziwe, rozumiejące zaczyna się tam, gdzie krytyk — zbrojny w erudycję i wyraźnie postawione tezy — zaczyna problem drażyć, oświetlać go wielostronnie, sprawdzać sugestie wcześniejszych badaczy. Tak właśnie postępuje autorka, np. wówczas, gdy jawnie polemizuje z Błońskim na temat funkcji ironii, czy też niejawnie — z Barańczakiem, który w doraźnym kontekście politycznym trochę zgubił „wierność” wartościom uniwersalnym.

Mimo tego, że o poezji Herberta wypowiadali się znakomici krytycy, że poświęcono jej wiele cennych artykułów i kilka książek, młodej badaczce udało się powiedzieć coś nowego. Napisła pracę ciekawą, ambitną i bardzo swoją, to znaczy etycznie i myślowo zbieżną z badanym „przedmiotem”. Sądzę, że ta aksjologiczna zgodność zdecydowała o spójności i dojrzałości omawianej pracy. Książka została uhonorowana I Nagrodą Fundacji Stefana Batorego oraz Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk w Konkursie im. Klemensa Szaniawskiego na najlepszą pracę doktorską z dziedziny historii i teorii literatury.

ANNA WĘGRZYŃIAKOWA

Z zainteresowaniem wzięłam do ręki zbiór esejów zebranych przez Andrzeja Gwóździa *Nie tylko filmy, nie same kina...* Pozwala on zapoznać się z historią kinematografii Górnego Śląska, gdzie X muza bujnie rozkwitała od samego początku. Kiedy dotarły tu pierwsze kinematografy, czy to edisonowskie, czy braci Lumiere, już od początku było wiadomo, że sztuka ta musi znaleźć swoje świątynie — kina. *Nie tylko filmy, nie same kina...* to książka historyczno-faktograficzna, po prostu fachowcy zebrali się na sympozjum poświęconym historii śląskiego kina, a potem spisali swoje uwagi, doświadczenia, efekty badań. W części to zresztą prace dyplomowe studentów filmoznawstwa.

W tej książce przewija się jednak nostalgia, chyba świetnie oddał ten nastrój sam Andrzej Gwóźdź w swoim wstępie *Pamięć kina*. To nostalgia za prawdą historyczną, atmosferą, klimatem początków kina. Wojny światowe, i te małe wojny prowadzone na repertuary, na filmy ściągnięte do kinoteatrów polskich szybciej niż do tych, które znajdowały się w niemieckich rękach, to część historii Górnego Śląska. Dobrze, że grupa badaczy postanowiła przedstawić te fakty, by ujrzały dzieńne światło.

Dobrze, że taka pozycja ujrzała światło dzienne, bo dotychczas nikt naukowo nie zajmował się początkami kina na Górnym Śląsku. Swoje monografie mają takie miasta, jak Kraków, Łódź, czy Poznań. Autorami wydawnictwa poświęconego historii poznańskiego kina (*Film w Poznaniu 1896-1945*) są zresztą Małgorzata i Marek Hendrykowscy, których esej *Jak uprawiać regionalną historię filmu?* znajduje się w poświęconym Górnemu Śląskowi i Zagłębiu tomie. Są oni zdaje się wyznawcami teorii znanego francuskiego historyka Ferdynanda Braudela, który twierdził, że wielka historia powstaje w małych odczynach. „W jego pracach widać jak ważna jest metoda zestrzajania różnych perspektyw i punktów widzenia składających się na ów fascynujący pejzaż braudelowskiego multiregionalnego oglądu danego zjawiska” — piszą Hendrykowscy. Ich zdaniem historia X muzy jest jednym z ważnych elementów Wielkiej Historii.

Nie wiadomo, co prawda, kiedy miał miejsce pierwszy pokaz filmowy, czy w Katowicach, czy może w Zabrze — tej tajemnicy ani Andrzej Gwóźdź, ani myszujący po archiwaliach Jan F. Lewandowski odkryć nie zdołali. Nie mieli też łatwego zadania, przez Śląsk bowiem przeszły prawdziwe wichry wojny i powstań, a wiadomo, że nie sprzyjają one dokumentaliom. Dzisiejsza Filmoteka Narodowa powstała dopiero w 1955 roku, w konsekwencji znaczna część materiałów o początkach kina w ogóle przepadła. O trudnościach związanych z wyszukiwaniem materiałów o początkach kina pisze prof. Zbigniew Wyszynski z UJ w szkicu *Na przykład, Kraków*.



Kina, historia, nostalgia

„W niektórych przypadkach jedyną możliwością dotarcia do dokumentacji były kontakty z osobami, które bezpośrednio uczestniczyły w życiu filmowym”. W ten sposób prof. Wyszynski „odkrył” postać prawie zapomnianego Wiktora Biegańskiego, reżysera z lat 20. Wyszynski pisze znamienne słowa o naszym regionie: „Twórcę wkład Śląska w kulturę narodową jest ogromny, a mało znany. Dlatego niezbędne są badania regionalne związane z życiem filmowym Katowic”.

Jan F. Lewandowski w interesującym szkicu *Wojna kinematografów* przedstawia akcje polityczno-propagandowe, które odzwierciedlały ściernie się na Górnym Śląsku dwóch pierwiastków — niemieckiego i polskiego. Obie strony równie szybko dostrzegły jakim wspaniałym narzędziem propagandy może być objazdowe kino i wkrótce — gdy zaczął działać Komisarjat Plebiscytowy w Bytomiu w 1920 roku — powstawały pierwsze celuloidowe historie pokazujące polskość na tych targanych wojnami ziemiach. Filmowano też działania wojenne, między innymi walki na Górze Świętej Anny i w pobliżu Kędzierzyna. Ponieważ kina znajdowały się w rękach niemieckich właścicieli, Polacy zdobywali publiczność kinami „na kółkach”. Jedno z takich kin prowadził Włoch Corsali,

a pracował u niego Jan Poralla, pionier kinematografii na Śląsku, ten właśnie, który wybudował w Zabrze kino „Lichtspielhaus”, czyli działającą do dzisiaj „Romę”. Odbываła się wokół kin swoista wojna wywiadów. Józef Gawrych, szef polskiego wywiadu wspomina, jak to polski szpieg wykradł niemiecki propagandowy film z Berlina. Niewątpliwie to barwne karty kinematografii.

Najwcześniejsze powstawały kina w Katowicach, choć w całym województwie w 1923 roku 49 kinoteatrów czekało na żadną rozrywkę publiczność. Otwarty 5 lat później kinoteatr „Capitol” znajdujący się przy ulicy Plebiscytowej był zresztą oszałamiająco nowoczesny. Mogło w nim zasiąść 1500 widzów naraz, a sprzęt spełniał nawet najbardziej wygórowane techniczne wymagania. Kiniarze walczyli jednak ze Stowarzyszeniem Dozoru Kotłów o zezwolenia na działalność — kina ciągle padały ofiarą pożarów.

W 1925 roku kiniarze zjednoczyli się w Polskim Związku Teatrów Świetlnych na Województwo Śląskie — stawali się swego rodzaju lobby. Już wtedy istniały problemy kin z podatkami. Opodatkowanie było wysokie (cóż, ten trend jest nadal aktualny jeśli chodzi o kina!): 10 proc. podatku od obrotu, 20 proc. od lokalu, 23 proc. na rzecz państwa, a 30 proc. na rzecz gminy. Zysk był niewielki i tylko oddanie X muzie sprawiało, że kiniarze się nie poddawali.

Propaganda, o której wspominają tak często autorzy zebranych przez Andrzeja Gwóździa tekstów została ograniczona dopiero w roku 1930. Zaniknęła wtedy produkcja filmowa w naszym regionie, a sytuacja gospodarcza na tyle się pogorszyła, że nie było środków na produkcję. Trzy lata później powstał Związek Producentów Filmów Krótkometrażowych, który — chcąc podnieść poziom produkowanych filmów — zaczął walczyć z „chałupnictwem”. Branża filmowa na Śląsku wyraźnie podupadała. Próbowano co prawda stworzyć w Katowicach szkołę filmową, nawet Ritta Sachetto-Zamoyska, duńska tancerka i aktorka prowadziła kursy w dziedzinie „przygotowania do filmu i baletu”. Tylko formalnie działała filia Związku Zawodowego Artystów Sceniczných i Filmowych. Fachowców jednak nie było, a w kinematografii śląskiej zapanował regres, który trawił ją jeszcze przez dziesiątki lat.

Być może trudny, naukowy język niektórych referatów nie jest zbyt zachęcający do lektury, ale każdego, kogo ciekawi historia regionu, w którym żyje, kto pasjonuje się filmem, zachęcam do zajrzenia do tej książki.

To pierwsza pozycja poświęcona historii kina na Górnym Śląsku. Dobrze, że kilku badaczy zajęło się tą fascynującą dziedziną. Okazuje się, że historia naszego regionu kształtowała się równolegle z dziejami X muzy.

JOANNA KARWETA

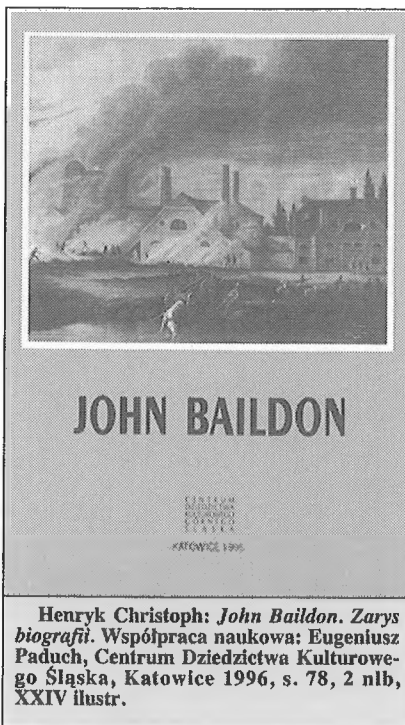
Z dawnych patronów hut i kopalń górnośląskich, nazywanych prze-
ważnie nazwiskami budowniczych albo
głów z dynastii Hohenzollernów, na-
zwisko Johna Baildona należy do tych
niewielu, które przetrwały wszystkie
burze dziejowe. Nazwy huty „Baildon”
nie zmieniali ani Niemcy, ani Polacy,
pewnie dlatego, że osoba przybysza ze
Szkocji, jako neutralna w górnośląskich
sporach narodowościowych, nikomu
nie przeszkadzała.

Nazwisko Johna Baildona nie brzmi
więc dla Górnoszlązaków obco, chociaż
tak naprawdę wiadomo było o nim nie-
wiele. Tę lukę zapełnia popularna bio-
grafia Henryka Christopha, która por-
ządkuje fakty i prostuje błędy. Jest to
publikacja tym bardziej godna polece-
nia, że prezentuje Johna Baildona na tle
dziejów górnośląskiego przemysłu
i wykorzystuje najnowsze badania, jak
choćby prace czeskiego historyka Mila-
na Myški, który opisał mało dotąd zna-
ne przedsięwzięcia Johna Baildona
(i jego brata Williama) na Morawach.

Trudno byłoby przecenić rolę Baildo-
na w dziejach przemysłu na Górnym
Śląsku. Urodził się 11 grudnia 1772 ro-
ku w miejscowości Larbert nad rzeką
Carron w Szkocji. Był synem Williama
Baildona, inżyniera i przedsiębiorcy,
współwłaściciela jednej z hut żelaznych
w okolicach Edynburga. Jego przodko-
wie wywodzili się z miejscowości Bail-
don (stąd i nazwisko) w hrabstwie York
w Anglii i legitymowali się szlacheckim
rodowodem sięgającym rycerza
Hugona Baildona zanotowanego przez
źródła z XII wieku. Szlacheckie pocho-
dzenie nie przeszkadzało Baildonom
w zajmowaniu się hutnictwem, co było
by nie do pomyślenia w ówczesnej
szlacheckiej Rzeczypospolitej.

Na Górny Śląsk młody John Baildon
przybył w 1793 roku, by pozostać tutaj
do końca życia. Pierwszym jego zada-
niem była budowa nowoczesnej huty
w Gliwicach, w której (w 1796 roku)
uruchomiono pierwszy na Górnym Ślą-
sku piec hutniczy opalany nie węglem
drzewnym, lecz koksem. Było to wyda-
rzenie rewolucyjne. Z jednej strony pie-
ce koksowe stwarzały coraz większe
zapotrzebowanie na węgiel kamienny,
dzięki czemu drążono coraz to nowe
kopalnie, a ponadto nowa technologia
uchroniła lasy górnośląskie przed do-
szczętnym wytrzebieciem.

Nazwisko Baildona pojawia się odtąd
przy wielu przedsięwzięciach przemy-
słowych. Do najpoważniejszych nale-
żała budowa huty Królewskiej w miej-
scu, gdzie wyrosło następnie miasto na-
zwane Królewską Hutą (obecnie Cho-
rzów). Była to największa huta na Gór-
nym Śląsku, budowana na zamówienie
rządu pruskiego. Zainstalowano w niej
dwa wielkie piece koksowe, zaprojek-
towane przez Baildona, i wprowadzono
kolejną innowację — po raz pierwszy
zastosowano w hutnictwie maszynę pa-
rową. W ogóle John Baildon jako
pierwszy w Prusach zastosował maszy-



Jeden z Baildonów

nę parową Jamesa Watta w przemyśle,
m.in. w górnictwie i w fabryce porcelany
w Berlinie.

Jego działalność była wielokierunko-
wa. To przecież Baildon zbudował kon-
strukcję jednego z pierwszych na kon-
tynencie europejskim mostów żelaz-
nych (na rzece Strzegomka w Strzego-
miu na Dolnym Śląsku), nieco później
most z lanego żelaza (na Haweli pod
Poczdamem) z konstrukcji odlanej
w hucie Królewskiej. Dziełem Baildona
była także walcownia blachy żelaznej
w Blachowni zbudowana na zamówie-
nie rodu Hohenlohe. Doprawdy, zasługi
Baildona dla przemysłu górnośląskiego
są przeogromne.

Jednak dziełem, które ocaliło jego
nazwisko stała się huta zbudowana
w latach 1823-1830 nad rzeką Rawą,
między wioskami Dąb i Załęże. Była to
inwestycja już nie rządowa, lecz spółki
akcyjnej, do której oprócz samego Bail-
dona weszli trzej inni udziałowcy. Po-
stawiono w niej drugą w Europie pud-
lingarnię, gdzie zastosowano nową,
wydajniejszą metodę produkcji stali
przy pomocy spalania węgla kamiennego.
Hutę nazwano imieniem jego bu-
downiczego. Zaś „Baildonhütte” spo-
duszczono po latach na hutę „Baildon”.
I tak pozostało do dnia dzisiejszego.

Z biegiem czasu związki Johna Bail-
dona ze Śląskiem stały się tak bliskie,
że kupował nawet dobra ziemskie (np.
majątek w Łubiu). Zwłaszcza odkąd
ożenił się z piękną Heleną Galli, córką
bogatego kupca z Gliwic, co ostatecz-

nie przypieczętowało jego górnośląskie
powiązania. Nie powrócił już do Szko-
cji. Gdy zmarł w 1846 roku, pochowa-
no go na cmentarzu w Gliwicach.

Nie był zresztą Baildon jedynym bry-
tyjskim inżynierem w górnośląskim
przemysle. Bywali tu także inni, w tym
bracia Wilkinsonowie, ówczesni poten-
taci hutnictwa angielskiego. Książka
Christopha uzmysławia, jak wielką rolę
odegrali Brytyjczycy w narodzinach
przemysłu na Górnym Śląsku. Dzięki
temu najnowsze brytyjskie wynalazki
i technologie stosowano błyskawicznie
w tutejszym przemyśle. Było to efek-
tem sensownej polityki rządu pruskie-
go, a szczególnie jego przedstawicieli
w osobach Fryderyka Antoniego Hey-
nitsa i Fryderyka Wilhelma Redena,
który właśnie ściągnął Baildona na
Górny Śląsk. W następstwie tej polityki
przemysł górnośląski należał w XIX
wieku do najnowocześniejszych na
świecie. Nie da się tego zaprzeczyć,
niestety, o wieku dwudziestym.

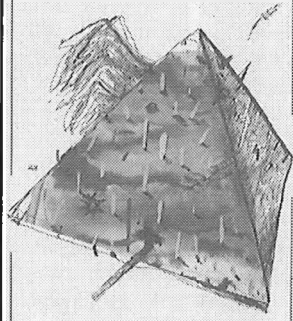
Ta książka o Baildonie jest dziełem
pasjonata, który poświęcił jej wiele
czasu. Zmarły Henryk Christoph był
związany przez lata właśnie z hutą „Bail-
don”, gdzie starał się o utrwalenie pa-
mięci jej patrona. Jako inżynier, Chri-
stoph potrafi właściwie ocenić nowa-
torstwo dzieła swego bohatera. Sprawnie
porusza się po krainie cetnarów, cy-
lindrów i koni mechanicznych, co dla
kogoś pozbawionego wiedzy technicz-
nej byłoby może trudnością.

Wprawdzie książka Christopha jest
niewielka objętościowo, ale niezwykle
starannie przez Centrum Dziedzictwa
Kulturowego Górnego Śląska wydana.
Najpierw zwraca uwagę okładka z re-
produkcją barwnej litografii Emanuela
Wilhelma Knippla przedstawiającą hutę
w Gliwicach, a również w środku znaj-
dujemy sporo ilustracji, poczynając od
barwnego portretu samego Baildona,
a kończąc na zdjęciach grobów jego
i innych członków tej rodziny. Do tego
obszerne aneksy, gdzie pomieszczono
biogramy braci Johna Baildona, Adama
i Williama, oraz dzieje jego potomków
i wreszcie biogramy kilkunastu nowa-
torów techniki współpracujących z Bail-
donem. Do tego tablica genealogiczna
Baildonów i mapki z dziejów przemy-
słu na Górnym Śląsku w pierwszej po-
łowie XIX stulecia. W ten sposób ta
niewielka książka spełnia jednak rolę
kompilacji wiedzy o Johnie Baildo-
nie na tle przemysłu górnośląskiego
w jego czasach.

Myślę nawet, że ta książka mogłaby
stać się wzorcową dla całej serii popu-
laryzującej w podobny sposób inne wy-
bitne osobistości z dziejów dawnego
Górnego Śląska. Takich postaci długo
nie zabraknie, zważywszy na ogromne
zaniedbania w popularyzacji naszego
dziedzictwa kulturowego.

JAN F. LEWANDOWSKI

DORASTANIE DO BŁĘKITU



GRUPA POETYCKA "SŁOWO"

Grupa poetycka „Słowo”: *Dorastanie do błękitu*. Wybrał i wstępem opatrzył ks. Andrzej Gruszcza. Księgarnia św. Jacka, Katowice 1996, s. 87, 1 nlb.

Dorośli do Boga i poezji

Tworzenie grup literackich wyszło z mody. Literaci wolą skupiać się wokół czasopism, które zapewniają możliwość druku. Klasyfikacja i podziałami twórczości poetów i prozaików zajmują się krytycy, nie zawsze równieśnicy. Powstanie w 1995 r. w Katowicach grupy poetyckiej „Słowo” jest więc ewenementem. Tworzą ją ludzie w różnym wieku o rozbieżnych doświadczeniach życiowych. Najstarsi przekroczyli siedemdziesiątkę, najmłodszy dobiegają trzydziestki. Poza wspólnym zamieszkiwaniem w górnośląskiej aglomeracji łączy ich światopogląd, chęć wyrażenia w poetyckim słowie wartości objawionych przez Boga. A zarazem pragną pisać o wszystkim, jak deklarują w manifestie, za czym stoi słowo Stwórca, co tłumaczy nazwę grupy. A że zawiązali działalność przy Wydawnictwie Księgarni św. Jacka w Katowicach, błyskawicznie opublikowali w tej oficynie antologię własnej twórczości „Dorastanie do błękitu”, na którą składają się wiersze 10 twórców, wybrane przez księdza poetę Andrzeja Gruszcę, duchowego przywódcę grupy.

Jak przystało na artystów deklarujących wprost własną religijność, większość tekstów tej książki związana jest z liturgią chrześcijańską. Oprócz klasycznych nawiązań do scen z Pisma Świętego dotyczących ukrzyżowania, zdrady Judasza, świętej rodziny, które są wariacjami na tematy wyeksplloatowane w religijnej liryce, na szczęście pojawiają się też teksty w odkrywczy sposób wykorzystujące biblijną ikonografię i wnoszące nowy ton do liryki.

Niewątpliwie zaliczają się do tego nurtu wiersze Marka Józwiaka tematycznie krążące wokół motywu stworzenia świata, cierpienia ludzkiego tożsamego z bólem Syna Bożego, w których słowem klu-

czem jest chleb będący symbolem łaski, dobroci. Do toposu chleba nawiązuje też Lucyna Szubel i Robert Kroker, którzy traktują go jako boski pokarm identyfikowany z ofiarą ciała, jaką złożył Chrystus z miłości do ludzi.

Ale nie brak też w wyborze wierszy pobrzmiwających pochwałą świata, pełnych radości istnienia, na pograniczu herezji. Jednak trzeba by być zupełnie pozbawionym humoru i wycucia ironii poetyckiej, żeby tak właśnie zakwalifikować nieco obrazoburczy wiersz Stanisława Krzyżaniaka o tytule „Jesienny erotyk”. W tekście tym tracenie przez drzewa liści opisywane jest w konwencji striptisu. Choć puenta rozwięwa wszelkie złudzenia i brzmi nader przyzwoicie: „bo przecież drzewa/piękniejsze są w szatach”.

Ta żartobliwość w traktowaniu rzeczy podniosłych, osób świętych niewątpliwie ma swoje źródła w fascynacji twórczością Jana Twardowskiego. Nie mógłby zapewne powstać wiersz Roberta Krokera „Pragnę”, gdzie ten ksiądz poeta przewrotnie wyznaje: „piękny jak Maryja/żeby diabeł nie mógł na mnie patrzeć”, gdyby nie zadomowienie się w liryce religijnej motywu radosnego spoufalania się z sacrum, wprowadzonego do obiegu przez Twardowskiego.

Niestety w antologii obok wierszy interesujących znalazły się też utwórki niezbyt odkrywcze. Tadeusz Stolarz natrętnie eksponujący tradycyjne metrum wiersza rymowanego i stroficznego dość często popada w banał słowny, jak choćby w tekście „Kamienne tablice”, gdy pisze o „wichrze czasu” i „słodkich tablicach” lub kiedy brakuje mu rymu w tekście „Tamten czas”. A może i dobrze, bo ostrzeża go to przed nudną rymówką.

Niewątpliwie do rysów przydających oryginalności tej antologii zaliczyć trzeba obecność wierszy będących zapisem osobistych przeżyć. Do takich szczerzych wyznań, bardzo konfesyjnych, należą w pierwszym rzędzie utwory Zofii Książek-Bregułowej. Ta uznana poetka, której cierpienie spowodowane częściową ślepotą znalazło już ujście w opublikowanych tomikach poetyckich, w grupowej prezentacji zamieściła kilka wierszy porażających widzeniem kolorów, co przeczy tezie o niewrażliwości ociemniałych na barwy. Choć widoczne są w wierszach poetki opisy bodźców słuchowych i węchowych. Autorce wszakże: „pachnie wrzos w słonecznej ciszy”, a niekiedy mamy do czynienia z osobistą deklaracją: „póki oczy — nie ściemnieją wiecznie”. Te osobiste wyznania stanowią o sile tej liryki na równi z zaskakującymi koncepcjami poetyckimi.

Większość autorów antologii ma już za sobą debiuty prasowe i książkowe. Niektórzy wydali nawet po kilka tomików. Dlatego ich udział w zbiorowej prezentacji jest zapewne spowodowany chęcią zamianifestowania grupowego światopoglądu niż wierszy. I tak chyba należy traktować tę książkę, nie jako wydarzenie poetyckie lecz deklarację przynależności.

RYSZARD BEDNARCZYK

BARBARA GUTKOWSKA



POWIEŚCI STANISŁAWA DYGATA

Barbara Gutkowska: *Powieści Stanisława Dygata. Czas i przestrzeń życia i marzenia. Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 1996, s. 166, 2 nlb.*

Mitologie Dygata

1. Był jednym z najpopularniejszych pisarzy polskich powojennego trzydziestolecia, którego książki — raz przeczytane — czytało się na nowo, zagłębiając się w ich fabułę i śledząc perypetie bohaterów. Klimat powoływanych do życia przez Stanisława Dygata fabul (dla wybrednych czytelników — raczej abstrakcyjnych, dla odbiorcy popularnego — mających posmak „wielkiego świata”) odróżniał się wyraźnie od stylistyki ówczesnej prozy. Autor *Pożegnai* nie uzurpował sobie jednak żadnych praw do rewolucjonizowania współczesnej mu powieści, był realista z odrobiną szaleństwa. Taki — socjalistyczny Sienkiewicz albo Gombrowicz w krajowym ubraniu...

Krytycy pisarza nie rozpieszczali. Dogłębnym prac o jego twórczości powstało niewiele, a jeżeli już — to raczej o jego debiutanckiej powieści *Jeziro Bodeńskie*, arcyważnej dla współczesności lat czterdziestych, lecz dzisiaj nieuchronnie stającej się powieścią historyczną. Książek o autorze *Dworca w Monachium* powstało raptem dwie — Zdzisława Skwarczyńskiego (*Stanisław Dygat, 1976*) i, wydana ostatnio, Barbary Gutkowskiej. O tej drugiej pozycji — słów kilka.

2. Stanisław Dygat został tutaj nazwany „Piotrusiem Panem polskiej literatury powojennej, po mistrzowski potrafiącym wykorzystywać doświadczenia dwudziestowiecznej prozy awangardowej i jednocześnie umiejętnie pozyskać względy szerokiej publiczności literackiej”. Przywołując taką analogię, badaczka czyta jednak autora *Karnawatu* polonistycznie, by tak rzec — w kontekście wyższych figur znaczeniowych. Wprawdzie nie zawsze i nie wyłącznie, lecz ta perspektywa dominuje w przyjętej przez Gutkowską metodzie opisu. W deklaracji badawczej czytamy: „Przedmiotem

mojej pracy stał się opis wielkich figur semantycznych: w postaci literackiej, narracji, fabuły, czasu i przestrzeni, implikujących określone konteksty literackie, socjologiczne, psychologiczne i światopoglądowe. W zakres obserwacji włączyłam kategorię ironii, uznając ją za właściwość stylu powieści Dygata i wyznacznik jego autorskiej i światopoglądowej postawy”.

Wierna tej deklaracji, Barbara Gutkowska z rozwagą i precyzją analizuje kształt narracyjny sześciu powieści Stanisława Dygata, zatrzymuje się nad charakterystycznymi dla niej motywami („mitologiami”: narodową i erotyczną) i schematami fabularnymi („mitologizacją fabuły”), konstruując postaci („ironicznym autorem-narratorem-bohaterem”). Bardziej ją interesuje formalny wizerunek opisywanej prozy niż jej światopoglądowe proveniencje. Do nich również się odniesie, lecz raczej i literaturoznawczej powinności niż osobistych upodobań.

Wybór takiej opcji interpretatorskiej wziął się może z tego, iż pierwsza monografia twórczości Stanisława Dygata właściwie zlekceważyła kształt artystyczny utworów autora *Disneylandu*. Więcej w niej było uwag ogólnych niż szczegółowych, więcej sugestii niż argumentowanych opinii. Nie była to monografia zła (nadal jest w obiegu polonistycznym), pozostawiała wszakże niedosyt i szereg pytań bez odpowiedzi. Zrozumiałe: książka Zdzisława Skwarczyńskiego miała charakter popularny, książka Barbary Gutkowskiej natomiast jest rozprawą naukową.

3. Jej podstawową zaletą jest nie to, że udziela ona odpowiedzi wyczerpujących, lecz to, że uwyraźnia komplikacje artystyczne, w jakie proza Stanisława Dygata jest uwikłana. O tym zasadniczo traktuje część pierwsza pracy, poświęcona rozmaitym mitologiom pisarskim i panoramicznie kreśląca ich uytuowanie „w świecie kulturowych schematów, stereotypów i mitów”. Mitologie te zostaną również świetnie pokazane w części drugiej książki, w której badaczka przedstawia nowe i konsekwentnie ze sobą zespolone interpretacje *Jeziro Bodeńskiego*, *Pożegnai*, *Podróży*, *Disneylandu* oraz (traktowanych łącznie) *Karnawatu* i *Dworca w Monachium*.

Z książki Barbary Gutkowskiej wylania się portret pisarza świadomego swojego rzemiosła, a równocześnie twórcy, który doskonale wykorzystuje doświadczenia całej prozy XX wieku. Teza *Powieści Stanisława Dygata* brzmi tak: „Oryginalny synkretizm tej pracy sprawia, iż sytuuje się ona na pograniczu autobiografizmu, socjologizmu, psychologizmu i kreacjonizmu. Każda z podjętych przez Dygata konwencji odbija jedynie określony fragment rzeczywistości, których suma daje pełniejszy obraz ludzkiej egzystencji. Kolejne powieści są parafrazami *Jeziro Bodeńskiego*, a ich tematem jest uwikłanie jednostki w kulturowe — narodowe, ideologiczne, socjologiczne i obyczajowe — stereotypy i schematy zachowań, od których bezskutecznie usiłuje się wyzwolnić”.

MARIAN KISIEL

Henryk Wańek: *Pitagoras na trawie*. Wydawnictwo Przedświt. Warszawa 1997. S. 207.

Znakomity malarz, przez długie lata związany z Katowicami, z którymi utrzymuje nadal żywe kontakty (tu ukończył studia plastyczne i współtworzył grupę Oneiron), od kilku lat pisze i publikuje świetne eseje, które złożyły się na książki: „Hermes w Górach Śląskich” (1994) i „Opis podróży Mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca” 1257—1957. (1996) Ostatnio ukazał się trzeci tom esejów Henryka Wańka zawierający tekst tytułowy oraz eseje „Do ciemności (poświęcony Markowi Aureliuszowi i jego czasom, w tym rzymskim śladom na Dolnym Śląsku), „Do Tęczy” (recz o przepływie czasu i mostach powrotnych) i autobiograficzny szkic „Trzydzieści Siedem” (jego liczba magiczna). Eseje Henryka Wańka nie są łatwe do streszczenia i zdefiniowania jeśli chodzi o temat — cechuje je bogactwo skojarzeń i reminiscencji z wielu dziedzin — literatury, sztuki, historii i filozofii. Czas, który obejmuje sięga starożytności — i lat ostatnich. Wielowątkowe, intelektualnie fascynujące, dyskursywne i nie wolne od historiozoficznej ironii, odznaczają się także walorami formy i językowego przekazu. Wańek z dociekliwością tropiciela minionych epok odczytuje znaki czasu, zatarte symbole i archeologiczne relikty. Czyni to ze smakiem i autorską bezpośredniością. Jest w tym co pisze odkrywcy i pasjonujący. (t.)

Mika Waltari: *Trylogia rzymska: Tajemnica Królestwa*. S. 350. *Wrogowie rodzaju ludzkiego. Część I — Rzymianin Minutus. Część II — Mój syn Juliusz*. S. 545, 3 nbl. „Książnica”, Katowice 1997.

Wydawnictwo „Książnica” od pewnego czasu prezentuje powieści M. Waltariego (1876—1962), najpoczytniejszego pisarza fińskiego, poety, prozaika i dramaturga. Jego wczesna twórczość miała ważne znaczenie dla literatury fińskiej w okresie gdy niepodległa Finlandia po I wojnie światowej pojawia się na mapach Europy (powieść „Wielkie złudzenie” — o losach „straconego pokolenia”; trylogia helsińska „Z ojca na syna”). Światowy rozgłos i poczytność zyskał Waltari jako autor powieści historycznych, ukazujących bezradność człowieka wobec przemocy świata, przenikniętych pesymizmem i aurą amutku. Najsłynniejszą powieścią tego nurtu jest napisany w latach II wojny światowej „Egipcjanin Sinuhe” (1945). Z bogatego dorobku Waltariego nakładem „Książnicy” ukazały się dotąd: „Turms, nieśmiertelny”, „Czarny anioł” oraz „Tajemnica królestwa” i „Wrogowie rodzaju ludzkiego” — powieści stanowiące „trylogię rzymską”. „Tajemnica królestwa” poświęcona jest historii ukrzyżowania Jezusa. Wydarzenie to staje się początkiem drogi Rzymianina Marka Mezencjusza Manilianusa w poznaniu życia i nauki Chrystusa. Po 16 latach, już jako chrześcijanin, trafia wraz z synem do Rzymu w czasach Klaudiusza, Nerona i Agrypiny, w szczytowy okres prześladowań i walki o przetrwanie wyznawców nowej wiary. (t.)

Jan Malicki, *Józefa Lompy żywot niepokorny*, Biblioteka Śląska, Górnośląska Oficyna Wydawnicza, Katowice 1997. s. 127, nlb 3.

Drugie, zmienione wydanie książki profesora Jana Malickiego pokazało się na dwusetną rocznicę urodzin nauczyciela z Lubszy, którego nazwano później słusznie „patriarchą polskiego piśmiennictwa na Śląsku”. W istocie jest to postać niejako sztandarowa, przywoływana jakże często i jakże chętnie przy rozmaitych regionalnych okazjach, lecz przecież równie mało znana, chociaż poświęcono jej sporo szczegółowych rozpraw naukowych. Niewielka, ładnie wydana książka Malickiego spełnia wymogi w miarę popularnej biografii, nie stroniącej od zdarzeń barwnych i dramatycznych z życia Lompy, ale zarazem skupia się najbardziej na jego działalności twórczej, literackiej. Przybliża postać tego niepokornego człowieka, który odważył się pisać po polsku, gdy — jak wspomina Malicki — nie było jeszcze na Śląsku „ani literatury, ani piśmiennictwa w języku polskim o wysokim poziomie artystycznym stworzonej przez Ślązaków”. Czyta się ją z zainteresowaniem, i to większym niż utwory samego Lompy, które dla dzisiejszego czytelnika są raczej świadectwem swego czasu. (JFL)

Stanisław Gadomski: *Krajobraz z kapliczką*. Górnośląska Oficyna Wydawnicza S.A., Katowice 1997, s. 79.

Znany fotografik Stanisław Gadomski od lat tropił z aparatem przeróżne kapliczki, krzyże i figury świętych. Z tych fotoreporterskich penetracji powstała rozległa dokumentacja, która stała się podstawą skomponowania albumu obejmującego obszar od Raciborza i Bestwiny — po Tarnowskie Góry i Ogrodzieniec. „Krajobraz z kapliczką” stanowi autorski wybór prac Stanisława Gadomskiego z tego zakresu. Album ukazuje 75 zabytków, najczęściej anonimowych dzieł wiejskich, bądź małomiasteczkowych twórców, reprezentujących tzw. najniższą sztukę ludową. Są to obiekty często zapomniane, skazane na postępujące zniszczenie. W większości pochodzą z minionego wieku, choć są także starsze. Zabytki te wtopione w pejzaż są częścią krajobrazu odchodzącego świata. (t.)

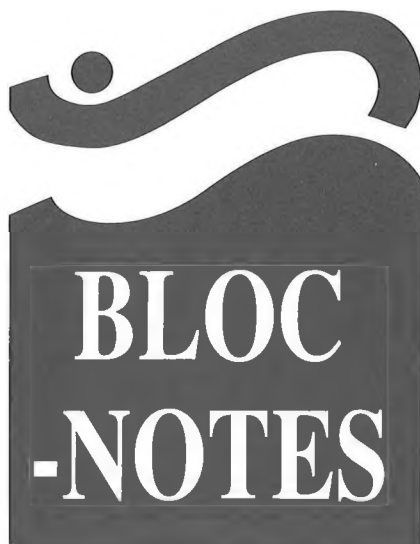
Jerzy Górzeński: *Debiut z Aniołem*. Oficyna Wydawnicza „AGAWA”. Biblioteka Poetycka. Warszawa 1997. s. 75, 5 nlb.

Nowy tom wierszy znakomitego poety (rocznik 1938), laureata m.in. nagrody Pen-Clubu im. Roberta Gravesa, autora 8 zbiorów, w okresie wczesnej twórczości związanego z „Orientacją Poetycką Hybrydy”. Najnowszy tom zwraca uwagę zmianą tonacji i monotematycznością. Górzeński, poeta błyskotliwy i przewrotny, o intelektualnych predyspozycjach i nadrealistycznej magii skojarzeń, jest w „Debiucie z aniołem” poetą lat dzieciństwa przeżytego na Pradze — a właściwie jednej warszawskiej ulicy — Wileńskiej. Mają te wiersze i poematy swojego rozpoznawanego bohatera — jest nim sam poeta — oraz swoje realne pejzaże z czasów pierwszych lat powojennych („Miałem swój praski Montparnasse”). Nie jest to jednak liryka wspomnień i sentymentalnych powrotów; ton balladowy służy jedynie rekonstrukcji peryferyjnych zdarzeń i atmosfery przedmiścia. Jak zawsze u Górzeńskiego realność przeradza się w groteskę; dominuje świat wyobraźni pełen literackich reminiscencji. W tym zbiorze jednak realność po czasie przeradza się w fantastykę rzeczywistości topograficznie i czasowo uchwytej, w mitologii miejsc i zdarzeń formowanej z lirycznej perspektywy własnej poetyckiej biografii. (t.)

Rzecznik katowickiego oddziału Unii Polityki Realnej chełpi się w gazecie, że to UPR właśnie, pospół z Ruchem Autonomii Śląska, „zainicjowały walkę” (czy to aby nie język z PRLu rodem?...) z tzw. spadochroniarzami, czyli politykami z okolic Marszałkowskiej róg Jerozolimskich, którzy raz na cztery lata fundują sobie na Śląsku kampanię wyborczą, po czym - już jako posłowie stąd wybrani - nic dla tego regionu nie robią. Wolą bowiem „reprezentować interesy warszawskiej biurokracji, wiedząc z czyjej ręki jedzą, a nie Śląska, z którym niczym nie są związani”. Jeśli tak, to ośmielę się zauważyć, że i epigoni najlepszego felietonisty wśród polityków i najlepszego polityka wśród felietonistów, to jest Janusza Korwin-Mikkego, sami też nie wiedzą w jakim świecie żyją. Oto pod katowickim teatrem, lipcową porą, wystawił swoje transparenty nowy Związek Narodowości Śląskiej (czy jak on tam się zwie). Wic, połączony ze zbieraniem deklaracji członkowskich, wsparła miejscowa UPR, zawieszając transparent wielkości stodoły: „Janusz Korwin-Mikke: kara śmierci dla morderców”. Tyle. Oto kwintesencja programu partii ogólnopolskiej i z ambicjami, programu jak raz dla żądnego krwi ludku górnośląskiego. Arcyliberalna partia nie chce nas zachwycić obietnicą silniejszego samorządu czy wręcz autonomii, z powołaniem na tradycję przedwojnia, nie ludzi wizją mniejszych podatków płaconych na tę okropną „warszawkę”, ani myśli odnawiać etos pracy, odpowiedzialności i religijności, co pasowałoby przecież koncertowo do programu partii wynoszącej pod niebiosa konserwatywne wartości. Nie, arcyliberalna partia z realizmem w nazwie, przywozi na Śląsk kodeks Hammurabięgo, wsparty autorytetem JKM. To bardzo charakterystyczne dla mojej ulubionej Unii Polityki (Czasem)Realnej, pod wodzą mojego ulubionego Felietonisty: On sam i Jego miłośnicy są tak konsekwentnie logiczni, że z żelazną dyscypliną potrafią doprowadzić całkiem sensowne poglądy do - absurdu.

Zawsze aktualny zapis Edmunda de Goncourt, z 26 listopada 1882 roku. „Myśl dedykowana politykom: najbardziej użytecznym swej ojczyźnie jest się wówczas, kiedy przez całe życie nie bierze się ani grosza z budżetu państwa”.

Wczasach, kiedy literatura ma tak niewiele do powiedzenia, a pisarze zamiast wypełniać szuflady, chętniej wypełniają deklaracje podatkowe, rolę odpowiedzialnych za polskie słowo przejmują socjologowie, historycy, eseści. To nic zdrożnego, przeciwnie: Francuzi, Włosi, Anglo-



BLOC -NOTES

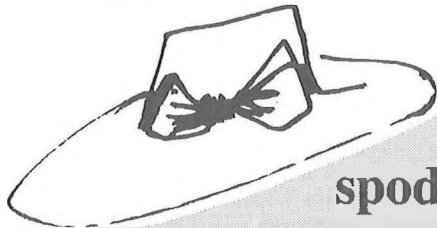
sasi od lat liczą do pisarzy także tych, których powołaniem jest nie tylko spisywanie pięknych a zmyślonych historii (patrz: laureaci Pulitzera, Premio Strega i rozlicznych nagród literackich we Francji). Literatura to także piękny język, troska o styl („Styl to człowiek” - Andre Gide), to zapierająca dech forma ujmująca w karby najbardziej niepokorną treść. Co wzięwszy pod uwagę, od dziś w poczet literatów zaliczmy Teresę Bogucką, autorkę książki „Polak po komunizmie”. Wszystkie pomieszczone w niej eseje - prócz dwóch - były już drukowane na łamach „Gazety Wyborczej” i „Dialogu”; teraz jednak, ułożone razem, brzmią silniej, zgodnie z zawartym w tytule zadaniem: Jak Polak po komunizmie wydobywa się ze świata podzielonego na nasz i obcy? Jakim się staje, myśląc nie o tym, jak przetrwać, ale jak żyć w normalnej codzienności? To pytania najogólniejsze i podstawowe, na które nakłada się cała seria kwestii szczegółowych: dlaczego w krajach, które razem z nami wyostały się na wolność, udało się stworzyć normalny system partyjny, a u nas nie? Czemu Kościół instytucjonalny nie umie sobie poradzić z demokracją? Czy prawica nasza to jeszcze prawica, czy już lewica, i odwrotnie? Czy do polskiego charakteru narodowego - jeśli on istnieje i da się obiektywnie opisać - bardziej przystaje kostium ofiary i cierpienika niż szata zwycięzcy sięgającego po nowe cywilizacyjne osiągnięcia? I czy nareszcie nie jest tak, że to ci, co obalili komunizm, posługują się komunistyczną mitologią chętniej od tych, co posady w komitetach zamienili na fotele prezesów i posłów?...

Zujmującą łatwością przychodzi Boguckiej stawianie palących pytań (co zauważył już w „Wyborczej” autor cokolwiek grzecznościowej, bo pisanej przez młodszego ko-

legę o książce starszej koleżanki, recenzji). Ale najważniejsze, że każde z pytań otrzymuje wyczerpującą socjologicznie odpowiedź, opukującą boleśnie nasze kompleksy, przyzwyczajenia, zbiorowe lęki z jednej i narodową pychę z drugiej strony. Wtedy też pojawia się to, co najcenniejsze: kwestia stylu. I to jakiego stylu! O polskim katolicyzmie: „Polskie kościoły są pełne, a do Afryki jeżdżą nasi misjonarze. Wszyscy niemal politycy demonstrują publicznie praktyki religijne jako dowód cnót, prawości i talentów politycznych”, w tym samym zaś czasie „katolicka społeczność Polaków, zbiorowo i w sposób ciągły, popełnia niedopuszczalny grzech przeciwko Duchowi Świętemu, to znaczy grzeszy zuchwale i świadomie w nadziei miłosierdzia Bożego. Polski Pan Bóg zrozumie zarówno to, że nie można przerwać studiów, żeby urodzić dziecko, jak i to, że samotna matka z dwójką w sublokatorskim pokoju nie może sobie pozwolić na trzecie. Polski pan Bóg zrozumie, że trzeba wypić na chrzciny, pierwszą komunię, ślub, pogrzeb oraz we wszystkie dni pozostałe, bo życie jest ciężkie...”. O polskiej klasie średniej: „Kapitalizm powstaje u nas w świecie wrogich mu wartości. W zamęcie niezrozumiałych przemian ludzie pracy widzą jasno - rozpoczął się wyścig na górę, a oni zostają na dole. Lud poczuł, że sprawa została przez klerków zdradzona. Nowa klasa średnia ogniskuje uczucia, które normalnie spadały głównie na warstwy wyższe. Z braku panów, którym można było zarzucić, że upaśli się na wyzysku, nowi przedsiębiorcy muszą w kółko słuchać, że uczciwie to się na pewno nie dorobili”.

Socjologiczne diagnozy Boguckiej łączą w sobie walor błyskotliwej analizy z piękną polszczyzną, klarowność naukowego wykładu z literacko atrakcyjną formą. Z całości wyłania się obraz tytułowego „Polaka po komunizmie”, z głową wypełnioną postkomunistycznym osadem, który powoli, bardzo powoli się wytrąca. Biedny on, Polak, szamocze się wciąż z wyborem między trudną wolnością a złudnym choćby, ale jednak - bezpieczeństwem. A jeśli próbuje ośwoić nowy, jeszcze wrogi sobie świat, używa do jego opisanego starego, peerelowskiego języka. I tak zaburzenie pojęciowe „szarego człowieka” staje się problemem elit: jak żyć w rzeczywistości, w której z jednej strony rządzą trumny Piłsudskiego i Dmowskiego (formuła Giedroycia), z drugiej zaś - wiecznie żywy PRL. Ale to już jest temat na zupełnie nową książkę. Daj Boże, pióra Teresy Boguckiej.

MAREK BASTER



Listy spod kapelusza

Droga moja, jakże ja nie cierpię podróży! Wolę tylko marzyć o miejscach, w których będę. Nie potrafię się spakować, zabrać potrzebnych rzeczy. Wrzucam coś tam na chybił trafił, a potem się dziwię, że nie mam tego, co potrzebuję. Aż któregoś dnia, po dobrze przespanej nocy, wiem, że dojrzałam do miejsca, gdzie nie mam już siły czekać, ani wyobrazić sobie, a tylko patrzeć i widzieć. Sprzątam więc swoje biurko, siadam przed podróżą, od której... obiecuje to sobie - nie będę oczekiwała niczego poza tym tylko, by była. Tak samo stało się i teraz.

A potem wyruszam w drogę, gdzie moje chciejstwa stają się dokonywane. Trafiam tam tylko wtedy, gdy moje zabiegi czynione są z względną obojętnością. Szybko spostrzegam, że znów ludzę się nadzieją, myśląc, że gdzie indziej będzie lepiej. Ze coś się stanie wyjątkowego. Jakaś droga się przede mną otworzy. Jakiś statek mi wskaże inną stronę. A przecież nie ma innych stron. Są tylko moje, które wloką się za mną, gdziekolwiek jestem. Jestem w Grecji.

Już wiem, że i tutaj mogę chwile roztrwonić, jak tam, u siebie, w mieście nad Rawą, która jest, choć jej nie ma. Już wiem, że nie napiszę pieśni VIII z Ziemi Śląskiej do Myken. Może jedynie zapamiętam smak dojrzałej figi zerwanej w ruinach wielkiej twierdzy albo spojrzenie kota zamkniętego w brudnej klatce w centrum Aten, albo agawę, która właśnie zakwitła, by umrzeć. Może jeszcze słońce, które rozszalało się na dobre i złe, gdy opuszczałam Akropol.

Siedzę w cieniu oliwki, w Theologos. Morze Egejskie szumi, ciekawo śpiewają. Jest kiczowato pięknie, a ja leniwieję nieprzyzwyczajenie i nareszcie czuję zgodę i na to leniwość, i na sentymentalny kicz we mnie. Porażona „luzactwem” Greków przestałam się śpieszyć. Na krótko, to też wiem. Słońce mnie rozjaśnia i dodaje energii potrzebnej na bliżej nieznaną potęgę.

Potem wrócę. Rozbalałam biurko i siebie. Dokończę nową książkę. Napiszę następny list. Obudzę się któregoś ranka i znów zapytam siebie: - o co w tym życiu chodzi? I niezmiennie sobie odpowiem, że o nic. A jednak to „nic” chciałoby się mieć piękne i czyste, i odpowiedzialne.

Pytasz, czy się jeszcze spotkamy? Czyżbyś wątpiła? Tak, czy inaczej, spotkam się na pewno, gdy zabiegać będziemy o to... z względną obojętnością. Tylko wtedy bogowie mówią o nas będąc szepceni i umiarkowanie gmatwać nasze ścieżki. Nie śpieszmy się.

Spokojnie. Tylko, droga moja, spokojnie.

Słyszałam głos Wyróżnionego Delfickiej. Termin, który nam wyznaczyła jest dostatecznie odległy, więc zdążymy przygotować się na tę przyszłość. Jeszcze wiele razy książkę odmiemni się złoty. Jeszcze wiele razy Ellis w białej sukience powiedzie nas przez Morze Sargassowe, które oby nie było dla nas pułapką. „Bo jeśli życie musi być wędrówką - jak mówi Elięgusz Dymowski, mój przyjaciel i brat w metaforze - niech umierają chwile - narodzą się nowe - wówczas będziemy pewni, że miłość się nie starzeje”.

Na razie trwam. Jestem wśród drzew laurowych, oliwek, oleandrów i pomarańczy. Codziennie zaczynam od nowa. Pojedynczo. Choć także z myślą o Tobie. Kamienie we mnie tracą ostre brzozy i chropawość. Jestem dużą dziewczynką, która czuje, że żadna rzecz ludzka nie może być bez skazy, a mimo to codziennie obiecuje sobie, że stanie się lepsza. I niezmiennie jej się to nie udaje.

Grecja przywołuje we mnie Kawafisa i jego wędrowanie pełne doświadczeń. Podobnie jak on nie spotkałam Lajstrygonów, ani Cyklopów, ani gniewnego Posejdon. Nie niosłam ich w swojej duszy. Spotkałam tylko chłopca, który w Delfach kupował czarną trykotową koszulkę z napisem - „wiem, że nic nie wiem”, a potem na plaży w Theologos pokazywał ten napis, mówiąc, że tak od lat powtarzają mędrcy i analfabeci.

Trwamy więc, droga moja, z nadzieją. Bo jak mówi Konstantinos Kawafis - zawsze przychodzą bogowie. Zstępują ze swoich machin, jednych ocalając, innych gwałtownie a niespodziewanie usuwając ze sceny. A gdy zaprowadzą jakiś porządek, odchodzą. Jedni będą robić to, inni tamto. A my róbmy swoje. I zaczynamy raz jeszcze od nowa. Dobrze?

Na razie nie myślę o tym, jakie zmiany zastanę w Katowicach po powrocie. I nie jestem ich ciekawa. Na proscenium w Epidaurus słyszę swój głos. Rozmyślałam o tym nieszczęśliwym królu, którego własny bratanek usmiercił z powodu jakichś niejasnych podejrzeń, piję greckie wino, zajadam melony. Spróbuję o tym wszystkim nie napisać wiersza.

Tvoja MARTA FOX

w Theologos, w połowie sierpnia 1997 roku, w słońcu oczywiście

L aos i zaprzyjaźniona redakcja — co tu i teraz oznaczać może dokładnie to samo - wyznaczyli mi zadanie, które uznać należy za niezwykle trudne i ryzykowne, gdyby równocześnie nie było ono nadzwyczaj wdzięczne i — jak to kiedyś mawiano — zaszczytne. Powinnam bowiem powiedzieć kilka słów o wystawie Heinza Macka w katowickim Biurze Wystaw Artystycznych.

Przyznam, że im dłużej rozmyślałam nad wyznaczoną mi rolą i powierzonym zadaniem, tym więcej odkrywałam i znajdowałam znaków zapytania, zagadek i wątpliwości.

Bo i cóż? Czy mam mówić o swoich odczuciach? Hm, nie dyskutuję się o gustach, zaś o własnych preferencjach estetycznych miałam, także w przeszłości — możność mówić dużo i często.

Czy mam próbować wyrażać „swoimi słowami” (skąd znamy te „swoje słowa”, ach skąd?) to, co w sposób pełny, świadomy i piękny wyraził już arystokrata środkami plastycznymi? Chyba też nie, bo czasem warto powiedzieć o dziesięć albo i sto słów za mało niżli za dużo o pół słoweczka.

Więc może powinienem pośredniczyć między artystą a odbiorcami? Ależ tu nie trzeba żadnego pośrednictwa — w tym świecie, wśród tego rodzaju sztuki każdy bez trudu znajdzie swoją cząstkę, bez natrętnych podpowiedzi, a już broń Boże bez wskazywania palcem (co zresztą nie uchodzi).

A może starać się wypowiedzieć głośno zdanie ogółu — kiedyś mówiono „vox populi” — i stać się wyrazieliwą opinią widzów? Darujcie, Szanowni Czytelnicy — nigdy nie byłam i nie będę tak zarozumiała, próżna i pozbawiona wyobraźni.

Światło w spojrzeniu

Czuje się też zwolniona z obowiązku przytaczania faktów i dat z biografii Heinza Macka, te bowiem wiadomości podano w recenzjach i omówieniach wystawy, które ukazały się wcześniej niż tych oto moich kilka słów, skierowanych do was, Szanowni Czytelnicy. Wszelako dla porządku przypomnę, iż Heinz Mack (ur. 1931), absolwent Akademii Sztuki w Düsseldorfie, jest wybitnym twórcą współczesnym, jednym z klasyków awangardy niemieckiej i europejskiej.

Katowicka wystawa prezentuje obrazy, rzeźby, dynamy świetlne, stele i reliefy tego artysty. Widzowie mają też możność zapoznania się — choć tylko pośredniego, poprzez dokumentację fotograficzną — z realizacjami rzeźby monumentalnej Macka.

Jest to sztuka delikatna, subtelna, pełna wdzięku i kolorowa. Gdybym nie obawiała się, że słowo to może zabrzmieć dwuznacznie, dodałabym jeszcze: zwiewna. A może zabrzmi to właściwie?

Jest to sztuka spokojna, klarowna i w pewien sposób rozsądna. Chciałoby się rzec: klasyczna. Tak właśnie nazywano kiedyś dzieła mądre i piękne. Ale kiedyś — ach, ten czas przeszłości — kiedyś wszystko było prostsze i znajdowało się na swoim miejscu, czyli — właściwej pozycji.

Ale te dzieła są mądre i piękne, a w dodatku na swój mądry, piękny i szlachetny sposób wyrafinowane, eleganckie i — co zwykle idzie w parze — urzekające.

Jest to także sztuka — jak każda prawdziwa — rzeczowa i zagadkowa. Stanowiąc może zapis obserwacji autora, a także wyrażoną środkami plastycznymi tajemną i głęboką metaforę. Zarazem jest to sztuka podparta solidnym rzemiosłem, wszechstronną znajomością właściwości, możliwości i zalet materiału i konstrukcji.

Gdyby wszakże zapytano mnie, co najlepiej zapamiętałam z wystawy, osobowości i biografii Heinza Macka, to odpowiedziałabym, że historyjkę o sposobie i trybie nadania nazwy grupie artystycznej, którą Mack utworzył wraz z przyjaciółmi w 1958 roku w Düsseldorfie. Grupa nazywała się „zero”. Historyjki nie będę tu przytaczać, bo sądzę, iż wszyscy zainteresowani ją zapamiętali, a jeśli ktoś nie zna — to chętnie opowiem o kulturalnych. Wypada ją — historyjkę — zadedykować wszystkim przeszłym, terażniejszym i przyszłym teoretykom sztuki. Ku rozwadze.

Abym nie była posądzona o frywolność, śpieszę zapewnić, że terminu „historyjka” użyłam w takim znaczeniu, w jakim stosował go Gédéon Tallemant des Réaux.

KATARZYNA MŁYNARCZYK

Heinz Mack (Niemcy) — „Światło w spojrzeniu” — obiektowo świetlno-kinetyczne, malarstwo. 4.VIII—14.IX.1997, Biuro Wystaw Artystycznych, Katowice.



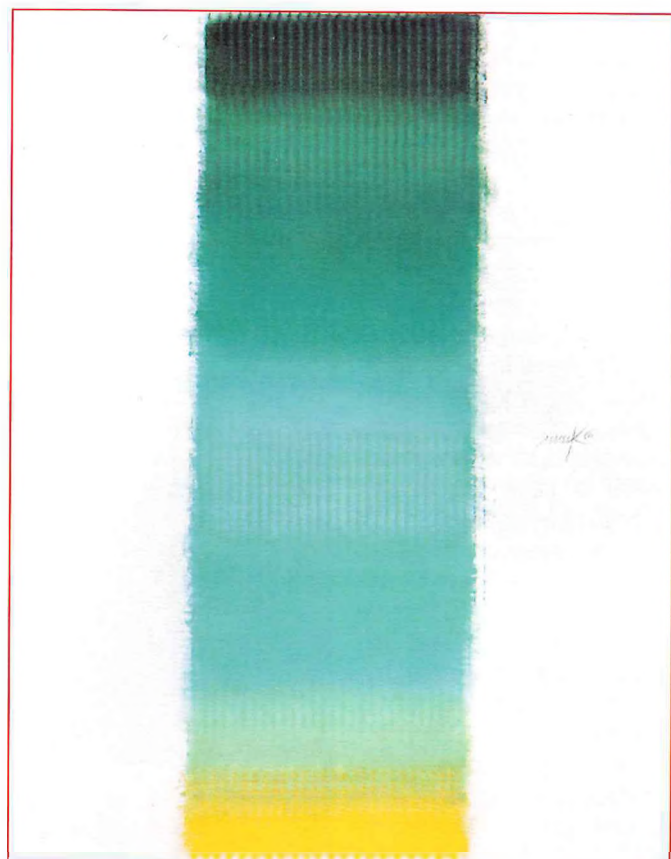
Lamellenrelief, 1966



Silbersteine, 1962

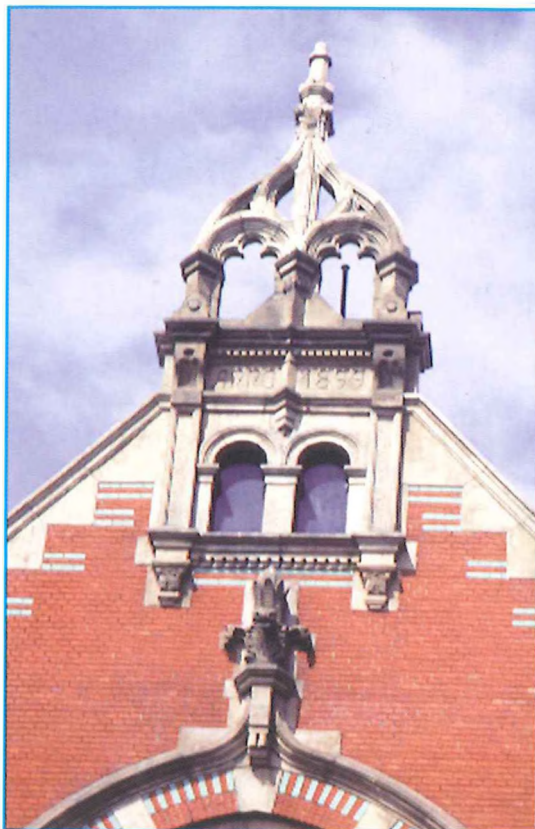


Das Glück der Farben, 1994



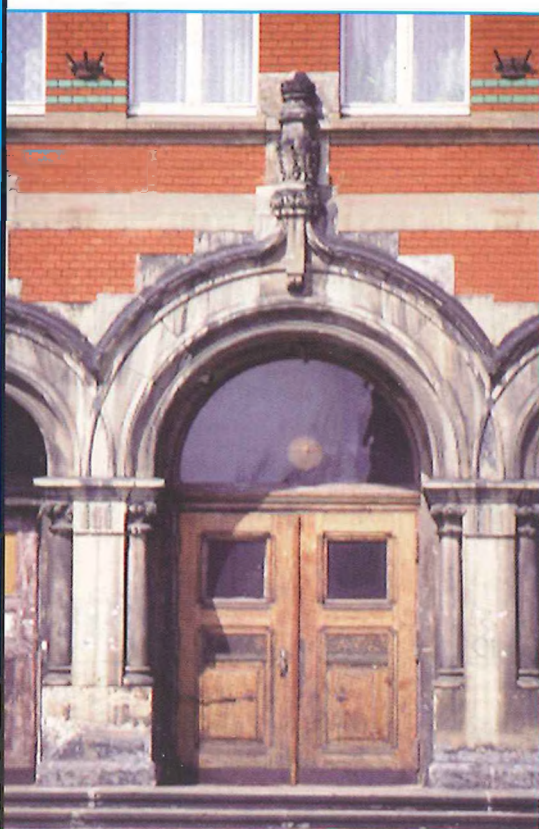
Grosses Farbquartett IV, 1996

HEINZ MACK



ZNAKI I TWARZE MIASTA

KATOWIC



U zbiegu ulic Mickiewicza i Słowackiego stoi jeden z najbardziej charakterystycznych gmachów Katowic. Mieści się w nim III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza. Wzniesiony w latach 1898-1900 w stylu neogotyckim z czerwonej cegły (jest dziełem budowniczego Józefa Perzika) od początku był siedzibą szkoły - najpierw Państwowego Gimnazjum powstałego na zrębach niemieckiej szkoły średniej, otwartej 9 września 1871 r. (pierwotnie mieściło się w nieistniejącym dziś gmachu przy ul. Młyńskiej, w miejscu obecnego Urzędu Miasta). Do czasu I wojny światowej była to jedyna szkoła średnia w Katowicach. Jej wnętrza wyróżniają: eklektyczna aula, w której sufit zdobi malowidło o pow. 30 m kw. przedstawiające triumf wiedzy, witraże, efektowna klatka schodowa i korytarze. Architektonicznie gmach komponował się z istniejącą wówczas synagogą i pobliską łaźnią miejską.

Od lipca 1922 r. przekształcone zostaje w gimnazjum klasyczne z równoległymi oddziałami typu klasycznego oraz

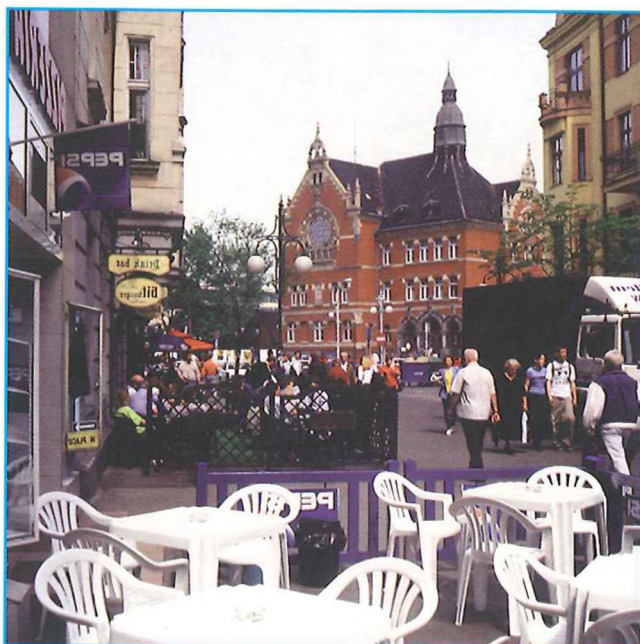
oddziałami niemieckimi. W latach 30-tych przekształcona zostaje w 4 - letnie gimnazjum i 2 letnie liceum. Wtenczas działało tu wiele organizacji a także wydawano pismo szkolne „Nasze Pisemko”. Po II wojnie działalność liceum została wznowiona w lutym 1945 r. W 1949 r. istniała tu jedenastoletnia szkoła podstawowa i Liceum

Ogólnokształcące nr 3. Imię Adama Mickiewicza otrzymuje w roku szkolnym 1967/1968. Dominującym kierunkiem stała się humanistyka.

Wśród uczniów i absolwentów „Mickiewicza” znajdują się: Konstanty Wolny (1877-1949) - późniejszy marszałek Sejmu Śląskiego, działacz plebiscytowy, Zdzisław Hierowski - uczeń w latach 1922-1924 - krytyk literacki i tłumacz, Jacek Koraszewski - późniejszy wieloletni dyrektor Biblioteki Śląskiej, Herbert Bednorz (katowicki biskup ordynariusz), Franciszek Woźnica - wikariusz generalny diecezji katowickiej. W 1895 r. z klasy maturalnej relegowano ucznia Wojciecha Korfańskiego za utworzenie w szkole kółka narodowego.

Wśród pedagogów zapisane są nazwiska Stanisława Ligonja, Kazimierza Popiołka, Rudolfa Ranozka, Jana Wypłera.

Już w 1922 r. działała w szkole Męska Drużyna Harcerska im. Tadeusza Kościuszki. „Mickiewicz” stał się szkołą wielopokoleniową. (wk)



Park w Świerkłańcu przez długie lata był terenem niedzielnych spędów klasy robotniczej z pobliskich przemysłowych miast. Teraz trochę opustoszał, choć nadal codziennie spotkać na jego ścieżkach można matki z dziećmi w wózkach, zakochane pary, spacerujących emerytów. Ale gwaru „organizowanych” wycieczek sprzed lat już dawno nie ma. A przecież wciąż wart jest krótkiej podróży z Katowic. Zajmujący powierzchnię przeszło 170 ha park, nieco dziś zaniedbany, ale nadal pełen pięknych drzew, jest jednym z największych parków krajobrazowych w Polsce.

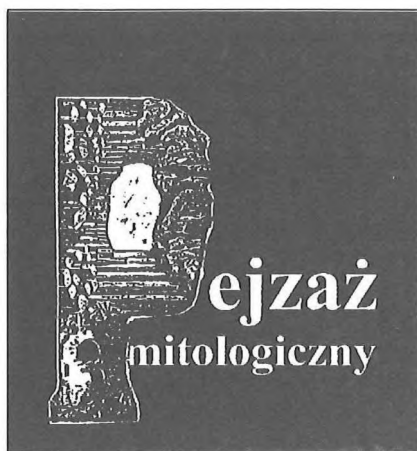
Trzeba jednak sporej wyobraźni, by domyśleć się, że ów rozległy zielony obszar to również miejsce wypełnione niezwykłymi opowieściami o niecodziennych ludziach i równie legendarnych, nieistniejących już murach. Trzeba wiedzy historyka sztuki, by dostrzec, że otoczone wciąż jeszcze widoczną fosą, porośnięte drzewami wzgórze na lewo od głównego wejścia do parku, to pozostałość gotyckiego zamku nizinnego, wzniesionego na miejscu drewnianej warowni pamiętającej ponoć czasy Bolesława Chrobrego. I że drugi, bardziej okazały obiekt, monumentalny pałac z XIX w., zwany efektywnie, choć niebardzo dokładnie „Śląskim Wersalem”, stał nad jeziorem, w głębi parku.

Obie budowle szczęśliwie dotrwały końca wojny, po opuszczeniu ich przez oddziały zwycięskiej Armii Czerwonej wyglądały znacznie gorzej. Ale nie bezнадziejnie. W ekspertyzie konserwatorskiej z 1959 stwierdzono, że: „... zamek posiada wszystkie elementy predestynujące go do odbudowy, jednak z braku inwestora można pomyśleć o konserwacji... w formie romantycznej ruiny”.

Niestety, do nieszczęsnych świerkłańskich ruin przyklejono wyjątkowo skutecznie etykietę „zgnitych resztek wrażeń pruskiego imperializmu”, i ówczesne władze województwa z obrzydzeniem musiały przyjąć te nieprawo(lewo?) myślnie propozycje ekspertów, bo w 1961 roku wysadzono „Wersal” w powietrze, a wraz z nim należący ongiś do Piastów śląskich zamek. Ów, w tamtych latach dość częsty przykład ewidentnego barbarzyństwa, jest tym bardziej przykry, że dokonano go na ziemi i bez tego na co dzień boleśnie dewastowanej przez przemysł, od początku ery industrialnej skutecznie ogłacanej z wszelkiej znaczniejszej substancji zabytkowej.

Świerkłańc po śmierci ostatniego górnos Śląskiego Piasta, Jana Dobrego, znalazł się w rękach margrabiów brandenburskich, a od połowy XVII wieku do mroźnej zimy 1945 roku był siedzibą protestanckiej galeji Hencklów von Donnersmarck (linia katolicka miała swą główną siedzibę w Siemianowicach). Guido Henckel, najpotężniejszy z rodu, właściciel ogromnej fortuny, osobisty przyjaciel cesarza i Bismarcka, zapragnął wzniesić w głębi ogromnego parku nową siedzibę, opartą na wzorach znak Swasty.

W latach 1867—1874 powstała rezydencja odpowiadająca jego ambicjom i gustom przywiezionej z Paryża małżonki, sławnej i osławionej Paivy (warte osobnego szkicu dzieje jej bogatego życia, obfitującego w pikantne i awanturnicze momenty, błyskotliwa kariera wiel-



Śląski Wersal

ANTONI HALOR



Brama „Śląskiego Wersalu” — dziś w chorzowskim Zoo.

kiej demi-mondaine wypełniały szpalty ówczesnej chronique scandaleuse; rysy Paivy odnajdziemy w postaci Nany, bohaterki głośnej powieści Emila Zoli). Pałac świerkłański został zbudowany wg projektu Hectora Lefuela, jednego z najbardziej cenionych architektów francuskich XIX wieku, twórcy przebudowy Luwru, pałacu Tuileries i zamku Fontainebleau, rektora Akademii des Beaux-Arts, przewodniczącego Société Centrale des Architectes. „Śląski Wersal” był jego największym po pracach w Luwrze dziełem.

Żeby zanurzyć się i odnaleźć w aurze jaką ongiś roztaczał, trzeba pojechać do Paryża i obejrzeć eksponowany od niedawna w Luwrze projekt pałacu, zwidzając stojący po dziś dzień przy Champs-Élysées pałac Paivy (*Hôtel Paiva*), kupiony dla niej przez księcia Guido, a przede wszystkim wybrać się do Pontchartrain koło Rambouillet. Tamtejszy późnorenansowy zamek (XVII w.), przypisywany Mansartowi, również zo-

stał kupiony Paivę przez zakochanego po uszy i nader hojnego Henckla.

Gdy staniami (plecami do jeziora) przed zachowaną do dziś wielką fontanną w centralnym punkcie dawnego tarasu pałacowego i obejmiemy spojrzeniem przestrzeń wyznaczoną przez dynamiczne rzeźby sławnego Emmanuela Fremieta, przedstawiające cztery grupy zmagających się zwierząt i wolno stojące dwa pawilony, z których zachował się jeden, będziemy mogli wyobrazić sobie rozległość fasady i imponującą, monumentalną sylwetę nie istniejącej budowli. Oczywiście wyobraźni odtworzymy charakterystyczne założenie *entre cour et jardin*, korpus główny nakryty dachem mansardowym, z typowym dla renesansu motywem wyniosłego centralnego ryzalitu, zwieńczonego wysokim dachem i ażurową wieżyczką, z dwoma krótkimi skrzydłami bocznymi. Całość flankowały nakryte dachami namiotowymi alkieze i przedłużające jego oś proste trakty galeryjne zakończone wielobocznymi pawilonami.

W wyobraźni przywołać można też wygląd wnętrza pałacu: sławne „onyksowe schody”, paradne kominki, elementy wyposażenia projektowane przez niebawale wówczas modnego Charlesa Rossignaux, rzeźby Ernesta Eugene Hiolle’a i Auguste-Nicolas’a Caina, wykonane w znanej pracowni Christofle’a inkrustowane złotem i srebrem meble, marmurowe stoły salonowe, potężne wazy ozdobione emalią komórkową, zastawę stołową inspirowaną złotnictwem średniowiecznym, etc, etc.

Wszystko, co po tym pozostało, to dwa zapisane przez Lompę podania o genezie zamku i legenda o zakopanych skarbach w zarośniętych trawą fundamentach, materialnie zaś ów ogromny taras z imponującymi figurami walczących zwierząt Fremieta, wolno stojący pawilon (zamieniony w dość toporną muszlę koncertową) oraz „Dom Kawalerów”, ładna, również nawiązująca do francuskiego renesansu, typowa villa rustica, na tablicach orientacyjnych reklamowana z jarmarcznią przesadą jako „Pałac Kawalerski”, a nawet — w prasie codziennej coraz częściej — „Pałac w Świerkłańcu”, co przy świadomości, że tuż obok wznosił się obiekt prawdziwie na tę nazwę zasługujący, budzi mało smaczne refleksje. Należą „do kompletu” stojący nad samym stawem wysoki żeliwny maszt flagowy, zapewne największy tego typu w Polsce, a jeden z największych w Europie, przywieziony, tak jak rzeźby, 120 lat temu wprost z Paryża oraz mauzoleum Paivy (która zmarła w 1884 r.) obok kościółka w głębi parku. Zachowane do dziś mauzoleum być może również projektował Lefuel (a nie, jak się utrzymuje, budowniczy berlińskiej katedry protestanckiej, Julius Raschdorf, dopiero w 1903—1905; jeśli to prawda, byłoby to jedyne zachowane dzieło tego architekta). By móc podziwiać monumentalną bramę wjazdową na dziedziniec pałacu, trzeba się wybrać do Zoo w chorzowskim Parku Kultury. Charakterystyczna, neorenesansowa monumentalna konstrukcja z pustym dziś kartuszem (z którego usunięto herb właścicieli) i otaczające ją wysokie ozdobne kute ogrodzenie zostały tu przeniesione właśnie ze Świerkłańca. I to już wszystko, co po potężnym kompleksie pozostało. Reszta przepadła — jak kamień w wodzie.

Foto. Antoni Halor

Plutarch najcenniejszy

O dzieło niezwykłej wartości wzbogaciła się Biblioteka Śląska. „Plutarchi vitae” udało się nabyć w jednym z poznańskich antykwariatów. - To będzie wizytówka naszej biblioteki - mówił prof. Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej, niezwykle poruszony tym niecodziennym wydarzeniem. „Żywoty” Plutarcha z 1491 r. wzbogaciły okazały zbiór inkunabułów znajdujących się w Dziale Zbiorów Specjalnych. Na razie przechowywany jest w bibliotecznym sejfie, a na światło dzienne będzie wyjmowany na wyłączone zapotrzebowanie osoby zamawiającej. Później z sejfów przeprowadzone zostanie do skarbcza, by w murach nowego gmachu mogło mieć znakomite warunki przechowywania. W zbiorach Biblioteki znajdują się wprawdzie jeszcze starsze inkunabuły, ale ten Plutarch - zdaniem prof. Jana Malickiego - jest najcenniejszy.

„Żywoty” to książka 300 stronicowa. Każda ze stron wykonana została na czerpanym papierze, oznaczona rzymską cyfrą i zapełniona drukiem przez jedną z weneckich drukarni. Ponadto strony ozdobione są całostronicowymi bordiurami umieszczonymi po jednej na początku każdej książki. Jest bogato ilustrowana licznymi drzeworytami i ozdobnymi inicjałami. Zawartość dzieła stanowią 64 żywoty (w istniejących innych wersjach jest ich tylko 42) postaci znanych z historii Rzymu, Grecji a także postaci Karola Wielkiego. Zasłużył sobie na obecność w tym dziele ze względu na to, że swoim życiem kierował zgodnie z kanonem moralnym tego czasu.

„Żywoty” zachowane zostały w bardzo dobrym stanie. Poza nielicznymi oznakami pleśni i drobnymi zabrudzeniami zachowały się w niej czynione przez jednego czytelnika odręczne zapiski. Oczywiście zostaną poddane analizie.

Skąd tak cenna książka trafiła do poznańskiego antykwariatu nie wiadomo. Jednakże kiedy już się pojawia dzieło takiej wartości prawo pierwokupu ma Biblioteka Narodowa. Trzeba było więc rzecz przeprowadzić w tajemnicy, by bezcenny skarb trafił do śląskiej księżnicy.

Inne wersje „Żywotów”, znacznie uboższe, znajdują się w bibliotekach Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i kapitulnej w Łowiczu.

Od września księga trafi do katalogu, a zobaczyć ją będzie można w Pracowni Zbiorów Specjalnych.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Ruch w skansenie

Tradycją chorzowskiego Górnośląskiego Parku Etnograficznego czyli popularnego skansenu stało się organizowanie w sezonie letnim interesujących imprez w przeważającej części folklorystycznych oraz związanych z historią i tradycją regionu, ale nie tylko. Podczas tegorocznego sezonu letniego odwiedzającym skansen zaproponowano m.in. występ zespołu „Mosińska Roma” prezentującego cygańskie ballady przy ognisku, koncert orkiestry dętej huty „Batory”, występ Śląskiej Kapeli Regionalnej. Również w tym czasie przewidziano szereg zabaw dla dzieci, które wakacje spędzają w mieście. Dla nich zorganizowano zabawy, w które bawili się ich dziadkowie czyli klipę, gogi i duble. Dzieci poznawali tradycyjne zajęcia rzemieślnicze ludowe i ginące zawody, uczestniczyły w spotkaniu „Dzień mistrza i czeladnika”. Innego rodzaju zabawą była prezentacja przedstawienia „Kopciuszek” i „Przygody Sindbada” w wykonaniu Teatru Małych Form POKO.

Rozpoczęto również cykl „Małe ojczyzny”. Zainaugurowały go Bojszowy, które pierwsze zaprezentowały się w chorzowskim skansenie. Józef Kłyk - słynny bojszowski twórca amatorskich westernów, tym razem wystąpił w roli artysty malarza i gawędziarza. Pokazano również bojszowskie wydawnictwa „Rodni słowa”, których tu znacznie więcej aniżeli w niejednej gminie. Swoją śpiewogrę „Narodzin chleba” wykonał bojszowski zespół folklorystyczny „Bojszowanie”.

Festiwal w Wygiełzowie

W każdą niedzielę, począwszy od 17 sierpnia do 21 września, można uczestniczyć w dorocznym Letnim Festiwalu Muzyki Kameralnej i Organowej organizowanym w Nadwiślańskim Parku Etnograficznym Lipowcu-Wygiełzowie przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”. Koncerty odbywają się także w pobliskim Chrzanowie, Trzebini, Libiążu, Grojcu. Rozpoczął je koncert muzyki barokowej „Medytacje” w wykonaniu Aleksandry Grucy (sopran) i Concerto Polacco - zespołu muzyki barokowej założonego przez organistę Marka Toporowskiego. Przed festiwalową publicznością występować będą także skrzypce Adam Musiański i organista Adam Lenart.

Poznawanie języka i kultury

1 sierpnia rozpoczęła działalność VII letnia szkoła języka, literatury i kultury polskiej organizowana przez Szkołę Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

W tym roku letnia szkoła języka, literatury i kultury polskiej odbywała się w Cieszynie. Wzięło w niej udział 70 słuchaczy z 23 państw, m.in. z Austrii, Belgii, Brazylii, Białorusi, Czech, Finlandii, Francji, Holandii,

■ W lipcu swoje 65. urodziny obchodzi wybitny kompozytor Wojciech Kilar.

■ W Muzeum Archidiecezjalnym pokazano malarstwo Stanisława Klimowskiego - z okazji 15 rocznicy śmierci artysty.

■ Najnowszy numer kwartalnika historycznego „Karta” zamieszcza m.in. obszerny blok materiałów poświęconych sytuacji Polaków i Niemców w latach 1945-1947 na „ziemiach odzyskanych”.

■ W galerii filii Mysłowskiego Ośrodka Kultury i Sztuki „Trójkąt” prezentowano prace plastyczne Barbary Precz, na które zostały żyłty się obrazy olejne i malowane na szkle.

Japonii, Jugosławii (Serbii), Litwy, Macedonii, Mołdawii, Niemiec, Rosji, Rumunii, Słowacji, Turcji, Ukrainy, USA, Wielkiej Brytanii i Węgier. Uczestnicy nie tylko uczyli się języka polskiego ale także poznawali kulturę polską uczestnicząc w recitalach, koncertach muzyki rozrywkowej, dawnej, ludowej, jazzowej, spotkaniach z ludźmi filmu m.in. Kazimierzem Kutzem, projekcjach filmowych i wycieczkach do Pszczyny, Oświęcimia, Krakowa, w Beskidy i do Tarnowskich Gór.

Szkoła zorganizowała także w Cieszynie III kolegium polsko-austriackie. Uczestniczyło w nim 19 studentów austriackich i 19 studentów z Polski.

„Architekci Roku”

W katowickim „Marcholcie” w dniu 1 lipca odbyła się uroczystość wręczenia z okazji Międzynarodowego Dnia Architekta dorocznych nagród „Architekt Roku”. Nagrody wręczono najlepszym projektantom z naszego regionu.

I nagrodę przyznano architektom Ryszardowi Jurkowskiemu, Annie Jurkowskiej i Barbarze Grąbczewskiej za kompleks biurowy przy ulicy Mirekowej w Sosnowcu. Dwie nagrody honorowe przypadły w udziale architektom Dieterowi Palecie i Maciejowi Laskowskiemu za dom księżki-emerytów w Katowicach oraz Mirosławowi Polakowi i Markowi Skwarze za pocztę w Chrzanowie. Wyróżniono Małgorzatę Piliczkiwiczyk oraz Oskara Grąbczewskiego, który wygrał w kategorii dla najciekawszego młodego twórcy.

Uroczystości towarzyszyła wystawa „Mój Paryż” autorstwa prof. Janusza Włodarczyka.

O górnikach i kobietach



Po „Województwie katowickim 1966” i „Obrazie życia i jego warunków w świadomości mieszkańców, Katowice 1966” ukazały się dwa kolejne tomy raportu przygotowywanego przez Program Zrównoważonego Rozwoju Społecznego Województwa Katowickiego oraz Radę Rozwoju Społecznego Województwa Katowickiego, której przewodni wicewojewoda Zygmunt Machnik: 1. „Górnicy wobec wyzwań restrukturyzacji” pod redakcją Kazimierzy Wódcy oraz „Kobiety w województwie katowickim’97” pod redakcją Leszka A. Gruszczynskiego. Zarówno Program jak i Rada oraz wszystkie opracowania pracują pod nadzorem ONZ-UNDP.

Obydwie pozycje są efektem zarówno badań socjologicznych jak i konferencji naukowych poświęconych tymże problemom. Opracowania te pozwalają na dogłębniejsze poznanie specyficznej grupy zawodowej jaką są górnicy (zarówno zawodowo czynnych jak i zmuszonych do zmiany wykonywanego zawodu w wyniku

■ W Smoleniu k. Pilicy odkryto prawdziwe skarby: archeolodzy podczas wykonywanych prac odsłoniли fragment XIV-wiecznych murów i narożnik zamkowej wieży, a wśród nich fragmenty wazy z IV wieku, cenne fragmenty kafli piecowych z wizerunkami aniołów i denary z czasów Władysława Jagiełły.

■ Niecodzienny koncert muzyki organowej odbył się w Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach, podczas którego wirtuoz tego instrumentu Stig Gustav Schonberg wykonał kompozycje Oscara Lindenbergera, Torstena Sorensena i Thomasa Abergera, a słowo wstępne wygłosił prof. Julian Gembalski.

restrukturyzacji górnictwa, także osób bezrobotnych - byłych górników). Jak powiedziała na spotkaniu promocyjnym prof. Kazimiera Wódz jest to fragment większej całości, zaś grupa ta została wyodrębniona ze względu na swe duże zróżnicowanie społeczne i pod względem bagażu kulturowego. Z kolei praca dotycząca analizy sytuacji kobiet w województwie katowickim obejmuje szeroki wachlarz zagadnień od problemów demograficznych poprzez zagrożenia zdrowotne, dyskryminację na rynku pracy, upowszechnianie wzorce kulturowe po radzenie sobie z własnymi problemami, tworzeniu obrazu własnego przez kobiety. We wstępie wicewojewoda Zygmunt Machnik napisał: - „W znacym stopniu potwierdziły one (wyniki badań - red.) opinie funkcjonujące w świadomości społecznej, że kobiety mają trudniejszy start życiowy i zawodowy od mężczyzn, są dyskryminowane np. na rynku pracy. Nie chciałbym jednak, aby generalizacja obiegowych opinii, które jak udowodniły badania, nie zawsze odpowiadają stanowi faktycznemu, utrwałała w nas pesymistyczny obraz życia kobiet i ich szans. Pragnę raczej podkreślić te zachowania kobiet, które wspomagają ich ewolucję społeczną: aktywność, dążenie do podnoszenia kwalifikacji i zdobycia wyższego wykształcenia, chęć odegrania roli w różnych dziedzinach życia”.

Trzeba podkreślić fakt, że województwo katowickie jako jedyne w kraju posiada tak dokładne opracowania socjologiczne wymienionych problemów. W przygotowaniu (w ramach serii 19 tomów raportu) kolejne analizy dotyczące problematyki dzieci wobec biedy, społecznego dialogu pracy i przemocy wobec dzieci.

Rok w plakacie

W Galerii Ratusza w Gliwicach prezentowana jest wystawa pt. „Rok w plakacie, czyli przeżyjmy to raz jeszcze” ze zbiorów tamtejszego Muzeum. Ekspozycja - plakaty pochodzą z przełomu lat 60 - 70, zrealizowane były do różnych przedsięwzięć - „dni”, „rocznic”, zapraszające i pouczające.

„Pierwsze plakaty powstawały w końcu XIX wieku i mimo, że funkcja informacyjna była najważniejsza, stopniowo wspomagana była działaniem linii, barwy, aluzją, żartem, paradoksem, zmieniając sposób postrzegania plakatu i awansując go do miana tzw. „sztuki stosowanej”, tj. już nie utylitarnego rzemiosła, a jednocześnie nie „sztuki czystej”. Taką egzystencję, na pograniczu sztuki i rzemiosła wieździe plakat do dziś” - napisała Elżbieta Dębowska w informacji towarzyszącej wystawie.

Lata 60. i 70. To świetny okres plakatu polskiego. Jednakże umieszczenie go w galerii zatracą jego podstawowy sens - informacyjny. Nie jest to więc jego naturalny sposób funkcjonowania. Niemniej jednak wystawy plakatu zawsze cieszą się dużym zainteresowaniem. Pamiętać trzeba, że to Polacy pierwsi wpadli na pomysł prezentowania plakatu jak dzieła sztuki w muzeum.

W Wilanowie, w 1968 r. powstała pierwsza tego typu placówka w kraju.

Plakaty do dziś towarzyszą wydarzeniom kulturalnym, artystycznym i wszelkim innym przedsięwzięciom. Na ich przykładach można prześledzić nowe tendencje w sztuce komunikowania. Można przeanalizować oddziaływanie tej sztuki ulicy na odbiorców.

„Szofł majn kind”

Pod takim tytułem odbył się w sierpniu koncert muzyki żydowskiej, któremu patronował prezydent Katowic Henryk Dziewior, a który wesół z Urzędem Miasta organizowała Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”.

Na koncert złożył się występ Ireny Urbńskiej - śpiew, Lesława Lica - fortepian, Jacka Hofubowskiego - akordeon i Romana Ślasyka - kontrabas. Słowo o muzyce wygłosiła Ewa Pawlik-Zmudzńska.

Kolejne tournée WOSPR

Już na swoje 117 tournée do Francji i Hiszpanii wyjechała 10 sierpnia Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia w Katowicach. We Francji uczestniczyła w Międzynarodowym Festiwalu Pianistycznym „La Roque d'Antheron”. Solistami byli Aldo Ciccolini, Kun Woo Paik i Helene Grimaud. Koncertami dyrygował szef zespołu Antoni Wit. Podczas Festiwalu muzyki WOSPR wykonali koncerty fortepianowe C. Saint-Saensa, S. Prokofiewa, Schumanna., suity Roussela, Prokofiewa, Strawińskiego i IV Symfonię Schumanna.

Kolejne koncerty miały miejsce w Hiszpanii. Najważniejszy był koncert podczas Międzynarodowego Festiwalu w Santander. Orkiestra grała pod batutą Antoniego Wita, a solistą był Shlomo Mintz - światowej sławy skrzypek, który wykonał Koncert skrzypcowy J. Brahmsa.

Podczas występów w hiszpańskich miastach Ayamonte i Gijon WOSPR wykonała m.in. „Trzy utwory w dawnym stylu” Henryka Mikołaja Góreckiego.

Koncerty na rzecz powodzi

Tragedia powodzi dotknęła wiele rodzin naszego województwa. Stracili dorobek całego życia, miejsca pracy, dorobek artystyczny. Zewsząd natychmiast zaczęła napływać pomoc. Włączyli się również do niej artyści, który spontanicznie organizowali koncerty, z których dochód przeznaczali na rzecz powodzi. Nie sposób wliczyć wszystkich tego rodzaju przedsięwzięć. Największy odbył się w katowickim „Spodku”. Został nazwany „Ludzie kultury ofiarom powodzi”. Nielatwo było zorganizować taki koncert, bowiem artyści mają w tym czasie podpisanych wiele kontraktów na trasy koncertowe, a także własne plany urlopowe. Jednakże hasło pomocy zmobilizowało wielu. Inicjatorem koncertu w „Spodku” był zespół „Śląsk”. Spotkali się artyści na co dzień nigdy nie spotykający się na estradzie: pianista Wojciech Świtła, znany bas Aleksander Teliga, Beata Raskiewicz - sopranistka,

bluesmani i rockowcy jak Irek Dudek, Jan Skrzek, zespół Myslowitz, Józef Skrzek, ludowy zespół „Siemianowice” i oczywiście „Śląsk” i wielu innych. Koncert trwał ponad sześć godzin. W tym czasie występował również Jacek Łapot z Kabaretu „Długi”. Przeprowadzono aukcję dzieł sztuki artystów zrzeszonych w Związku Polskich Artystów Plastyków, m.in. Wacława Błażewskiego, Ireneusza Batora, Krystyny Jasińskiej, Edwarda Josefowskiego, Tadeusza M. Siary, Andrzeja Urbanowicza, Karola Wieczorka, Mariana Knoblocha i innych. Wydawnictwo „Śląsk” sprzedawało swoje książki, dochód przeznaczając dla powodzi. Loteria fantowa również przyniosła dochód.



Aukcja zgromadziła wielu zainteresowanych. Jej efektem było zebranie kwoty 2.840 zł.

Na czas koncertu „Spodek” oddał za darmo swoją halę wraz z obsługą. Włączyło się również wiele firm. Oczywiście zebrano 28 tys. zł. Oczywiście na tym nie zakończono akcji pomocy dla powodzi. Imprezie patronowała redakcja „Dziennika Zachodniego”.

Powodzeniem cieszyły się również koncerty kameralne w wykonaniu znakomitych artystów. „Kwartet Śląski” (Marek Moś - skrzypce, Arkadiusz Kubica - skrzypce, Łukasz Syrnicki - altówka i Piotr Janosik - wiolonczela) wraz z Muzeum Górnoląskim w Bytomiu zorganizowali „Koncert na rzecz powodzi”. Zaprezentowali utwory Schuberta i Brahmsa. Prócz kwoty uzyskanej ze sprzedaży biletów przekazano powodziom kwotę jaka uzbierała się w specjalnej skarbonce. Korzyść z uczestnictwa w tym koncercie był podwójny - pomoc poszkodowanym i okazja posłuchania tego wybitnego zespołu, który rzadko koncertuje w kraju, głównie podczas własnego festiwalu organizowanego w Rybniej.

Z pomocą spieszyły niewielkie kluby młodzieżowe - jak np. katowicka Art. Cafe Chimera - w której występowała Kayah i Jose Torres.

Plastycy zrzeszeni w katowickim okręgu ZPAP zorganizowali aukcję dzieł sztuki, z której dochód przeznaczali na wspomnienie swoich kolegów z terenów objętych powodzią, którzy utracili swój artystyczny dorobek - a to jest już nie do odzyskania w żaden sposób.

Ta tragedia zjednoczyła wszystkich - potrzebujących i dających. Zwykła ludzka solidarność pokazała swe najlepsze oblicze.

■ Konkurs dla artystów amatorów im. Pawła Wróbla ogłosił na raz kolejny Miejski Dom Kultury i urząd Miasta w Katowicach (prace przyjmowane są do 30 września).

■ Młodzieżowy chór mieszany „Resonan con tutti” zdobył drugie miejsce w kategorii zespołów prezentujących muzykę folklorystyczną podczas festiwalu „International Music Eisteddfod” zorganizowanym w walijskim miasteczku Llangollen.

■ Rybnicka grupa tradycyjnego bluesa - Topsy Drivers wygrała IV Ogólnopolski Festiwal Blues-Folk-Reggae „Ananke'97” w Żurominie.

■ 10 sierpnia zmarł Robert Satanowski, dyrygent, były prezes Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, gościnny dyrygent Opery Śląskiej w Bytomiu.

■ Kino-galeria-klub „Ten-Ta-To (dawne kino „Zorza”) proponowała w okresie wakacji muzyczne czwartki, które urozmaicały występy grup rockowych i jazzowych.

■ O organizowaniu w październiku II Festiwalu Twórczości Chrześcijańskiej poinformował Urząd Miasta Ruda Śląska, gdzie też można uzyskać bliższe informacje na ten temat.

■ Niemiecka sztuka fotografii na przełomie XIX i XX wieku - to ekspozycja, która przywędrowała do Katowic dzięki uprzejmości Instytutu Stosunków Międzynarodowych w Stuttgarcie i krakowskiego Instytutu Goethego, a jest prezentowana w galerii „Pusta” Górnoląskiego Centrum Kultury.

■ Gawędę historyczno-literacką „Czy piesek może śiać na telniruzie - stroje znanych i nieznanych postaci literackich” wygłosiła Katarzyna Młynarczyk w filii MBP przy ul. Rybnickiej w Katowicach.

Nie tylko piekielko

Wielka woda skutecznie sparaliżowała życie kulturalne na Opolszczyźnie, sprowokowała za to do wielu refleksji. Gdy fala zalata Zaodrże, a mieszkańcy ocalonej części miasta spokojnie bięstadowali w ogródkach piwnych na Rynku, nienajeden z obserwatorów przypomniał sobie wiersz Miłosza o płonącym getcie. O tym opolskim Campo di Fiori zbroiło się głośno — dla wielu publicystów było ono dowodem na to, że największy nawet kataklizm nie musi wcale wywoływać odruchów współczucia.

Potop mógł skłonić i do innych przemysłań. Turyści, którym zdarzyło się spacerować po Górach Opawskich, pamiętają zapewne 15-metrową tanie na Złotym Potoku. Ta monumentalna budowla, na pozór wielka i niepotrzebna, uratowała życie i mienie mieszkańców Jarnottówka, Pokrzywnej i Prudnika. Wyszło na to, że ocaliła ich dobra wola niemieckiej cesarzowej Wiktorii, która w roku 1905, w dwa lata po wielkiej powodzi, kazała tę tamę postawić. Dziś mieszkańcy Glucholaz nie bardzo już wiedzą, kim w ogóle była Augusta Wiktorija, ale pewnie niedługo sobie przypomną, bo miejscowi działacze kulturalni chcą odrestaurować wszystkie pamiątki po żonie kaisera Wilhelma. I słusznie — zawiązanie tamy to namacalny dowód złożonej historii Śląska, świadectwo czasów, które próbowano wymazać z pamięci.

Czy ktoś skorzysta z tego przykładu, walcząc z nadal żywym uprzedzeniem? Trudno powiedzieć. Na razie wygląda niestety na to, że stereotypy są górą. Czemu media tak chętnie podtrzymywały groieskową plotkę, jakoby wojewoda opolski wezwał na pomoc Bundeswehre? Czemu uwierzono w nią tak łatwo? Może dlatego, że Opolszczyzna jawi się niektórym jako taka dziwna krajina, która leży diabli wiedzą gdzie, trochę w Polsce, trochę w Niemczech. Nie koniec na tym. Gdy w ogólnopolskiej prasie pojawiły się reportaże z zalewanych wsi, co rusz można było spotkać uwagi o tym, jak to jakaś miejscowość ocalała, bo zamieszkuje ją autochtoni, którzy potrafią pomagać sobie we wszystkim i wykazują podziwu godne zdyscyplinowanie. A jak to bywało w innych miejscach? Weźmy Nysę, gdzie autochtonów mamy jak na lekarstwo. No i owa Nysa, gdyby pójść śladem publikacji prasowych, to typowy przykład polskiego piekielka. Wszyscy oskarżają wszystkich — burmistrz wojewodę a opozycyjni radni wszystkich wokół. Odbudowa niby w toku, ale każdy i tak żyje wielkim połowaniem na czarownice, poszukiwaniem tego jednego winnego, którego można by wsadzić za kraty za zniszczenie miasta. Uważnemu czytelnikowi, który bacznie śledzi doniesienia dotyczące powodzi, wniosek nausuwa się sam. Rodowici Ślązacy, solidarni i zorganizowani współobywatele, i ci przyjezdni, chatocyjni piniacze.

Sprawa nie jest jednak taka prosta. Tuż po powodzi ruszyła kampania przedwyborcza. I oto senator Gerhard Bartodziej, przyznał się do współpracy z polskimi służbami specjalnymi. Niby nic nowego, była już o tym mowa po opublikowaniu listy Macierewicza. Tym razem jednak Bartodziej zgodził się opowiedzieć całą historię. Został zmuszony do podpisania zgody na współpracę (dotyczącej zresztą tylko kwestii technicznych), gdy udowodniono mu kupno „Archipelagu Gulag” i zaczęto szantażować. Tłumacząc, dlaczego uległ, Bartodziej powiedział coś zaskakującego w ustach lidera mniejszości niemieckiej — zauważył, że w odróżnieniu od wielu swoich kolegów nie miał oparcia w polskich mitach narodowych. Jak widać, polska tradycja to nie tylko polskie piekielko.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Lato w kwiatkach

Tysiące turystów z całej Polski odwiedziło Otmuchów podczas jubileuszowej, XXV już edycji Lata Kwiatów. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza impreza ta stała się jednym z najważniejszych wakacyjnych festynów w Polsce. Dla władz miasta jest od lat okazją do promocji walorów turystycznych okolicy oraz licznych zabytków, przede wszystkim — XIII-wiecznego zamku na wzgórzu, będącego przed wiekami letnią rezydencją biskupów wrocławskich.

Choć Lato Kwiatów wytrwale stara się pełnić rolę targów dla kwiatciarzy z całego kraju, pozostaje nade wszystko hucznym ludowym festynem, podczas którego można pospacerować po ukwieconym rynku i posłuchać występów zaproszonych artystów. Tym razem w roli gwiazd wystąpili: Martyna Jakubowicz, grupa Vox oraz satyrycy Jan Pietrzak i Krzysztof Daukszewicz.

Kultura pod wodą

Na ponad 5 milionów złotych oszacowano straty, jakie poniosła opolska kultura w wyniku lipcowej powodzi. Najbardziej ucierpiała Wojewódzka Biblioteka Publiczna, gdzie zniszczeniu uległa ponad połowa księgozbioru, a budynek na wyspie Pasiece wymaga gruntownego remontu. Bardzo poważne straty poniosła też Państwowa Szkoła Muzyczna — ponieważ zaniechano ewakuacji, woda zniszczyła pozostawione na parterze fortepiany i pianina. Przypadek PSM zbulwersował opinię publiczną w całym kraju — goszczący w Opolu minister kultury Zdzisław Podkański zapowiedział wyciągnięcie personalnych konsekwencji w stosunku do dyrekcji placówki.

JEDNYM ZDANIEM

■ Bohaterem powodzi tysiąclecia stało się Radio Opole, które od początku kataklizmu, działając w tymczasowej siedzibie, na bieżąco pomagało organizować akcję ratunkową — docenili to przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Bolesław Sulik, który podczas wizyty w Opolu obiecał pomóc w remoncie budynku radia zalanego na wyspie Pasiece.

■ 750-lecie obchodzila wieś Krońnica w gminie Izbičko, która od lat przoduje w konkursach na najpiękniejszą i najczystsza wieś w Polsce.

Ucierpiał także zbiory muzealne w Nysie — powódź zatopiła tam dział archeologiczny umiejscowiony na parterze budynku. Obronną ręką wyszło tylko Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu. Ponieważ na czas ewakuowano nawet sarkofagi, skończyło się na zalaniu elewacji zamku.

Na 15 kolejne milionów złotych oszacował swoje straty Uniwersytet Opolski, gdzie zniszczeniu uległy między innymi archiwa prasowe. Remontu wymaga pałacyk, w którym mieściła się katedra folklorystyki, a siedziba instytutu chemii zostanie najprawdopodobniej wyburzona.

Pruskie pamiątki

„Broń niemiecka XVII-XIX wiek” to tytuł wystawy przygotowanej przez Muzeum Śląska Opolskiego tuż przed nadejściem powodziowej fali. Uwagę zwiedzających przyciągają przede wszystkim eksponaty będące niegdyś na wyposażeniu armii pruskiej.

Miłośnicy militariów mogli podziwiać dwa pistolety ze skałkowymi zamkami z XVIII wieku oraz nieco nowocześniejszy i bardziej niezawodny pistolet kapiszonowy z następnego stulecia, w którym do zapłonu wykorzystywano mieszanke zawierającą piorunian rtęci. Warto też było zwrócić uwagę na XIX-wieczny karabin skonstruowany przy udziale Dreysego, Werdera i sławnych braci Mauser. Na wystawie jest także akcent regionalny — wśród eksponowanej broni znalazły się doskonale okazy broni myśliwskiej wyprodukowanej przez śląskich rusznikarzy z okolic Namysłowa, Paczkowa i Ozimka.

FOTO to FOTO

Fotograficzne portrety znanych osobistości życia kulturalnego Polski i Niemiec złożyły się na wystawę „FOTO to FOTO”, prezentowaną w opolskiej Galerii Sztuki Współczesnej. Autorami zdjęć są Kurt Buchwald oraz Marek Poźniak.

Ich prace były wcześniej prezentowane w Gdańsku i Reszlu. Pomysłodawcą zorganizowania wystawy był Polski Instytut Kultury w Berlinie.

■ „My powodzianom” to tytuł imprezy charytatywnej, zorganizowanej w kinie Centrum Odra z udziałem Tomasza Stery i Jarosława Wasika.

■ Stefan Machel, mieszkający w Opolu gitarzysta grupy TSA, uległ ciężkiemu wypadkowi, w wyniku którego legenda polskiego rocka musiała odwołać zapowiadany na sierpień koncert na krakowskich Błoniach.

■ Ordynariusz opolski biskup Alfons Nossol otrzymał pokojową nagrodę Augsburga za zasługi dla porozumienia polsko-niemieckiego i przezycięcia nacjonalizmu.

Ostatni krok w chmurach

Już raz w moim życiu zdarzyło się. W żołnierskich czasach.

Po jednostce runęła wieść o samobójstwie młodego żołnierza z dywizjonów. Pomyślałem, że na szczęście nie znam stamtąd nikogo. Zacząłem jednak wypytywać o szczegóły. Okazało się, że samobójcą był jedyny człowiek z tej części koszar, którego znałem.

W lipcu telewizja podała informację o śmierci trojga wspinaczy w Alpach. Zginęła m.in. trzydziestoletnia bielszczanka. Pomyślałem, że na szczęście nie znam żadnej bielskiej alpinistki. Znów trochę łatwiej będzie przejść do tzw. dziennego porządku nad śmiercią anonimą niż kogoś bliskiego.

Zacząłem jednak zastanawiać się nad szczegółami zwyciężonej notatki o ofierze Alp. Zmarła obroniła niedawno pracę doktorską we Wrocławiu. Z etnografii! Pomyślałem wtedy: — Przecież nie ma w Bielsku-Białej innego doktora etnografii niż Gosia! Ale cóż z niej za alpinistka. Chyba nawet w Tatrach zbyt wiele razy nie była. Widocznie musiało zrobić ten pierwszy krok w chmurach...

Nie sądzę, aby ktoś znalazł się tak dobrze na zwyczajach i obrzędach Śląska Cieszyńskiego jak Małgorzata Tarnawa. Heleń nadchodziły święta, prosiłem ją o tekst do gazety lub periodyku, który redagowałem. Szkice jej nie były nudne. Nie starała się bowiem zawrzeć ogromu własnej wiedzy, aczkolwiek młodym naukowcom często się wydaje, że służy ona do porażania ostatniej szarej komórki czytelnika.

Szkice Małgorzaty emanowały anegdotycznym ciepłem tradycji. Ona sama ociepiała nas życzliwymi uśmiechami. Nie musiałem niemal nigdy do niej dzwonić, aby prosić o tekst. Kiedy zbliżały się święta, wracała z Wrocławia do domu. Mieszkała w sąsiednim mrówkowcu. Spotykałem ją więc na przystanku autobusowym.

Na przystanku Bielsko-Biała pozostanie po niej ciepłe, puste miejsce — używam terminów ze sfery aluzyjnej fikcji, a Jej nie ma naprawdę.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Straty kultury

Pracownicy Książnicy Cieszyńskiej ewakuowali starodruki, dlatego woda, która dostała się do piwnic budynku, nie zaszkodziła zbiorom. Urzędowi eksperci wycenili jednak straty bielskiej kultury podczas ostatniej powodzi na 659 tys. zł. Woda podmyła zamek w Suchej Beskidzkiej. Niwelowanie szkód pochłonie 80 tys. zł. Obfite ulewy uszkodziły piwnice i parter żywieckiego zamku Habsburgów, a także podmyły Starą Chałupę w Milówce. 40 tys. zł strat spowodowało obsuniecie się skarpy zamkowej w Oświęcimiu. Deszcze lub wody podniszczyły zamki w Zatorze, Dziegielowie, dwór w Brzeźnicy i pałac w Rajczy. Na terenie klasztoru w Kalwarii Zebrzydowskiej woda zniszczyła mostki i rzeźby; załała także przytkowicką filię Biblioteki Miasta i Gminy w Kalwarii Zebrzydowskiej oraz magazyny Miejskiej Biblioteki Publicznej w Suchej Beskidzkiej.

W Istebnej deszcze załaly willę artysty Jana Wałacha, co spowodowało 25 tys. zł strat. Woda wdarła się do kotłowni i magazynów odrestaurowanego w Bystym roku Muzeum im. Juliana Fałata w Zespolej Śląskiej. Potok Bystra zabrał estradę w Ujsołach. Tamtejszy zespół „Juhas” został pozbawiony własnego sprzętu. Podobnie wygląda rzecz w Gminnym Ośrodku Kultury w Koszarawie.

Szkoła polszczyzny

Szkoła Języka i Kultury Polskiej zorganizowała w sierpniu w cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego kurs języka polskiego. Wzięli w nim udział przede wszystkim przyszli studenci polonistyki. Nie brakowało osób z bardzo słabą znajomością polszczyzny. W zajęciach brali udział przedstawiciele 26 krajów.

Bielsko-Biała w Gandawie

Sukces bielskiej wystawy Andy'ego Warhola nie pozostał bez echa na Zachodzie. Biuro Wystaw Artystycznych w Bielsku-Białej otrzymało propozycję zorganizowania ekspozycji podczas międzynarodowego festiwalu teatralnego w Gandawie. Polską sztukę lalkową popularyzowała tam wystawa scenografii znakomitej artystki Leokadii Serafinowicz. Ekspozycje aranżował znany bielski plastyk Andrzej Łabiniec. Podczas imprezy występowały także polskie zespoły Teatr 34 z Zusna oraz „Kacperek” z Rzeszowa. Wiele serca

w doskonałą prezentację naszego dorobku w gandawskim ośrodku teatralnym „Taptee” włożyła II sekretarz Ambasady RP w Brukseli Agnieszka Drop.

Niemieckie przyjaźnie

Podczas wakacji w Ratuszu w Lilienthal wystawiały swe prace dwie bielskie artystki — Teresa Sztwiernia i Agata Tomiczek-Woloncej. „On i Ona” to tytuł wystawy akwareli i gwaszów tej drugiej plastyczki. Teresa Sztwiernia natomiast pokazała ekspozycję pt. „Miejsce, idealne miejsce”. Lilienthal jest od kilku lat miastem zaprzyjaźnionym ze stolicą Beskidów.

Sierpniowy folklor

Około 80 zespołów z Polski i świata wystąpiło w sierpniowym Tygodniu Kultury Beskidzkiej. Podczas tej imprezy odbyły się VIII Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne. Grand Prix zdobył zespół „Ceata Junilor” z Sibiu w Rumunii. Wyróżniono grupy „Ritenitis Deju Ansambli” z Rygi, „Aires de Pagesia” z Majorki, „Nitsani” z Hagi, „Forgórórsa” z Debreczyna oraz „Koniaków” z Koniakowa i „Poltex” z Łodzi. Wszystkich musiało urzec zwłaszcza... ludowa nazwa tego ostatniego zespołu.

Podczas XXVIII Festiwalu Folkloru Górali Polskich w Żywcu Złote Żywieckie Serce i 4 tys. zł nagrody zdobył Zespół Górali im. Klimka Bachledy z Zakopanego. Srebrne Serce przypadło ZR „Brenna”, a Brązowe Serce przypadło ZR „Hamernikowi” z Krakowa. Najlepszym zespołem muzycznym uznano Kapelę Sebastiana Karpiela-Bulecki z Kościeliska, a najlepszym instrumentalistą skrzypka Pawła Staszela z Nowego Targu. Tytuł pierwszej solistki festiwalu przypadł jednocześnie dwóm przedstawicielkom Śląska Cieszyńskiego — Annie Bujok z Wisły i Monice Wałach z Jaworzynki. Najlepszą grupą śpiewaczą były dziewczyny z zespołu „Koniaków”. Najlepszym mistrzem uczącym muzyki ludowej okrzyknięto Krzysztofa Trebunię-Tutkę z Murzasichla.



Jan Broda (w środku) zapowiada występ „Hamernika”.
Foto. Jan Picheta

JEDNYM ZDANIEM

■ W lipcu i sierpniu w Galerii Bielskiej BWA odbył się cykl warsztatów artystycznych, teatralnych, parateatralnych i ekologicznych dla dzieci i młodzieży.

■ Amatorska Grupa Twórcza „Strumień” prezentowała się podczas wakacji w tamtejszej Galerii „Pod Ratuszem”.

■ „Rękodzieło ludowe górali babiogórskich” to tytuł wakacyjnej wystawy w Miejskiej Galerii Sztuki w Suchej Beskidzkiej.

■ W Galerii Sztuki Beskidzkiej w Szczyrku zaprezentowano prace artystów malujących ustami i nogami.

■ Dużym powodzeniem cieszyły się ekspozycje w żywieckim Muzeum oraz w tamtejszym zamku Habsburgów, które prezentowały żmije i węże oraz średniowieczne narzędzia tortur.

■ W galerii cieszyńskiego Muzeum przy ul. Srebrnej po raz trzeci już w ciągu kilku lat zaprezentowano dzieła sztuki zarekwirowane podczas prób przemytu przez granicę w Cieszynie.

■ We wrześniu ukaże się 25 książka znanego poety bielskiego — Stanisława Goli.

■ Żywiecka dziennikarka Danuta Gibas przygotowuje do druku tom reportaży o gwiazdach sceny polskiej, których korzenie sięgają ziemi beskidzkiej.

Człowiek o bojga Kresów

Był jednym z niewielu, którzy mogli poruszać się z równą swobodą po obszarach wiedzy o dziejach Kresów Wschodnich, jak i Zachodnich i Północnych. Wymogi czasu, w jakich przyszło mu żyć, zdecydowały, że na początku swej drogi zrezygnował ze spokojnej egzystencji archiwisty i wybrał czynne uczestnictwo w wydarzeniach historycznych. Treścią późniejszych lat jego życia stała się wyjątkowo efektywna działalność w zakresie organizacji placówek naukowych.

Roman LUTMAN urodził się we Lwowie 31 lipca 1897 roku. Szkołą wychowania patriotycznego był dla niego skauting i organizacja „Zarzewie”. U schyłku 1918 roku był uczestnikiem zmagania polsko-ukraińskich o Lwów. W roku 1920 inicjował akcję wsparcia lwowskiej młodzieży akademickiej dla sprawy górnośląskiej. Był w trzysobowej grupie studentów, którzy przybyli do Bytomia, by uczestniczyć w akcji plebiscytowej. Oddał się jej z całym młodzieńczym zapałem. Formalnie był pracownikiem Wydziału Prasowego Polskiego Komisariatu Plebiscytowego. Zadziwiająco szybko uczył się Śląska i jego najbardziej złożonych problemów. W czasie III powstania był jednym z redaktorów „Powstańca” — pisma Grupy „Wschód”. Wtedy dał się poznać Michałowi Grażyńskiemu, który po latach wyznaczy mu ważny odcinek pracy na polskim już Śląsku. Na razie, po fiasku antykorfantowskiego puczu Grupy „Wschód”, powrócił do Lwowa i do wcześniejszej pracy w tamtejszym archiwum; jednocześnie zakończył doktoratem studia historyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza. W następnych latach często zmieniał miejsca pobytu i zatrudnienia, poruszając się po trójkącie: Lwów — Gdańsk — Śląsk. Zajęta go wreszcie praca naukowa. Skoncentrował się najpierw na historii Gdańska i Pomorza. Pracując od 1931 roku w Instytucie Bałtyckim w Toruniu, położył wielkie zasługi dla rozwoju badań nad dziejami tych terenów i ich wielowiekowymi związkami z Polską. Pamiętajmy o kontekście historycznym — konieczności wsparcia stanowiska polskiego wobec niemieckich dążeń rewindykacyjnych. W 1934 Lutman przyjął propozycję objęcia dyrektorstwa powoływanego właśnie Instytutu Śląskiego w Katowicach. Jego zasługą była organizacja i rychło dynamiczna działalność placówki, której najbardziej spektakularnym przejawem były liczne i zarazem wartościowe publikacje. Przygotowana pod jego redakcją wielka praca zbiorowa „Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku” (1936) zaświadcza, że metodycznie dążył do stworzenia warsztatu badań śląskoznawczych. Później dwukrotnie jeszcze przyszło mu odzwiercać instytucje o nazwie Instytut Śląski: w roku 1945 w Katowicach i w 1957 w Opolu, choć tamtoczesne sytuacje historyczne przymuszały do wypełniania przez nie innych, niż przed wojną, zadań.



Glossy górnos Śląskie

Jeden Śląsk

Gdy w roku 1935 Instytut Śląski stał się współwydawcą „Zarania Śląskiego”, Roman Lutman opublikował tekst programowy „Śląsk — jeden, niepodzielny”. Konstatował w nim, że Śląsk i jego problemy są dla społeczeństwa polskiego zagadnieniami nowymi. Z tego biorą się wielorakie spojrzenia i twierdzenia — przykładami mogą być jakże różniące się ujęcia Zofii Kossak („Nieznany Kraj”), Gustawa Morcinka, Emila Szramka czy Ferdynanda Goetla. Autor stwierdza dalej, że Śląsk jest „niewyczerpanym dotąd rezerwuarem sił kulturalnych naszego narodu”, ale ma on „ambicje i środki po temu, by stać się czynnym ośrodkiem kultury i nauki”. Ponieważ „sprawy śląskie znajdowały się dotąd na ogół na peryferiach naszej kultury i nauki”, „ważnym zagadnieniem jest sprowadzić Śląsk i jego sprawy z tych peryferii i uczynić żeń istotny czynnik składowy naszej kultury i nauki, wciągając je bez reszty do naszego zasobu kulturalnego z całym bogactwem jego cech wspólnych i odrębnych”. W dalszym ciągu artykułu Lutman zgłosił postulaty, jakich nie było w dotychczasowych wypowiedziach na temat Śląska. Sprzeciwił się ograniczaniu zakresu pojęcia Śląska do „strzępu piastowskiej dzielnicy”, który stał się województwem śląskim. Twierdził, że istnieje potrzeba wkorzenia w świadomość narodu przekonania o jedności całego polskiego Śląska etnograficznego. Zwracał uwagę na odmienne podejście Niemców, które zaobserwował m.in. w trakcie podróży studyjnych na zachód. U nich „zagadnienie ziem wschodnich (...) zostało dziś wysunięte na plan pierwszy nie tylko w dziedzinie politycznej i gospodarczej, ale przede wszystkim w dziedzinie kulturalnej i wychowawczej”. Wskazywał na nową tendencję badaczy niemieckich, którzy skoncentrowali się na wydobywa-

niu zasług Niemców w rozwoju cywilizacji polskiej. Służy to do podkreślenia ich „prawa do kulturalnej i gospodarczej ekspansji na Wschód”. Niektórzy badacze niemieccy lansują nawet tezę, że problem górnośląski powinien być „codziennym przeżyciem dla Niemca”.

Opisawszy te konteksty, Roman Lutman, organizator pierwszej humanistycznej placówki naukowej w województwie śląskim, konkludował:

„Ten kierunek wschodni zainteresowań współczesnych Niemiec winien nam uzasadnić to, co tak bardzo u nas jeszcze potrzebuje uzasadnienia mimo swej oczywistości, że musimy również uczyć się przeżywać nasze zagadnienie zachodnie jako istotny element naszego światopoglądu kulturalnego i narodowego. W tym elemencie zaś Śląsk jest najbardziej ważkim czynnikiem składowym. Oczywiście nie Śląsk w ramach województwa śląskiego, ale Śląsk pojęty jako całość historyczna i kulturalna, należąca do naszego zasobu kulturalnego zarówno na mocy naturalnych uprawnień etnograficznych, jak i z tradycji historycznej i dorobku kulturalnego.”

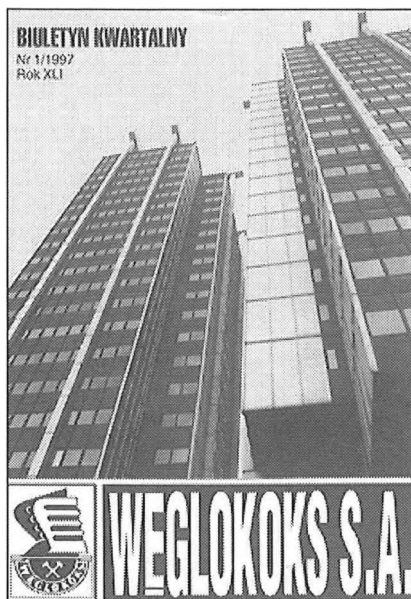
Hallerczycy

Prawie niezauważenie przeszła w środku lata osiemdziesiąta rocznica utworzenia Armii Polskiej we Francji. Nazwa, która wywoływała niegdyś ciąg asocjacji silnie wiążących się z Górnym Śląskiem, dziś — niestety — dla wielu pozostaje pustym dźwiękiem. Przypomnijmy więc. W szeregach Błękitnej Armii (zwanej tak od koloru mundurów) gen. Józefa Hallera znalazło się 5 tysięcy Ślązaków — jeńców francuskich i uciekinierów z armii niemieckiej. W roku 1919 Armia wróciła do Polski. W tymże roku, po niepowodzeniu I powstania, jego uczestnicy-uciekierzy ze Śląska, którzy zaciągnęli się do Wojska Polskiego, skupieni zostali w Pułku Bytomskim, przydzielonym pod dowództwo gen. Hallera. W roku 1920 Ślązacy urlopowani zostali na plebiscyt. Tu samorzutnie utworzyli oddziały ochraniające głosowanie, bronili ludności przed bojówkami orgeszowskimi. Żołnierze Błękitnej Armii stanowili trzon kadry oficerskiej i podoficerskiej w trzecim powstaniu. Zanim w dniu 18 sierpnia 1922 roku powstał w Warszawie Związek Hallerczyków, śląscy weterani zawiązali w połowie 1920 roku Towarzystwo Samopomocy Górnoślązaków byłych jeńców wojennych. Związek był organizacją wyróżniającą się w panoramie życia społecznego i politycznego województwa śląskiego. Jego członkowie pielęgnowali tak zwaną ideę Hallerowską (generał był jedynym dowódcą z okresu I wojny światowej, który walczył przeciw wszystkim trzem zaborcom), światopogląd chrześcijański, wspierali stronnictwa zowiące się narodowymi i czysto polski przemysł i handel. Związek trwał po stronie Wojciecha Korfante go toczącego zacięty, choć skazany na niepowodzenie, bój z sanacją. Sam Korfanty przyjaźnił się z Józefem Hallerem i wspólnie organizowali akcje skierowane przeciwko rządowi pomajowemu.

Spośród licznych czasopism wydawanych przez rozmaite instytucje i organizacje gospodarcze, które spełniają nadzwyczaj pożyteczną rolę jako źródło nie tylko specjalistycznych publikacji oraz ważnych informacji, do wyróżniających się tytułów należy Biuletyn Kwartalny WĘGLOKOKS-u S.A., daleko wykraczający poza problematykę wewnętrzną tej renomowanej firmy, czołowego eksportera węgla i koks na świecie. Periodyk ten ukazujący się w godnej uwagi formule redakcyjnej, ambitny pod względem merytorycznym stanowi nawiązanie do wcześniejszej publikacji WĘGLOKOKS-u pt. „Rynki węglowe”, które jako skromny druk reprezentujący dawniej tzw. „wydawnictwa powielaczowe” ukazywały się od roku 1957, znajdując stałych odbiorców w specjalistycznych kręgach zawodowych.

Zagadnienia związane z szeroką prezentacją problematyki rynków węglowych w kraju i na świecie są nadal obszernie prezentowane w nowym czasopiśmie, jako wydzielona część, z wewnętrzną kartą tytułową. Jednak kwartalnik WĘGLOKOKS-u S.A. w obecnym kształcie to czasopismo w pełnym rozumieniu tego pojęcia, o szerokim zakresie tematów obejmujących nie tylko kwestie eksportu i obrotu paliwami. Można tu znaleźć publikacje podejmujące najważniejsze problemy górnicze, a także kwestie społeczne towarzyszące restrukturyzacji tego kluczowego przemysłu. Problemy te są podejmowane od pierwszego numeru w artykułach publicystycznych, reportażach i rozmowach (m.in. z wiceministrem Jerzym Markowskim, prezesem Leszkiem Jarno z Agencji Restrukturyzacji Górnictwa Węgla Kamiennego S.A. i wojewodą katowickim Eugeniuszem Ciszakiem). We wszystkich tych publikacjach podejmowana jest rzeczowa analiza stanu polskiego górnictwa oraz pozycji polskiego węgla (w tym także koks), do niedawna najważniejszego towaru eksportowego kraju. Okazuje się, że pozycja węgla w świecie rośnie; jest także rzeczą niewątpliwą, iż surowiec ten także w przyszłości stanowić będzie podstawę energetyki polskiej. Jednakże wymaga on przede wszystkim wzbogacenia, uszlachetnienia — tym kwestiom właśnie poświęconych jest szereg ważnych opracowań zawierających wykresy, tabele i schematy procesów technologicznych.

Wiele miejsca zajmują w czasopiśmie problemy samej firmy, która



Z nową metryką

niedawno świętowała jubileusz 45-lecia i znajduje się w fazie kolejnej restrukturyzacji, po przekształceniu się z centrali handlu zagranicznego, w spółkę skarbu państwa, z perspektywą prywatyzacji. Sprawy samej firmy są tu jednak kojarzone z szerokim kontekstem problemów wolnego rynku i nowych uwarunkowań związanych z eksportem, gdy WĘGLOKOKS S.A. nie jest już chronicznym monopolistą. Te kwestie dotyczące pozycji polskiego węgla, uwarunkowań opłacalnego eksportu, transportu, składowania oraz form rozliczeń są interesujące także ze względu na skalę prowadzonych operacji i mocną pozycję firmy, jednego z liderów polskich rankingów prasowych.

Sprawy te są podejmowane w artykułach problemowych oraz w licznych stałych rubrykach — w tym interesująco komponowanych przeglądach prasowych: „Z górniczego placu” — wypisy i przedruki”, a także w „Kwartale górnictwem” rejestrującym najważniejsze wydarzenia z tego obszaru w szerokim przekroju (od problemów polityki przemysłowej po naukę, kulturę i sport). W doborze prezentowanych materiałów widoczna jest staranna selekcja oraz przejrzysty układ stałych rubryk informacyjnych. Jest to w istocie czasopismo kojarzące formułę specjalistycznego, fachowego kwartalnika gospodarczego z wydawnictwem

prasowym, ze względu na atrakcyjność form redakcyjnych i rodzaje wypowiedzi, obejmujące publicystykę, szkice naukowe, reportaże, rozmowę, wywiad, komentarze, noty... w sumie wszystkie formy profesjonalnego dziennikarstwa. Wśród współpracowników jest zresztą wielu śląskich dziennikarzy, są naukowcy i przedstawiciele życia gospodarczego, często także wypowiadają się i piszą specjaliści reprezentujący samą firmę.

Ważną, wydzieloną częścią periodyku są „Rynki węglowe” — stanowiące przegląd tendencji, prognoz, koniunktur i zachodzących zmian w oparciu o specjalistyczną prasę, sondaże i badania. Blok tych materiałów prezentowanych z uwzględnieniem sytuacji w Polsce, Europie i na pozostałych kontynentach, w sumie na świecie, głównie dotyczy węgla, lecz uwzględnione są także relacje zachodzące na rynku paliw płynnych i rynku stalowym, z czym wiąże się zapotrzebowanie na koks. Prezentowane tu materiały obejmują sytuację aktualną i perspektywiczną, z uwzględnieniem lat po roku 2000 oraz przewidywanej sytuacji energetycznej świata. Materiały te zaopatrzone w liczne tabele, zestawienia porównawcze i wykresy są zapewne uważnie studiowane przez specjalistów, jako że obejmują kilkadziesiąt krajów: zarówno importerów i eksporterów, w tym dysponujących nowymi, potężnymi zasobami, co rzutuje na stan konkurencji i politykę cen na rynkach światowych.

Biuletyn Kwartalny WĘGLOKOKS S.A. w nowym kształcie redakcyjnym i poligraficznym wychodzi od stycznia ubiegłego roku, z zaznaczeniem, iż czasopismo to kontynuuje poprzednie wydawnictwo. Dotąd ukazało się 6 numerów. Redaktorem czasopisma jest Zofia Kijonka, opracowanie graficzne zostało powierzone Wojciechowi Łuce. Periodyk reprezentuje wysokie walory poligraficzne; świetny papier, staranny druk, kolorowe ilustracje... Jest to po prostu fachowy magazyn, redagowany atrakcyjnie. Bez tego czasopisma nie można mieć pełnej orientacji o stanie polskiego górnictwa z uwzględnieniem zapotrzebowania na węgiel w kraju i na świecie. To wydawnictwo porządkuje obraz w szerokiej perspektywie aktualnego stanu oraz koniunktur i prognoz istotnych dla przyszłości polskiego górnictwa — a to znaczy, że przede wszystkim dla Śląska.

P.G.

KATOWICKI HOLDING WĘGLOWY

S.A. ul. Damrota 18
KATOWICE

prowadzi sprzedaż węgla energetycznego w szerokiej gamie sortymentowej, najwyższej jakości i o najmniejszej zawartości siarki. Oferowany do sprzedaży węgiel z uwagi na niską zawartość popiołu i siarki nie zanieczyszcza środowiska. Umożliwiamy odbiór zakupionego węgla

KWK „Śląsk” ul. Kalinowa 12, 41-707 Ruda Śląska, tel. 2428-958

KWK „Katowice-Kleofas” ul. Kopalniana 6, 40-204 Katowice, tel. 2542-210

KWK „Wieczorek” ul. Szopienicka 1, 40-432 Katowice, tel. 2563-517

KWK „Wujek” ul. W. Pola 65, 40-956 Katowice, tel. 2513-291

KWK „Staszic” ul. Karolinki 1, 40-483 Katowice, tel. 256-40-97

KWK „Murcki” ul. Kołodzieja 2, 40-749 Katowice, tel. 253-90-31÷9

KWK „Mysłowice” ul. Świerczyny 3, 41-400 Mysłowice, tel. 222-22-21

KWK „Wesoła” ul. Kopalniana 5, 41-408 Mysłowice, tel. 227-70-31

KWK „Niwka-Modrzejów” Sp. z o.o. ul. Wojska Polskiego 6, 41-208 Sosnowiec, tel. 299-43-17

KWK „Kazimierz-Juliusz” Sp. z o.o. ul. Ogrodowa 1, 42-540 Sosnowiec, tel. 263-10-11

Prezes 757-31-05

Z-ca Prezesa ds.:

ekonomiki produkcji 757-31-45

finansowo-ekonomicznych 757-31-83

handlowo-rynkowych 757-30-41÷3

strategii rozwoju 757-31-20

restrukturyzacji i polityki kadrowej 757-31-11

Dyrektor Zespołu Finansowego

- Główny księgowy 757-31-56

Dział Marketingu 757-31-17

wszystkimi rodzajami transportu – kolejowym, samochodowym, kolejowo-wodnym.

Oferujemy do sprzedaży węgiel konfekcjonowany w 10 kg opakowaniach.

Wszystkich odbiorców zainteresowanych

jak najniższą emisją siarki przy spalaniu węgla

zapraszamy

do Holdingowego Przedsiębiorstwa Produkcyjno-Handlowego „Katowicki Węgiel” Sp. z o.o., któremu KHW SA powierzył sprzedaż węgla w swoim imieniu.





351674

40-085 Katowice
ul. Mickiewicza 29
tel.: (032) 512 211, 513 221
fax: (032) 511 264, 511 941
e-mail: stalex@stalexport.com.pl
tlx: 0315751

stalexport SA

eksport

- » wyroby stalowe
- » szyny kolejowe
- » metale nieżelazne
- » surówka, złom, węgiel i koks

import

- » wyroby stalowe
- » rudy żelaza, chromu, manganu
- » żelazostopy
- » maszyny i urządzenia dla przemysłu hutniczego
- » sprzęt rehabilitacyjno - sportowy
- » rowery

składy hutnicze:

STALEXPORT SERWIS CENTRUM S.A.

Al. Roździeńskiego 95
40-203 Katowice

Magazyn nr 1

40-780 Katowice - Panewniki
ul. Owsiana 60
tel./fax: 252 10 62
tel./centr. 252 10 01 ÷ 4
252 50 61 ÷ 3

Magazyn nr 2

Al. Roździeńskiego 95
tel./sekr. 203 02 01
tel./fax: 580 953
tel./centr. 585 221 ÷ 7

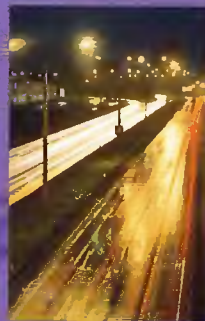
STALEXPORT SERWIS CENTRUM Sp z o.o.

ul. Odrzańska 12
45-644 Opole
tel.: (077) 527 991; 527 701
fax: (077) 562 304

STALEXPORT SERWIS CENTRUM Sp z o.o.

OPOLE oddział Wrocław
ul. Szczecińska 5
54-433 Wrocław,
tel.: (071) 353 59 43, 353 57 11,
fax: (071) 353 58 84

udział w największych projektach inwestycyjnych w Polsce



restrukturyzacja hutnictwa

autostrada A-4

telefonii komórkowa

stalexport SA

inwestuj w najlepszych